

Gould Judith

Czas na pożegnanie

Wczesna jesień 2000 roku

Pogoda była dość niezwykła jak na tę porę roku.

Może przez szacunek dla wyjątkowych okoliczności.

Słońce ugrzęzło za ponurymi chmurami, w dół przedarło się tylko kilka bladych promyków.

Jak okiem sięgnąć, ziemię spowijała mgła. W sinawym obłoku ginęły nawet potężne sekwoje.

Nieduża urna wykładana muszlami została wykonana na zamówienie.

Oto, co zostaje z człowieka, pomyślał. Tylko garść prochów.

Odwrócił się do towarzyszącej mu kobiety. Choć bardzo się starał panować nad bólem i rozpaczą, nie zdołał ukryć swoich uczuć. Ale przynajmniej wyprostował ramiona i uniósł głowę, gdy oboje razem podeszli do samochodu. Otworzył drzwi, a kiedy jego towarzyszka wsiadła, obszedł wóz dookoła i wsunął się za kierownicę. Urnę pieczołowicie ustawił tuż obok siebie, na tym samym siedzeniu. Przekręcił kluczyk w stacyjce, wrzucił wsteczny bieg i wyjechał na drogę prowadzącą wzdłuż brzegu oceanu. Skierował się na południe, w stronę fragmentu wybrzeża zwanego Big Sur.

Podróż mijała w milczeniu, ciszę tylko niekiedy przerywały zduszony szloch albo drżące westchnienia kobiety. Mężczyzna prowadził zatopiony w myślach, zdruzgotany stratą, skupiony na tym, co miał zrobić.

Mgła wtórowała mu w smutku, spowiła okolicę grubym płaszczem, ukrywając bujne piękno stromego brzegu. Tylko od czasu do czasu odsłaniała na chwilę jakiś wąski kanion, kamienisty stok czy wody oceanu, przez które widać było tarasowe dno. Zwieńczyła bladymi kręgami sosny i cyprysy, przysiadła na czubkach dębów oraz

Judith Gould

sznych sekwoi, zmroziła perłową szarością niepowtarzalnych fal.

ra z wolnił, szukając zjazdu z głównej drogi. Wiedział, że jest dobrze oznaczony, a jeszcze na dodatek dziś skrył się Nagle mężczyzna dostrzegł znak, tabliczkę z napisem e Canyon Road". Gwałtownie wcisnął hamulec i ostro prawo. Pasażerka, wyrwana ze smutnej zadumy, przestraszyła się na żarty, ale nie odezwała się ani słowem, mściła szybę, do wnętrza samochodu wdarł się ryk fal bez-;akujących skały.

łatwo można sobie wyobrazić najgorszą tragedię, pomyślnie takie piękne miejsce. A może właśnie dlatego...?)czył się w ślimaczym tempie, bo kierowca nagle stracił wykonać to, po co tu przybył. W końcu zatrzymał auto t silnik. Jakiś czas siedział bez ruchu, niewidzącym wzro- zając tumany mgły. Wreszcie odwrócił się do pasażerki. Ilugo wrócić - powiedział. ekając na odpowiedź, wysiadł, sięgnął do środka po urnę amotnie ku plaży.

ił długie kroki, więc szybko znalazł się na skraju urwiska, ^stanął i rozejrzał się w poszukiwaniu charakterystycz-któw krajobrazu. Pośród lepkich; wilgotnych macek sino- bloku odnalazł znajomą ścieżkę wiodącą przez skały do kolorze indygo.

: jak z bajki, pomyślał. Fale łamiące się na skałach, pod-|roty kamienne łuki... Tajemniczy zakątek promieniujący tak intensywnym, że aż bolesnym. Miejsce jej ostatniego u.

hnał głęboko słonym morskim powietrzem. Ścieżka była stroma, tu i ówdzie nawet niebezpieczna. Zacisnął usta, urnę do piersi i ruszył w dół, ostrożnie stawiając stopy na kamieniach. Elegancki garnitur, włożony z okazji nabo- żalobnego, podkreślał sprężystość muskularnego, silnego : myśli mężczyzna miał odrętwiałe. Ta sama bezwładność, ^rowała jego wszystkimi czynnościami w ciągu ostatnich z poprowadziła go nadmorską dróżką w stronę wody, ku iu trudnego obowiązku.

1 na plaży i rozejrzał się dookoła. Nikogo. Byli tylko we dwoje, pierwszych krokach stopy zapadły mu się w piasek. Przy-uniósł spojrzenie na daleki horyzont. Linia, gdzie ocean zlewał się z niebem, także zniknęła za mgłą. Przybyły spojrzał przez ramię na potężne skały, z których właśnie zszedł, jakby się wahał, czy nie zawrócić, czy nie zmienić decyzji, ale zaraz na nowo podjął wyzwanie. Od wybranego przez nią miejsca dzieliło go zaledwie kilkanaście kroków. Znali dobrze oboje ten skrawek wybrzeża.

Wiatr załopotał połami marynarki, porwał w górę krawat, rzucił mężczyźnie w oczy garść słonej piany i zmierzwił mu włosy. Na nic jego wysiłki, bo stojący nawet ich nie zauważył. Myślał tylko o jednym, wyłącznie o swoim zadaniu.

Dotarł wreszcie na miejsce. Rozejrzał się i pokiwał głową.

To właśnie tutaj, pomyślał.

Powoli wszedł do lodowatej wody. Ujął urnę w obie dłonie, obrzucił ją spojrzeniem pełnym żalu.

Jak pożegnać kogoś, kto był tak pełen życia? Istotę stale żądną nowych wrażeń, kobietę, której ziemską drogą jawiła się jako radosna ścieżka, niekiedy kręta, pełna przygód, czasem tajemnicza, a zawsze intrygująca... Istotę, która stale podejmowała nowe wyzwania. Która dla niego była gotowa na wszystko. Z którą połączyła go namiętność. I prawdziwa miłość.

Po tej osobie została tylko garstka prochów.

W oczach mężczyzny pojawiły się łzy. Gdy otworzył urnę, nie mógł ich już powstrzymać - stoczyły się po policzkach, wpadły do oceanu.

Podniósł urnę w górę, wysoko, do samego nieba, pozwolił, by wiatr porwał popioły... jej prochy... i rozrzucił je na cztery strony świata.

- Żegnaj, najmilsza - wyszeptał. - Żegnaj.

Nagle przez chmury przedarło się słońce, złoty blask spłynął na ziemię, skapał wodę w cieplej poświacie. A jemu się wydało, że widzi, jak dusza ukochanej wlatuje prosto do nieba, jak po świetlistej smudze wędruje z tego bajecznego ziemskiego zakątka w górę, do wieczności.

Oślepiiony nagłą jasnością spuścił wzrok i przycisnął urnę do piersi. W końcu ujął ją jedną dłonią, zamachnął się potężnie i rzucił w morską toń. Szybko zniknęła w głębinie. Wkrótce nie zostanie po niej nic, tak samo jak po ludzkich prochach.

Wyszedł na plażę i ogarnął spojrzeniem skalisty klif. W jej towarzystwie każdy spacer zmieniał się w pasjonującą wyprawę... Ruszył wąską ścieżką wśród stromych skał.

Jak teraz bez niej żyć?

Na szczycie przystanął, musiał uspokoić oddech. Zdjął marynarkę i przerzucił ją przez ramię.

Ostatni raz spojrzął na morze. Mgła

Judith Gould

pod ciepłymi promieniami, świat był teraz jasny, barwny, Cienka linia znaczyła odległy horyzont, a bliżej brzegu weskoczyły wydry morskie. Nikt im tutaj nie przeszkadzał, swobodnie.

\a je uwielbiała! Często je obserwowali.

ch widok nie sprawiał mu przyjemności, bo nie mógł się ;lić radością.

iraz bez niej żyć?, powtórzył w myślach.

)grążony w smutku. I nawet ocean, zwykle niosący ukoje-

Tot leżący rany, nie miał dla niego pociechy. Fale podnosi-
tadały, gładząc piaszczystą plażę.

yzna ciężkim krokiem ruszył do samochodu. W ciszy.
nie sam.

Księga pierwsza

JOANNA IJOSH Wiosna i lato 2000 roku

Judith Gould

a pod ciepłymi promieniami, świat był teraz jasny, barwny,
y. Cienka linia znaczyła odległy horyzont, a bliżej brzegu we-
raszowały wydry morskie. Nikt im tutaj nie przeszkadzał,
ię swobodnie.

ona je uwielbiała! Często je obserwowali.

ś ich widok nie sprawiał mu przyjemności, bo nie mógł się
zielić radością.

teraz bez niej żyć?, powtórzył w myślach.

pogrążony w smutku. I nawet ocean, zwykle niosący ukoje-

Lawet leżący rany, nie miał dla niego pociechy. Fale podnosi-
opadały, gładząc piaszczystą plażę.

;czyzna ciężkim krokiem ruszył do samochodu. W ciszy.
elnie sam.

Księgo pierwsza

JOANNA IJOSH

Wiosna i lato 2000 roku

Rozdział pierwszy

i

oanna Cameron Lawrence wcisnęła hamulec. Leciwy, ale wypieszczony mercedes kabriolet
wolniutko wspinał się krętą wąską drogą prowadzącą przez pasmo górskie Santa Cruz.

Jechała tędy wcześniej, lecz już dość dawno. Nie sposób jednak było zapomnieć, że droga
należała do wyjątkowo niebezpiecznych, podobnie jak ta, która prowadziła do jej domu w
Aptos, całkiem niedaleko.

Choć na jezdni wyznaczono po jednym pasie ruchu w każdą stronę - przynajmniej
teoretycznie - w wielu miejscach obfite zimowe deszcze wyplukały ziemię i z szosy pozostał

wąski pas asfaltu, tylko na jeden samochód. Przed takimi groźnymi przewężeniami ustawiano znaki ostrzegawcze, najwyraźniej w nadziei, że nie dojdzie do kolizji, choć ruch odbywał się po jednym paśmie.

Joanna wciągnęła głęboko w płuca chłodne górskie powietrze, przesycone wonią eukaliptusów. Po lewej stronie wyrastała skalista ściana, do której kurczowo przylgnęły domy, po prawej otwierał się kanion, a właściwie nieomalże przepaść. Strome ściany opadały miejscami nawet ponad sto metrów, nim sięgnęły dna, gdzie płynął strumień, potężny lub słabnący, zależnie od pory roku. Cyprysy, ogromne sekwoje, eukaliptusy i sosny tworzyły gęsto tkany baldachim, który z rzadka tylko przepuszczał promienie słoneczne.

Po przeciwnej stronie wąwozu, na zboczu sąsiedniej góry, od czasu do czasu także pojawiały się budynki, głównie domki letnie, zawieszane na skałach niczym gniazda i podobnie jak gniazda zbudowane w przyzwoitej odległości jeden od drugiego. Prowadziły do nich kruche mostki przerzucone nad parowem. Właściciele musieli parkować po tej stronie kanionu, gdzie prowadziła droga, i dostawali się do swoich siedzib na piechotę.

Judith Gould

wyraźniej byli to ludzie nieustraszeni, godni podziwu. Mieli : być inni oraz borykać się z wszelkimi niedogodnościami tymi z mieszkaniem w tak niesamowitych warunkach. Ma zerknęła na jedną z mijanych skrzynek pocztowych. Nu-ikazywał, że cel jest już blisko. Kobieta, którą miała odwie-)wiedziała, że tuż obok jej mostka znajduje się dogodne miejscow-kingowe...

3rawej stronie ukazał się staruteńki kremowy dżip wagonerony plamkami rdzy, zaparkowany w bocznej asfaltowej alej-go właśnie auta miała wypatrywać Joanna. W ślimaczym s pokonała ostry zakręt i zaparkowała tuż za dżipem. Zaciąg-amulec i wyłączyła silnik.

ejrzała się w lusterku wstecznym. No tak, to było do przewi-.. Z przepastnej płóciennnej torby wykończonej skórą wyjęła kę i kilkoma energicznymi ruchami przeczesała włosy. Takie ie są skutki jeżdżenia kabrioletem. Spojrzała w lusterko raz 3. Tym razem fryzura dała się zaakceptować. Joanna chwyciła wrzuciła do niej kluczyki i wysiadła ze swojej srebrnej strzały, stanowiła nie podnosić dachu. Na deszcz się nie zanosilo, sa-)d stał w miłym cieniu, więc nie musiała się obawiać, że bla-ę nagrzejje, no i powinien tu być zupełnie bezpieczny, leszła dżipa i stanęła przed drewnianym mostkiem. Dłuższą chwilę Ładała mu się nieufnie. Ciągnął się i ciągnął, co najmniej dwadzie-letrów. A Joanna Lawrence obawiała się tylko jednego. Wysokości, adki Jezu, jęknęła w duchu. Kochana, naprzód marsz!, próbo-dodać

sobie animuszu. Przejdziesz i tyle. Po wiszącym moście lotwnie głębokim parowem. Po zbutwiałym drewnie... ziała głęboki wdech i ostrożnie postawiła na desce nogę. Jednocześnie z całej siły ścisnęła poręcz. Postawiła na mostku drugą i odważyła się odetchnąć. Mostek zachwiał się lekko pod jej rem. Coś wyraźnie skrzypnęło, oże jedyny, miej mnie w swojej opiece!

toś jej kiedyś mówił, że w takiej sytuacji należy spoglądać pro-rzed siebie - za nic w świecie nie patrzeć w dół! Iść powoli, lecz lie, w jednakowym tempie, atwiej radzić, niż zrobić! ,az jeszcze odetchnęła głęboko, utkwiała spojrzenie w ślicznej ce po drugiej stronie wąwozu i ruszyła - krok za krokiem, naj-w powoli, potem coraz szybciej. Przez całą drogę wstrzymywała ;ch i mocno trzymała się poręczy.

Czas na pożegnanie

15

Wreszcie przeszła! Mało się nie rozpląkała ze szczęścia. Taka krótka przeprawa, a wydawało się, że trwała wieczność! Joanna zerknęła przez ramię na pokonany kanion. Wyglądał teraz całkiem niewinnie.

Irracjonalny strach działał jej na nerwy, jak zresztą każda słabość, ale nie umiała go przezwyciężyć. Tak czy inaczej, tym razem wygrała. Wyprostowała się dumnie, obrzucając wyzywającym spojrzeniem Bogu ducha winny domek letniskowy.

Podobnie jak mostek, on także został zbudowany z desek w kolorze piernika, które miejscami wyblakły i upodobiły się barwą do kory otaczających go sosen. Okiennice miał ciemnozielone, a w pod-okiennych skrzynkach wesoło czerwieniło się geranium. Dach kryty cedrowym gontem z czasem posrebrzał, a komin i podmurówka z kamienia były obrośnięte soczystym mchem. Gzymsy i ganek ozdobiono ażurową kratką, po ścianach pięła się winorośl. Wzdłuż ścieżki prowadzącej do wejścia rosły krzewy.

Pięknie tu, pomyślała Joanna. I jak romantycznie!

Podeszła do drzwi. Ponieważ nie było dzwonka, uniosła lśniąca mosiężną kołatkę w kształcie ananasa i stuknęła nią dwukrotnie.

Otworzyły się niemal natychmiast.

W progu stanęła wysoka szczupła kobieta, mniej więcej w tym samym wieku co Joanna, czyli tuż po trzydziestce. Miała jasne włosy do ramion oraz błyszczące oczy o żywym spojrzeniu, w przedziwnym kolorze przywodzącym na myśl szylkret: niby ciemnobrązowe, ale prześwieczone blaskiem złota i ciepłem bursztynu. Do tego wysoko sklepione kości policzkowe, pięknie zarysowane łuki brwi, prosty nos oraz pełne, zmysłowe usta i cera bez skazy.

- Pani Lawrence, prawda? - zapytała z przyjaznym uśmiechem. Jednym spojrzeniem ogarnęła strój przybyłej: lnianą bluzkę barwy ecru, letnie jasne spodnie, espadryle. Swobodny, a jednocześnie elegancki.

- Proszę mi mówić po imieniu. - Joanna zrewanżowała się uśmiechem.

- Ja mam na imię April. April Woodward, jak oczywiście wiesz. Zapraszam.

Otworzyła drzwi szerzej i odsunęła się, przepuszczając gościa. W niewielkim przedpokoju zwracał uwagę imponujący, wykuty z żelaza stojak, w którym zgromadzono laski różnej długości oraz parasolki. Tu i ówdzie sterczała rączka w kształcie łba jakiegoś zwierzęcia. Na niewielkim sosnowym stoliku z dwiema szufladami

Judith Gould

orcelanowy talerz na klucze. Podłogę przykrywał spłowiały *ty, niegdyś wielobarwny chodnik.

apijesz się czegoś, Joanno? - spytała gospodyni. - Mam zielo-batę. A może wolisz wodę mineralną? Uwielbiam zieloną herbatę - ucieszyła się Joanna, cukrem? Ze słodzikiem? Z miodem? fajchętniej z odrobiną miodu. Rozgość się, proszę. - April gestem wskazała salonik.

- Zaraz

inna powiodła wzrokiem za gospodynią ubraną w spodnie i koszulę w drobne prążki.

Mokasyny niosły ją miękko i cicho, brała sobie ogromną, wygodną kanapę, ustawioną przed ko-em, który zdominował całą ścianę. W znacznym stopniu wła-zięki niemu wnętrze nabierało przytulnego charakteru. Zapa-j w miękkie poduchy i ciekawie rozejrzała dookoła. Pokrycie hyba z prawdziwego lnu? Ściany wyłożono sosnową boazerią, iego samego chyba drewna zrobiono też półki, z których it wypływały książki różnej wielkości, sądząc po wyglądzie,) czytane.

mujący salonik, pomyślała. Bezpretensjonalny i miły. Zapewne jest podobna... W ogóle jaki to romantyczny domek, a jednocześnie-epresłodzony i nieprzeładowany. I pieniądze nie biją w oczy... róciła gospodyni z niewielką tacą w dłoniach. Postawiła na :u dzbanek z herbatą oraz baryłkowaty słoiczek miodu. Nie chcę ci sprawiać kłopotu - odezwała się Joanna. Nie sprawiasz - zapewniła April. Nalała jasny gorący płyn do fi-ik, dodała odrobinę miodu i podała gościowi aromatyczny napój. Dziękuję.

Nie ma za co. - April upiła łyk herbaty. - Z tego, co zrozumia-- zaczęła rozmowę - chciałabyś zbudować coś w rodzaju grotty. Tak - odrzekła Joanna. - Przywiozłam zdjęcia... Jedne z cza-m, inne skopiowane z różnych książek. Na pewno się zorientu-o co mniej więcej mi chodzi. - Odstawiła herbatę, sięgnęła do j i z jej przepaścistych głębin wydobyła sporą żółtą kopertę.

)że wyda ci się, że trochę sfiksowałam... - podjęła, wyjmując :ia - ale pokażę ci, co zamierzam

osiągnąć, pryl z uwagą obejrzała wszystkie fotografie. Fantastyczne - westchnęła, odłożywszy ostatnią. W jej szyl-owych oczach błyskały złote iskry. - Rzeczywiście tak ma być? iknęła dłonią w odbitki.

Czas na pożegnanie

17

- Jak najbardziej - potwierdziła Joanna pogodnie. Zadowolona była, że zdjęcia się April spodobały. - Widziałam fontannę i mury według twojego projektu w ogrodzie Ingrid i Ronalda Wilsonów. Niesamowite. Po prostu... niezmiernie.

- Serdeczne dzięki.

- No i coś mi mówi, że potrafiłabyś zrobić to, czego chcę.

- Dziwne... - zamyśliła się April. - W dzisiejszych czasach mało kto decyduje się na coś podobnego.

- A ja, owszem. - Joanna zaśmiała się w głos. - Śnię o tym po nocach. I wszystko mi jedno, czy ktoś uzna to za wariactwo czy też nie. Chciałabym zrobić tę grootę z dawnej stajni. To kamienny budynek, myślę, że będzie się nadawał. Nie jest bardzo duży, ale za to z miejsca, gdzie go zbudowano, roztacza się przepiękny widok.

- Grota... - mruzczała April. - Jaskinia... pieczara... Joanna z aprobatą kiwała głową.

- Tak, tak, tak. Właśnie. Chociaż wolałabym, żeby trochę przypominała pawilon ogrodowy, żeby nie wyglądała na dziką, zaniedbaną jaskinię. Najchętniej używam słowa „grota”, chyba dlatego, że chciałabym ją całą wyłożyć muszlami i otoczakami. Ściany, sufit, podłogę... Tak jak na tych zdjęciach.

- Świetna myśl! - przyklasnęła jej April.

- Ale nie chcę ściągać wzorów z tych fotografii - zastrzegła się Joanna. - Wolę, żebyśmy stworzyły coś oryginalnego. - Znowu głośno się roześmiała. - Dobre sobie! Jeszcze się na nic nie zgodziłaś, a ja już uznałam, że mam twój talent do dyspozycji.

April tylko się uśmiechnęła.

- Mąż i ja hodujemy orchidee - podjęła Joanna - dlatego chciałabym mieć na ścianach wzór kwiatowy. Trochę jakby orchidee wyrastały z muszli i kamieni, nie wiem, czy dobrze to ujmuję?

April upiła łyk herbaty i zdecydowanym ruchem odstawiła filiżankę.

- Pokażę ci swoje portfolio - oznajmiła. - Zyskasz pojęcie o moich pracach.

- Z przyjemnością.

- Zaraz wrócę.

Gdy April wyszła z saloniku, Joanna dostrzegła na ścianie akwarele, na które wcześniej nie zwróciła uwagi. Wstała, by przyrzeć im się z bliska. Były to scenki z natury, krajobrazy przedstawiające plażę, wydmy i morze. Na paru innych widniały tutejsze góry. April wróciła z dużym, oprawionym w skórę albumem.

Judith Gould

widzę, że odkryłaś moje hobby - uśmiechnęła się do Joanny
ającej akwarelki. - A w każdym razie jedno z nich.

i śliczne - odrzekła Joanna. - Mają mnóstwo wdzięku.

dekuję. - April obrzuciła obrazki krytycznym spojrzeniem,
jawionym wręcz matczynej czułości. - Teraz pracuję nad ro-
i. Maluję miejscową florę. Jeśli będziesz chciała, mogę ci póź-
kazać kilka obrazków.

letnie obejrzę - przystała Joanna z ochotą. - Uwielbiam
kwiatów. Nawet mam przy sobie kilka... Zostawiłam w samo-
3. Prosto od ciebie jadę oddać je do oprawienia.

iektóre prace rzeczywiście warto oprawić... - April położyła
na stole. - Chodź, pokażę ci, co robiłam z otoczków i muszli.
adły obie na kanapie, gospodyni otworzyła portfolio i kartka
tką pokazywała Joannie zdjęcia oraz szkice.

antastyczna! - wykrzyknęła Joanna, wskazując ścieżkę ogro-
; gładkich kamyków poukładanych starannie w zawiły wzór.

[nie też się podoba - przyznała April. - Jak widzisz, muszli
łam niewiele i to w większości na zewnątrz... Tarasy, ściany,
i, fontanny... Ale spora część moich prac jest dokładnie w tym

0 jaki ci chodzi. Najpierw ogólny zarys, potem wypełnienie go etnymi wzorami. Czasami z
płytek ceramicznych, innym ra-

kamienia. Surowiec zależy wyłącznie od wymagań klienta, liosła wzrok na Joannę. - Dlatego
mam pewność, że z otocza-muszli także potrafię stworzyć coś godnego uwagi. Zrobiłam
1 pokój mniej więcej w takim stylu, o jakim mówisz, ale nie zdjęć.

Dlaczego?

ń.6] zleceniodawca, prawdziwy krezus z Los Angeles, nie życzył
fotografowania gotowego dzieła. Nie chciał, żeby pomysły gdzieś

iekły", jak to ujął. Zdaje się, że miał na tym tle lekką obsesję.
Człowiek nigdy nie wie, na kogo trafi - zauważyła Joanna filo-
nie.

Fo prawda - zgodziła się April.

anna znów pochyliła się nad portfolio.

Tu styl neoklasycyzy, tam barok, gdzieś tam nawet rokoko...

Klient płaci, klient wymaga - odparła April z uśmiechem.

: zawsze daję z siebie, ile tylko mogę. Staram się podsuwać
[wie najlepsze rozwiązania.

Bardzo mi się podobają twoje prace - oświadczyła Joanna.

głęboko się nimi zachwycać od rana do wieczora, ale pewnie i tak

Czas na pożegnanie

19

nie powiedziałabym ci nic nowego. - Zamilkła, i upiła łyk herbaty.

- Czy zajmiesz się moją grota? - spytała poważnie.

- Z przyjemnością. - April pokiwała głową. - Ale zanim zacznę na serio myśleć o projekcie,
chciałabym obejrzeć budynek.

- Fantastycznie! - ucieszyła się Joanna. - Jestem pewna, że stworzysz ósmy cud świata! -

Przejechała włosy palcami, zapatrzyła się gdzieś w dal, ale szybko otrząsnęła się z zamyślenia
i spojrzała na April przytomniejszym wzrokiem. - Od lat zbieram otoczaki i muszle, mam ich
mnóstwo... nie do uwierzenia. - Zaśmiała się, odrzucając głowę do tyłu, i w jej fiołkowych
oczach zatańczyło światło.

- Jak zobaczysz, ile ich jest, pewnie uznasz, że zwariowałam. Całe góry! Mimo to
zaopatrzyłam się też w katalogi wysyłkowe, więc jeśli czegoś zabraknie, będzie można
zamówić.

- Oczywiście wszystko okaże się na miejscu, ale bardzo możliwe, że katalogi się przydadzą.
Pewnie trzeba będzie więcej materiału, niż się spodziewasz. Przede wszystkim jednak muszę
obejrzeć budynek.

- Zajrzyj, kiedy zechcesz - zaproponowała natychmiast Joanna.

- Choćby jutro. Chciałabym ruszyć z pracami jak najszybciej. Oczywiście - zmitygowała się -
jeśli jutro masz czas.

- Chodźmy do studia. - April podniosła się z kanapy. - Zerknę do kalendarza, a przy okazji
rzucisz okiem na moje szkice roślin.

- Świetnie. - Joanna także wstała i poszła za gospodynią krótkim korytarzykiem.

Znalazły się w wysokim pomieszczeniu, które najwyraźniej zostało później dobudowane do właściwej bryły domu. Mogło pełnić funkcję oranżerii czy przeszklonej werandy albo czegoś na kształt ogrodu zimowego, połączonego z bawialnią czy pokojem wypoczynkowym. Miało trzy ściany ze szkła, ogromne drzwi balkonowe prowadziły wprost do ogrodu, a sufit także był niemal całkowicie przeszklony. Wyraźnie położono tu nacisk na zapewnienie jak największej ilości naturalnego światła. Pośrodku stał ogromny stół roboczy, zastawiony słoikami z najróżniejszymi narzędziami pracy artysty: pędzlami, ołówkami, piórkami, rysikami, węglem i podobnymi przyrządami. Arkusze papieru wszelkich rozmiarów leżały chyba wszędzie, gdzie tylko nie zajmowały miejsca imponujące sterty książek. W wysokich stojakach tkwiło mnóstwo zwiniętych w rolki projektów, a z każdego kącika wychylał się jakiś kwiatek w wazoniku. Na wielkich sztalugach tkwiła przypięta klipsem akwarelka, jeszcze nieskończona, a już ciesząca oko. Zarys subtelny kwiatu.

Judith Gould

i tu miło! - zachwyciła się Joanna.

i pokój jest sercem mojego domu - oznajmiła April. Zajrza-rawionego w skórę terminarza.

Kilka chwil z uwagą studio-tatki, wreszcie podniosła wzrok. - Jutro jestem wolna. Mogę lać o dowolnej porze.

ibec tego, koło południa - zaproponowała Joanna. - Obej-ludynek i zjemy razem lunch.

nch... - April wyraźnie się zawahała. Zaraz się jednak męła. - Właściwie... bardzo chętnie - uznała. - Czemu nie? takim razie przyjedź między dwunastą trzydzieści a pierw-trze? zjadę. oczywiście twoje dzieło? - upewniła się Joanna, wskazując : na sztalugach.

k, tak. Jak widać, jeszcze nie skończyłam... To chyba werbe-pisałam gdzieś pełną nazwę...

ęknie oddałaś szczegóły. - Joanna przyjrzała się obrazkowi i. - O, a na listku siedzi robaczek!

Świetne! :ięki. - April się zarumieniła. - Zobacz, tu mam skończone

- Otworzyła na stole duży album, ma uważnie przyglądała się szkicom.

iesamowite - stwierdziła. - Najbardziej ujmuje mnie wy-ia. Potrafisz nie tylko wiernie odwzorować kwiat, ale jeszcze jakiś drobiazg, który przyciąga wzrok, pobudza wyobraźnię.

Ironka, tam kropla rosy... amalowanie samego kwiatu jest najłatwiejszym etapem two-

- zgodziła się April. - Znacznie trudniej wzbudzić zaintereso-patrzącego, przyciągnąć jego

uwagę. Stąd te drobne dodatki, ardo dobrze się składa, że lubisz malować kwiaty - uśmiech-ę

Joanna - bo naprawdę zależy mi, żebyś uwzględniła w grozę orchidee.

oskonała myśl - przyznała April.

[iałałam taką nadzieję - wyznała Joanna z mniejszą pewnością

- Nie wszystkie moje pomysły się sprawdzają, ale też Ingrid i zapewniła mnie, że jeśli nawet się na coś nie zgodzisz, to ijmniej mnie zrozumiesz.

nie przewiduję żadnych kłopotów - oznajmiła April z pro-ą miną.

a także nie. Widzę przecież ten dom, całe twoje otoczenie... bardzo podobny gust. A nieczęsto spotykam pokrewne dusze.

Czas na pożegnanie

21

- Dziwią cię nasze podobne upodobania? - zaśmiała się April.

- Trochę tak - przyznała Joanna otwarcie. - Ingrid wspomniała, że byłaś żoną Rogera Woodwarda, więc jadąc na spotkanie z osobą, którą wybrał sławny aktor, spodziewałam się poznać kogoś... sama nie wiem, jak to powiedzieć...

- Bardziej wyrafinowanego? - April zbyła kwestię lekkim wzruszeniem ramion. - Kogoś w hollywoodzkim stylu?

Joanna poczerwieniała lekko, ale uczciwie skinęła głową.

- Rzeczywiście. Okropna jestem, prawda?

- Nie, nie. Ludzie często mają wobec mnie podobne oczekiwania. Właściwie zawsze, jeśli tylko się dowiedzą, że byłam żoną Rogera. - Rzuciła Joannie poważne spojrzenie. - Nasze małżeństwo skończyło się przed wiekami. W poprzedniej epoce. Od dawna żyję własnym życiem i jestem całkowicie zadowolona ze swojego losu.

- To cudnie - rozpromieniła się Joanna. - Chyba mało kto mógłby coś takiego powiedzieć. - Zamilkła na chwilę. - Czas już na mnie. Cieszę się, że cię poznałam i mogłam obejrzeć twój dom.

- Bardzo mi miło. - April uśmiechnęła się lekko.

Razem wróciły do salonu. Joanna zarzuciła torbę na ramię.

- Zostawić ci zdjęcia czy zabrać?

- Jeśli możesz, zostaw. Chętnie je poprzeglądam.

- Dobrze. - Joanna podeszła do drzwi wyjściowych i w progu jeszcze się odwróciła. - Do jutra.

- Do zobaczenia.

- Dzięki za wszystko.

- Nie ma za co, naprawdę. - April zamknęła za gościem drzwi. Jakiś czas przyglądała się przez okno Joannie, która ostrożnie stawiała pierwsze kroki na wąskich deskach, kurczowo trzymając się poręczy.

Przemiała z niej kobieta, pomyślała. Chociaż trochę dziwaczna. A pomysły ma zaskakujące.

Innymi słowy: przemiała dziwaczka.

Pokręciła głową w zamyśleniu.

Nawet nie podejrzewała, do jakiego stopnia nowa znajoma odmieni jej życie.

Joanna dotarła wreszcie do mercedesa, przechyliła się nad fotelem kierowcy i położyła torbę na miejscu dla pasażera. Otworzyła drzwi i z ulgą wsunęła się za kierownicę. Odrzuciła głowę do tyłu,

Judith Gould

lak tu miło! - zachwyciła się Joanna.

Pen pokój jest sercem mojego domu - oznajmiła April. Zajrza-Dprawionego w skórę terminarza. Kilka chwil z uwagą studio-lotatki, wreszcie podniosła wzrok. - Jutro jestem wolna. Mogę schać o dowolnej porze.

Yobec tego, koło południa - zaproponowała Joanna. - Obej-r budynek i zjemy razem lunch. junch... - April wyraźnie się zawahała. Zaraz się jednak ichnęła. - Właściwie... bardzo chętnie - uznała. - Czemu nie? V takim razie przyjedź między dwunastą trzydzieści a pierw-obrze? 'rzyjadę.

Po oczywiście twoje dzieło? - upewniła się Joanna, wskazując ek na sztalugach.

Pak, tak. Jak widać, jeszcze nie skończyłam... To chyba werbe-lapisałam gdzieś pełną nazwę...

'ięknie oddałaś szczegóły. - Joanna przyjrzała się obrazkowi la. - O, a na listku siedzi robaczek! Świetne! Męki. - April się zarumieniła. - Zobacz, tu mam skończone - Otworzyła na stole duży album, inna uważnie przyglądała się szkicom. Niesamowite - stwierdziła. - Najbardziej ujmuje mnie wy-nia. Potrafisz nie tylko wiernie odwzorować kwiat, ale jeszcze jakiś drobiazg, który przyciąga wzrok, pobudza wyobraźnię, jdronka, tam kropla rosy... Namalowanie samego kwiatu jest najłatwiejszym etapem two-l - zgodziła się April. - Znacznie trudniej wzbudzić zaintereso-patrzącego, przyciągnąć jego uwagę. Stąd te drobne dodatki. Jardzo dobrze się składa, że lubisz malować kwiaty - uśmiech-ię Joanna - bo naprawdę zależy mi, żebyś uwzględniła w grosie orchidee.

Doskonała myśl - przyznała April.

diałam taką nadzieję - wyznała Joanna z mniejszą pewnością. - Nie wszystkie moje pomysły się sprawdzają, ale też Ingrid a zapewniła mnie, że jeśli nawet się na coś nie zgodzisz, to ajmniej mnie zrozumiesz.

Nie przewiduję żadnych kłopotów - oznajmiła April z pro-lą miną.

ta także nie. Widzę przecież ten dom, całe twoje otoczenie... 'bardzo podobny gust. A nieczęsto spotykam pokrewne dusze.

Czas na pożegnanie

21

- Dziwią cię nasze podobne upodobania? - zaśmiała się April.

- Trochę tak - przyznała Joanna otwarcie. - Ingrid wspomniała, że byłaś żoną Rogera Woodwarda, więc jadąc na spotkanie z osobą, którą wybrał sławny aktor, spodziewałam się poznać kogoś... sama nie wiem, jak to powiedzieć...

- Bardziej wyrafinowanego? - April zbyła kwestię lekkim wzruszeniem ramion. - Kogoś w hollywoodzkim stylu?

Joanna poczerwieniała lekko, ale uczciwie skinęła głową.

- Rzeczywiście. Okropna jestem, prawda?

- Nie, nie. Ludzie często mają wobec mnie podobne oczekiwania. Właściwie zawsze, jeśli tylko się dowiedzą, że byłam żoną Rogera. - Rzuciła Joannie poważne spojrzenie. - Nasze małżeństwo skończyło się przed wiekami. W poprzedniej epoce. Od dawna żyję własnym życiem i jestem całkowicie zadowolona ze swojego losu.

- To cudnie - rozpromieniła się Joanna. - Chyba mało kto mógłby coś takiego powiedzieć. - Zamilkła na chwilę. - Czas już na mnie. Cieszę się, że cię poznałam i mogłam obejrzeć twój dom.

- Bardzo mi miło. - April uśmiechnęła się lekko.

Razem wróciły do salonu. Joanna zarzuciła torbę na ramię.

- Zostawić ci zdjęcia czy zabrać?

- Jeśli możesz, zostaw. Chętnie je poprzeglądam.

- Dobrze. - Joanna podeszła do drzwi wyjściowych i w progu jeszcze się odwróciła. - Do jutra.

- Do zobaczenia.

- Dzięki za wszystko.

- Nie ma za co, naprawdę. - April zamknęła za gościem drzwi. Jakiś czas przyglądała się przez okno Joannie, która ostrożnie stawiała pierwsze kroki na wąskich deskach, kurczowo trzymając się poręczy.

Przemiała z niej kobieta, pomyślała. Chociaż trochę dziwaczna. A pomysły ma zaskakujące. Innymi słowy: przemiała dziwaczka.

Pokręciła głową w zamyśleniu.

Nawet nie podejrzewała, do jakiego stopnia nowa znajoma odmieni jej życie.

Joanna dotarła wreszcie do mercedesa, przechyliła się nad fotelem kierowcy i położyła torbę na miejscu dla pasażera. Otworzyła drzwi i z ulgą wsunęła się za kierownicę. Odrzuciła głowę do tyłu,

Judith Gould

•azy odetchnęła głęboko, żeby chociaż trochę uspokoić rozszala-
*rót drewnianym mostkiem okazał się nie mniej przerażają-pierwsze doświadczenie, na
dodatek tym razem do potężnej adrenaliny doszła jeszcze euforia.

kilku minutach zbyt szybki oddech zaczął się wyrównywać, 3 stopniowo wróciło do
normalnego rytmu. Na próbę położyła a kierownicy. Już nie drżały, ale za to były jak
naelektryzo-Trudno. Trzeba jechać. Zapięła pasy, wyjęła z torby okulary słoneczne i
wsunęła je na nos.

uchomiła silnik; potężny motor zamruczał jak wielki zadowo-:ocur. Ostrożnie zawróciła na
wąskiej odnodze i, rozejrzawszy raźnie w prawo i w lewo, wyjechała na górską drogę, prawej
stronie wyrosła pionowa ściana góry, po lewej otwo-się przepaść kanionu, jak gigantyczna
rana w ziemi. Joanna, lej była od mostka, tym czuła się pewniej i nabierała szybko-ździła
takimi drogami całe życie i nigdy nie spowodowała wy-l. Wiatr bawił się jej włosami, to
odsuwał je do tyłu, a potem i gładził ją nimi po twarzy. Chłodna, wonna bryza niosła uko-
pozwalała w całej pełni rozkwitnąć radości. riat Joanny nabrał ostatnio nowego wyrazu.

Właściwie całe jej zmieniło się nie do poznania.

ześmiała się wiatrowi w twarz i klepnęła dłonią w kierownicę. Człowiek nigdy nie wie, co los
chowa dla niego w zanadru! -żyła na drogę, ale właściwie jej nie widziała, ponieważ przed ii
miała smukłą postać April Woodward, jaśniejącą w promie-słońca, zachwycającą, pełną czaru
kobietę o hipnotycznych h barwy szylkretu, rzucających złote błyski, alazłam ją, powiedziała
sobie. Nareszcie ją znalazłam, tym momencie zdała sobie sprawę, iż sama nie wiedząc kiedy,
ta do podnóża góry i lada moment miała się włączyć w ruch na e szybkiego ruchu, którą
szybko dotarłaby do kolejnej gór-serpentyny - wiodącej do jej własnego gniazda. Ale nie
wybiełę jeszcze do domu. Zamierzała skrócić do miasteczka Capito-wstąpić do niewielkiego
warsztatu, gdzie już wcześniej oddała rele do oprawienia. Najwyższy czas zrobić porządek z
rycina-tóre zabrała ze sobą w tym właśnie celu. iszyła na północ, skręciła w zjazd do Capitoli
i majestatycznie Lała do nadmorskiego miasteczka, zabudowanego ciasno sku-mi
wiktoriańskimi domkami o spokojnych pastelowych fasa-

Czas na pożegnanie

dach. Na wąskiej głównej ulicy odszukała warsztat ramiarza i zaparkowała przed wejściem. Zza siedzenia kierowcy wyciągnęła ciężką teczkę z rycinami.

Choć jej wejście do środka obwieścił dzwonek wiszący nad drzwiami, nikt się nie pojawił. Zaczęła wobec tego sama rozglądać się po zakładzie, usiłując dokonać wyboru spomiędzy setek wystawionych próbek ram. Jedne były wyeksponowane bezpośrednio na ścianach, inne przyklejone do solidnych tablic umocowanych na ciężkich obrotowych stojakach, kolejne umieszczono na planszach porozstawianych w każdym wolnym kącie. Schyliła się, by obejrzeć interesujący wzór jednej spośród wiązek listew opartych o ścianę. Nagle odniosła wrażenie, że jest obserwowana. Podniosła się i rozejrzała dokoła.

Rzeczywiście, w drzwiach wiodących na zaplecze stał Woody

- młody człowiek opalony na ciemny brąz - i założywszy na piersiach muskularne ręce, bezczelnie lustrował ją wzrokiem. Joanna aż poczerwieniała z oburzenia.

Najzwyczajniej w świecie rozbierał ją spojrzeniem!

Zdarzyło się to już raz czy dwa wcześniej, ale nigdy nie robił tego aż tak otwarcie. Mogłaby się czuć wyróżniona, wyraźne pożądanie mężczyzny powinno jej schlebiać... Nic z tych rzeczy. Czują się po prostu źle. Cóż, w każdym razie nie można było ramiarzowi odmówić biegłości w swojej sztuce.

- O, dzień dobry. Nie widziałam, kiedy pan wszedł.

- Ano, wszedłem - powiedział Woody, nie zmieniając pozycji.

- Przywiozłam sześć rycin - podjęła, wskazując okazałą aktówkę. - Chciałabym, żeby pan je identycznie oprawił.

Woody przypomniał sobie, że pracuje w tym warsztacie.

- Pani pokaże. - Podeszedł do wielkiego, jasno oświetlonego stołu. - Pani połóż tu.

Rozłożyła na blacie ryciny i podniosła wzrok na ramiarza.

- Niebrzydkie. - Pokiwał głową, a gęste czarne loki powtórzyły jego ruch. Stał obok Joanny i także pochylił się nad stołem.

- Całkiem niezłe.

- Widzi pan, hodujemy orchidee, to nasz zawód i zarazem największe hobby, więc ryciny tym bardziej nam się podobają. Pochodzą z tysiąc osiemset piętnastego roku. Chciałabym je powiesić u męża...

Niespodziewanie poczuła na karku oddech mężczyzny. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że niezbyt mocno, ale na pewno nie przypadkiem przesunął dłonią po jej pośladkach!

Judith Gould

azy odetchnęła głęboko, żeby chociaż trochę uspokoić rozszala-rce. Puls walił jej w uszach.

wrót drewnianym mostkiem okazał się nie mniej przerażający – pierwsze doświadczenie, na dodatek tym razem do potężnej adrenaliny doszła jeszcze euforia.

Kilku minutach zbyt szybki oddech zaczął się wyrównywać, i stopniowo wróciło do normalnego rytmu. Na próbę położyła a kierownicy. Już nie drżały, ale za to były jak naelektryzowane. Trzeba jechać. Zapięła pasy, wyjęła z torby okulary przeciwsłoneczne i wsunęła je na nos.

uchomiła silnik; potężny motor zamruczał jak wielki zadowolony. Ostrożnie zawróciła na wąskiej odnodze i, rozejrzawszy raznie w prawo i w lewo, wyjechała na górską drogę, prawej stronie wyrosła pionowa ściana góry, po lewej otworzyła się przepaść kanionu, jak gigantyczna rana w ziemi. Joanna, leżąc była od mostka, tym czuła się pewniej i nabierała szybko – iździła takimi drogami całe życie i nigdy nie spowodowała wypadku. Wiatr bawił się jej włosami, to odsuwał je do tyłu, a potem i gładził ją nimi po twarzy. Chłodna, wonna bryza niesła ukonpozwalala w całej pełni rozkwitnąć radości, iat Joanny nabrał ostatnio nowego wyrazu.

Właściwie całe jej zmieniło się nie do poznania.

ześmiała się wiatrowi w twarz i klepnęła dłonią w kierownicę. Człowiek nigdy nie wie, co los chowa dla niego w zanadru! rzyła na drogę, ale właściwie jej nie widziała, ponieważ przed nią miała smukłą postać April Woodward, jaśniejącą w promieniach słońca, zachwycającą, pełną czaru kobietę o hipnotycznych barwach szylkretu, rzucającą złote błyski, lalazłam ją, powiedziała sobie. Nareszcie ją znalazłam, tym momencie zdała sobie sprawę, iż sama nie wiedząc kiedy, była do podnóża góry i lada moment miała się włączyć w ruch na tym szybkiego ruchu, którą szybko dotarłaby do kolejnej górskiej serpentyny - wiodącej do jej własnego gniazda. Ale nie wybiegła jeszcze do domu. Zamierzała skręcić do miasteczka Capito - wstąpić do niewielkiego warsztatu, gdzie już wcześniej oddała reły do oprawienia. Najwyższy czas zrobić porządek z rycinami - które zabrała ze sobą w tym właśnie celu. iszyła na północ, skręciła w zjazd do Capitolu i majestatycznie iiała do nadmorskiego miasteczka, zabudowanego ciasno skuterami i wiktoriańskimi domkami o spokojnych pastelowych fasadach.

Czas na pożegnanie

23

dach. Na wąskiej głównej ulicy odszukała warsztat ramiarza i zaparkowała przed wejściem. Zza siedzenia kierowcy wyciągnęła ciężką teczkę z rycinami.

Choć jej wejście do środka obwieścił dzwonek wiszący nad drzwiami, nikt się nie pojawił. Zaczęła wobec tego sama rozglądać się po zakładzie, usiłując dokonać wyboru spośród setek wystawionych próbek ram. Jedne były wyeksponowane bezpośrednio na ścianach, inne przyklejone do solidnych tablic umocowanych na ciężkich obrotowych stojakach, kolejne

umieszczono na planszach porozstawianych w każdym wolnym kącie. Schyliła się, by obejrzeć interesujący wzór jednej spośród wiązki listew opartych o ścianę. Nagle odniosła wrażenie, że jest obserwowana. Podniosła się i rozejrzała dokoła.

Rzeczywiście, w drzwiach wiodących na zaplecze stał Woody

- młody człowiek opalony na ciemny brąz - i założywszy na piersiach muskularne ręce, bezczelnie lustrował ją wzrokiem. Joanna aż poczerwieniła z oburzenia.

Najzwyczajniej w świecie rozbierał ją spojrzeniem!

Zdarzyło się to już raz czy dwa wcześniej, ale nigdy nie robił tego aż tak otwarcie. Mogłaby się czuć wyróżniona, wyraźne pożądanie mężczyzny powinno jej schlebiać... Nic z tych rzeczy. Czula się po prostu źle. Cóż, w każdym razie nie można było ramiarzowi odmówić biegłości w swojej sztuce.

- O, dzień dobry. Nie widziałam, kiedy pan wszedł.

- Ano, wszedłem - powiedział Woody, nie zmieniając pozycji.

- Przywiozłam sześć rycin - podjęła, wskazując pokazną aktówkę. - Chciałabym, żeby pan je identycznie oprawił.

Woody przypomniał sobie, że pracuje w tym warsztacie.

- Pani pokaże. - Podeszedł do wielkiego, jasno oświetlonego stołu. - Pani położy tutaj.

Rozłożyła na blacie ryciny i podniosła wzrok na ramiarza.

- Niebrzydkie. - Pokiwał głową, a gęste czarne loki powtórzyły jego ruch. Stał obok Joanny i także pochylił się nad stołem.

- Całkiem niezłe.

- Widzi pan, hodujemy orchidee, to nasz zawód i zarazem największe hobby, więc ryciny tym bardziej nam się podobają. Pochodzą z tysiąc osiemset piętnastego roku. Chciałabym je powiesić u męża...

Niespodziewanie poczuła na karku oddech mężczyzny. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że niezbyt mocno, ale na pewno nie przypadkiem przesunął dłonią po jej pośladkach!

Judith Gould

rzuciła go lodowatym spojrzeniem, ruszę tego więcej nie robić.

I bo co? - Rozłożył dłonie gestem zranionej niewinności, chodzi? Przecież nic się nie stało, inna spiesznie zebrała ryciny i wrzuciła je do aktówki, leczę tę pracę komu innemu - stwierdziła, otwierając drzwi, dobrze - prychnął ramiarz, a kiedy drzwi już prawie się lęły, dorzucił: - Cnotka niewydymka!

inna szybko podeszła do samochodu, wrzuciła teczkę za sie-i kierowcy i wsiadła, za drań!

ż nie zachwycało jej wiktoriańskie piękno cichego miasteczka, irza pognąła do wyjazdu na drogę szybkiego ruchu. ś podobnego! Do tej pory nigdy się nie zachowywał tak skan-nie! tając do domu, do Aptos, stopniowo zapominała o przykrym jncie, ponieważ wróciła myślami do April Woodward. kobieta okazała się dokładnie taka, jak powinna. Wysoka, ta, ale nie zanadto krucha. Elegancka, lecz bez ostentacji, nością nie gonila za modą, nie wysilała się, żeby pokazać kla-i prostu ją miała - i już. Doskonale podcięte jasne włosy, bar-piaskowe niż blond. Niesamowite oczy, wręcz hipnotyzujące, twarzy może nie klasycznie piękne, ale ujmujące, pełne czaru, tawa, zachowanie, podejście do pracy! Trudno o kogoś lepsze-fatura twórcza, choć jednocześnie stojąca mocno na ziemi szalenie ważna cecha u osoby, jakiej szukała Joanna. Lmo wszystko, pomyślała, nie sposób przewidzieć, co może się czy ta kobieta rzeczywiście jest najodpowiedniejsza do moich)ś jednak jej podpowiadało, że się nie rozczaruje.

Rozdział drugi

1

oshua Lawrence pracował w niewielkim, oddzielnym pomieszczeniu w cieplarni, zwanym z przymrużeniem oka jaskinią rozpusty. Przysiadł na wysokim metalowym stołku, pochylony nad wielkim drewnianym stołem, aż rozjaśnione słońcem włosy opadły mu na niebieskie oczy. Zapomniał o bożym świecie, bez reszty skupiony na ważnym zadaniu.

Najpierw starannie poślinił koniec wykałaczki, obracając ją między wargami. Następnie uważnie obejrzał drewnisko pod światło, trzymając je w dłoni osłoniętej cienką gumową rękawiczką.

- A teraz do dzieła - powiedział głośno.

W takich chwilach często mówił sam do siebie. Uśmiechnął się, całkowicie usatysfakcjonowany, i z zadowoleniem pokiwał głową.

Na stole przed nim stały dwie piękne orchidee, niezwykle rzadkie okazy: „Screaming Eagle” oraz druga, także z rodzaju Paphio-pedilum. Obie zdobyły już ważne wyróżnienia. Szybkimi, delikatnymi ruchami Josh przeniósł nieco pyłku kwiatowego z jednej rośliny na drugą.

Czysty seks, pomyślał z niejakim rozbawieniem. Nie ma na świecie nic lepszego.

Cóż, w zasadzie miał rację w obu kwestiach. Właśnie zapładniał jeden z kwiatów pyłkiem drugiego.

Był to proces żmudny, wymagający ogromnej cierpliwości oraz wprawnej ręki. Ale też jedyny pozwalający krzyżować Paphiopedi-lum. Hybryd nie da się przecież uzyskać przez podział - szybką metodę skuteczną w wypadku wielu gatunków orchidei. Na szczęście ten staromodny sposób okazał się skutecznym i warto było długo cze-

Judith Gould

I ostateczny wynik, tak w każdym razie uważali Joshua Law-oraz jego elitarna klientela. Nowy kwiat otrzymywało się naj-niej po sześciu, a bywało, że nawet i po dwudziestu latach, ihua Lawrence stworzył kilka najbardziej ekstrawaganckich ei na świecie. Miały one wyjątkowo piękne, błyszczące warż-erzającej urody okólek wewnętrzny, a także wprost niepraw-obną kolorystykę. Nic więc dziwnego, że jego okazy były ce-wśród kolekcjonerów na całym świecie. Choć miłośnicy tych rcznych roślin mieli do wyboru wiele hybryd, te od Josha cie-się wyjątkowym uznaniem i to zasłużenie, ponieważ wszyst-;z wyjątku, charakteryzowały się ogromnymi kwiatami o cud-jarwionych listkach okwiatu, zdrowych pędach i dumnych ilupach. Miewały frędzelkowate działki, żyłki, cętki, prążki szystko to w doskonałych kombinacjach kolorystycznych od iczej bieli po smolistą czerń. lejny raz poślinił wykałaczkę. Musiał zyskać pewność, że ióśł dostatecznie dużo pyłku. Zerknął na zegarek, choć i tak nale wiedział, która godzina. Zbliżała się pora obiadu, a do-interkom milczał jak zaklęty.

iwne. Joanna powinna się odezwać już dawno. Przecież jest ;ualna, niezawodna. A już poza wszystkim, zwyczajnie lubiła ić, jak zapylał kwiaty.

ykłe gdy pracował w cieplarni na tyłach domu, jedli obiad we . Było to miejsce specjalne, oddalone od wielkich szklanych Dnów, gdzie prowadzono masową uprawę storczyków. Właśnie w tym rajskim zakątku sąsiadującym z domem, rosły naj-ze, a co za tym idzie, najdroższe orchidee. Chroniły je wymyśl-mki, skomplikowany system alarmowy oraz gęsta sieć kamer i czujników laserowych, działających dwadzieścia cztery go-na dobę.

Niezorientowanemu obserwatorowi takie środki mości mogłyby się wydać przesadzone, jednak miały swój głę-sens, ponieważ rośliny te warte były fortunę. Cenę pojedyn-egzemplarzy szacowano nawet na dwadzieścia pięć tysięcy Sw, a każda sadzonka mateczna była w zasadzie bezcenna, shua włączył przycisk interkomu. Raz, drugi, trzeci... sza.

i jest, do licha ciężkiego?

:upił się znowu na orchideach i z wielką uwagą przeniósł py-; „Screaming Eagle" na drugi okaz Paphiopedilum. Po kilku tach, całkowicie usatysfakcjonowany, zakończył pracę nad ty-Czas na pożegnanie

27

mi dwoma egzemplarzami. Wyprostował się i przeciągnął, wyciągając na boki mocne, opalone na głęboki brąz ramiona, aż zatrzeszczało mu w stawach.

Sięgnął do interkomu i znowu włączył przycisk.

Nadal cisza.

Cholera. Nawet Connie nie odbiera?

Odstawił zapyloną orchideę i przysunął do siebie doniczkę z następną. Miał powtarzać proces zapylania roślin z kilkoma egzemplarzami Paphiopedilum. Z niewielkiego pojemnika wyjął czystą wykałaczkę, wetknął ją w usta.

Gdzie ta Joanna?

Ostatnio w ogóle zachowywała się dziwnie. Stale była jakaś taka nieobecna i zamyślona... Czyżby coś ukrywała? Znikała gdzieś na całe godziny, nic nikomu nie mówiąc... Potrafiła się nawet rozzłościć na Connie...

Tak. Rzeczywiście coś musiało być bardzo nie w porządku, ponieważ Joanna Lawrence nigdy nie zachowywałaby się niegrzecznie w stosunku do Connie Cespedes, niezależnie od humoru, fatalnego dnia czy przykrego pośpiechu. Dziewczyna była nieomal członkiem rodziny, a Joanna ją uwielbiała, między innymi za sprawą przekonania, iż właśnie ludziom takim jak Connie ten kraj zawdzięczał swoją wielkość.

Josh przyjrzał się w ostrym świetle wykałaczkę i rozpoczął na nowo proces zapylania, usiłując się skupić na orchideach. Niestety, stale rozpraszały go niespokojne myśli o żonie.

Co się z nią dzieje?

Może powodem dziwnego zachowania Joanny była jej starsza siostra Christina? Niedawno wpadła z niezapowiedzianą wizytą, krótką, lecz w najwyższym stopniu irytującą... Nie, raczej nie. Choć odwiedziny szwagierki nieodmiennie okazywały się bardzo wyczerpujące psychicznie, po jej wyjeździe oboje szybko odzyskiwali równowagę. Poza tym, kłopoty z Joanną zaczęły się dużo wcześniej.

Czy przyczyną mogły być troski finansowe? Powodziło im się całkiem nieźle, choć w interesach, jak to w interesach, bywały okresy lepsze i gorsze. Ostatnio musieli się zmagać z braćmi Rossi, ich głównymi konkurentami, którzy dokładali wszelkich starań, by wykupić firmę. Bracia, pozbawieni skrupułów, gotowi byli zaprzedać duszę diabłu, byle przejąć ziemię i szklarnie Lawrence'ów.

Znowu wyrwało mu się ciężkie westchnienie.

Judith Gould

noże to jakiś drobiazg? Na przykład... może powinna się zająć 3 nowym projektem? Nigdy jej nie wystarczał dom i pomaga-ishowi w prowadzeniu interesu. Zawsze szukała innych wy-0, choćby ten przepiękny album o orchideach, który został przyjęty zarówno przez odbiorców, jak i krytykę. Skończyła nak już kilka miesięcy temu... Aha, czyli możliwe, że po pro-ak jej nowego pasjonującego zajęcia. >lno pokręcił głową.

e, nie. To nie to. Niemożliwe. Takie rozwiązanie byłoby zbyt i. Na dodatek - trzeba także o tym pamiętać - ostatnio... od 15 dwóch, może trzech miesięcy, wydawała się niespecjalnie jresowana seksem... Owszem, nie burczała na Josha, jak na ię, ale też go nie pragnęła. W każdym razie nie tak jak daw-

jął z ust wykałaczkę, uważnie obejrzał ją w mocnym świetle
wnie zajął się orchideami.

może się jej znudziłem? Czyżbyśmy przechodzili osławiony
s po siedmiu latach związku? Eeee, nie... to się przytrafia chy-
lko mężczyznom? Zresztą, byli małżeństwem od dziesięciu lat.
Lm... Kryzys po dziesięciu latach?

ie umiał określić przyczyny swojego niepokoju, ale był niezbi-
|zekonany, iż dzieje się coś bardzo złego. Odsunął zapyłoną or-
ę i wziął następną.

może wszystko przez to, że jesteśmy bezdzietni? Kto wie?
boje chcieli mieć dzieci, ale zbyt długo zwlekali z realizacją pla-
Gdy jakiś czas temu Joanna odstawiła tabletkę antykoncep-
[- ich starania spełzły na niczym. Oczywiście zgłosili się do le-
i, przeszli wszelkie badania - i uzyskali orzeczenie, iż są
wicie zdrowi. Cóż z tego, skoro nic się nie zmieniło. A teraz Jo-
. najwyraźniej nawet nie miała ochoty próbować!

agle pojawiła się myśl zdradziecka jak jadowity wąż.
sanna znalazła sobie kogoś innego.

jsh ukrył twarz w dłoniach, zabezpieczonych lateksowymi rę-
czkami. Tyle lat wspólnego szczęścia. Pokochał ją od pierwsze-
ejrzenia, nie umiał żyć bez tej pięknej kobiety, beztroskiej i za-
lej, choć jednocześnie praktycznej i twardo stąpającej po ziemi.
także pokochała go od razu. Tak w każdym razie zawsze mówi-
. mijające lata scementowały ich miłość. Stali się nierozłączny-
ochankami, partnerami, prawdziwymi przyjaciółmi.

\o się więc teraz dzieje?

Czas na pożegnanie

29

Ciszę spowijającą cieplarnię przerwał dzwonek telefonu. Joshua chwycił słuchawkę.

- Halo?

- Mówi Carl - odezwał się w słuchawce głos z hiszpańskim akcentem.

Joshua zaniepokoił się nie na żarty. Skoro dzwonił Carl, musiało się zdarzyć coś wyjątkowo ważnego i najprawdopodobniej złego.

- O co chodzi?

- Powinieneś tu przyjechać. Jak najszybciej.

- Ale o co chodzi?

- Coś niedobrze z nawilżaczami - wyjaśnił Peruwiańczyk. - Nie wiem, albo komputer, albo co?

- Cholera! - zaklął zdenerwowany Joshua.

Rzucił słuchawkę, w pośpiechu ściągnął rękawiczki i pognął do samochodu.

Czas na pożegnanie

31

Rozdział trzeci

stina Cameron von Leydon leżała na chłodnych gładkich cieradłach. Jedwabna narzuta ledwo osłaniała jej pełne piersi lizgiwała się pomiędzy jędrnymi opalonymi udami. Podłogę szerzej sypialni, wyłożoną marmurem, przykrywał aubusson, ly ręcznie wełniany dywan w kolorze kości słoniowej przeła-jj różem.

rzwi łazienki zostały lekko uchylone.

śmiechnęła się z zadowoleniem. Za tymi drzwiami był on. Nie a się doczekać, kiedy wróci do sypialni.

' jednej dłoni trzymała dunhilla, w drugiej wódkę z tonikiem. Ignęła łyk i odstawiła szklaneczkę na nocny stolik. Zaciągnęła apierosem. Wolną dłonią poprawiła włosy. Balejaż kosztował mę.

Co najmniej tuzin różnych odcieni blondu i srebra! - oznajmi-z dumą, gdyby ją ktoś o to zapytał.

formalnie miała włosy nieskazitelnie ułożone, teraz jednak po irze zostało tylko smętne wspomnienie. Podobnie makijaż, któ-miarę upływu lat nakładała coraz staranniej, w tej chwili sta-czo wymagał dłuższej chwili uwagi.

fieważne. Naprawdę. Tego dnia nie liczyły się podobne drobia-Ponieważ za owe mankamenty, za te rozczochrane włosy i nie-onaty makijaż odpowiedzialny był on. On - ze swoim niezaspo-nym apetytem na jej ciało. Vestchnęła z rozkoszą.

Vszystkie te seanse jogi, ci osobiści trenerzy, dwa liftingi twa-powiększenie piersi, a potem ich zmniejszenie, niezliczone kilo-

metry na domowej bieżni i stacjonarnym rowerze, nie wspominając już o ciągłej diecie - wszystko to bezdyskusyjnie się opłacało. Christina miała trzydzieści sześć lat, a ciało nadal młode i zniewalające.

Nawet dla takiego mężczyzny, jak Peter Rossi, pomyślała.

Nareszcie wyszedł z łazienki. Widok jego ciała, muskularnego, prężnego, pięknie opalonego, także nie sprawiał przykrości. Peter Rossi, wysoki i szczerze wyposażony przez naturę, miał czarne włosy, ciemnobrązowe błyszczące oczy i był próżny, ponieważ doskonale znał swoje zalety.

Dumnym krokiem podszedł do łóżka, napawając się wyraźnym zachwytem kochanki.

Christina pośpiesznie zgasila papierosa. Usiadła, zsunęła nogi, objęła Petera w biodrach i wpiła palce w jego twarde pośladki.

- Eeech, lałuniu - westchnął. - Niezła jesteś.

Zakrył jej piersi wielkimi dłońmi, ścisnął w palcach brodawki. Po chwili przesunął ręce na pośladki Christiny, wreszcie wsunął je między uda.

Christina poddała mu się całkowicie, pozwalając na wszystko. Zgadzała się, by jego dłonie błądziły, gdzie zechcą, by docierały do najtajniejszych zakamarków jej ciała. Oboje oddychali głośno. W pewnym momencie Peter odsunął się od Christiny, położył ją na łóżku. Przez tę chwilę już zaczęła tęsknić za jego dotykiem, już pragnęła go w sposób trudny do wyrażenia. Popatrzył na nią z góry, uśmiechnięty i zadowolony z siebie, potem ukląkł między jej nogami. Pochylił się, wsunął dłonie pod pośladki Christiny, przeciągnął językiem najpierw po jednym udzie, później po drugim, wreszcie uniósł jej biodra w górę. Christina jęczała i wiała się pod nim, dręczona pożądaniem, drżała i dygotała, wczepiła się palcami w jego czarne gęste włosy. Peter usiadł prosto. Christina jęknęła, niezadowolona, że została pozbawiona ulubionej przyjemności, ale rozczarowanie nie trwało długo. Zobaczyła nad sobą muskularny tors, przez chwilę widziała też imponujących rozmiarów członek, ale już moment później Peter wszedł w nią wyjątkowo głęboko i zaczął poruszać się rytmicznie, jak szalenciec opętany tylko jedną myślą.

Christina, rozpalona jego żądzą, odpowiadała mu z całej siły, napierała na niego całym ciałem, aż w szaleńczym pędzie wspólnie osiągnęli szczyt. Peter krzyknął chrapliwie, ona natomiast pojękiwała, zalewana kolejnymi falami rozkoszy.

Wreszcie Peter opadł na nią i oboje walczyli o oddech, krańcowo wyczerpani, zroszeni potem, niezdolni do najmniejszego wysiłku.

Rozdział trzeci

Christina Cameron von Leydon leżała na chłodnych gładkich cieradłach. Jedwabna narzuta ledwo osłaniała jej pełne piersi izgiwała się pomiędzy jędrnymi opalonymi udami. Podłogę szerzej sypialni, wyłożoną marmurem, przykrywał aubusson, a ręcznie wełniany dywan w kolorze kości słoniowej przeła-sj różem.

Drzwi łazienki zostały lekko uchylone.

Christina śmiechnęła się z zadowoleniem. Za tymi drzwiami był on. Nie a się doczekać, kiedy wróci do sypialni.

Christina jedną dłoń trzymała dunhilla, w drugiej wódkę z tonikiem. Ignęła łyk i odstawiła szklaneczkę na nocny stolik. Zaciągnęła apierosem. Wolną dłonią poprawiła włosy. Balejaż kosztował nę.

Co najmniej tuzin różnych odcieni blondu i srebra! - oznajmi-z dumą, gdyby ją ktoś o to zapytał.

Christina normalnie miała włosy nieskazitelnie ułożone, teraz jednak po irze zostało tylko smętne wspomnienie. Podobnie makijaż, któ-miarę upływu lat nakładała coraz staranniej, w tej chwili sta-:zo wymagał dłuższej chwili uwagi.

Christina nieważne. Naprawdę. Tego dnia nie liczyły się podobne drobia-Ponieważ za owe mankamenty, za te rozczochrane włosy i nie-:onały makijaż odpowiedzialny był on. On - ze swoim niezaspo-nym apetytem na jej ciało. Westchnęła z rozkoszą.

Wszystkie te seanse jogi, ci osobiści trenerzy, dwa liftingi twa-powiększenie piersi, a potem ich zmniejszenie, niezliczone kilo-

Czas na pożegnanie

31

Christina metry na domowej bieżni i stacjonarnym rowerze, nie wspominając już o ciągłej diecie - wszystko to bezdyskusyjnie się opłacało. Christina miała trzydzieści sześć lat, a ciało nadal młode i zniewalające.

Nawet dla takiego mężczyzny, jak Peter Rossi, pomyślała.

Nareszcie wyszedł z łazienki. Widok jego ciała, muskularnego, prężnego, pięknie opalonego, także nie sprawiał przykrości. Peter Rossi, wysoki i szczerze wyposażony przez naturę, miał czarne włosy, ciemnobrązowe błyszczące oczy i był próżny, ponieważ doskonale znał swoje zalety.

Dumnym krokiem podszedł do łóżka, napawając się wyraźnym zachwytem kochanki.

Christina pośpiesznie zgasiła papierosa. Usiadła, zsunęła nogi, objęła Petera w biodrach i wpiła palce w jego twarde pośladki.

- Eech, laluniu - westchnął. - Niezła jesteś.

Zakrył jej piersi wielkimi dłońmi, ścisnął w palcach brodawki. Po chwili przesunął ręce na pośladki Christiny, wreszcie wsunął je między uda.

Christina poddała mu się całkowicie, pozwalając na wszystko. Zgadzała się, by jego dłonie błądziły, gdzie zechcą, by docierały do najtajniejszych zakamarków jej ciała. Oboje oddychali głośno. W pewnym momencie Peter odsunął się od Christiny, położył ją na łóżku. Przez tę chwilę już zaczęła tęsknić za jego dotykiem, już pragnęła go w sposób trudny do wyrażenia. Popatrzył na nią z góry, uśmiechnięty i zadowolony z siebie, potem ukląkł między jej nogami. Pochylił się, wsunął dłonie pod pośladki Christiny, przeciągnął językiem najpierw po jednym udzie, później po drugim, wreszcie uniósł jej biodra w górę. Christina jęczała i wiała się pod nim, dręczona pożądaniem, drżała i dygotała, wczepiła się palcami w jego czarne gęste włosy. Peter usiadł prosto. Christina jęknęła, niezadowolona, że została pozbawiona ulubionej przyjemności, ale rozczarowanie nie trwało długo. Zobaczyła nad sobą muskularny tors, przez chwilę widziała też imponujących rozmiarów członek, ale już moment później Peter wszedł w nią wyjątkowo głęboko i zaczął poruszać się rytmicznie, jak szalenciec opętany tylko jedną myślą.

Christina, rozpalona jego żądzą, odpowiadała mu z całej siły, napierała na niego całym ciałem, aż w szaleńczym pędzie wspólnie osiągnęli szczyt. Peter krzyknął chrapliwie, ona natomiast pojękiwała, zalewana kolejnymi falami rozkoszy.

Wreszcie Peter opadł na nią i oboje walczyli o oddech, krańcowo wyczerpani, zroszeni potem, niezdolni do najmniejszego wysiłku.

Judith Gould

), Boże... - wychrypiała Christina. - Peter, to było... niesamozycisnął ją do siebie, trzymając za pośladki, i przetoczył się na bok, zakrył jej twarz pocałunkami.

Ciągle jeszcze miał nierówny b,

fezu! Christino! - wykrztusił w końcu. - Nie wiedziałem... Nie wiedziałem się, że może być lepiej niż poprzednio, ześmiała się lekko, mile polectana jego słowami, zadowolona z niego. - przyznała.

całował ją namiętnie w usta, powoli się z niej wycofując. Pod jego ramieniem, drugim objął Christinę i zajrzał jej w oczy. 'również z ciebie - stwierdził. Po świetnie, bo sam jesteś diabłem wcielonym. 'gnął nad nią i z nocnego stolika wziął papierosa. Zapalił go! Christinie.)zięki.

ugiego przypalił dla siebie. Głęboko zaciągnął się dymem, wciągnął siwą strugę w stronę sufitu.

fen twój były ma nie po kolei w głowie - uznał. - Po cholere ł innej?

fy mi to powiedz. - Christina wzruszyła ramionami. - Ja nie bladego pojęcia. - Wypuściła obłoczek dymu. - Wiem nato-, że był takim samym łobuzem jak poprzedni, więc życzę mu ścicia w życiu z tą podłą dziwką, bo zapłacił za nie fortunę, ter zaśmiał się krótko. 3uściłaś go w skarpetkach? Jasne! Tak samo jak dwóch poprzednich. Mo i bardzo dobrze!

Nfie masz pojęcia, jak się cieszę, że się poznaliśmy - powiedzia-fuż myślałam, że ten weekend u Joanny pobije wszelkie rekordy

Ja też nie narzekam - odrzekł Peter. Zgasił papierosa i zakrył Christiny wielką dłonią. - Będzie z nas dobrana para. ^a pewno, ale pamiętaj, musimy dotrzymać tajemnicy. - Prze-a ustami po muskularnej klatce piersiowej mężczyzny. Co prawda, to prawda - zgodził się Peter. - Tym lepsza za-

:oń Christiny powędrowała w dół. Jej partner natychmiast zawał na dotyk.

Czas na pożegnanie

33

- Hej, hej, hej! - Przykrył dłoń Christiny swoją. - Lepiej nie zaczynaj. Przecież wiesz: nie dość że mam spotkanie w Santa Barbara, to jeszcze kupę telefonów do odwalenia.

- Tak, tak, wiem - mruknęła nadašana Christina.

- Nie martw się, laluniu. Wrócę wieczorem. Jeśli jeszcze będziesz mnie chciała. - W szerokim uśmiechu pokazał wszystkie zęby.

Żartobliwie szturchnęła go w pierś.

- Żebyś tylko się nie spóźnił!

Christina przede wszystkim wzięła gorącą, pachnącą kąpiel. Następnie starannie nałożyła makijaż, na koniec owinęła się długim jedwabnym szlafrokiem. Napełniła ponownie szklaneczkę wódką z to-nikiem i stojąc na środku wspaniałego salonu w pięknym domu w stylu neoklasycznym, wolno popijała drinka. Przez szerokie balkonowe drzwi, ozdobione połyskującymi, suto marszczonymi firankami z jedwabiu, rozpościerał się wspaniały widok na odległy Pacyfik. Bliżej pieściła oko soczysta zieleń doskonale utrzymanych trawników, nieskazitelna biel ogrodowych rzeźb i przejrzysty błękit ogromnego basenu, gdzie nad brzegiem wspierał się na kolumnkach wdzięczny domek. O tak, widok był piękny, wart ceny, jaką musiała zapłacić za rezydencję na szczycie wzgórza w ekskluzywnym Montecito. Napawał spokojem, leczył rany po najnowszym rozwodzie.

Cóż za godny pozazdrosczenia zbieg okoliczności, pomyślała. Jak wspaniale się stało, że Peter przyjechał do Santa Barbara w interesach. Dzięki temu pomógł jej się otrząsnąć z niemiłych przeżyć. I to jak!

Akurat dzisiaj przyszło z sądu oficjalne orzeczenie o rozwodzie. Od dzisiaj była znowu kobietą wolną. Mąż numer trzy przeszedł do historii. Oskubała skurczysyna do czysta! I bardzo dobrze.

Odetchnęła głęboko i podeszła do miękkiego szezlongu krytego jedwabiem w kolorze ecru. Zrzuciła z niego poduszkę i wygodnie się ułożyła. Pociągnęła długi łyk ze szklanki, po czym odstawiła ją na stolik Giacomettiego, wyczarowany z mosiądzu i szkła. Wtedy dojrzała na blacie orchideę, urzekającą swą egzotyczną urodą. Od Joanny, rzecz jasna. Dla poprawienia nastroju.

Cóż, tym razem nie potrzebowała pociechy. Z całą pewnością. Tym razem jej się poszczęściło. Gdyby sprawy przybrały taki sam

Judith Gould

35

jak przy poprzednich dwóch rozwodach, rzeczywiście narze-' na samotność i nudę, nieodłącznie związane z przykrym niem, musiałyby walczyć z poczuciem porażki, które ogarniamy sobie uświadamiała, że małżeństwo się rozpada. Tym ra-idnak, dzięki Bogu, sytuacja wyglądała zupełnie inaczej, gdyż właściwszym momencie pojawił się Peter Rossi. samą myśl o tym przystojniaku krew zawrzała jej w żyłach. >rzynajmniej dwa metry wzrostu, idealne ciało byłego zawod-futbolu - jędrne, umięśnione, o doskonałych proporcjach •ne włosy oraz ciemnobrązowe oczy. Młodzieniec tuż przed [ziestką. Wiedziała, że nie pochodził z dobrej rodziny, ale wie-. też, że twardo i bezpardonowo prowadził swoje interesy, miał e ambicje, władzę, a jego fortuna stale rosła. Nie miał nato-żadnych skrupułów. Tak, tak. O tym także wiedziała. Z całą jścią nie był tak zwanym dobrym człowiekiem. Dla Christiny k pieniądze, władza i brak skrupułów stanowiły potężny afro-s. Nie potrafiła się oprzeć takiemu mężczyźnie, do tego wszystkiego, pomyślała z krzywym uśmiechem, Peter był głównym przeciwnikiem jej siostry i szwagra. Bali się go abeł święconej wody. I słusznie. Ponieważ bracia Rossi, star-praktycznie od zera, zbudowali potężne imperium, a teraz fli sobie zęby na firmę Joanny i Josha.

Iristina uśmiechnęła się w rozmarzeniu. Peter Rossi powinien lla niej owocem zakazanym, więc doprawdy trudno o coś zniejszego dla złaknionej kobiety.

(dnosząc szklaneczkę, raz jeszcze przyjrzała się roślinie na sto-Paphiopedilum lowii.

Orchidea, rzecz jasna. Jakże by inaczej, jnt typowy dla Joanny.

miwym ruchem zerwała kwiat o efektownych różowych płat-poznaczonych tu i ówdzie zieloną siatką żyłek, a gdzie indziej apiany fioletowymi plamkami, adny gest ze strony Joanny, pomyślała.

tioc przecież Joanna doskonale wiedziała, że Christina nie jada za orchideami. Kojarzyły jej się z dzieciństwem i wczesną ością, z cuchnącym nawozem, a także dwiema jednakowo silnymi obsesjami ojca: na temat orchidei oraz ziemi, z którą się wzdrygnęła.

leż my jesteśmy różne! Joanna właściwie zawsze zgadzała się z matką, uwielbiała te nieszczęsne kwiaty. Podobało jej się życie iurze zabitej dechami odległej o lata świetlne od rzeczywistości Christiny. Kochała dom ojca, uwielbiała zajmować się rodzinnym interesem.

Joanna. Siostra, która zawsze miała wszystko, czego dusza zapagnie. Wszystko, o czym mogłaby marzyć kobieta. Uderzająco piękna, mądra, bogata. O tak. Nie tak bogata jak ja, ale zawsze miała pieniędzy w bród. I ten piękny dom... choć nie został zbudowany w tak atrakcyjnym miejscu... A przede wszystkim - Josh. Właśnie. Miała Joshuę Lawrence'a, wysokiego, dobrze zbudowanego przystojniaka o włosach rozjaśnionych słońcem i nieprawdopodobnie błękitnych oczach. Mężczyznę idealnego. Prawdziwego mężczyznę, a nie cherlawą namiastkę samca pozującego na macho.

Christina wyciągnęła się na szezlongu. Wzrok miała wciąż skierowany na kwiat, ale tak naprawdę już go nie widziała.

Zawsze skrycie zazdrościła siostrze udanego związku.

Cóż, wreszcie nie mam powodu do zawiści, pomyślała. Ani trochę. Ponieważ Joshua Lawrence w porównaniu z Peterem Rossim zasługuje co najwyżej na miano towaru z drugiej ręki. Owszem, ma klasę, ale klasa to jeszcze nie wszystko. A z pewnością nic nie kręci tak, jak kasa i władza. Albo szatański spryt.

Bezmyślnie skubała orchideę, rozmyślając o Joannie i Joshu, o ich farmie, o rodzinnym biznesie, który kiedyś stanowił własność ojca.

Coś mi się zdaje, że po śmierci tatuśka dałam się wystawić do wiatru, uznała. Dostałam tylko pieniądze, cała reszta przypadła Joannie. Wtedy wydawało się, że to niezły układ, ale teraz...

Hm... Zasługuję na więcej. Z pewnością należy mi się część ziemi i udział w zyskach.

Spojrzała na orchideę przytomniejszym wzrokiem. Kolorowe płatki utworzyły na blacie stolika żalostną stertkę, kilka spadło na podłogę. Nawet nie wiedziała, kiedy oskubała łodygę. Tak, zdecydowała stanowczo. Najwyższy czas odkroić sobie kawałek tortu, którym tak hojnie obdarowano siostrzyczkę. Z pomocą odpowiedniego mężczyzny... kto wie, co się może zdarzyć.

Rozdział czwarty

arnia przypominała amazońską dżungłę: było tu ciepło, wietrz-wilgotno, ale nawet ciężki i cierpki zapach nawozu nie robił już >shu żadnego wrażenia. Czegoś wszakże brakowało.

Tego jed-

istotnego elementu, ważnego składnika, którego brak mógł odować zmarnowanie roślin wartych setki tysięcy dolarów, ara!, uświadomił sobie Joshua ponuro. Zniknęła cała mgła! rłączane przez skomplikowany program komputerowy nawil-3 miały za zadanie w najodpowiedniejszych momentach spry-ać rośliny tropikalnym deszczem, a jednocześnie wytwarzały 3Ć niezbędną im do życia. Teraz - nie działały. Zepsuły się albo 3 zostały celowo uszkodzone. Co gorsza, nie wiadomo kiedy. Na 10 w czasie weekendu, między piątkowym popołudniem a po-ziątkowym rankiem. W najgorszej wersji brak owej wyjątkowej ikalnej atmosfery mógł już zniszczyć drogocenne rośliny, oshua obszedł całą szklarnię, uważnie obejrzał kwiaty, spraw-ąc, ile ucierpiały.

Akurat w ten weekend wyjątkowo tu nie zajrzałem, bo zajmo-śmy się Christiną! Szlag! - Skończył inspekcję i popatrzył na)dnika. - Jakoś przetrwały. Wiesz, Carl, chyba tym razem mieli-| trochę szczęścia.

- Najwyraźniej - mruknął Carl Cespedes. jłówny ogrodnik, odpowiedzialny za stan szklarni, był niezwy-wysokim, potężnie zbudowanym Peruwiańczykiem. Pochodził ilifornijskiego miasta Indio. Szedł teraz za Joshem krok w krok. jego twarzy, zwykle przypominającej maskę, malowała się nie-mana troska. Opiekował się szklarniami jak własnymi, a week-lowy wypadek zaskoczył go w tym samym stopniu co Josha.

Sprawdzili system nawilżający pod kątem usterek mechanicznych i nie znaleźli nic. Wobec czego włączyli ponownie komputerowy program zraszania, a wówczas skomplikowane urządzenie natychmiast podjęło pracę, nie wykazując żadnych usterek. Ewidentnie wina leżała po stronie komputera. Albo z bliżej nieokreślonych powodów sam przestał działać, albo ktoś celowo go zresetował, w nadziei że orchidee uschną.

- Bóg łaskaw, że żaluzje działają - westchnął Josh. - W przeciwnym razie szkody byłyby niewyobrażalne.

Carl znowu mruknął potakująco. Obrzucił badawczym spojrzeniem żaluzje zamontowane na dachu szklarni. Miały one za zadanie imitować cień rzucany przez płynące po niebie chmury. Gdyby i osłony przestały się przesuwac, orchidee byłyby zbyt mocno nasłonecznione lub niedoświetlone.

- Wystarczyłaby jedna taka solidna wpadka, żebyśmy przestali istnieć na rynku - zauważył Josh. - A bracia Rossi tylko na to czekają. Wcale bym się nie dziwił, gdyby mieli swój udział w tej awarii.

- Nadal chcą przejąć wasz interes?

- Jak najbardziej. I nic ich nie zniechęci. - Josh ruszył z powrotem do drzwi. - Po prostu zawzięli się na nas. - Joshua zamarł w pół kroku. - Zaraz, a może to rzeczywiście ich sprawka? - Gwałtownie odwrócił się do Carla. - Ale jakim cudem dobraliby się do komputera? Chwileczkę, czy Miguel coś słyszał albo widział?

- Nie. - Carl pokręcił głową. - Jak tylko się zorientowałem, że nawilzacz nie działa, zadzwoniłem do niego i spytałem. Nic nie widział, nic nie słyszał.

- Cholera jasna! - zaklął Josh. - Nic z tego nie rozumiem. Trzeba ściągnąć ekipę, która instalowała urządzenia, no i w końcu pewnie będziemy musieli wezwać policję.

- Po co gliny? - zdziwił się Carl.

- Co prawda nie znaleźliśmy śladów włamania, ale mogliśmy coś przeoczyć. Policijni fachowcy mają swoje sposoby.

- No tak - zgodził się Carl, choć nie wierzył w taką możliwość. Jego zdaniem policjanci nie byli zdolni znaleźć niczego, czego on sam nie odkrył. Niezależnie od tego, jak bardzo by się starali.

- Aha, i zadzwoń do Miguela - polecił Joshua. - Chciałbym go wypytać.

- Już go ściągnąłem - odrzekł Carl. - Czeka w biurze.

- Czytasz w moich myślach - ucieszył się Josh. - Dzięki! - Przyśpieszył kroku. - Gdyby ktoś coś ode mnie chciał - rzucił przez ramię - to wiesz, gdzie mnie szukać.

Judith Gould

•1, jak to Carl, skinął głową w milczeniu, Joshua ruszył biegiem w stronę okazałego wiktoriańskiego budynku. Dziewiętnastowieczny dom był biały, suto zdobiony wszelkimi elementami charakterystycznymi dla minionej epoki, przez co imiast przywodził na myśl tort weselny. Między szklarniami [kowanymi najnowszą technologią wydawał się wręcz nie na miejscu. adowali go przodkowie ojca Joanny, Cameronowie, którzy żyli i w setek hektarów brązowej ziemi. Najpierw mieli brukselkę Ławki, później karczochy. Wielu okolicznych farmerów na tym sstało, natomiast Mitchell Cameron, ojciec Joanny, poszedł Irogą. Zakochał się w orchideach, wręcz padł ofiarą orchideo-, zjawiska dość szeroko rozpowszechnionego w wiktoriańskiej .. Choć był niepoprawnym romantykiem i marzycielem, wyka-3 niezwykle zmysłem praktycznym: już jako nastolatek ku-rośliny mateczne, wkrótce też postawił niewielką szklarnię oczał krzyżowanie gatunków, tworzenie nowych odmian. Gdy Iziczył po ojcu farmę, zrezygnował z dotychczasowych upraw owicie poświęcił się orchideom. Po kilku latach pieniądze za-do niego płynąc szerokim strumieniem, tedy poprosił o rękę prześliczną Julię Lenoir. Znali się od sa, gdyż dziewczyna mieszkała na sąsiedniej farmie. Julia ie

przyjęła oświadczyły i wkrótce młodzi małżonkowie rozpo-budowę nowego, wymarzonego domu, zaprojektowanego naczem w stylu McKim, Mead and White. Postawili go wyżej, akach pasma Santa Cruz, skąd roztaczał się niezrównany widok wiałła chłodna bryza, wolna od ciężkiej woni kompostu, zów sztucznych, środków owadobójczych i samych kwiatów. :raz mieszkali w nim Joanna i Josh, a w starym wiktoriań-domu, idąc za przykładem Mitchella Camerona, pozostawili y, magazyny i biuro.

Josh dwoma susami pokonał drewniane schody prowadzące mek, pchnął połówkę dwuskrzydłowych drzwi i wpadł do prze-nego holu. Tam za biurkiem siedziała Luna, żona Carla. Ra-iem przyciskała do ucha słuchawkę i z zacięciem stuknęła iwiaturę komputera. Josh zawsze się zastanawiał, jakim cu-wcisła właściwe klawisze, mając tak długie paznokcie. Zwykle wała je na ciemny fiolet. Była w połowie Wenezuelką, w poło-'ydówką, ale urodziła się w Stanach, więc miała amerykańskie ratelstwo. Carl ożenił się z tą sekutnicą wyłącznie po to, by do-

Czas na pożegnanie

39

stać zieloną kartę. Od dnia, kiedy się poznali, darli ze sobą koty, a jednocześnie jedno nie potrafiło żyć bez drugiego.

- Cześć, szefie - rzuciła z uśmiechem, podnosząc wzrok znad monitora. Między pełnymi wargami, pociągniętymi szminką w tym samym odcieniu, co lakier do paznokci, błysnęły olśniewająco białe zęby.

- Cześć, Luno. Przestań wreszcie tytułować mnie szefem - powiedział Josh. - Będziesz tak uprzejma?

- Jasne, szefie. - Luna uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Miguel czeka w biurze - dodała.

- Serdeczne dzięki. - Joshua westchnął i ruszył ku podwójnym szklanym drzwiom, prowadzącym do niegdysiejszego salonu.

Miguel siedział w fotelu, całkowicie pochłonięty zabawą z Lucy, białą-szarą kotką, pełnoprawną mieszkanką wiktoriańskiego domu.

Joshua usiadł za biurkiem i obrzucił stróża uważnym spojrzeniem. Miguel był niskim, żyłastym Meksykaninem po trzydziestce, chyba nieco ociężałym umysłowo, ponieważ każda reakcja wymagała od niego niebagatelnego wysiłku. Syn imigrantów, pracowników fizycznych, dostał zajęcie u Josha, ponieważ nigdzie indziej nie mógł nic znaleźć. Łagodny jak baranek i ufny jak dziecko, był bezgranicznie oddany swemu chlebobdawcy.

Podniósł wzrok na szefa.

- Lucy to mnie lubi. - Uśmiechnął się uszczęśliwiony. - Nawet się ze mną bawi.

- Od razu przypadłeś jej do gustu. - Joshua odchrząknął. - Słuchaj, muszę ci zadać kilka pytań na temat zeszłej nocy.

Miguel wyraźnie się przestraszył; twarz mu pobladła, oczy się zamgliły, niewiele brakowało, a byłby się rozplakał.

- Nie denerwuj się, nic strasznego się nie stało - odezwał się Josh uspokajającym tonem. - Chciałbym tylko się dowiedzieć, czy może zwróciłeś uwagę na coś szczególnego.

Miguel gwałtownie potrząsnął głową.

- Ja nie widziałem nic a nic. W ogóle nic.

Josh dłuższą chwilę przyglądał mu się z uwagą. Co właściwie skłoniło go do zatrudnienia Miguela w charakterze nocnego stróża?

- Jesteś zupełnie pewien? - spytał. - Nie widziałeś nic dziwnego, niezwykłego, niepokojącego?

Meksykanin potrząsnął głową jeszcze gwałtowniej.

- Nic, nic. W ogóle nic.

- A może coś słyszałeś? - dążył Josh. - Coś szczególnego? Innego niż zwykle?

Judith Gould

1, jak to Carl, skinął głową w milczeniu, hua ruszył biegiem w stronę okazałego wiktoriańskiego bu-. Dziewiętnastowieczny dom był biały, suto zdobiony wszelki-mentami charakterystycznymi dla minionej epoki, przez co Lmiast przywodził na myśl tort weselny. Między szklarniami kowanymi najnowszą technologią wydawał się wręcz nie na u. adowali go przodkowie ojca Joanny, Cameronowie, którzy żyli .wy setek hektarów brązowej ziemi. Najpierw mieli brukselkę Ławki, później karczochy. Wielu okolicznych farmerów na tym jstało, natomiast Mitchell Cameron, ojciec Joanny, poszedł Irogą. Zakochał się w orchideach, wręcz padł ofiarą orchideo-, zjawiska dość szeroko rozpowszechnionego w wiktoriańskiej .. Choć był niepoprawnym romantykiem i marzycielem, wyka-j niezwykłym zmysłem praktycznym: już jako nastolatek ku-rośliny mateczne, wkrótce też postawił niewielką szklarnię oczał krzyżowanie gatunków, tworzenie nowych odmian. Gdy Iziczył po ojcu farmę, zrezygnował z dotychczasowych upraw owicie poświęcił się orchideom. Po kilku latach pieniądze za-do niego płynąć szerokim strumieniem, tedy poprosił o rękę prześliczną Julię Lenoir. Znali się od ia, gdyż dziewczyna mieszkała na sąsiedniej farmie. Julia je przyjęła oświadczyły i wkrótce młodzi małżonkowie rozpo-budowę nowego, wymarzonego domu, zaprojektowanego machem w stylu McKim, Mead and White. Postawili go wyżej, okach pasma Santa Cruz, skąd roztaczał się niezrównany wi-gdzie wiała chłodna bryza, wolna od ciężkiej woni kompostu, izów sztucznych, środków owadobójczych i samych kwiatów, jraz

mieszkali w nim Joanna i Josh, a w starym wiktoriań-domu, idąc za przykładem Mitchella Camerona, pozostawili łóżka, magazyny i biuro.

>Josh dwoma suszami pokonał drewniane schody prowadzące mek, pchnął połówkę dwuskrzydłowych drzwi i wpadł do przedmego holu. Tam za biurkiem siedziała Luna, żona Carla. Radem przyciskała do ucha słuchawkę i z zacięciem stuknęła awiaturę komputera. Josh zawsze się zastanawiał, jakim cudem wciska właściwe klawisze, mając tak długie paznokcie. Zwykle miała je na ciemny fiolet. Była w połowie Wenezuelką, w połowie Żydówką, ale urodziła się w Stanach, więc miała amerykańskie obywatelstwo. Carl ożenił się z tą sekretnicą wyłącznie po to, by do-

Czas na pożegnanie

39

stać zieloną kartę. Od dnia, kiedy się poznali, darli ze sobą koty, a jednocześnie jedno nie potrafiło żyć bez drugiego.

- Cześć, szefie - rzuciła z uśmiechem, podnosząc wzrok znad monitora. Między pełnymi wargami, pociągniętymi szminką w tym samym odcieniu, co lakier do paznokci, błysnęły olśniewająco białe zęby.

- Cześć, Luno. Przestań wreszcie tytułować mnie szefem - powiedział Josh. - Będziesz tak uprzejma?

- Jasne, szefie. - Luna uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Miguel czeka w biurze - dodała.

- Serdeczne dzięki. - Joshua westchnął i ruszył ku podwójnym szklanym drzwiom, prowadzącym do niedysiejszego salonu.

Miguel siedział w fotelu, całkowicie pochłonięty zabawą z Lucy, białą-szarą kotką, pełnoprawną mieszkanką wiktoriańskiego domu.

Joshua usiadł za biurkiem i obrzucił stróża uważnym spojrzeniem. Miguel był niskim, żyłastym Meksykaninem po trzydziestce, chyba nieco ociężałym umysłowo, ponieważ każda reakcja wymagała od niego niebagatelnej wysiłku. Syn imigrantów, pracowników fizycznych, dostał zajęcie u Josha, ponieważ nigdzie indziej nie mógł nic znaleźć. Łagodny jak baranek i ufny jak dziecko, był bezgranicznie oddany swemu chlebodawcy.

Podniósł wzrok na szefa.

- Lucy to mnie lubi. - Uśmiechnął się uszczęśliwiony. - Nawet się ze mną bawi.

- Od razu przypadłeś jej do gustu. - Joshua odchrząknął. - Słuchaj, muszę ci zadać kilka pytań na temat zeszłej nocy.

Miguel wyraźnie się przestraszył; twarz mu pobladła, oczy się zamgliły, niewiele brakowało, a byłby się rozplakał.

- Nie denerwuj się, nic strasznego się nie stało - odezwał się Josh uspokajającym tonem. - Chciałbym tylko się dowiedzieć, czy może zwróciłeś uwagę na coś szczególnego.

Miguel gwałtownie potrząsnął głową.

- Ja nie widziałem nic a nic. W ogóle nic.

Josh dłuższą chwilę przyglądał mu się z uwagą. Co właściwie skłoniło go do zatrudnienia Miguela w charakterze nocnego stróża?

- Jesteś zupełnie pewien? - spytał. - Nie widziałeś nic dziwnego, niezwykłego, niepokojącego?

Meksykanin potrząsnął głową jeszcze gwałtowniej.

- Nic, nic. W ogóle nic.

- A może coś słyszałeś? - drążył Josh. - Coś szczególnego? Innego niż zwykle?

Judith Gould

Nie, nie, nie! Wcale! - Miguel zamknął oczy i nadal kręcił głowę, jego twarzy pojawił się wyraz napięcia, wyraźnie cierpiał, mimo to Joshua musiał zadać mu kolejne pytania, chociaż... co to da?

o brze, wobec tego niech będzie tylko to jedno, absolutnie kośne.

Miguelu, jak sądzisz... czy istnieje możliwość... że się na chwilę snąłeś? Noce są długie, jesteś tutaj całkiem sam, więc... [Miguel wybuchnął głośnym płaczem, aż Lucy uciekła mu z kolan. Nie, nie! - krzyknął. - Nigdy! Ja nigdy nie zasypiam w pracy!

iy!

o jego szarych policzkach płynęły potoki łez, a Josh miał mną ochotę zdzielić się po głowie.

Podszedł do Miguela i uspokajająco poklepał go po ramieniu.

Nie denerwuj się. Ja tylko pytałem. - Sięgnął do pudełka usteczkami. - Masz, uspokój się. Nie będę cię więcej wypytywał. m honoru.

Miguel wydmuchał nos w chusteczkę, a potem grzbietem brudłoni otarł policzki. Podniósł na pracodawcę spojrzenie przepętle żalem.

Lucy ode mnie uciekła...

| Zaraz wróci - zapewnił go Joshua. Nagle wpadła mu do głowy tonąca myśl. - Słuchaj,

Miguelu, a może kupiłbym ci psa? Wy-owanego. Miałbyś towarzysza w nocy. Co ty na to?

Meksykanin zeszytniał z przerażenia. Osłupiałym wzrokiem rżał na Josha, jak gdyby zobaczył diabła. - Ja... ja... nie! Ja się boję psów! - Zatrząsł się cały. - Strasznie

3 Jezu! To tyle, jeśli chodzi o świetne pomysły.

- Dobrze, nie ma sprawy - zapewnił Meksykanina pośpiesznie, rzyjmijmy, że w ogóle nic na ten temat nie mówiłem. Nie chcia- ci sprawić przykrości. O, zobacz, Lucy wróciła!

Dała szczęście! W samą porę.

Podniósł kotkę i posadził ją Miguelowi na kolanach.

- Widzisz, łasi się do ciebie.

Na ustach stróża od razu pojawił się uśmiech, jasny jak słońce burzy. Poglądził ulubienicę, pomrukując z zadowoleniem. Josh wrócił za biurko.

Zaiste, żaden dobry uczynek nie uchodzi bezkarnie, pomyślał uryczą. Ale psa trzeba będzie kupić. Dobra, dosyć tego.

Czas na pożegnanie

41

Sięgnął po słuchawkę, lecz zaraz ją odłożył.

- Miguel?

Meksykanin podniósł na niego oczy.

- Myślę, że Lucy przyda się trochę świeżego powietrza. Przy okazji poproś, niech któryś z chłopaków podrzuci cię do domu. Powinieneś się przespać przed nocną zmianą.

- Jasne. - Miguel wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi. Wtedy Joshua wybrał numer cieplarni.

- Niech ktoś odwiezie Miguela do domu - polecił, gdy Carl podniósł słuchawkę. - Jak najszybciej, dobrze? Nie chcę, żeby się tu kręcił, w razie gdyby przyjechały gliny. Jak zaczną go wypytywać, umrze ze strachu.

- Oczywiście. - Carl przerwał połączenie.

Dopiero wtedy Josh zadzwonił do firmy, która zainstalowała komputerowo sterowane nawilzacze. Mieli pierwszeństwo przed policją. Leniwie stukając ołówkiem w blat, czekał, aż ktoś odbierze.

Oby mi powiedzieli, że system zawiódł, modlił się w myślach.

Niestety, zdawał sobie sprawę, iż z ogromną dozą prawdopodobieństwa taka wersja wydarzeń okaże się tylko jego pobożnym życzeniem.

Przedstawiciele firmy konserwującej komputerowy system nawilżania przyjechali, sprawdzili, co mieli do sprawdzenia, i zniknęli. Nie znaleźli żadnych wad w aparaturze, wobec czego doszli do słusznego wniosku, iż jedyną możliwą przyczyną awarii był błąd człowieka.

- Innymi słowy - powiedział Josh - mam przez to rozumieć, że ktoś zmienił ustawienie programu.

- Tak jest. - Dwaj technicy unisono pokiwali głowami.

Wkrótce po ich odjeździe przybyła policja. Ekipa dokonała szczegółowych oględzin całego terenu ze szczególnym uwzględnieniem szklarni. Stróże prawa nie znaleźli nic.

- Czy jest pan pewien, że nikt więcej nie zna kodu do pilotów otwierających bramę? - spytali Joshuę.

- Z całą pewnością - odparł. - Tylko Carl, moja żona i ja. Nikt więcej.

Odprowadził ich do samochodu.

- Na pana miejscu - odezwał się jeden z policjantów - przyjrzałbym się uważnie pracownikom. Ta awaria robi wrażenie celowego działania.

Judith Gould

fosh pokiwał głową i grzecznie podziękował za radę, ale w głębi
zy nie potrafił uwierzyć, by któraś z pracujących u niego osób
la cokolwiek wspólnego z przeprogramowaniem systemu kom-
erowego.

Przyczyna musi leżeć gdzieś indziej, pomyślał z pełnym przeko-
liem. Przecież jesteśmy sobie bliscy jak rodzina.

Gdy wszyscy obcy nareszcie odjechali, usiadł z Carlem w daw-
n salonie.

- Najwyraźniej będziemy musieli sprawić sobie psa - powie-ał. - Liczę na twoją pomoc w
przełamaniu oporów Miguela. Jeśli m się nie uda, pomyślę chyba o zainstalowaniu kamer
video. Al-zatrudnimy nowego stróża, a dla Miguela znajdzie się jakieś in-zajęcie.

- Zrobię, co się da - obiecał Carl. - Ale wiesz, jaki jest Miguel.

- Tak, wiem - przyznał Josh. - Rano pogadamy.

- Dobra. - Carl obrócił się z fotelem, wstał i wyszedł z biura. Joshua właśnie miał zamiar
wybrać numer Joanny, lecz akurat
tej chwili rozległ się dzwonek telefonu.

- Halo?

- Czy mówię z panem Lawrence'em? - spytał męski głos.

- Tak, to ja. - Josh wyteżył słuch, bo rozmówca najwyraźniej ;wonił z telefonu komórkowego
i dźwięk tonął w szumie zakłóceń.

- Tu Peter Rossi.

- Witam pana. Czy może pan mówić głośniej? Bardzo słabo słyszę.

- Jadę, stąd kłopoty - odezwał się Rossi głośniej.

- W czym mogę panu pomóc?

- Zadzwoiłem spytać, czy przypadkiem nie zmienił pan zdania a temat sprzedaży firmy. W dzisiejszych czasach prowadzenie ta-iego biznesu najeżone jest wieloma niebezpieczeństwami. Odpowiednia dbałość o szklarnie to nie lada wyzwanie, tak ogromna odpowiedzialność niekiedy okazuje się ponad siły. Na pewno pan ze mną się zgodzi.

Josh poczerwieniał z wściekłości, ale udało mu się odpowiedzieć spokojnie.

- Nie mogę się z panem zgodzić. Nigdy się nie uchylałem od odpowiedzialności. - Rzucił słuchawkę na widełki.

- Cholera jasna! - wyrwało mu się. - Cholera żeż jasna!

Rozdział piąty

A

April naląła sobie kieliszek wina. Było to stosunkowo niedrogie, ale wyborne chardonnay Alexander Valley, którego zalety odkryła całkiem niedawno. Zamieszała podgrzewany sos i uśmiechnęła się zadowolona.

Woody'emu będzie smakowało, uznała.

Zrumieniła na maśle przeciśnięty przez praskę ząbek czosnku, położyła na patelni filet z dorsza, dodała domowej roboty gęsty koncentrat pomidorowy, posypała kaparami, dołożyła zielone oliwki z odrobiną zalewy, na koniec doprawiła pieprzem, solą i wrzuciła dwa listki laurowe.

Roger, jej były mąż, zawsze powtarzał, że w głębi serca April jest wielbicielką prostego wiejskiego życia, a nie tak odzwierciedlała jej upodobań, jak ulubione potrawy. Zawsze wolała dania możliwie najprostsze w przygotowaniu i jak najmniej wyrafinowane, najchętniej ze świeżych, sezonowych składników. Jeśli przygotowywała coś wykwintniejszego, to wyłącznie dla Rogera, który uwielbiał przesadę we wszystkim. Jego motto brzmiało: im bardziej skomplikowane, tym lepsze. Nigdy nie dość mu było przypraw, ozdóbek i wymyślnych dodatków.

Odstawiła kieliszek na stary kuchenny sosnowy stół o zniszczonym blacie i jeszcze raz wymieszała sałatkę.

Gotowe, uznała. Pociągnęła łyk wina i wróciła do kuchenki, by spróbować sosu. Doskonały.

Wyłączyła palnik. Podgrzeje sos jeszcze przez minutę, kiedy już oboje z Woodym będą gotowi do zjedzenia kolacji. Spojrzała na zegarek. Gdzie on się podziewa? Zwykle przychodził wcześniej. I zawsze zostawał do późna.

Judith Gould

Czas na pożegnanie

fsiadła i zaczęła przerzucać kartki czasopisma poświęconego dzianiu ogrodów, ale myślała o Woodym.

awsze wywoływał na jej twarzy uśmiech. W pewnym sensie przy-inał Piotrusia Pana, miał w sobie coś z pluszowego misia i uwiel-surfing. Był od niej starszy o rok, skończył już trzydzieści trzy la-zachowywał się jak szesnastolatek. Przyjaźnił się z Rogerem, gdy dorastali, a teraz uprawiał obrazy w Capitoli. Miał kręcone włosy amion, muskularne, zawsze opalone ciało, a jego olśniewająco bia-śmiech ją rozbijał. Gdy tylko pojął, że April nie jest nim zaintereso-ana w ten szczególny sposób, albo może nie jest gotowa do kolej-3 związku, natychmiast zrezygnował z wszelkich sztuczek i na atek zrobił to z ogromnym wdziękiem. Może dlatego, że był przyziem Rogera? A może z szacunku dla niej? Nie miała co do tego ności, ale była mu wdzięczna, że nie próbował żadnych numerów ;ylu uwodzicielskiego Casanovy albo odtrąconego absztyfikanta. Stopniowo stał się prawdziwym kumplem, a ich znajomość po-wiona była komplikujących życie podtekstów seksualnych. April lejrzewała, że Woody jednak wciąż miał nadzieję na coś więcej, też nie poganiał jej, nie namawiał i nie naciskał. Wypiła kolejny łyk wina i zamknęła magazyn. Znowu spojrzała zegarek.

Dlaczego się spóźnia?

Zupełnie jakby ściągnęła go myślami: akurat w tej chwili usły-iła skrzypnięcie drzwi salonu.

- April? Heeej, gdzie jesteś? - dał się słyszeć głęboki baryton.

- W kuchni!

Woody stawiał długie zręczne kroki. Ręce wsunął w kieszenie tartych lewisów, częściowo zakrytych przez wypuszczoną luźno szulę w krzykliwe hawajskie wzory.

- Ale pachnie! - Pociągnął nosem. W oczach rozbłysły mu psot-iskry. Pocałował April w czoło.

- Nalej sobie wina. - Chciała wstać po kieliszek.

- Siedź, sam wezmę. - Wyjął go z szafki, nalał sobie chardonnay usiadł naprzeciwko gospodyni. - Twoje zdrowie! - powiedział, losząc szkło.

- I twoje. - Stuknęli się lekko kieliszkami. - Jak ci minął dzień?

- Miałem co robić. - Zabębnił palcami po stole. - Mnóstwo sta-ch zamówień, sporo nowych...

Odwałem trochę roboty papierko-ej, no wiesz. Dzień jak co dzień. - Jego dłonie znieruchomiały. A co u ciebie?

- U mnie wręcz przeciwnie - odrzekła April z dumą.

- Tak? A co się działo?

- Rozmawiałam o dużym zleceniu z pewną kobietą, która chce, żebym dla niej zaprojektowała... coś w rodzaju grotty.

- Ciekawe! - Uniósł brwi.

- Chce zaadaptować kamienny budynek dawnej stajni - uściśliła April. - Zaplanowała wnętrze z muszli i kamieni, ozdobione freskami.

- No, nieźle! Widzę, że szykuje ci się większa robota.

- Rzeczywiście.

- Podejmiesz się?

- Jeszcze nie wiem. Jadę tam jutro, obejrzeć budynek i sprecyzować, jak by to miało wyglądać... - Urwała, by napić się wina. - Jeśli okaże się, że właściwie ją zrozumiałam, a taką mam nadzieję, bo podoba mi się ten pomysł, będzie to najwspanialsze zlecenie od wieków. I największe.

- Wobec tego trzymam kciuki.

- Trzymaj, bo jest za co - zgodziła się skwapliwie. - Freski, orchidee i...

- Orchidee? - Zaalarmowany Woody podniósł pytający wzrok na April.

- Moja zleceniodawczyni i jej mąż hodują orchidee. Woody zeszytniał.

- Jak ona się nazywa?

- Joanna Lawrence. Jest...

- Wiem, jaka jest - odparł ponuro.

- Naprawdę?

- Jak najbardziej. Robiłem coś dla niej. - Pociągnął solidny łyk wina i zdecydowanym ruchem odstawił kieliszek. - Jest taka sama jak te wszystkie bogate baby. Rozpuszczona do granic możliwości, arogancka egoistka.

- Wydała mi się całkiem miła - zaprotestowała April. - Nazwałabym ją nawet kobietą z klasą. Woody jednym haustem opróżnił kieliszek, a potem napełnił go ponownie.

- O, to prawda - zgodził się ironicznie. - Fakt, robi wrażenie kobiety z klasą. Ale w rzeczywistości jest tylko jedną z wielu nadzianych snobek. Uwierz mi, wiem swoje, wychowałem się w tych stronach i znam takich ludzi od podszewki. Szanowna pani Joanna Lawrence pochodzi z bardzo starej rodziny, jej ojciec był strasznym waźniakiem, starsza siostra lata z przyjęcia na przyjęcie i tak dalej.

Judith Gould

imiesz, jak zaczniesz balować w San Francisco, to kończy w Los Angeles. A wtedy robi w tył zwrot i zaczyna kolejną rundę po im-kach dla forsiastych nierobów. April słuchała tej tyrady z

niebotycznym zdumieniem. Strasznie jesteś rozgoryczony - odezwała się w końcu, ogóle cię nie poznaję!

- Fakt, trochę mnie poniosło. - Odetchnął głęboko. - Tak czy ;zej, muszę cię ostrzec. Bądź ostrożna, nie daj się oszukać. Na rno będzie chciała cię wykorzystać na wszelkie możliwe sposoby. Izie pokroju Joanny Lawrence myślą tylko o sobie. April uważnie przyjrzała się przyjacielowi znad kieliszka. Widy-ta już Woody'ego w podobnym stanie. Zdarzało mu się szukać ury w całym, miał talent do dramatyzowania. Tym razem jed-s. wyczuwała w jego zachowaniu jakąś istotną odmianę.

- Będę uważać - obiecała. - Dziękuję ci za ostrzeżenie. Bogiem >rawdą, zwykle nie wiem, z kim mam do czynienia, i jakim czło-ekiem jest mój klient. Niektórzy naprawdę potrafią zaleźć za órę... I rzeczywiście, w zasadzie im bogatsi, tym gorsi i bardziej api. - Pokiwała głową w zamyśleniu. - No dobrze. A teraz, niech i pan powie, panie Pearlman, czy jest pan głodny?

- Jak wilk! - zawołał. Białe zęby, kontrastujące z opalenizną, ysnęły w szerokim uśmiechu.

- Wobec tego, nakrywaj do stołu - zarządziła April. - A ja już po-aję kolację.

- Nie ma sprawy. - Wstał i sięgnął do kuchennych szafek po na-zynia.

Jakiś czas później, gdy na talerzach nie zostało już nic, April •raz Woody, wygodnie rozciągnięci na sofach w saloniku, leniwie wpijali kawę. W wielkim kominku wesoło trzaskał ogień, więc niestraszny był im chłód wiosennego wieczoru. Ciepły blask spowijał ich twarze, meble, ściany.

- Zgadnij, kogo spotkałem w weekend - odezwał się Woody.

- Nie wiem, nie będę zgadywać, mów.

- Davida Jarmana! - zaśmiał się Woody.

- O rany! Nie psuj mi humoru!

- Nie żartuj! Myślałem, że chętnie o nim posłuchasz. - W oczach mężczyzny zapłonęły psotne iskierki. - Przyszedł z taką laleczką... mówię ci, Barbie prosto z pudełka. Tleniony blond, duuuże niebieskie oczy, nogi do sufitu, skórzana mini do pępka... - Nie wytrzymał i roześmiał się głośno.

April mu zawtórowała.

- Chyba wreszcie znalazł kobietę doskonałą.

- Ożeni się z reklamą chirurgii plastycznej!

- I bardzo dobrze. Dostanie, na co zasłużył. Z drugiej strony, kto wie, ta dziewczyna może być całkiem miła i niegłupia.

- Ależ oczywiście - zgodził się Woody kpiąco. - Z całą pewnością.

- A ja miałam nadzieję, że David czeka na mnie... - April westchnęła z udawanym smutkiem.

- Niestety, ci milionerzy z Doliny Krzemowej zawsze tak się śpieszą, prawda? Nie mają czasu porządnie się rozejrzeć dookoła, tacy są zajęci robieniem kasy... Rany!

- Klepnęła się otwartą dłonią w czoło. - I pomyśleć, że ja z nim chodziłam...! Z tym... z tym wulkanem testosteronu! I to ty - oskarży-cielsko wycelowała w Woody'ego palcem - ty nas sobie przedstawiłeś!

- Rzeczywiście - przyznał się bez wykrętów - ale nie wiedziałem, że będzie się do ciebie przystawiał.

- Gadaj zdrów!

- Poważnie. - Woody usiadł. - Przysięgam ci, tego nie przewidziałem. Przecież wiadomo wszem wobec, że kiedy taki rekin finansowy pojawia się w weekend na plaży, chodzi mu tylko i wyłącznie o jedno. Bez żadnych niedomówień.

- Tym bardziej dziwi mnie, że nas ze sobą poznałeś.

- A skąd miałem wiedzieć, że akurat ty wpadniesz mu w oko?

- bronił się niezdarne. - Naprawdę, gdybym wiedział, tobym cię nie wystawił, słowo.

- Dobrze już, dobrze. Mniejsza o większość. Ale wyciągnij odpowiednie wnioski na przyszłość. Do tej pory na myśl o tym facecie dostaję gęsiej skórki. - Wstrząsnęła się z obrzydzeniem. - Swoją drogą

- podjęła tonem filozoficznych rozważań - ten człowiek dowiódł, iż nie trzeba być zarozumiałym hollywoodzkim aktorem o potężnie rozdętym ego, żeby być zarozumiałym i mieć potężnie rozdęte ego. Magik od bajtów i kilobajtów, zbijający gruby szmal w Dolinie Krzemowej, może być tak samo zarozumiałym facetem i mieć równie potężnie rozdęte ego. - Roześmiała się głośno. - Jeden kit.

- Nie wszyscy mężczyźni są jednakowi - stwierdził Woody.

- Wiem, wiem. Ty taki nie jesteś. W każdym razie, tak mi się wydaje. Cóż, pewnie po prostu nie spotkałam jeszcze tego właściwego... - Podniosła wzrok na przyjaciela. - Ale mam już trzydzieści dwa lata. I coraz mniejsze szansę.

Woody wstał, obszedł stolik między sofami i usiadł obok April. Skromnie cmoknął ją w czoło.

_____ JudithGould _____1

Lmiesz, jak zacznie balować w San Francisco, to kończy w Los jles. A wtedy robi w tył zwrot i zaczyna kolejną rundę po im-kach dla forsiastych nierobów. ipril słuchała tej tyrady z niebotycznym zdumieniem. Strasznie jesteś rozgoryczony - odezwała się w końcu, ogóle cię nie poznaję!

- Fakt, trochę mnie poniosło. - Odetchnął głęboko. - Tak czy :zej, muszę cię ostrzec. Bądź ostrożna, nie daj się oszukać. Na mo będzie chciała cię wykorzystać na wszelkie możliwe sposoby. Izie pokroju Joanny Lawrence myślą tylko o sobie.

April uważnie przyjrzała się przyjacielowi znad kieliszka. Widy-, ta już Woody'ego w podobnym stanie. Zdarzało mu się szukać ury w całym, miał talent do dramatyzowania. Tym razem jedli wyczuwała w jego zachowaniu jakąś istotną odmianę.

- Będę uważać - obiecała. - Dziękuję ci za ostrzeżenie. Bogiem wawdą, zwykle nie wiem, z kim mam do czynienia, i jakim czło-ekiem jest mój klient. Niektórzy naprawdę potrafią zaleźć za órę... I rzeczywiście, w zasadzie im bogatsi, tym gorsi i bardziej api. - Pokiwała głową w zamyśleniu. - No dobrze. A teraz, niech i pan powie, panie Pearlman, czy jest pan głodny?

- Jak wilk! - zawołał. Białe zęby, kontrastujące z opalenizną, [ysnęły w szerokim uśmiechu.

- Wobec tego, nakrywaj do stołu - zarządziła April. - A ja już po-aję kolację.

- Nie ma sprawy. - Wstał i sięgnął do kuchennych szafek po na-zynia.

Jakiś czas później, gdy na talerzach nie zostało już nic, April >raz Woody, wygodnie rozciągnięci na sofach w saloniku, leniwie wpijali kawę. W wielkim kominku wesoło trzaskał ogień, więc niestraszny był im chłód wiosennego wieczoru. Ciepły blask spowijał ich twarze, meble, ściany.

- Zgadnij, kogo spotkałem w weekend - odezwał się Woody.

- Nie wiem, nie będę zgadywać, mów.

- Davida Jarmana! - zaśmiał się Woody.

- O rany! Nie psuj mi humoru!

- Nie żartuj! Myślałem, że chętnie o nim posłuchasz. - W oczach mężczyzny zapłonęły psotne iskierki. - Przyszedł z taką laleczką... mówię ci, Barbie prosto z pudełka. Tleniony blond, duuuże niebieskie oczy, nogi do sufitu, skórzana mini do pępka... - Nie wytrzymał i roześmiał się głośno.

Czas na pożegnanie

47

April mu zawtórowała.

- Chyba wreszcie znalazł kobietę doskonałą.

- Ożeni się z reklamą chirurgii plastycznej!

- I bardzo dobrze. Dostanie, na co zasłużył. Z drugiej strony, kto wie, ta dziewczyna może być całkiem miła i niegłupia.

- Ależ oczywiście - zgodził się Woody kpiąco. - Z całą pewnością.

- A ja miałam nadzieję, że David czeka na mnie... - April westchnęła z udawanym smutkiem.

- Niestety, ci milionerzy z Doliny Krzemowej zawsze tak się śpieszą, prawda? Nie mają czasu porządnie się rozejrzeć dookoła, tacy są zajęci robieniem kasy... Rany!

- Klepnęła się otwartą dłonią w czoło. - I pomyśleć, że ja z nim chodziłam...! Z tym... z tym wulkanem testosteronu! I to ty - oskarży-cielsko wycelowała w Woody'ego palcem - ty nas sobie przedstawiłeś!

- Rzeczywiście - przyznał się bez wykrętów - ale nie wiedziałem, że będzie się do ciebie przystawiał.

- Gadaj zdrów!

- Poważnie. - Woody usiadł. - Przysięgam ci, tego nie przewidziałem. Przecież wiadomo wszem wobec, że kiedy taki rekin finansowy pojawia się w weekend na plaży, chodzi mu tylko i wyłącznie o jedno. Bez żadnych niedomówień.

- Tym bardziej dziwi mnie, że nas ze sobą poznałeś.

- A skąd miałem wiedzieć, że akurat ty wpadniesz mu w oko?

- bronił się niezdarne. - Naprawdę, gdybym wiedział, tobym cię nie wystawił, słowo.

- Dobrze już, dobrze. Mniejsza o większość. Ale wyciągnij odpowiednie wnioski na przyszłość. Do tej pory na myśl o tym facecie dostaję gęsiej skórki. - Wstrząsnęła się z obrzydzeniem. - Swoją drogą

- podjęła tonem filozoficznych rozważań - ten człowiek dowiódł, iż nie trzeba być zarozumiałym hollywoodzkim aktorem o potężnie rozdętym ego, żeby być zarozumiałym i mieć potężnie rozdęte ego. Magik od bajtów i kilobajtów, zbijający gruby szmal w Dolinie Krzemowej, może być tak samo zarozumiałym facetem i mieć równie potężnie rozdęte ego. - Roześmiała się głośno. - Jeden kit.

- Nie wszyscy mężczyźni są jednakowi - stwierdził Woody.

- Wiem, wiem. Ty taki nie jesteś. W każdym razie, tak mi się wydaje. Cóż, pewnie po prostu nie spotkałam jeszcze tego właściwego... - Podniosła wzrok na przyjaciela. - Ale mam już trzydzieści dwa lata. I coraz mniejsze szansę.

Woody wstał, obszedł stolik między sofami i usiadł obok April. Skromnie cmoknął ją w czoło.

Judith Gould

- Zawsze masz mnie - rzekł poważnie.

- Wiem, dzięki. - Ścisnęła jego silną dłoń. - Jesteś kochany. Mimo wszystko opanowały ją niewesołe myśli.

Jakie właściwie mam szansę?, zaczęła się zastanawiać. Od cza-w gimnazjum bez przerwy chodziłam na randki. W końcu znalaz-am sobie męża... Teraz spotykam mężczyzn, z którymi niejedna)bieta chętnie by się umówiła, a nawet z ochotą wyszłaby za jed-;go z nich za męż. Dlaczego żaden mi nie pasuje, żaden nie wyda-się odpowiedni? Czy wina leży po mojej stronie? Czy do końca ży-a będę sama?

Poczuła się jakoś dziwnie. Trzydzieści dwa lata - i samotna. Bez idziny. Zostali jej tylko dalecy krewni. Bez realnych perspektyw kwestii zamążpójścia, oczywiście, jeśli wykluczyć z tych rozwa-iń Woody'ego. Z drugiej strony, przecież kochała niezależność, wo-jc czego należało się liczyć z konsekwencjami takiego stanu.

Gdzieś w głębi serca czy może duszy jakiś głos szeptał cichutko, niedługo jej życie się odmieni. Czy na lepsze, czy też na gorsze nie wiedziała. Miała jednak przecucie, że wpływ na wydarzenia ie będzie jej dany.

Rozdział szósty

-/oshua wjechał na szczyt wzgórza i zatrzymał swoją żółtą toyotę na zwirowanym podjeździe przed domem. Mercedesa Joanny nie widział ani tutaj, ani w szeroko otwartym garażu, natomiast w kącie dziedzińca na swoim stałym miejscu tkwił staruteńki plymouth voyager należący do Connie. Wyłączył silnik i wyskoczył z wozu.

Connie na pewno będzie wiedziała, gdzie szukać Joanny, pomyślał.

Gdy wchodził po kamiennych schodach, poczuł oszałamiającą woń chińskiej glicynii. Akurat zaczęła kwitnąć, na pergoli biegnącej wzdłuż ściany budynku otwierały się całe pęki niebieskofioleto-wych groniastych kwiatostanów.

Już miał przekroczyć próg, gdy przypadkiem opuścił wzrok na buty.

- O, szlag! - wyrwało mu się.

Jak zawsze przyniósł na nich imponującą porcję błota ze szklarni, nie sposób było ich oczyścić na wycieracze. Skręcił w lewo, zdecydowanym krokiem minął długą pergolę, dotarł do furtki, za którą wąska ścieżka prowadziła przez ogród ku bocznemu wejściu z przedsionkiem. Otwierając przeszkłone drzwi, zawołał Connie. Odpowiedziała mu cisza.

Usiadł na sosnowej ławie tuż za drzwiami, rozwiązał sznurowadła, zdjął buty i skarpetki. Na bosaka ruszył korytarzem do kuchni.

- Connie! - zawołał ponownie.

I znów nie doczekał się odpowiedzi. Tutaj także nie było żywej duszy, ale przez okno dojrzał osobę, której szukał na tarasie. Przy uchu trzymała telefon komórkowy. Jakże by inaczej?

Connie, podobnie jak jej szwagierka, Luna, uwielbiała ploteczki przez telefon. Z kim

rozmawiała i o czym - Josh nie miał pojęcia, gdyż jego znajomość hiszpańskiego okazywała się stanowczo niewystarczająca wo-

Judith Gould

gradu słów sypiących się z szybkością pocisków wystrzeliwających z karabinu maszynowego.

^ie chciał przeszkadzać, więc cofnął się od okna. Spojrzał na wielką czarną tabliczkę przy lodówce, ale i tam nie dostrzegł tej wiadomości od Joanny. Kompletnie nic. Sięgnął do chłodziarki i wyjął butelkę białego wina. Dobrze jest przepłukać gardło. aszcza po długim dniu w upalnej szklarni. Nalał sobie kieliszek tkiem zapomniawszy o Connie, podszedł do okna.

rym razem dostrzegła go kątem oka i natychmiast przerwała mowę.

- Connie, mówiłem ci tysiąc razy, że nie musisz wyłączać telefonu na mój widok - odezwał się Joshua.

- Wiem, pamiętam - odparła z lekkim obcym akcentem. - I tak skończyłam. - Uśmiechnęła się. - Takie tam, babskie plotki.

ciągnęła z włosów gumkę przytrzymującą koński ogon i przecze-i pasma palcami. - Jak interesy?

- W porządku - rzucił Josh odruchowo, po czym dodał: - Choć nie do końca.

- A co się stało? - Twarz młodej kobiety wyrażała niekłamaną troskę. Joshua przyjrzał jej się z namysłem.

- Napijesz się ze mną wina? - spytał z niewesołym uśmiechem.

- Zawsze znajdę dla ciebie parę chwil - zapewniła go. - I chętnie napiję. - Wyjęła z lodówki butelkę i napełniła dla siebie kieliszek.

- Wyjdziemy na taras?

- Chodźmy.

Poszła pierwsza. Drobną, zgrabną, cała w czerni. Ubrana w pro-' top z dzianiny i dzinsy, wetknięte w kowbojskie buty. Nikt by się niej nie domyślił gospośi. A co więcej, posiadała zdumiewającą jak swoje lata życiową mądrość.

Usiedli pod wielkim parasolem, przy ogrodowym stole z drewna towego, który najlepsze lata miał dawno za sobą. Kamienny taras ł nadspodziewanie przestronny, prowadziły nań wyjścia

z prawie wszystkich pomieszczeń na parterze, gdyż dom miał kształt podko-j. Przed nimi połyskiwał w słońcu basen, jego turkusową po-erzchnię leciutko marszczył słaby powiew wiatru. W dali okryte gielką wiosennej zieleni pasmo górskie Santa Cruz urzekowało suro-% urodą, najeżone spiczastymi wierzchołkami i pocięte kanionami.

- Mów, Josh, co cię martwi?

- Czy nie wydaje ci się, że Joanna zachowuje się ostatnio jakoś... riwnie? - Westchnął ciężko.

Czas na pożegnanie

Gospościa odwróciła wzrok.

- Hm... - Zabębniła pomalowanymi na różowo paznokciami w tekowy blat. - Bo ja wiem...?

- Jesteś inteligentna i spostrzegawcza... - Joshua wiedział, że jeśli Connie zacznie mówić, powie wszystko, co myśli. Mało tego, uwielbiała spiskować, co wcale nie oznaczało, że zniżyłaby się do złośliwości lub oszustwa.

- Wydaje mi się, że siostra wywiera na nią niezbyt dobry wpływ...

- Rzuciła mu porozumiewawcze spojrzenie. - Wredna baba!

Joshua wbrew sobie roześmiał się głośno.

- Trudno to lepiej ująć - przyznał. Zaraz jednak spowaźniał. -Ale nie w tym rzecz. Mam wrażenie, że chodzi o coś poważniejszego. Zaczynam się nie na żarty o nią obawiać. Dlatego chciałbym wiedzieć, co o tym sądzisz i co widzisz. Nikt nie zna Joanny lepiej, wiem, że nie macie przed sobą tajemnic.

Connie wypiła łyk wina i z uwagą odstawiła kieliszek.

- Cóż, chyba muszę ci przyznać rację. - Zapatrzyła się w dal.

- Ciągle gdzieś ją nosi, a nawet jeśli zostaje w domu, wyraźnie myślami jest gdzieś indziej. To rzeczywiście dziwne.

Joshua bez słowa pokiwał głową. Dobrze, pomyślał. Połknęła przynętę.

- Jest mało przytomna - podjęła Connie. - Jakby żyła we własnym świecie. I przestała mi mówić, dokąd się wybiera. - Popatrzyła na Joshuę znacząco.

- Mnie też nic nie mówi - przyznał. - Domyślasz się czegoś?

- Nie - odrzekła Connie. - Joanna w nic mnie nie wtajemnicza. Zaczęłam się już zastanawiać, czy przypadkiem nie ukrywa jakiejś większej sprawy.

- Uważasz, że ma jakieś poważne zmartwienie?

- Trudno powiedzieć. Ale rzeczywiście, bywały ostatnio takie chwile, że zachowywała się po prostu wstrętne, to fakt. Potrafiła się koszmarnie czepiać o całkiem nieistotne drobiazgi.

Josh wiedział, że jego żona traktuje Connie jak siostrę, więc potraktował jej spostrzeżenia całkiem serio.

- Też to zauważyłem. I to też mnie martwi, bo takie zachowanie jest u niej całkiem niezwykle.

- To fakt. - Connie znów zabębniła w stół różowymi paznokciami. - Misterioso - rzekła ponuro.

- Jak sądzisz... - Joshua nie zdążył dokończyć pytania, bo przerwał mu dźwięczny głos żony. Judith Gould

Witajcie, kochani! - zawołała Joanna z entuzjazmem. Postawiła podłódze kilka papierowych toreb z zakupami i przeszła na

Witaj, moja piękna. - Josh podniósł się i ucałował ją w policzek. - Napijesz się z nami? Chętnie. Wszedł do kuchni po kieliszek, a Joanna serdecznie cmoknęła go i usiadła.

Przerwałam wam babskie ploty? - Oczy jej błyszczały. Nie, coś ty - zaprzeczyła Connie. -

Podziwialiśmy krajobraz. A od kiedy to masz czas na podziwianie krajobrazu? Od teraz! - odparła gospoia i obie wybuchnęły śmiechem, onnie doskonale zdawała sobie sprawę, że Joanna odgadła, o czym rozmawiali, ale też miała błogą świadomość, iż przyjaciółka wyciągała informacje i pozwoli rozkoszować się tą całą konspiracją.

Wrócił Joshua z kieliszkiem dla Joanny, postawił go na stole obok.

Dziękuję. - Joanna od razu podniosła wino do ust. - Mmm...! Iłone. Jak ci minął dzień? - spytała męża. Joshua był w rozterce. Nie chciał psuć żonie humoru, ale prze-nie mógł przed nią zatajać przykrych wieści.

- Byłem dzisiaj pracowity jak pszczołka - zaczął lekkim tonem, największą starannością zapyliłem kilka naprawę wyjątko-

h okazji. Niestety, musiałem przerwać to fascynujące zajęcie, bo Carl zadzwonił z pilną sprawą.

Wezwał mnie do szklarni na dole, założył, że zawiódł komputerowy system nawilżaczy.

Liczymy z dwiema możliwościami: błędem w programie albo celowym kodzeniem.

- Co takiego?! - wykrzyknęła Joanna. - Boże! Są jakieś straty? Jezu Chryste, pomyślała zrezygnowana. Jeszcze tylko tego mi trzeba.

- Tym razem mieliśmy szczęście, nic strasznego się nie stało, ić mogłoby się to skończyć katastrofą. Trudno nawet powiedzieć,

długo nawilżacze nie działały. Mogły się zepsuć choćby i w piątek po południu. Pamiętasz?

Cały weekend zajmowaliśmy się Chrysią, żadne z nas nie zajrzało do kwiatów. - Przeniósł spojrzenie

Connie. - Kilko pracowników kręciło się po szklarniach, ale kiedy Carl zauważył, że nawilżacze nie funkcjonują. Jesteśmy mu ani ogromną wdzięczność.

Czas na pożegnanie

Gospoia tylko kiwnęła głową.

- Josh - odezwała się cicho Joanna - twoim zdaniem naprawdę istnieje możliwość, że ktoś celowo uszkodził system?

- Nie można tego wykluczyć - przyznał. - Z drugiej strony, należy brać pod uwagę fakt, że policja nie znalazła żadnych śladów włamania. Nic podejrzanego. Tylko że zdaniem fachowców z firmy, która instalowała urządzenia, nie zawiódł program komputerowy.

- Przepraszam was. - Connie wstała. - Muszę lecieć.

- Może jeszcze odrobinę wina? - zaproponowała Joanna.

- Nie, nie, dzięki. Naprawdę na mnie już czas. - Connie serdecznie ucałowała ją w policzek. - Do jutra.

- Trzymaj się - Joshua mrugnął porozumiewawczo. - Do zobaczenia.

Gospoia pomachała im samymi palcami, obróciła się na pięcie i już jej nie było.

Joanna popatrzyła na Josha w zamyśleniu.

- Powiedziałeś policjantom o braciach Rossi? O tym, że chcą przejąć naszą firmę?

- Nie. Bałem się, że mogliby nas posądzić o paranoję. Przecież Rossi nie zdecydowaliby się na takie ryzyko! A przy tym, policja nie znalazła żadnych śladów włamania...

- Tak... chyba masz rację. Coś mi jednak mówi, że ci dwaj mogli maczać w tym palce.

- Na pewno trzeba ich brać pod uwagę - zgodził się Joshua. - Wyobraź sobie, Peter Rossi zadzwonił do mnie do biura! Spytał, czy przypadkiem nie zmieniłem zdania na temat sprzedaży farmy.

- Coś podobnego! Co za bezczelność! Ten człowiek nie ma żadnych skrupułów!

- Na to wygląda. Krąży o nim pewna opowieść, która nie stawia go w najlepszym świetle... Pamiętasz, jak wykupili starego Giglio? A zaraz potem budynki na jego farmie spłonęły? Podobno były one niepotrzebne braciom Rossi, ale szkoda im było pieniędzy na rozbiórkę, więc wynajęli jakiegoś zbira, żeby je podpalił. Nie dość, że mieli mniej roboty, to jeszcze zgarnęli ubezpieczenie.

- Josh, moim zdaniem ci ludzie są niebezpieczni - oznajmiła Joanna z mocą. - I zdolni do wszystkiego.

- Mimo wszystko chyba sobie z nimi poradzę - odparł z uśmiechem. - Dostyc już o mnie, powiedz teraz, jak tobie minął dzień. - Nie wiedział, czy otrzyma szczerą odpowiedź.

Oczywiście, robiła zakupy, to było widać, ale z pewnością nie siedziała w sklepach do tej pory.

Judith Gould

Czas na pożegnanie

Foanna aż się cała rozjaśniła.

- Och, Josh, wyobraź sobie, poznałam dzisiaj niesamowitą kobietę. Jcieszył się z jej entuzjazmu.

-Kto to taki?

- Pamiętasz fontannę i mur otaczający ogród u Ingrid i Ronalda sonów?

- Oczywiście. Faktycznie, piękne, a ty wprost oczu nie mogłaś rwać od tych cacuszek.

- Zadzwoiłam do Ingrid i wyciągnęłam z niej, kto im zaprojek-rał te cuda - oznajmiła Joanna z dumą.

- Rozumiem, że ta osoba mieszka gdzieś w pobliżu?

- I owszem. Nazywa się April Woodward. Ma dom całkiem nie-eko. Od razu się z nią umówiłam i dzisiaj do niej pojechałam, 'rzekrzywiła głowę i popatrzyła na męża zmrużonymi oczami, glarnym uśmiechem na ustach.

- Ty coś knujesz - uznał Joshua.

- Jutro przyjedzie do nas obejrzeć stajnię - oznajmiła Joanna, kłam cudowne wrażenie, że jest równie zafascynowana moimi Łnami jak ja sama.

- Doskonale! - uradował się Josh. - Tylko... aż mi się nie chce szryć, że masz siłę na tak ogromne przedsięwzięcie. Rzeczywi-e, fontanna i mur u Wilsonów bardzo mi się podobały, ale też wyrażam sobie, ile pracy wymagało zbudowanie obu tych cudów.

- Czuję, że muszę to zrobić - odrzekła stanowczo. - Tyle lat ierałam te wszystkie piękne muszle i kolorowe kamienie, zawsze irzyłam, by wykorzystać je do stworzenia czegoś w rodzaju groty.

- Och, kochanie, jesteś niesamowita! - Joshua ujął dłoń żony. iwno już nie widział Joanny w tak dobrym nastroju. Wreszcie zy-ał przekonanie, że znowu jest taka jak zawsze. - Muszę ci wy-ać, że to twoje hobby zawsze było jedyną cechą budzącą we mnie epokój. Moim zdaniem nawet graniczyło z obsesją.

- Rzeczywiście - roześmiała się Joanna - to silniejsze ode mnie. Wy-iraż sobie, zawiozłam April zdjęcia, które zbierałam specjalnie na taką azję... te przepiękne wnętrza, wykładane muszlami i kolorowymi ytkami... I wiesz co? - Spojrzała na męża oczami pełnymi entuzjazmu.

- No mów już, mów.

- Nie wzięła mnie za wariatkę! - oznajmiła Joanna z triumfem. Oboje się roześmieli.

- Widzisz, Josh - podjęła po chwili - wydaje mi się, że April na-:awdę rozumie, czego bym chciała.

- Zdumiewające! - wykrzyknął Joshua kpiąco. - Może też jest szalona?

- Ty wstąpięciuchu! - Joanna czule ścisnęła dłoń męża. - Bądźże czasem poważny. Posłuchaj: April zrobiła już coś podobnego do mojej wymarzonej groty, dla jakiegoś zleceniodawcy z Los Angeles. Więc takie zamówienie nie będzie dla niej całkowitą nowością, choć tamto było dużo mniejsze. No i tak. - Zamyśliła się na kilka chwil.

- Jutro się przekonamy...

- Oby wszystko poszło, po twojej myśli... Czy jesteś zupełnie pewna, że masz ochotę na realizację takiego dużego projektu? Nie neguję twoich planów, ale...

- Joshua, ta grota jest dla mnie bardzo ważna. Muszę ją zbudować. Jest... jak spadek. To coś takiego jak ten album o orchideach, rozumiesz? - Obdarzyła męża tęsknym, zadumanym spojrzeniem.

- To ma być częśćka mnie. Mój ślad na ziemi. Coś, co po mnie zostanie... kiedy mnie już nie będzie.

Joshua odetchnął z ulgą. Właśnie zyskał pewność, że nie ma powodów, aby się martwić zachowaniem żony.

- Jesteś bardzo podobna do ojca.

- Dlaczego? - spytała z uśmiechem, bo doskonale знаła odpowiedź. Chciała ją jednak usłyszeć.

- Jesteś marzycielką o twórczym umyśle - rzekł Joshua. - Słuchasz podszeptów ducha, niepospolitych kreatywnych impulsów, które domagają się wyrażenia w niespotykanej formie. No i pragniesz zostawić po sobie wyraźny ślad.

Joanna spuściła wzrok i zarumieniła się lekko. Od wina i od słów męża.

- Chyba każdy chce stworzyć coś znaczącego. - Podniosła oczy na Joshuę. - Chcemy być potrzebni, zostawić po sobie coś pamiętnego, dzięki czemu nie przeminiemy z wiatrem, dzięki czemu choć odrobinę upiększymy świat.

- Wiesz co? -Co?

- Kocham cię - powiedział Joshua cicho. - Kocham cię całym sercem.

Na ustach Joanny pojawił się drżący uśmiech. W oczach zalśniły łzy.

- Ja ciebie też kocham. Kocham cię nad życie.

Rozdział siódmy

ril z godną pozazdrosczenia swobodą prowadziła ukochanego
łzewiałego dżipa niebezpiecznie wąską i krętą górską drogą.

liniała jedynie wówczas, gdy na skrzyżowaniach szukała charakterystycznych punktów krajobrazu, opisanych przez Joannę. Sa przypominała tę, która wiodła do jej domu - była jednocześnie śmiertelnie niebezpieczna i zabójczo piękna, nakryta rozłożonym dachem jodeł, cyprysów, sekwoi, eukaliptusów oraz dę- t i pożłobiona przez wodę, która spływając ze stromych stoków, mywała podłoże. Miejscami zmieniała się w jednopasmówkę. Za ostatnim zakrętem uwzględnionym w notatkach od Joanny ril wjechała na kolejny szczyt. Spodziewała się wszystkiego, ale taki widok nie była przygotowana. Dżip ledwo się toczył, a ona hwycała się przepychem naturalnego piękna. Pagórki i doliny ybrały się już w wiosenną zieleń, upstrzoną jaskrawymi plamka- dziko rosnących kwiatów. Bogactwo kolorów i kształtów zapie- 0 dech w piersiach.

W pewnym oddaleniu widać już było żwirowany podjazd do do- 1 Joanny. Prowadziła do niego droga ujęta w dwa rzędy starych »łoni. Wjazdu na teren posiadłości strzegła para kamiennych słu-w, zwieńczonych miedzianymi latarniami, które na zielono przy-ószyła patyna. Ciężka brama z czarnego żelaza stała otworem, zwarta w serdecznym zaproszeniu. Z takiego samego żelaza wy-ito ogrodzenie otaczające sad i ogrody wokół domu.

Wjechała między kamiennymi słupami na obszerny dziedziniec. > lewej stronie wznosił się duży dom kryty szarymi gontami, ze ieżnobiałymi akantami i okiennicami. Wzdłuż ściany ciągnęła się

Czas na pożegnanie

57

pergola ciężka od niebieskofioletowej glicynii. Na prawo stała druga, obrośnięta różami, przywodzącymi na myśl dawne czasy. Tysiące bladoróżowych kwiatów spowijało ją słodkim obłokiem. Widać było, że mieszkają tu ludzie dobrze sytuowani nie od dzisiaj, dostatek zdążył się utrwalić, wspierany wszechobecną dbałością i miłością do tego miejsca.

Wysiadła z dżipa, wyciągnęła swoją dużą torbę i po kamiennych stopniach podeszła do frontowych drzwi. Pomalowano je ciemnozieloną farbą, była to zieleń z odcieniem granatu. April zadzwoniła.

Na progu stanęła prześliczna młoda kobieta o kruczoczarnych lśniących włosach i błyszczących ciemnych oczach.

- Cześć - powitała gościa bezceremonialnie. - April, prawda?

- Zgadza się - odpowiedziała April z uśmiechem.

- Ja jestem Connie. - Odsunęła się na bok. - Chodź, Joanna czeka.

April ruszyła za gosposią, rozglądając się na boki. Piękno krajobrazu było niczym w porównaniu z zachwycającym wnętrzem domu. W przestronnym holu królował okrągły stół z czasów regencji, nad nim wisiał roziskrzony kryształowy żyrandol. W głębi szerokie schody prowadziły na piętro. Connie szła żwawym krokiem, więc April ledwo rzuciła okiem na mijane pokoje, ale nie sposób było nie zauważyć dobrze utrzymanego drewna, wypolerowanego srebra i brązu oraz harmonijnie dobranych obić i dywanów.

Dotarły do wysokich balkonowych drzwi na tyłach domu, za którymi rozciągał się rajski widok na kamienny taras i góry jaśniejące wiosenną świeżością. April odwiedziła wiele domów w tej okolicy, niektóre z nich należały do bardzo zamożnych ludzi, ale nigdy dotąd nie spotkała się z tak przecudownie spokojnym luksusem. Miała ochotę przesuwając między palcami leżące się tkaniny, gładzić ciepłe drewno, chłonąć otaczające ją piękno. Tymczasem jednak Connie stała przy drzwiach balkonowych z lekko zniecierpliwionym uśmiechem.

- Tędy - powiedziała, otwierając jedno skrzydło.

- Dziękuję.

Joanna siedziała przy dużym stole z tekowego drzewa, pod ogrodowym parasolem. Na blacie i kamiennej podłodze piętrzyły się książki i kolorowe magazyny. Na widok gościa wstała, zdejmując okulary przeciwsłoneczne.

- Cześć. Cieszę się, że przyjechałaś.

- Witaj - uśmiechnęła się April. - Nie do wiary, jak tu pięknie! Nie miałam pojęcia, że tutaj są takie rajskie zakątki! Mieszkam

Judith Gould

W okolicy już długo, a nigdy mnie nie podkusiło, żeby pojechać tą igrą. - Ogarnęła szerokim gestem basen, mostek, szczyty gór. faprawdę, jak w raju!

- Trudno się sprzeczać z tak trafną opinią. - Joanna wyciągnęła rękę na powitanie. April ujęła jej dłoń dość delikatnie i nie tyle nią rząsnęła, ile lekko ścisnęła. - Chodź, usiądź i powiedz, czego się Dajesz. Jest herbata, woda mineralna, jakieś soki... Nie wiem, na masz ochotę? April usiadła.

- A ty co pijesz? - spytała.

- Zieloną herbatę. Mrożoną.

- To jest to - odrzekła April zdecydowanie. - Tego właśnie mi eba.

- Mogłabyś przynieść dzbanek? - poprosiła Joanna Connie.

- Jasne. - Gospoia zniknęła w kuchni.

Teraz Joanna także usiadła. Uważnie przyjrzała się kobiecie po igiej stronie stołu. Tak, rzeczywiście była piękna. I miała mnó-ro wdzięku.

- Wypijmy spokojnie, a potem cię oprowadzę, dobrze?

April z ciekawością rozglądała się dookoła, chłnąc oczami każ-krzew, kwiat i drzewo. Odetchnęła głęboko, zachwycona świeży-woniami, które niosła lekka bryza.

- Niesamowite miejsce - oznajmiła z podziwem. - Pełne świeżo-, ale takie... emanujące zmysłowością... A jednocześnie nasycone jkojem.

- Chyba trafiłaś w sedno - uznała Joanna po chwili zastanowie-i. - Tak, tutaj panuje zmysłowy spokój.

- Długo tu mieszkasz? - spytała April. Joanna pokiwała głową.

- Właściwie od zawsze. Nigdy nie miałam innego domu. Zbudo-ił go mój ojciec, tutaj się wychowałam. Po ślubie krótki czas miesz-liśmy z Joshem przy plaży, niedaleko Pajaro Dunes, w domku, któ-dostaliśmy od taty w prezencie ślubnym. Trudno go nazwać awdziwym domem, to raczej pawilonik letniskowy, ale widoki były n niesamowite. Po śmierci taty wróciłam do rodzinnego domu.

- Cudownie tutaj - westchnęła April. - I jakoś tak... jak nie Kalifornii. To znaczy... I dom, i cała posiadłość sprawiają wraże-3, jakby tu istniały od zawsze. Rozumiesz, o co mi chodzi? Wy na-awdę zapuściliście tu korzenie.

- Rzeczywiście, większość kalifornijskich domów wygląda ina-

Czas na pożegnanie

59

czej - zgodziła się Joanna z uśmiechem. - Pudełka z winylu postawione najdalej przed tygodniem...

Do stołu podeszła Connie z tacą, na której pysznił się pękaty dzbanek.

- Jest prawdziwy cukier, słodzik i miód - powiedziała, nalewając April mrożonej herbaty. - Co dodać?

- Sama to zrobię, bardzo ci dziękuję.

- Nie ma sprawy. - Odwróciła się do Joanny. - To ja już pójde kończyć lunch, tak?

- Dobrze. Możesz podawać za jakies pół godziny.

- W porządku. - Connie odmaszerowała do kuchni.

- Śliczna ta wasza gospoia - zauważyła April. -I pełna energii.

- Connie jest na wagę złota. Drugiej takiej można by ze świecą szukać. Mój tata przygarnął ją i jej brata, Carla. W zasadzie to prawie ich adoptował. Wtedy jeszcze nazywali się Consuela i Carlos, ich matka przyjechała z obojgiem z Peru, mieszkali w obskurnej przyczepie w jednym z tych strasznych obozów dla imigrantów... No i w efekcie Connie pracuje u nas w domu, a Carl w szklarniach.

- Dlaczego zmienili imiona?

- Chcieli się jak najbardziej zasymilować. Nadal robią, co w ich mocy.

- Ach, czyli są tu nielegalnie.

- Carl ma już obywatelstwo - odparła Joanna. - Ożenił się z Luną Garber, pół Wenezuelką, pół Żydówką, ale urodzoną już w Ameryce. Ona też pracuje w firmie, prowadzi biuro.

Tymczasem Connie... cóż, tutaj sprawa jest nieco bardziej skomplikowana.

- Opowiedz - poprosiła April zaintrygowana.

- Connie znalazła sobie odpowiedniego kandydata na męża. Oczywiście chodziło o białe małżeństwo. Pożyczyliśmy jej pięć tysięcy...

- Dla pana młodego?! - zdumiała się April. Joanna pokiwała głową.

- Najwyraźniej taka jest zwyczajowa stawka za tego rodzaju przysługę. Pobrali się, ale niestety, nie przeszli testów urzędu imigracyjnego.

- Jak to? Nie wiedziałam, że coś takiego w ogóle istnieje!

- Pewnie któraś urzędniczka miała akurat zły dzień. Tak czy inaczej, w administracji szybko się zorientowali, że to oszustwo, bo młodzi niewiele o sobie wiedzieli, nie mówiąc o tym, że nie żyli ze sobą jak mąż z żoną. I w ten sposób Connie nie dostała zielonej karty.

- Biedna! Co z nią teraz będzie?

Judith Gould

| Na razie wynajęliśmy dobrego prawnika specjalizującego się w takich sprawach. Ma niemałe osiągnięcia w podobnych przypadkach, więc jesteśmy dobrej myśli. Tyle tylko, że mąż Connie znik-rzecz jasna razem z gotówką. - Joanna roześmiała się lekko. - Iwsze musi być jakieś „ale”.

- Na to wygląda. - April zamilkła. - Ta dziewczyna wiele wam dziewczęca - odezwała się po chwili.

- Cóż... Zaczęła u nas pracować, mając zaledwie osiemnaście lat. [a się nieomal członkiem rodziny. Jest mi równie bliska jak moja tra. A do tego wspaniała. Mądra, rozsądna, ambitna.

- I śliczna - zauważyła April. - Aż dziwne, że do tej pory nie znalazła sobie prawdziwego męża.

- Rzeczywiście, można się temu dziwić - przytaknęła Joanna, onie od czasu do czasu umawia się na randki, ale jak dotąd nikt podbił jej serca. Najwyraźniej szuka tego właściwego mężczyzny, szczerze na niego nie trafiła. A ma dość konkretne oczekiwania. Lisię dla niej, jak

wygląda adorator, jak zarabia na życie... Connie e możliwie najdalej uciec od dzieciństwa w biedzie. No i po pro-jeszcze się nigdy nie zakochała.

- A to szalenie istotne - zaśmiała się April.

- Właśnie - przytaknęła Joanna. - W każdym razie, ja się podpi-ę pod tym twierdzeniem obydwoma rękami. - Spostrzegła, że ril skończyła pić herbatę. - Jesteś gotowa na wycieczkę do stajni?

- Jak najbardziej. Nie mogę się doczekać.

- Wobec tego chodźmy.

Poprowadziła gościa kamiennym tarasem do drewnianego most-wiodącego nad basen.

- Pięknie zagospodarowany teren - zachwyciła się April. - Po >stu idealnie.

- Prace zapoczątkował tata - wyjaśniła Joanna - ale Josh i ja ; zrobiliśmy niemało.

Minęły basen, a potem szły między krzewami i drzewami, aż eszcie April ujrzała dawną stajnię. Budynek wznosił się na ładnym stoku, na skraju sadu. Stare jabłonie użyczały mu cienia, dok na okoliczne szczyty był tu jeszcze piękniejszy niż z tarasu.

- Joanno! - wykrzyknęła zachwycona April. - Jak tu cudnie!

- To prawda. Między innymi dlatego właśnie chciałabym mieć taj miejsce do odpoczynku, medytacji albo odpowiednie na miłe otkanie. Takie, gdzie można sobie spokojnie poczytać, pobyć z sa-ym sobą lub z kimś bliskim, z dala od wszystkiego, co się dzieje

w domu. Pracując nad albumem, przekonałam się, że choć dom jest duży, czasem niełatwo w nim znaleźć spokojny kąt. Wówczas przyszła mi do głowy myśl, by stworzyć takie szczególne miejsce, niedaleko, ale w pewnej odległości od domu. Miejsce odpoczynku lub pracy czy refleksji... Azyl.

Stanęły przed bramą stajni. April przyjrzała się Joannie z uwagą, chcąc odczytać z jej twarzy myśli i uczucia, lecz nie zdołała. Wolno ruszyła wzdłuż ściany. Gospodyni szła za nią krok w krok. Razem obeszły budynek dookoła. Na koniec weszły do środka. April długo rozglądała się po wnętrzu. Wreszcie oparła ręce na biodrach, stanęła w rozkroku i popatrzyła na Joannę.

- Wszystko jasne - oznajmiła z mocą.

- Tak? - Joannie zadrżał głos. Czy stajnia zyskała aprobatę April? Jest odpowiednia?

Twarz projektantki rozjaśniła się uśmiechem.

- Budynek jest doskonały. Idealny dla twojego przedsięwzięcia. Bogu dzięki! Joanna odetchnęła z ulgą. Jej plany zaczęły nabierać kształtów!

- To świetnie - powiedziała głośno. - Cieszę się, że ci się podoba. Trochę się obawiałam twojej opinii, bo mogłabyś uznać, że jakakolwiek przebudowa byłaby szaleństwem, a co dopiero taka, jaką sobie wymarzyłam...

- Nie, nie. - April pokręciła głową. - W twoim pomysł nie ma nic szalonego. Mówię szczerze. Budynek doskonale się nadaje na grootę. - Odwróciła się ku jednej ze ścian, gdzie niegdyś znajdowały się wrota boksów. - Sama popatrz. Tutaj aż się proszą balkonowe drzwi na całą wysokość. Inaczej być nie może. Zyskasz piękny widok na góry. A na pozostałych ścianach - obróciła się na pięcie, wskazując ręką - żadnych drzwi ani okien. Jak w jaskini. - Zatrzymała wzrok na Joannie. - Tutaj, w środku człowiek będzie otoczony freskami oraz wzorami z kamieni i muszli.

Joannie rozbłysły oczy.

- A więc spodobał ci się mój pomysł!

- O, tak - przyznała April. - Można tu stworzyć precudne gniazdko, cichą przystań, miejsce o magicznym uroku...

Właśnie to chciałam usłyszeć, pomyślała Joanna.

- Musimy jeszcze ustalić terminy, harmonogram prac i tak dalej... Ale w zasadzie... tak.

Chętnie się podejmę tej pracy.

- Cudownie! Już nie mogę się doczekać, kiedy zaczniesz. - Joanna odruchowo ścisnęła April za ramiona i serdecznie ucałowała ją

_____ Judith Gould _____

liczek. Zaraz jednak odsunęła się od niej i zaśmiała nerwowo, ormalnych okolicznościach nie pozwoliłaby sobie na podobne owanie w stosunku do osoby, którą ledwo знаła. - Przepra-i.

Wiem, że nie powinnam, ale... tak się cieszę! Nic nie szkodzi... - April poczerwieniała lekko.

- Ja też bardzo ieszę... A poza tym, mam wrażenie, jakbyśmy się znały od lat. Ja też - przyznała Joanna. - Chyba jesteśmy do siebie podob-Dbie praktyczne, ale z odrobiną fantazji, lubimy się śmiać, mu-fbyć niezależne...

| Tak. Z pewnością wiele nas łączy. Gust mamy podobny... k>anna ujęła April pod ramię.

- Chciałabym ci pokazać coś jeszcze.

- Co takiego?

- Chodź.

N kącie stajni połyskiwały ogromne foliowe płachty. Joanna po-ptięła jedną, a wtedy April zobaczyła przynajmniej setkę równo stawianych metalowych i plastikowych pojemników.

Piętrzyły aż pod sufit.

- Zobacz. - Joanna otworzyła pierwszy z brzegu.

kpril zajrzała do środka i oczy zaokrągliły jej się ze zdumienia.)ojemniku znajdowały się starannie poukładane barwne muszle.

- Piękne! - westchnęła z podziwem. - Jakby dopiero co wyjęte ;eanu.

- Mnie też się podobają. Mam ich tutaj całe tysiące. Są posegre-vane według rodzajów.
- Niesamowite!
- Mam nadzieję, że się przydadzą, może uda się je włączyć do ajego projektu.
- Na pewno! Przede wszystkim!
- Chodźmy na lunch. - Joanna zamknęła pojemnik. - Chyba że :esz jeszcze coś obejrzeć?
- Na razie wystarczy. Muszę się oswoić z tym, co już zobaczy-n.

Joanna poprowadziła ją między jabłoniemi, w górę po łagodnym)ku i obok basenu - z powrotem na kamienny taras.

- Connie doskonale gotuje - mówiła, idąc. - Przyrządza różne ecjały peruwiańskie, odmienia je na swój sposób, czegoś tam do-., czegoś ujmie i efekty są nieprawdopodobne. Niestety, większość ch dań jest dość kaloryczna. A trudno im się oprzeć.

- To, co dobre, często bywa niewskazane - zaśmiała się April.

Czas na pożegnanie

63

Stół już był nakryty do posiłku. Na śnieżnobiałym obrusie pyszniła się elegancka chińska zastawa, błyszcząły wypolerowane srebra i lśniące kryształy w towarzystwie wykrochmalonych lnianych serwetek. Na środku stał wazon z delikatnymi, bladoliliowymi orchideami.

- Niepotrzebnie robisz sobie tyle kłopotu - zaprotestowała April.

- To żaden kłopot - odparła Joanna zdecydowanie. - Piękno powinno być nieodłącznym elementem życia.

April miała pewność, że nowa znajoma mówi z całkowitym przekonaniem. Ta kobieta nie szczędziła wysiłków, by świat wokół niej miał jak najwięcej uroku.

- Pierwszy raz widzę orchidee w takim odcieniu.

- Nazywają się Cattleya skinneri. Nie są szczególnie rzadkie ani trudne w prowadzeniu, a rzeczywiście mają przepiękny kolor. - Wskazała dłonią krzesło. - Siadaj, zapraszam.

Gdy tylko obie usiadły, jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki pojawiła się Connie z ciężką tacą.

Po lunchu zostało niewiele, a był on przyrządzony z taką maestrią, iż nawet resztki jedzenia wyglądały apetycznie. Dno miseczek zabarwiła na różowo kremowa gęsta zupa z krewetek, doprawiona świeżą kolendra, w równej mierze dla wzbogacenia smaku, jak i dla zapachu.

Przepyszna calsa zostawiła na talerzach białe, złote i zielone smugi po puree ziemniaczanym, piersi kurczęcej i awokado, natomiast talerzyki deserowe wyglądały, jakby w ogóle nie były używane, tak dokładnie, co do okruszynki, została z nich zebrana doskonała tarta z owocami.

- Pyszności! - westchnęła April, składając serwetkę.
- Connie jest niedoścignioną kucharką - przyznała Joanna. - Wyobraź sobie, że nawet z Europy dzwonią nasi goście, prosząc o przepis na tę zupę z krewetek.
- Ktoś go dostał?
- Jedna osoba - zaśmiała się Joanna. - Pewna starsza dama z Francji, szalenie bogata wielbicielka orchidei. Przy tym kobieta z klasą, naprawdę ktoś, no i jedna z naszych lepszych klientek. Ublągałam Connie, żeby jej zdradziła przepis.
- Złamała się jednak.
- Nie do końca. Jakiś sekret mimo wszystko zataiła.

Judith Gould

Roześmiały się obie.

lagle April się zorientowała, że gładzi kwiat opuszkami palców.

Och, przepraszam! Sama nie wiem, jak to się stało.

Nic nie szkodzi, naprawdę. Tak jak mówiłam, to nie są jakieś ^tkowe okazy. Skoro ci się tak podobają, weź je, proszę.

- Nie umiem...

- Nie przesadzajmy. Nie są szczególnie wymagające. Dam ci po- kartkę ze wskazówkami, jak o nie dbać. Chcesz zobaczyć cie-•nię?

- Bardzo chętnie. Skoro mam zaprojektować grotę z orchide-i, powinnam się z nimi bliżej zapoznać.

- Chodź, przedstawię was sobie.

Minęły mostek, potem domek nad basenem, a stamtąd krótka jzka prowadziła prosto do niewielkiej cieplarni.

- Nikt by jej tu nie zauważył! - zdziwiła się April. - W każdym :ie z domu w ogóle jej nie widać.

- Takie było założenie - wyjaśniła Joanna. - Tutaj trzymamy rdzo rzadkie okazy. Wyjątkowe i cenne. No i Josh ma tu swoją ja-inię rozpusty.

- Nie całkiem rozumiem... - April miała ochotę się roześmiać.

- Nie przesłyszalaś się - odrzekła Joanna wesoło. - Powiedziałam, Josh ma tu swoją jaskinię rozpusty. Nazwaliśmy tak miejsce, gdzie zmnaża i krzyżuje orchidee. Robi to własnoręcznie. W niektórych zypadkach zapylenie jest wyjątkowo trudne. Joshua pracuje nad ebywale skomplikowanymi hybrydami. Stanowią one jeden z filarów go interesu. W każdym razie, w naszym wypadku. Tworzenie no-

ych okazji, innych niż te dobrze znane, to naprawdę niebagatelne zwanie. Każdy hodowca stara się uzyskać krzyżówkę, która zainteresuje bogatych odbiorców, która ich zaintryguje, a co za tym idzie, dobrze się sprzeda. Proces tworzenia hybryd jest długi i żmudny, a w dodatku trudno mieć pewność, jaki będzie końcowy efekt. - Z kieszeni różnych kremowych spodni wyjęła niewielkie urządzenie elektroniczne. Wstuknęła kod i wycelowała pilotem w wejście do cieplarni. Gdy ozległo się kliknięcie, pchnęła drzwi. - Musieliśmy tutaj założyć dość izuczny system zabezpieczeń, bo kwiaty mają sporą wartość.

April powędrowała za Joanną przez cieplarnię, a z każdym krokiem miała coraz większe oczy.

- Jak nie z tego świata... - wyszeptęła w pewnej chwili. Zaczynało jej się kręcić w głowie od bogactwa odcieni i ciężkich woni. Zewsząd uderzały ją wszelkie tonacje czerwieni, różu, zieleni. Czas na pożegnanie _____

65

ni i bieli, kwiaty fioletowe, żółte i niemal czarne. Widziała wszystkie kolory tęczy, momentami odnosiła nawet wrażenie, że dostrzega jakąś barwę, której natura jeszcze nie stworzyła. Łodygi, liście, kwiaty, korzenie - każda część tych wspaniałych roślin zasługiwała na szczególną uwagę; i tych maleńkich, których trzeba było szukać wzrokiem, po te ogromne, przywodzące na myśl drzewa.

- Warto tu zajrzeć, żeby obejrzeć najrzadsze okazy, ale cieplarnia jest niewielka - powiedziała Joanna. - Zaczekaj, aż zobaczysz duże szklarnie! - Dostrzegła zapyłony okaz *Paphiopedilum loyii*.

- Jak ci się podoba ta?

April przyjrzała się roślinie uważnie.

- Niesamowita - oceniła. - Ta zielen, róż i fiolet... Przepiękna.

- Josh usiłuje ją połączyć z jakąś inną... nie mam pewności z którą. A może nawet z kilkoma innymi? Żeby uzyskać jeszcze lepsze efekty.

- Czy dobrze słyszałem? - rozległ się za nimi głęboki męski głos.

- Ktoś coś o mnie wspominał?

- Nie wiedziałam, że tu jesteś! - Joanna wyraźnie się ucieszyła na widok męża.

Przytulił ją mocno i pocałował w usta.

April patrzyła kątem oka, trochę zaskoczona tymi nieskrywanymi czułościami przy obcej w końcu osobie.

Jacy oni naturalni, jacy swobodni, pomyślała.

- Josh - odezwała się Joanna - poznaj moją przyjaciółkę, April Woodward. April, to mój mąż, Joshua.

Uścisnął jej dłoń; April odwzajemniła uścisk, patrząc Joshowi prosto w oczy.

Niesamowite, pomyślała. Skąd taki kolor...? Fantastyczny... Ten błękit... A uśmiech! Białe zęby, opalona twarz... I te włosy...

Nagle zdała sobie sprawę, że zbyt długo przygląda się obcemu mężczyźnie, że przytrzymuje mu dłoń. Szybko uwolniła rękę i spuściła wzrok.

- Miło mi cię poznać - powiedziała, znowu patrząc na niego.

- Joanna właśnie chwaliła twoje osiągnięcia.

- E tam, to zaledwie czubek góry lodowej! - odparł z dumą. - Lepiej powiedz mi, April, co sądzisz o tym jej pomysłe. Miałaś czas się nad tym zastanowić?

- Bardzo mi się podoba - odpowiedziała April. - Przypuszczam, że zdołamy osiągnąć niebagatelny efekt.

Judith Gould

- Już byliśmy w stajni - dodała Joanna. - April zaaprobowała lynek i otoczenie.

- Bardzo się cieszę - odrzekł Joshua. - Obawiam się, że zazwy-j ludzie nie pojmują nietuzinkowych zamierzeń mojej żony. Jjął Joannę za rękę. - A szalone pomysły to jedna z cech, które niej uwielbiam.

- Ooo, kochany! - wykrzyknęła Joanna z udawanym oburze-em. - Niektóre z moich pomysłów sam uznałeś za wariactwo.

Joshua roześmiał się głośno.

- Cóż, nie mogę zaprzeczyć.

- Kochanie, może oprowadzisz April po cieplarni, a ja zajmę się aroma drobnymi sprawami w domu? April, dobrze?

- Tak, oczywiście.

- Nie boisz się, że cię zanudzę na śmierć? - spytał Joshua.

- Nie, skądże! Przecież te kwiaty są fantastyczne!

- No to do zobaczenia - rzuciła Joanna. Odwróciła się na pięcie -i już jej nie było.

- Co ci Joanna zdążyła pokazać? - spytał Joshua.

O rany, te oczy! Miały jakąś magiczną moc. Nie mogła przestać się w nie wpatrywać. A włosy... Miękkie, jedwabiste, wyzłocone słońcem...!

- Co widziałam...? - zastanowiła się, dochodząc do siebie. - Joanna pokazywała mi kwiat, który usiłowałeś zapłodnić... zapylić. - Wskazała Paphiopedilum loyii.

- I co, naprawdę cię to interesuje?

- Jak najbardziej.

Joshua widział, że April mówi poważnie, i jej zaciekawienie oraz uwaga sprawiły mu przyjemność. Efekt końcowy - dumny egzotyczny kwiat - jest przedmiotem zainteresowania wielu ludzi, ale mało kto się zastanawia, ile pracy, czasu, ile wysiłku i starań trzeba włożyć w stworzenie niepowtarzalnej rośliny.

Josh pokazał jej działanie komputerowo sterowanego systemu nawilżania oraz żaluzji. Potem włożył lateksowe rękawiczki i zademonstrował, jak za pomocą wykałaczki zapyła orchidee. April patrzyła zafascynowana, gdy Joshua zwilżał drewno, a następnie przenosił pyłek z jednego kwiatu na drugi.

- Nie razi cię taki widok? - spytał, podnosząc wzrok. - Niektórym wydaje się niehigieniczny, w innych nawet budzi obrzydzenie.

- Ależ skąd! - zachnęła się. - Przecież to jest... miłość.

- Masz rację!

Czas na pożegnanie

67

Jakiś czas później ruszyli razem przez cieplarnię. Joshua pokazywał gościowi różne gatunki orchidei, opowiadał o ich charakterystycznych cechach, pochodzeniu, sposobach uprawy i tysiącu innych szczegółach, aż April poczuła, że kręci jej się w głowie. W pewnej chwili zwrócił uwagę na jej nieprzytomny wzrok.

- Zdaje się, że trochę przesadziłem - zmitygował się. - Za dużo nowości dla laika.

- Rzeczywiście... - przyznała szczerze. - Ale temat jest fascynujący i słucham z prawdziwą przyjemnością. Bije od ciebie prawdziwa pasja.

- Przejąłem miłość do orchidei od Mitcha Camerona, ojca Joanny. Był nieuleczalnie chory na orchideomanię, no i najwyraźniej mnie zaraził! Któregoś lata, jeszcze w czasach college'u, zacząłem pomagać w szklarniach... i już mi to nie przeszło.

- Więc to tak się zaczyna? Ot, po prostu?

- Właśnie tak. Po prostu. - Joshua błysnął zębami w uśmiechu. Och, ten uśmiech...!

- W jednym czasie pokochałem orchidee, Mitcha Camerona i jego córkę.

- Co za zbieg okoliczności! - zaśmiała się April. - Widać, że uwielbiasz swoją pracę.

- O, tak. Z tego, co mówiła Joanna, z tobą jest podobnie.

- Racja... Choć mało kto interesuje się tym, co robię, a jeśli już, to najczęściej konkurencja.

- Mimo wszystko, uwielbiasz swoje zajęcie.

Podniósł oczy i po raz pierwszy spojrział na nią uważniej. Do tej pory nie zwrócił uwagi na tę piękną twarz o regularnych rysach, na smukłą sylwetkę, oczy o trudnym do nazwania kolorze i złociste włosy. Aż trudno mu było uwierzyć, iż tak długo nie dostrzegł tuż obok siebie tej nieprawdopodobnie pięknej kobiety.

- To prawda - przyznała April. - Uwielbiam swoją pracę bezkrytycznie i wkładam w nią całe serce. Obojętne, czy układam muszle, czy ceramiczne płytki albo kamienie, czy tylko maluję akwarele, poświęcam się temu bez reszty. I kocham ten stan. Czuję się, jakbym była...

idealnie zrównoważona. Wiem, że to mało konkretne określenie, ale chyba najlepiej oddaje istotę moich odczuć... - Na jej twarz wypłynął uśmiech pełen melancholii. - Świat wydaje mi się kompletnie zwariowany... - Westchnęła niewesoło i leciutko wzruszyła ramionami.

- W tym szalonym świecie - podjął Joshua - twoja praca niesie ludziom piękno i spokój. Sama decydujesz, gdzie ulokować muszlę,

Judith Gould

de kamień, jakie barwy stworzą akwarelę. To dziedziny, w któ-panujesz nad rzeczywistością.

Ładnie to ująłeś.

Iziwne, pomyślał Joshua. April patrzy na świat tak samo jak ma. I ja. Podobnie jak ona jest marzycielką. I tak samo twardo a po ziemi, choć ma żywą wyobraźnię. Nic dziwnego, że szybko ;aprzyjaźniły.

| Czas wracać - westchnął. - Czeka na mnie papierkowa robota, szcze trzeba zajrzeć do szklarni.

- Dziękuję, że pokazałeś mi orchidee. Naprawdę jestem pod żeniem.

- Mam nadzieję, że nie poczułaś się przytłoczona nadmiarem in-nacji.

- Jakoś przeżyję - zaśmiała się April.

Wyszli z cieplarni i wolnym krokiem ruszyli w stronę domu. Po tu chwilach ujrzeli Joannę siedzącą na tarasie. Uśmiechała się nich z daleka.

Pięknie razem wyglądają, pomyślała. Świetnie do siebie pasują, ęcz idealnie! I najwyraźniej doskonale się rozumieją.

Pomachała im wesoło, a oboje odpowiedzieli tym samym gestem.

ńali się głośno i wyraźnie dobrze się razem czuli.

Cudownie!

Gdy weszli na taras, Joshua pochylił się i ucałował żonę w policzek.

- Muszę przerzucić trochę papierów, więc będę w gabinecie. Po-m zajrzę do szklarni.

- Jeszcze dzisiaj?

- Tak, zostało tam parę rzeczy do zrobienia.

- Dobrze, kochanie. Wobec tego pewnie zobaczymy się dopiero wieczorem.

Joshua odwrócił się do April.

- Miło było cię poznać. Mam nadzieję, że dobrze wam pójdzie ustalanie szczegółów.

- Ja też się cieszę, że cię poznałam - odpowiedziała April szczerze. - A z projektem poradzimy sobie na pewno.

Gdy Joshua wszedł do domu, Joanna gestem zaprosiła gościa do tołu.

- Czy możesz zostać jeszcze chwilę?

- Twój mąż jest wyjątkowo sympatyczny. - April usiadła.

- Rzeczywiście, to złoty człowiek. W zasadzie także w sensie dosłownym.

Czas na pożegnanie

69

Obie się roześmiały.

- Prawdziwa z siebie szczęściara. Joanna kiwnęła głową.

- O tak, prawdziwa ze mnie szczęściara. - Jej wzrok powędrował gdzieś w dal, na ustach pojawił się zadumany uśmiech. - Jestem najszczęśliwszą kobietą na ziemi.

April odniosła wrażenie, że w głosie nowej przyjaciółki zabrzmiała nuta melancholii, a może nawet smutku.

Cóż mogło martwić tę cudowną kobietę? Nic, to pewnie tylko wyobraźnia.

- Przygotowałam dla ciebie kilka drobiazków. I zanim odjedziesz, chciałabym, żebyśmy omówiły konkretne warunki. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie, skądże! Mów, słucham.

- Nie mam żadnego pojęcia o tym, jak zazwyczaj pracujesz, ale chciałabym najpierw zobaczyć ogólny szkic twojej propozycji i kosztorys. Będę musiała wybrać orchidee do groty, więc chciałabym wiedzieć, które twoim zdaniem okażą się najodpowiedniejsze.

- Na kiedy chciałabyś mieć te informacje?

- Za tydzień?

- Tydzień? - zdumiała się April. - Strasznie szybko!

- Zależy mi na czasie - oświadczyła Joanna. Z pewnością mówiła całkowicie poważnie.

- Dobrze. Odłożę wszelkie inne prace, wtedy powinnam zdążyć w tydzień...

- Świetnie. Wobec tego jesteśmy umówione na przyszły tydzień. A jeśli chodzi o termin ukończenia prac... - Umilkła i zamyśliła się na chwilę.

April odniosła wrażenie, że Joanna zażąda wykonania tego ogromnego dzieła na wczoraj.

- Chciałabym, żeby prace zakończyły się - podjęła gospodyni - najdalej za pół roku. Byłoby mi bardziej na rękę, gdyby nie trwały dłużej niż cztery miesiące, jednak pół roku to ostateczna granica.

- Oj! - wykrzywiła się April. - Tydzień na szkice to jedno, ale pół roku na wszystko? Joanno, to ogromne wyzwanie!

- Jestem gotowa iść o zakład, że uwielbiasz wyzwania.

- Ech, przegrałabyś. Taki termin wymagałby ode mnie przełożenia wszystkich innych zobowiązań. - Dłuższą chwilę milczała, przygryzając wargę. W końcu podjęła decyzję. - Zgadzam się. Skończę tę pracę w ciągu pół roku. Cztery miesiące to termin praktycz-

Judith Gould

niemożliwy, nie mogę czegoś takiego obiecać, ale będę pracowała-lajszybciej jak można.

- To właśnie chciałam usłyszeć - uśmiechnęła się Joanna. - April, oje dzieło będzie tego warte. Uwierz mi, nie pożałujesz.

- Tego jestem pewna - odparła z dzielną miną, choć właśnie się stanawiała, czy aby właśnie nie zaczęła żałować, że się podjęła te-zadania.

- Zapakowałam ci te kwiaty ze stołu i instrukcję, jak o nie dbać.

- Och, bardzo ci dziękuję. Są rzeczywiście wyjątkowo piękne.

- Naszykowałam ci także swój album orchidei, żebyś mogła im ę przyjrzeć, a za tydzień razem zdecydujemy, które wybrać do fre-lów. Co ty na to?

- Świetna myśl - przyznała April. - Dziękuję ci za wszystko, obsypujesz mnie prezentami...

- Nic za darmo - zaśmiała się Joanna. - Robię to w swoim inte-esie, więc nie czuj się zobowiązana.

- Zbieram się - oznajmiła April. - Muszę zdążyć z pewnym pro-aktem na przyszły tydzień.

- Czy chcesz teraz zaliczkę?

- Nie, umówmy się na przyszły tydzień.

Razem ruszyły do domu, gdzie przy frontowych drzwiach czekały przygotowane dla gościa pakunki. Na pożegnanie ucałowały się, jakby były zaprzyjaźnione od wieków, i April wyszła. Joanna obserwowała ją, gdy wyjeżdżała z dziedzińca, a kiedy samochód zniknął jej z oczu, oparła się o drzwi i głęboko odetchnęła.

Znalazłam ją. Tak, Joshua, nie zaprzeczysz. Znalazłam tę właściwą kobietę.

April wolno posuwała się niebezpieczną górską drogą. W głowie wirowały jej tysiące myśli, a wszystkie związane były z uroczą i stanowczo nietuzinkową Joanną Lawrence.

Co za kobieta! Nieprzeciętna! Inteligentna i piękna... A w jakim domu mieszka...! Cudnym, doskonałym! Jak z bajki. Posiadłość na szczycie wzgórza... nobliwa i elegancka, a przecież

jednocześnie pełna ciepła, miła, gościnna. I ta dbałość o szczegóły... począwszy od pergoli uginających się pod ciężarem winorośli, po nakrycie stołu.

Przyhamowała za znakiem ostrzegającym przed podmytą nawierzchnią szosy.

Czas na pożegnanie

Trzeba się skoncentrować na prowadzeniu.

Nie było to jednak łatwe i wkrótce znowu błędziła myślami po doczesnym rajy Joanny Lawrence.

Nie sposób zapomnieć o ważnym uzupełnieniu tego czarownego życia: o Joshu. Nieziemsko przystojny, o słonecznych włosach i mocno zarysowanej szczęce. Pięknie opalony, z klasycznym rzymskim nosem... Nieprawdopodobnie delikatny, cierpliwy, z mnóstwem uroku... A przy tym, podobnie jak żona, kochający życie. Co więcej, najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z własnej urody, a już na pewno się nią nie chełpił. Męski w każdym calu, swobodny w obyciu, pełen naturalnego wdzięku.

Joanna i Joshua Lawrence. Co za para! Można im jedynie zazdrościć - wzajemnej gorącej miłości oraz wspaniałego wspólnego życia.

Wyjechała na autostradę. Była coraz bliżej swojego skromnego, lecz przytulnego domku. A jednak... April wróciła myślami do nowych znajomych, coś zgrzytało w tym baśniowym świecie dwojga cudownych ludzi. Chociaż nie, poprawiła się, ten rozdzwięk krył się w samej Joannie. Tak... W Joannie wyczuła... nie tyle fałsz, ile jakąś nieszczerłość... O co może chodzić? I skąd w ogóle takie wrażenie? Dlaczego szuka dziury w całym? Skąd rezerwa, która kazała jej mieć się na baczności i wypatrywać drugiego dna? Może trudno po prostu uwierzyć w istnienie tak idealnego małżeństwa?

Zwolniła przy zjeździe z autostrady.

Może to przesada. Zbyt ostrożność. Czasami nawet intuicja zawodzi.

Mimo wszystko... nie mogła się pozbyć wrażenia, iż na idealnym wizerunku prezentowanym światu przez państwa Lawrence'ów widnieje poważna rysa. Nie potrafiła jej zdefiniować, ale coś ją ostrzegało, że powinna zachować ostrożność.

Czas na pożegnanie

73

Rozdział ósmy

Łońce rozbłysło ostatnim, najpiękniejszym odcieniem pomarań-sy i skryło się za górami. Tylko niektóre drzewa i ścieżki zatrzymały jeszcze cętki światła. Powoli nadciągał wieczorny chłód. Re-ektory w basenie nadały wodzie odcień nieco bardziej turkusowy niż światło dnia.

Wielkie świece o zapachu kapryfolium porozstawiano w kryształowych świecznikach na stołach, na ogrodowym aurze, a nawet na brzegu basenu.

Joanna uwielbiała pływać o tej porze. Właśnie skończyła co-Izienny trening. Położyła się na materacu i zapatrzyła w niebo. Lu-)iła pływać także wczesnym rankiem, ale gdyby musiała wybierać, zdecydowałaby się na porę wieczorną, by widzieć i podziwiać rozgwieżdżone niebo.

Z ukrytych głośników sączyła się japońska muzyka grana na instrumencie zwanym koto. Joanna ją uwielbiała i cudownie przy niej wypoczywała, lecz niestety, mało kto ją rozumiał: większość przyjaciół trzymała się od tego rodzaju tonów możliwie najdalej. Tylko Josh potrafił dotrzymać żonie towarzystwa przy tego rodzaju muzyce... też nie zawsze.

Tego akurat wieczoru miała basen tylko dla siebie. Zanurzona w bajecznym świetle, błogiej woni, słuchając egzotycznej melodii, przeniosła się w świat czarów. Jej ciało, umysł, wszystkie zmysły poddały się rozkosznemu relaksowi, zyskała poczucie całkowitego rozluźnienia i wewnętrznej równowagi.

Nareszcie spokój, pomyślała. Przynajmniej na chwilę. Właśnie spokoju kazał jej szukać lekarz. Uśmiechnęła się smutno. Ostatnio coraz częściej potrzebowała owych chwil odosobnie-

nia, by odzyskać siły. Niekiedy wydawało jej się, że gdyby nie te magiczne wieczory, przekroczyłaby próg szaleństwa.

Dziś zdołała odsunąć od siebie negatywne emocje, cieszyła się chwilą, nie martwiąc się o dzień wczorajszy ani o przyszłość, o następny tydzień albo miesiąc. Dziś nie myślała o kłopotach w szklarni, o Joshu i wszystkich obowiązkach, jakie na siebie przyjął... i jakie jeszcze na niego spadną.

Nie. Tego wieczoru była w optymistycznym nastroju. Myślała o tym, jak wiele dobra zaznała w życiu, i dziękowała swojej szczęśliwej gwiazdzie, opatrności czy może losowi, iż dane jej było zakosztować życia w luksusie, roziskrzonego radością i pełnego miłości.

Zsunęła się z materaca i popłynęła do schodów na płytszym końcu basenu. Wyszła z wody, wypła łyk koktajlu z białym winem

I podniosła z leżaka miękkie prześcieradło kąpielowe.

Nagle silne ramiona uchwyciły ją w talii, a na szyi poczuła czyjś gorący oddech. Serce podeszło jej do gardła, ale natychmiast uświadomiła sobie, że to Joshua. Poznałaby jego zapach na końcu świata.

- Pięknie wyglądasz - wyszeptał, całując ją w kark.

- Cudownie pachniesz... Ale mało przez ciebie nie umarłam ze strachu.
- Na szczęście jednak przeżyłaś. - Leciutko skubnął zębami jej ucho.
- Tym razem mi się udało. Więc wyjątkowo ci przebaczę. - Odwróciła się i cmoknęła go w czubek nosa. - Zobacz, całkiem cię zamoczę. - Pocałowała go w brodę.
- Nieważne! Możesz mnie moczyć, kiedy tylko zechcesz.
- Jestem okropnie głodna. Ty też?
- Owszem, zjadłbym coś. A dokładnie rzecz biorąc, umieram z głodu.
- Świetnie. Wobec tego pomożesz mi przygotować małą ucztę.
- Co to będzie?
- Steki, pachnące i soczyste, pieczone ziemniaki z rozmarynem... wystarczy je zagrzać w kuchence mikrofalowej. No i oczywiście sałatka.
- Już mi ślinka cieknie. Hm... Niech no zgadnę, na czym będzie polegała moja rola...
- Tak, kochanie, dobrze się domyśliłeś. W czasie kiedy ja będę robiła sałatkę, ty zajmiesz się grillem.
- Z wielką chęcią.

Judith Gould

Wobec tego, ustalone. - Joanna przytuliła się do męża. - Zde-
likini i zaraz wracam.

Może przygotuję w tym czasie drinki? Napijesz się killer mar-

Z rozkoszą. - Już szła przez taras do domu. oshua ruszył w jej ślady, ale dotarł tylko do
kuchni. Z zamrażar-fyjął butelkę zmrożonej stolicznej, z barku wermut i z wprawą eszał
składniki w dzbanku. To znaczy, do sporej porcji wódki do-iropelkę martini. Właśnie
naszykował kieliszki, gdy pojawiła się nna. Włosy miała jeszcze wilgotne, ubrana była w
króciutką tu-j z białego marszczonego muślinu odsłaniającą kuszący widok.

- Gotowe? - spytała.

Joshua jak dyrygent złożył ukłon, błyskając w powietrzu szkła-n mieszadłem.

- Voila! - zaanonsował z szerokim uśmiechem. Nappełnił stożko-ty kieliszek nieomal po brzegi
i podał go żonie.

- A gdzie oliwka?

- Nie będziemy psuć czystego, wzniosłego smaku alkoholu - od-rł, podnosząc swój kieliszek.

- Skoro ci na tym zależy... - zaśmiała się Joanna. Zadźwięczało szkło w toaście i oboje
spróbowali trunku.

- Och, ale to mocne! - wyrwało się Joannie.

- Pij, kochanie, będziesz łatwiejsza.

- Jeszcze łyk i będę bezwolna. - Joanna wyjęła z lodówki talerz dwoma stekami. - Proszę bardzo, to dla ciebie - oznajmiła. - Ja tożę ziemniaki do kuchenki i zajmę się sałatką.

- Krwiste, jak zwykle?

- Przypieczone na zewnątrz, różowoczerwone w środku - dopre-rzowała.

- Do usług. - Joshua ustawił na tacy talerz ze stekami, dzbanek alkoholem oraz własną szklanekę i zniknął na tarasie.

Kilka minut zajęło Joannie zrobienie sałatki z różnorodnej ziele-iny z dojrzałymi pomidorami, doprawionej czosnkiem, oliwą z oli-rek i balsamicznym octem. Gdy kuchenka mikrofalowa cichym ;ongiem dała znać, że skończyła pracę, wyjęła z niej pachnące roz-uarynem ziemniaki, ustawiła je na tacy razem z sałatką oraz kie-iszkiem i wyniosła wszystko na taras. Usiadła przy nakrytym wcześniej stole.

- Zaraz będą gotowe? - spytała. Obrzuciła steki łakomym spoj-•zeniem.

Czas na pożegnanie

75

- Za sekundę. - Joshua także usiadł przy stole i popijając martini, przyglądał się żonie. -

Zmęczona jesteś? - spytał. - Może za bardzo się przejmujesz tym nowym projektem?

- Nie, nie - zaprzeczyła Joanna zdecydowanie. - Czuję się świetnie i jestem przekonana, że ta grotka będzie wspaniała. - Umilkła. - Co myślisz o April? - spytała po chwili.

- Cóż... - Josh wyraźnie szukał odpowiednich słów. - Jest... jak najbardziej...

- Wykrztuś wreszcie! - zaśmiała się Joanna. Wzruszył ramionami, nieco skrepowany.

- Wydaje się osobą odpowiednią do tego zadania... ma mnóstwo entuzjazmu i wydaje mi się... ech, sam nie wiem.

- No powiedz, powiedz.

- Co mam ci powiedzieć? - Joshua wycofał się rakiem.

- Spodobała ci się, co? Jest śliczna i przemiła, prawda? - Obserwowała męża z uwagą. Joshua lekko poczerwieniał.

A w niej zakłębiły się sprzeczne uczucia.

Polubił ją, pomyślała. Zainteresował się nią i przypadła mu do gustu. W przeciwnym razie nawet by się nie zająknął.

Z jednej strony bardzo ją to odkrycie ucieszyło, lecz jednocześnie z drugiej... czyżby poczuła... zazdrość?

O, Boże!

Nie chciała widzieć u siebie tak podłego uczucia.

- Chyba lepiej zrezygnuję z tych wielkich planów. - Skrzywiła się lekko. - Coś mi się widzi, że wpadła ci w oko.

Joshua ujął żonę za rękę, przyciągnął do siebie i przytulił. Pocałował ją czule w usta, a potem zajrzał jej głęboko w oczy.

- Tylko przy tobie jestem szczęśliwy - szepnął.

Joanna lekko pokiwała głową, ale wzrok miała nieobecny. Joshua wziął ją na ręce i pocałował mocniej, goręcej.

- Kocham cię tak bardzo, że nie sposób tego wyrazić - powiedział ochryple. Jego wargi pieściły twarz żony, jej czoło, policzki, oczy i nos, a potem uszy i szyję. Pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne, gorące, pożądliwe. Zsunął dłonie na jej krągłe pośladki i przycisnął Joannę do siebie.

Natychmiast spotkał się z żarliwą odpowiedzią. Joanna przylgnęła do niego, wsunęła mu rękę pod ramiona i pogładziła szerokie, muskularne plecy. Raptem zdała sobie sprawę, że na jej brzuch napiera nabrzmiały kształt. Odsunęła się od męża, zajrzała mu w oczy.

Judith Gould

- Wyłącz grill - zarządziła z psotnym uśmiechem.

Joshua posłusznie sięgnął ręką za siebie i natychmiast znów iknął Joannę w objęciach.

Rzeczywiście, pomyślał, steki mogą poczekać.

Jeszcze raz pocałował żonę w usta, po czym wypuścił ją z objęć ział za rękę.

- Chodźmy do sypialni.

- Idziemy - zgodziła się natychmiast.

Ramię w ramię poszli na piętro i od razu na progu w pośpiechu sucili z siebie ubrania. Joshua zapalił świece i dłuższą chwilę sy-wzrok widokiem żony. Zuchwale sterczące piersi z różowymi odawkami, talia cienka jak u osy, długie smukłe nogi połączone zkoszonym trójkątem - a całość skąpana w miękkim złotym bla-u chybottliwych płomyków.

Joanna także miała na co patrzeć. Stał przed nią mężczyzna ;czupły, silny, proporcjonalnie zbudowany, niezaprzeczalnie przy-;ojny i pięknie opalony. Gdy wsunął się w jej ramiona, objęła go locno za szyję i wpiła się w jego usta.

Błądził rękami po jej ciele, całując ją namiętnie i z żarem, /reszcie wziął Joannę na ręce i położył na łóżku. Rozchylił jej uda, tklął między nimi. Delikatnie gładził jej nogi, biodra,

brzuch, aż w którejś chwili pochylił się i ujął wargami jedną z różowych broda-vek. O drugiej także nie zapomniał; żeby nie była zazdrosna, pieścił ją dłonią.

- Josh - jęknęła Joanna ochryple - już, proszę cię, teraz. Nie wytrzymam dłużej.

Rozsunął jej nogi szeroko na boki i ukrył twarz między jędrnymi udami. Gdy sądziła, że nie zdoła już się powstrzymać, Joshua odsunął się, a potem płynnym ruchem wszedł w nią aż do końca. Gorącymi wargami pochłaniał jej usta.

Joanna objęła go mocno. Zaczęli poruszać się w jednym rytmie, coraz szybciej i gwałtowniej. Bardzo szybko porwały ją fale cudownych skurczów, pochłonęła ekstaza orgazmu doskonałego, który potrafił jej ofiarować tylko ten jeden mężczyzna.

- Josh! - krzyknęła z zaciśniętymi szczękami. - Oooch! Wtedy on także znalazł się na szczycie. Zadrzał, a całe jego ciało

napięło się i zeszywniało, wstrząsane rozkoszą.

Opadł wreszcie, przygniatając ją swoim ciężarem i pokrywając jej twarz pocałunkami.

- Kochanie - wydyszał - bosko!

Czas na pożegnanie

77

- Tak... - szepnęła, z trudem łapiąc oddech. - O, tak. Przetoczyli się na bok. Ich serca powoli odnajdywały spokojniejszy rytm.

- Joanno, jak ja cię kocham... - Joshua pogłaskał żonę po twarzy, zapatrzony w jej ogromne źrenice. - Nikt na tym świecie nie kocha nikogo tak mocno.

- Ja ciebie też kocham. - W jej głosie zabrzmiała nutka smutku, a w oczach pojawił się cień melancholii, lecz Joshua tego nie zauważył, gdyż silniejszy podmuch wiatru wpadł akurat przez otwarty balkon, uniósł kotary, wepchnął je do pokoju jak łopoczące chorągwie i przytłumił płomienie świec. Niewiele brakowało, a byłby je zagasił.

Joanna wzdrygnęła się odruchowo, lecz zaraz pokryła lęk śmiechem.

- Chyba powinniśmy się przenieść z jedzeniem do środka - powiedziała. - Może padać.

Joshua przytulił ją czule raz jeszcze.

- Jak zwykle masz rację. Chyba że wiatr zdążył wymieść stół do czysta i już nie ma się do czego śpieszyć.

Siedzieli w jadalni. Joanna odłożyła nóż i widelec, otarła usta serwetką.

Joshua podniósł na nią wzrok.

- Poddajesz się? - spytał z uśmiechem. - Wiem, że stek mógłby być lepszy, wiem, że nie jest zbyt krwisty, ale mimo wszystko nadaje się do jedzenia.

- Jest całkiem smaczny - odparła. - Po prostu już się najadłam. W oczach Josha błysnął niepokój.

To do niej niepodobne. Joanna uwielbiała jeść, choć przestrzegała rozsądnej diety i liczyła kalorie. Z drugiej strony, chyba nie ma powodu do niepokojów? Trzeba było uczciwie przyznać, że sałata zdążyła przywędnać, steki, sądząc po smaku, równie dobrze mogły zostać ugotowane, a i ziemniakom dwukrotny kontakt z kuchenką mikrofalową nie wyszedł na dobre.

- Mogło być lepiej - stwierdził z kwaśną miną.

- Daj spokój, coś za coś. - Joanna uśmiechnęła się znad kieliszka.

- Racja. - Poglądził żonę po policzku. - Jesteś smaczniejsza niż najwykwintniejsza kolacja.

S'g S ca ^ L

ca i

**•& S3

P. Q

sE'o-

i-2^13

ca co

i

CD

t

8-

|ć?

•a

85

I

o "U

L|§3

ca

CD "5

| o

silili

ca ,

1

5ISSI

ig

Joanna udawała zainteresowanie ostatnim numerem „Vogue”, i wie przerzucając kartki czasopisma. Wolno popijała kawę. Mi-i cudownego zbliżenia wieczorem, przez całą noc prawie nie .mżyła oka. Niespokojnie przewracała się z boku na bok, a kiedy końcu zdołała usnąć, dręczyły ją koszmary tak potworne i reali-'czne, że z ulgą przywitała ciężkie przebudzenie. Joshua z apetytem pochłaniał babeczki truskawkowe z bitą śmietaną.

- Jadłaś już? - spytał, popijając czarną kawę.

- Tak - odpowiedziała, podnosząc wzrok znad magazynu. Wstałam dzisiaj o pierwszym brzasku.

- Co zrobisz z tak pięknie rozpoczętym dniem?

- Mam tysiąc spraw do załatwienia - odparła. - Jak zwykle.

- Wrócisz na lunch?

- Jeśli będziesz jadł w domu, przyjadę.

- Świetnie. Jesteśmy umówieni. - W błyskawicznym tempie tończył śniadanie, wstał i pochylił się nad żoną. Ucałował ją w po-czek. - Muszę lecieć. Będę mniej więcej o wpół do pierwszej.

Wypadł z domu nieomal w podskokach, a po chwili rozległ się warkot staruteńkiego land cruisera. Gdy ucichł, Joanna odłożyła magazyn i poszła do sypialni. Szybko włożyła lekkie szerokie podnie khaki, ażurowy pulower i wygodne sandały na płaskim ob-:asie od Gucciego. Chwyciła jeszcze słomkowy kapelusz oraz toreb-tę i zeszła do kuchni.

- Connie, wychodzę.

- Obowiązki wzywają? - uśmiechnęła się gospoia, nadal zajęta krewetkami.

-Tak.

Dziewczyna podniosła na nią zdumione spojrzenie, ale nie odezwała się słowem. Normalnie Joanna wyjaśniłaby dokładnie, dokąd się wybiera i w jakiej sprawie, a także zapowiedziałyby, o której wróci. Dziś jednak stało się inaczej. Dlatego też Connie, podobnie jak Joshua, zaczęła się obawiać, że dzieje się coś niedobrego.

Joanna szybkim krokiem przeszła do holu i z misy imari, stojącej na irlandzkim stoliku, wzięła kluczyki od samochodu. Z torby wyciągnęła okulary przeciwsłoneczne, wsunęła je na nos, wreszcie włożyła kapelusz i przejrzała się w ogromnym lustrze o złotych ramach. - Ujdzie w tłoku - oceniła.

Wyszła z domu, otworzyła drzwi garażu i wsiadła do ukochanego mercedesa. Wiekowy kabriolet był prezentem od ojca. Zaciągnę-

Czas na pożegnanie

81

ła pod brodą pasek od kapelusza, uruchomiła silnik i skierowała wóz na podjazd.

Gdy minęła bramę i ruszyła krętą górską drogą, odetchnęła z ulgą.

Dzięki Bogu! Z dala od Connie, Josha, telefonów... Od wszelkiej odpowiedzialności, od podejmowania decyzji. Czekwały na nią rozliczne obowiązki, a ona dziś po prostu nie umiała stawić im czoła. Zakupy musiały poczekać. Tak samo jak projekt groty, spotkania towarzystwa miłośników orchidei oraz wszelkie akcje charytatywne. A także przyjacielskie plotki, kłopoty koleżanek, ich codzienne zwycięstwa i porażki. Chcę być sama. Muszę się spokojnie zastanowić. Dotarła do wjazdu na autostradę i pod wpływem impulsu skręciła na południe. Dokąd właściwie zdążała? Tego nie wiedziała, ale musiała jechać. Pęd ją uspokajał. Poranny ruch był niewielki, wreszcie zaczęła oddychać swobodniej. Po jakimś czasie zdjęła nogę z gazu, zwolniła odrobinę. Lepiej nie łamać prawa, na tej drodze zwykle roило się od patroli.

Stopniowo dotarły do niej ciepłe promienie słońca oraz podmuchy wiatru próbującego unieść jej kapelusz i zaczęła dostrzegać krajobraz. Po prawej stronie od czasu do czasu pojawiał się w dali Pacyfik roziskrzony złotym blaskiem.

Jechała przed siebie, nie myśląc, jaką drogą prowadzi ją los, gdzie jest i dokąd zmierza. Nie zauważyła, kiedy zjechała z autostrady, nie zdawała sobie sprawy, że znalazła się w okolicach Watsonville, że pnie się krętymi uliczkami miasteczka, wracając w góry.

Wreszcie szosa przemieniła się w drogę pełną ostrych zakrętów, miejscami podmytą i najeżoną znakami ostrzegawczymi - prawie taką samą jak ta, która prowadziła do domu April. Zwolniła - i nagle zdała sobie sprawę, gdzie jest. Boże jedyny! Trafiła tu jak po sznurku! Rzeczywiście, wiodła ją jakaś niewytłumaczalna siła, potężniejsza od niej samej, od jej woli. W tym czarownym miejscu opuszczały ją nawet straszliwe bóle głowy, które zaczęły się przed pół roku. Och, mam nadzieję, że nikogo nie spotkam!, pomyślała. Skręciła w lewo i wolno pięła się krętą szosą prowadzącą na niewielki parking. Nie było tam innego samochodu. Objęła spojrzeniem wysoki parkan, obrośnięty pnącymi różami. Gałęzie uginały się pod ciężarem kwiatów. Wolno podeszła do wiekowego rosłego

rzewu „Dainty Bess”, obsypanego delikatnymi różyczkami w ko-→rze bladego rózu. Głęboko wciągnęła w nozdrza słodką woń.

Weszła do ogrodu przez drewnianą furtkę i starannie zamknęła \ za sobą na haczyk, by nie narazić pięknych roślin na niepożądane wizytę zwierząt. Rozejrzała się uważnie dookoła. Nikogo.

Odetchnęła z ulgą. Powietrze było ciężkie od aromatu tysięcy różanych kwiatów. Wolnym krokiem ruszyła przez ogród pocięty ścieżkami, spoglądając od czasu do czasu na tabliczki z nazwami gatunków, odświeżając je sobie w pamięci. Niejeden miał rodowód sięgający początku dziewiętnastego wieku, a zapach rozstaczały tysiackroć piękniejszy niż tak popularne ostatnio herbaciane hybrydy.

Joanna przyklękła i delikatnie ujęła w dłoń ogromny kwiat „Comte de Chambord”, pochodzący z lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Zanurzyła nos w wonnych płatkach. Rzeczywiście, arystokratyczna ozdoba. Prawdziwy arystokrata wśród innych kwiatów.

Nazwy kolejnych gatunków wywołały uśmiech na jej ustach: „Duchess d'Brantes”, czyli księżna, następnie „Marchioness of Lorne”, a więc markiza, dalej „Lady Hillingdon”, również kwiat wysokiego rodu, „Bishop Darlington” - tu dla odmiany dostojnik duchowny, „Honorine de Brabant” - prześliczna róża w paski, rozłożysta „Gruss an Coberg”, pełna „Gruss an Aachen”, a do kompletu jeszcze „Jacques Cartier” i „Louise Odier”.

Krzewy zasadzono w przypadkowych, zdawałoby się, miejscach, rabaty otoczono starymi deskami, a ścieżki wijące się po ogrodzie były pokryte asfaltem albo wysypane piaskiem lub żwirem. Ogrodzenie także składało się z bardzo różnych elementów - od zardzewiałego drutu po wyschnięte drewno. Ale uroda kwiatów i cudne rajskie wonie sprawiały, że pozorny bałagan i zaniedbanie traciły jakiegokolwiek znaczenie.

Ktoś, kto urządził tę czarownicą kryjówkę pośród sekwoi, włożył w swoją pracę wiele serca.

Minęła niewielki placyk, gdzie wystawiono na sprzedaż sadzonki w doniczkach. Na rozchwierutanej ladzie obok roślin stało pudełko pełniące rolę kasy. Transakcje tutaj przeprowadzane oparte były na zasadzie całkowitego zaufania: kupujący wsuwali czeki lub gotówkę przez otwór w kartonie. Miło było widzieć namacalny dowód ludzkiej uczciwości. Czas na pożegnanie

Joanna przysiadła na drewnianej ławeczce, pobielonej przez czas. Cień dawała jej pergola porośniętą czcigodną różową „Cecile Brunner”, która wspięła się na szczyt podpory i spływała z niej obfitymi kaskadami. Joanna odetchnęła głęboko, rozkoszując się cudowną mieszanką zniewalających woni, ciepłym dotykiem słonecznych promieni na stopach i chłodnym cieniem nad głową. Zamknęła oczy, ukołyszana spokojem i ciszą tego miejsca, a wówczas myśli, oderwane od codziennych spraw i domowych obowiązków, zaczęły powracać do problemu, z którym musiała się uporać.

Najwyższy czas powiedzieć im o wszystkim... Sama już dłużej nie da sobie rady, bo oszaleje. Długi czas dźwigała ciężkie brzemie w pojedynkę, lecz każde bohaterstwo ma swoje granice. Widać nie jestem taka dzielna, jak mi się zdawało. Muszę z kimś porozmawiać, wyrzucić z siebie przerażenie i ten straszny ból... Koszmarne uczucie bezradności wobec nieuniknionego. Postanowiła najpierw zwrócić się do Joshuy. Najbliższego przyjaciela. Najukochańszego męża.

Powiem mu wszystko. Jemu pierwszemu. Powinam się z nim podzielić tym zmartwieniem, choć w ten sposób przysporzę mu cierpienie. Tak. Właśnie tak trzeba postąpić.

Ogromny ciężar, przygniatający jej serce, zelżał nieco. Rozbłysła iskierka nadziei, że z Joshem łatwiej jej będzie znosić ten posepny czas. Bo coraz trudniej przychodziło jej ukrywanie przed mężem fatalnej prawdy.

Tak, powiem Joshowi, obiecała sobie. Zasługuje na zaufanie, powinien wiedzieć, co się dzieje.

Czas jakiś błądziła po ogrodowych ścieżkach, nim wreszcie zdecydowała, iż najwyższy czas wrócić do obowiązków. Jeszcze tylko podziękowała w myślach opatrności za istnienie tego czarownego zakątka, za pociechę, którą tu zawsze znajdowała, i za to, że wskazywał jej najwłaściwszą drogę.

* * *

Joshua siedział sam przy stole na tarasie. Kończył drugą kanapkę z tuńczykiem, przygotowaną przez Connie. W zasadzie uwielbiał zapach kolendry, którą ryba została obficie przyprawiona, ale ostatnio odnosił wrażenie, że gospośia dodaje kolendry do wszystkiego. Albo po prostu jestem w kiepskim humorze, zmitygował się w myślach.

Czas na pożegnanie

85

Spojrzał na resztki doskonałej sałatki z karczochów. Chyba też lendra.

Jpił solidny łyk mrożonej herbaty, odstawił szklankę i starannie

•ł usta sztywną lnianą serwetką. Po raz kolejny zatrzymał
ok na pustym krześle po drugiej stronie stołu.

Cudownie. Wspaniale. Tylko, niestety, bez Joanny. I właśnie dla-
3 był w takim podłym nastroju. Znowu zniknęła.

W południe zawsze jadali razem, jeśli tylko było to możliwe. Na
cach jednej ręki mógł policzyć, ile razy im się to nie udało.

Może wymagał od niej zbyt wiele? W końcu, ile małżeństw wy-
rało w takiej zażyłości jak oni? Ile tego pragnęło?

Uświadomił sobie, że większość ich znajomych nie życzyłaby so-
takiej bliskości w domu i w pracy. Dotąd jednak im dwojgu od-
Aadał taki stan rzeczy. Od
samego początku, od zawsze tworzyli "any duet i nie wyobrażali sobie innego życia. Pewnie
dlatego, że

dziesięciu latach małżeństwa kochali się równie mocno jak na czątku znajomości.

Czy aby na pewno? A może Joanna...?

- Josh! - Mroczne domysły przerwał mu wesoły głos żony. Szła zez taras, rozjaśniona
słonecznym blaskiem, uśmiechnięta, pięk-i. Uściskała go serdecznie. - Przepraszam za
spóźnienie. - Przy-lieszony oddech zdradzał, że biegła.

- Gdzie się podziewałaś?

Z westchnieniem ulgi siadła przy stole i zsunęła torbę z ramienia. Jak za sprawą czarów
pojawiła się Connie z kanapkami i sałat-ą. Postawiwszy naczynia, zaczęła nalewać herbatę.

- Dziękuję. - Joanna uśmiechnęła się do niej. Przeniosła spoj-senie na Josha. - Załatwiałam
różne sprawy - odparła wymijająco.

W zasadzie nie miał zamiaru przeprowadzać przesłuchania, ale ie zdołał się powstrzymać.

- Jakie?

- No wiesz - położyła serwetkę na kolanach - zwykła codzienna :rzątanina... Nie ma o czym
mówić. Zawiozłam ubrania do pralni, Tobilam drobne zakupy... Naprawdę nic szczególnego.

Connie zmrużyła oczy. Już ona wiedziała swoje. Joanna wyszła 5 domu z pustymi rękami, a
wróciła także bez niczego. Nie wyniosła prania i nie przywiozła sprawunków. Tak czy
inaczej, gosposia

nie odezwała się słowem.

Joshua przyglądał się żonie zaintrygowany. Rozmyślając podczas pracy w cieplarni,
zdecydował, że najwyższy czas przeprowa-

dzie z Joanną poważną rozmowę. Teraz, czując wyraźnie, iż nie dowiedział się prawdy, tym bardziej uznał słuszność swojego postanowienia. Musiał poznać przyczyny dziwnego zachowania żony. Chciał wiedzieć, dlaczego od jakiegoś czasu wydawała się dziwnie obca.

Z drugiej strony, wspomnienie minionej nocy odsuwało na bok wszelkie wątpliwości co do jej uczuć. Zeszłej nocy była taka jak dawniej: cudowna, kochająca, troskliwa, czuła - i namiętna, a seks dał im obojgu tyle szczęścia i radości. Po tej upojnej nocy Joshua wstał radosny jak skowronek i zaczął już nawet myśleć, że chyba mu się wydawało i w rzeczywistości nie dzieje się nic złego.

A jednak... może powinien wspomnieć, że zauważył jej... rezerwę? Zwyczajnie spytać, czy nie stało się coś złego, o czym powinien wiedzieć... nie robiąc z tego wielkiej sprawy?

Nie zdążył, gdyż uprzedził go dzwonek telefonu. Odebrała Connie, która składała na tacę puste naczynia.

- Halo? - Przez kilka chwil słuchała bez słowa, następnie podała komórkę Joshowi. - To Carl.

- Dziękuję. - Wziął od dziewczyny telefon. - O co chodzi? Joanna przyglądała się mężowi, jedząc kanapkę. Wiadomość najwyraźniej zrobiła na nim duże wrażenie.

- Co powiedział? - spytała, gdy tylko Joshua zakończył rozmowę. Uśmiechnął się szeroko jak kot z „Alicji w krainie czarów” - i na tym przestał.

- No powiedz! - Teraz była już mocno zaintrygowana.

- Wiesz, kto się zapowiedział z wizytą w szklarniach? -Kto?

- Zgadnij.

- Josh, przestań! Mówże wreszcie!

- Pan Hara - oznajmił Joshua.

- Wspaniale! - ucieszyła się Joanna. - Świetnie! - Zerwała się z krzesła, ujęła twarz męża w obie dłonie i wycisnęła mu na czole głośny pocałunek.

- Dzwonił z samochodu. Jedzie z San Jose i będzie u nas niedługo, więc chyba już czas na mnie.

Joanna ucałowała go raz jeszcze.

- Iść z tobą?

- Nie musisz.

- Miałam zamiar poszperać w albumach i poszukać zdjęć dla

April, ale jeśli się przydam...

- Na dole dam sobie radę sam, tylko gdybyś mi teraz pomogła ikować kilka roślin z cieplarni, będę ci wdzięczny po grób.

- Do roboty.

Trzymając się za ręce, poszli do cieplarni, wystawili z niej kwia-wybrane przez Joshuę i na cztery razy zanieśli je do land cruise-. Wreszcie Joanna przesłała mężowi pocałunek, Josh pomachał j znad opuszczonej szyby i pojechał do szklarni.

Zdawał sobie sprawę, że powinien na kolanach dziękować loso-i. Pan Hara był jednym z najbogatszych ludzi na świecie, a jedno-seśnie najbardziej liczących się kolekcjonerów orchidei. Już sam ikt, że czyjś kwiat został wybrany do jego zbiorów, należało trak-awać jako ogromne wyróżnienie i niekwestionowany zaszczyt. Japończyk potrafił lekką ręką zapłacić piętnaście albo i dwadzieścia ysięcy dolarów za jeden kwitnący okaz, więc można się było spo-Iziewać, że dziś zostawi przynajmniej sto tysięcy.

Mimo takich świetlanych perspektyw Joshua miał nieco zwarzo-ay humor, ponieważ nie mógł się pozbyć przykrego wrażenia, iż coś ważnego zostało niedopowiedziane, a w powietrzu unosiła się jakaś niepewność związana z domem, z rodziną.

Muszę jednak porozmawiać z Joanną, zdecydował. Koniecznie.

Rozdział dziesiąty

l/l/iosna stała się nagle gorącym latem, więc April otworzyła w swoim starym dziupie wszystkie okna. Wiatr niósł wszechobecny zapach brukselki, który nie każdemu się podobał, ale ona akurat nie miała nic przeciwko temu. Po obu stronach drogi ciągnęły się pola, płaskie i równe jak stół. Z prawej zdawały się kończyć dopiero u podnóża gór, z lewej sięgały wydm na granicy z oceanem. Zawsze się zastanawiała, jak to możliwe, że takie atrakcyjne grunty, potencjalnie świetne tereny pod zabudowę, są wykorzystywane do uprawy warzyw.

Jechała dość szybko i uważnie przyglądała się mijanym znakom, by nie przeoczyć tabliczki wskazującej skręt do szklarni Lawren-ce'ów. Wiele razy jeździła tędy do Monterey i dalej, a nigdy nie zwróciła na nią uwagi.

Gdy poprzedniego dnia zadzwoniła Joanna z prośbą o spotkanie, April uznała, iż ma jej przedstawić wstępne szkice. W zasadzie zgodnie z umową powinna je skończyć na jutro, ale ponieważ wiedziała, że klienci często się niecierpliwią i oczekują jakichś efektów przed uzgodnionym terminem, była gotowa wcześniej. Tymczasem została mile zaskoczona. Joanna zaprosiła ją do siebie, słowem nie wspominając o szkicach.

Tak czy inaczej, z przyjemnością wyrwała się z domu. Ostatnie dni spędziła przy desce, rysowała, ścierała, poprawiała i ulepszała, pracowała właściwie bez ustanku, bez chwili przerwy, bo nawet jeśli nie siedziała z ołówkiem w ręku, to i tak myślała o tym projekcie. Woody, który próbował ją skusić uroczystą kolacją, również przegrał z grota, bo April tak bardzo się starała dotrzymać terminu. Jeśli nie szkicowała, to przeglądała książki od Joanny, szukając

1

'&

Judith Gould

- Na dole dam sobie radę sam, tylko gdybyś mi teraz pomogła pakować kilka roślin z cieplarni, będę ci wdzięczny po grób.

- Do roboty.

Trzymając się za ręce, poszli do cieplarni, wystawili z niej kwiaty wybrane przez Joshuę i na cztery razy zanieśli je do land cruise-a. Wreszcie Joanna przesłała mężowi pocałunek, Josh pomachał jej znad opuszczonej szyby i pojechał do szklarni.

Zdawał sobie sprawę, że powinien na kolanach dziękować losowi. Pan Hara był jednym z najbogatszych ludzi na świecie, a jedno z jego najbardziej liczonych kolekcjonerów orchidei. Już sam fakt, że któryś kwiat został wybrany do jego zbiorów, należało traktować jako ogromne wyróżnienie i niekwestionowany zaszczyt. Ja -> ończyk potrafił lekką ręką zapłacić piętnaście albo i dwadzieścia tysięcy dolarów za jeden kwitnący okaz, więc można się było spodziewać, że dziś zostawi przynajmniej sto tysięcy.

Mimo takich świetlnych perspektyw Joshua miał nieco zwarzonego humoru, ponieważ nie mógł się pozbyć przykrego wrażenia, iż coś ważnego zostało niedopowiedziane, a w powietrzu unosiła się jakaś niepewność związana z domem, z rodziną.

Muszę jednak porozmawiać z Joanną, zdecydował. Koniecznie.

Rozdział dziesiąty

W wiosnę stała się nagle gorącym latem, więc April otworzyła w swoim starym dżipie wszystkie okna. Wiatr niósł wszechobecny zapach brukselki, który nie każdemu się podobał, ale ona akurat nie miała nic przeciwko temu. Po obu stronach drogi ciągnęły się pola, płaskie i równe jak stół. Z prawej zdawały się kończyć dopiero u podnóża gór, z lewej sięgały wydm na granicy z oceanem. Zawsze się zastanawiała, jak to możliwe, że takie atrakcyjne grunty, potencjalnie świetne tereny pod zabudowę, są wykorzystywane do uprawy warzyw.

Jechała dość szybko i uważnie przyglądała się mijanym znakom, by nie przeoczyć tabliczki wskazującej skręt do szklarni Lawren-ce'ów. Wiele razy jeździła tędy do Monterey i dalej, a nigdy nie zwróciła na nią uwagi.

Gdy poprzedniego dnia zadzwoniła Joanna z prośbą o spotkanie, April uznała, iż ma jej przedstawić wstępne szkice. W zasadzie zgodnie z umową powinna je skończyć na jutro, ale ponieważ wiedziała, że klienci często się niecierpliwią i oczekują jakichś efektów przed uzgodnionym terminem, była gotowa wcześniej. Tymczasem została mile zaskoczona. Joanna zaprosiła ją do siebie, słowem nie wspominając o szkicach.

Tak czy inaczej, z przyjemnością wyrwała się z domu. Ostatnie dni spędziła przy desce, rysowała, ścierała, poprawiała i ulepszała, pracowała właściwie bez ustanku, bez chwili przerwy, bo nawet jeśli nie siedziała z ołówkiem w ręku, to i tak myślała o tym projekcie.

Woody, który próbował ją skusić uroczystą kolacją, również przegrał z grotą, bo April tak bardzo się starała dotrzymać terminu. Jeśli nie szkicowała, to przeglądała książki od Joanny, szukając

Judith Gould

myśli, natchnienia, inspiracji dla wyobraźni. A gdy pojawiała się wena, April znów gorączkowo przelewała obrazy na papier, pełną energii, gorączkowo rzucając na kartki liczne pomysły, których wystarczyłoby na kilka takich projektów.

Wreszcie uznała, iż pierwsze szkice są mniej więcej gotowe. Miło wszystko zamierzała im poświęcić jeszcze trochę czasu ostatnie-3 wieczoru przed oddaniem.

Po lewej stronie dostrzegła znak wskazujący drogę do szklarni Lawrence'ów. Nie widziała jeszcze szklarni orchidei z prawdziwego darzenia, jedynie tę niewielką cieplarnię z najcenniejszymi okazami, po której oprowadzał ją Joshua. Teraz April nie mogła się dozekać kolejnej egzotycznej wycieczki, jako że Joanna chciała jej poznać możliwie najwięcej gatunków tych kwiatów.

Przejechała boczną drogą może pół kilometra, gdy z prawej strony zobaczyła szklarnie. Zatrzymała się na żwirowym parkingu, wzięła torbę, wysiadła i uważnie popatrzyła dookoła. Osłaniając oczy dłonią, przyjrzała się dużemu domowi w stylu neoklasycyzyzm, z charakterystyczną dla tego okresu bogatą ornamentyką, otoczonemu przez oszklone pawilony - twory wyjęte z zupełnie innej rzeczywistości. Wszystkie były nieskazitelne, nawet cokolwiek wspaniale zadbane, a mimo to nadal stanowczo nie na miejscu.

Nie dostrzegła na parkingu mercedesa Joanny, poszła więc do bramki prowadzącej na podwórze, a potem chodnikiem do drzwi domu. Ogrodzony teren wokół budynku nie należał do rozległych, rosło tam zaledwie kilka drzew i krzewów, pięknie utrzymanych, ale

lieproporcjonalnie małych w porównaniu z okazałą budowlą. Weszła na ganek, pchnęła skrzydło podwójnych drzwi i znalazła się w chłodnym biurze.

W holu urządzono recepcję. Było to pomieszczenie o dziwacznym kształcie, niemal okrągłe.

Na środku znajdowało się biurko, za którym siedziała uderzająco piękna kobieta o kruczoczarnych włosach, ogromnych smolistych oczach i zbyt mocnym makijażu.

Rozmawiała przez telefon - z jej ust spływał wartki potok hiszpańskich słów. Podniosła wzrok, a zobaczywszy April, uśmiechnęła się i gestem zaprosiła ją, by usiadła na krześle.

Dłonie miała wąskie, o smukłych palcach zakończonych długimi paznokciami pomalowanymi krwistoczerwonym lakierem. Ani na sekundę nie przerwała rozmowy. Oczy jej błyszczały, żywo gestykulowała wolną ręką.

April usiadła posłusznie na wskazanym krześle i szczerze zafascynowana obserwowała śniadą piękność. Zwróciła uwagę na ja-

Czas na pożegnanie ___

89

skrawowiśniową szminkę, obwiedzioną konturówką w nieco ciemniejszym odcieniu czerwieni, fioletowe cienie na powiekach, rzęsy ciężkie od tuszu i rozświetlający róż. Z umalowanymi ustami pięknie kontrastowały olśniewająco białe zęby.

Nagle kobieta zachichotała, rzuciła krótkie „ciao” i odłożyła słuchawkę na widełki.

- Przepraszam - odezwała się z lekkim obcym akcentem. - To był miejscowy klient. Lokalny. Loco.

- Nic nie szkodzi - uśmiechnęła się April. - Jestem umówiona z Joanną Lawrence.

Młoda kobieta uniosła brwi, wyraźnie zdumiona.

- Z Joanną? Aha. Proszę zaczekać chwileczkę. - Wcisnęła guzik na aparacie, podniosła słuchawkę. - Kogo mam zapowiedzieć?

- April Woodward.

- April - powtórzyła recepcjonistka, jakby się uczyła wymowy.

- W biurze jest pani April Woodward - rzuciła w słuchawkę. - Umówiona z Joanną, tyle że Joanny tutaj nie ma. - Chwilę słuchała, po czym się rozłączyła. - Zaraz przyjdzie do pani Joshua, pan Lawrence.

- Dziękuję.

Po niedługim czasie otworzyły się balkonowe drzwi z lewej strony holu i wszedł Josh, błyskając na powitanie szerokim uśmiechem. Ubrany był w sięgające do kolan spodnie khaki oraz tego samego koloru koszulę i wyglądał jak ogrodnik.

Nieziemsko przystojny, pomyślała April.

- Witaj! - Wyciągnął do niej rękę. - Miło cię widzieć. April podała mu dłoń.
- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedziała nieco zakłopotana. - Joanna miała mnie oprowadzić po szklarniach.
- Nie przeszkadzasz ani trochę - zapewnił ją Joshua. - Joanna pewnie się spóźni. Widzę, że Lunę już znasz.
- Niezupełnie. - Podeszła do biurka i podała rękę sekretarce.
- Miło mi panią poznać.
- Mnie także. - Luna zachichotała po swojemu. - Właśnie rozmawiałam przez telefon... - wyjaśniła Joshowi.
- Jak zwykle - uśmiechnął się wyrozumiale. - Jak zwykle. Wejdźmy do mnie - zaprosił gościa. April od razu spostrzegła, iż jego gabinet został urządzone w dawnym salonie. Na wprost wejścia, przed wykuszowym oknem, stało ogromne biurko. Za nim zobaczyła obrotowy fotel, przed nim dwa skórzane leniwce.

Judith Gould

- Siadaj, proszę. - Joshua zamknął drzwi. - Zadzwoń do Joan--f, - Przysiadł na brzegu biurka i wystukał numer.

April uświadomiła sobie, że wlepiła w niego wzrok, więc szybko mściła powieki.

Co ją naszło? Dlaczego nie może oderwać spojrzenia od tego Lęczczyzny? Od jego niemożliwie niebieskich oczu, złotych włosów, lieźnobiałych zębów, opalanej skóry... O Boże!

- Cześć, Connie - odezwał się Joshua. - Czy Joanna jest może gdzieś w pobliżu? Już w drodze na dół? - Słuchał przez chwilę. Rozumiem, dziękuję - powiedział wreszcie. - Trzymaj się. - Odłożył słuchawkę i odwrócił się do April. - Jest w drodze. Nie nosi telefonu komórkowego, więc nie potrafię powiedzieć, jak prędko do nas przyjedzie. - Przepszczającym gestem rozłożył ręce. - Mam nadzieję, że Luna nie kazała ci czekać?

- Nie, nie - zapewniła go April. - Zresztą nigdzie się nie śpieszę. Nie wiadomo czemu poczuła się lekko skrepowana.

To niemądre, pomyślała. Ten człowiek jest mężem Joanny. Owszem, czarujący, miły, wręcz doskonały, ale to cudzy mąż. Poza ob-sarem zainteresowań.

Mimo wszystko z trudem skupiała się na rozmowie. Była nie-pokojna i czuła się odrobinę zawiedziona.

- Luna - podjęła niepewnie - jest wspaniałą sekretarką.

- Szatan, nie kobieta! - roześmiał się Joshua. - Ale też potrafi oprowadzić dziesięć rozmów telefonicznych jednocześnie i wyciszyć z klienta ostatni grosz. Mało tego, wobec tych, którzy zapomina o płaceniu rachunków, jest gorsza niż komornik.

- Wzór wszelkich biurowych cnót - podsumowała April.

- Rzeczywiście, jest świetna - przyznał Joshua. - Zresztą, nie dbiega od reszty rodziny. Jej mąż, Carl, pracuje u nas jako kierownik szklarni. Poznasz go dzisiaj. A jego siostrą jest Connie.

- Innymi słowy, prowadzicie interes dwurodzinny.

- Można to tak ująć. - Josh wstał. - Chodź, Joanna znajdzie nas w szklarniach. Nie ma sensu czekać na nią bezczynnie.

- Chętnie. Jest mi trochę nieswojo, że zabieram ci czas.

- A ja z przyjemnością wyniosę się z biura. Wolę pracować przy :wiatach.

April wstała i oboje ruszyli w stronę drzwi.

- Luno, będziemy w szklarniach - zwrócił się do sekretarki. - Poproś Joannę, żeby tam do nas przyszła.

Luna, oczywiście ze słuchawką przy uchu, pokiwała głową.

Czas na pożegnanie

91

Wyszli na niewielkie podwórze, minęli bramę i skręcili w ścieżkę prowadzącą do bramy.

- Niesamowity dom - odezwała się April.

- Zbudowała go rodzina Joanny na początku dziewiętnastego wieku. Jak większość tutejszych mieszkańców byli farmerami. Potem jej ojciec rozpoczął uprawę orchidei, a pomysł okazał się trafiony. Wtedy zbudował dom, w którym teraz mieszkamy, a w tym urządził biuro. My podtrzymaliśmy tę tradycję.

Doszli do wysokiego ogrodzenia z drucianej siatki, otaczającego szklarnie. Gdy brama się otworzyła, ruszyli w stronę największego budynku.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła April. - W życiu nie widziałam takiej wielkiej cieplarni!

- Jest ich tu siedem. Razem zajmują powierzchnię prawie trzydziestu tysięcy metrów kwadratowych.

- Trzydzieści tysięcy!

- Przeważającą część sadzonek sprzedajemy odbiorcom hurtowym. Dostarczamy hodowcom w całym kraju licznych odmian kwiatów, niedrogich i niezbyt wymagających. Zaopatrujemy także sklepy prowadzące sprzedaż wysyłkową. Natomiast naszą specjalnością są rzadkie i cenne gatunki. Tym się wyróżniamy spośród innych hodowców. - Otworzył drzwi szklarni.

April weszła i od razu stanęła jak wryta, oszołomiona ogromem przestrzeni wypełnionej niezliczonymi kwiatami o urodzie zapierającej dech w piersiach. Podobnie jak w małej cieplarni koło domu, tak i tutaj powietrze ciężkie było od wilgoci i zapachu kompostu.

- Chyba macie tu wszystkie orchidee, jakie rosną na ziemi? - westchnęła oczarowana.

- Rzeczywiście, niewiele nam brakuje. Jak dotąd mamy dwadzieścia tysięcy odmian klasycznych i ponad sto tysięcy zarejestrowanych hybryd.

- Niesamowite!

Ruszyli ścieżką, zerkając na tabliczki.

- Tutaj rosną te, które pozwalają nam zarobić na chleb. Innymi słowy, Phalaenopsis. Ta, na przykład, jest kupowana wyjątkowo chętnie, ponieważ kosztuje stosunkowo niewiele, a jednocześnie jest łatwa w utrzymaniu. Mamy takich spory wybór. Z tych samych powodów uprawiamy Paphiopedilum i Cattleya. W obu wypadkach ścieramy się z dość ostrą konkurencją tajwańską. Tym bardziej więc kładziemy nacisk na uprawę wyjątkowo rzadkich gatunków.

Judith Gould

^a nich właśnie zarabiamy prawdziwe pieniądze. Zyskaliśmy także jedną pozazdrosczenia reputację hodowcy oferującego najbogatszy wybór kwiatów.

- Jakim sposobem Tajwan może stanowić dla was konkurencję?

- Nasze prawo zezwala na wwożenie roślin bez ziemi. Wobec czego Tajwańczycy przywożą ledwo ukorzenione siewki, po czym do-liczują je w Stanach. W ten sposób zalali rynek niektórymi bardziej wytrzymałymi gatunkami. A teraz zaczynają wykupywać ziemię i stawiać szklarnie - od Vancouver po San Diego. Produkują ogromne ilości kwiatów, nie zwracając najmniejszej uwagi na ich jakość.

- Nieprawdopodobne!

- A jednak. My, na szczęście, słyniemy z rzadkich okazów i doskonałej jakości roślin. Dzięki temu przetrwaliśmy, gdy wielu innych hodowców musiało zamknąć interes.

Zwiedzali szklarnię za szklarnią, zatrzymując się tu i ówdzie, by poświęcić chwilę uwagi którejś wyjątkowej piękności albo wymienić kilka zdań na temat warunków uprawy. Joshua cierpliwie objaśnił gościowi działanie komputerowo sterowanego systemu zraszaczy, który strzegł odpowiedniego nawilżenia roślin. Odpowiedział też na wiele pytań o automatyczne żaluzje, które otwierały się i zamykały, dozując światło i cień, podobnie jak przepływające po niebie chmury. W poszczególnych szklarniach panowała różna temperatura i wilgotność, a także inne nasłonecznienie, zależnie od tego, jakie były tam orchidee. Wszystko po to, by zapewnić kwiatom warunki możliwie najbardziej zbliżone do naturalnych.

- Hodujemy rośliny pochodzące z najróżniejszych zakątków świata, wymagające krańcowo różnych warunków zewnętrznych. Mamy orchidee ze świątyn Machu Picchu, z Himalajów, a także z najbardziej tropikalnych rejonów Brazylii. Toteż musieliśmy w jednym miejscu odtworzyć różnorodne warunki atmosferyczne. - Joshua widział wyraźnie, że April słucha go z ogromnym zainteresowaniem i ciekawia ją nawet szczegóły techniczne. Wdzięczny był jej za ciągle nowe pytania. Spotkał w swoim życiu wielu miłośników orchidei, lecz mało kto był rzeczywiście zainteresowany czymkolwiek poza egzotyczną urodą kwiatów oraz informacją o ich pochodzeniu.

- A niech to! - wykrzyknęła April nagle. - Tak się zasłuchałam, że w ogóle nie robię notatek!

- Po co ci notatki?

- Chciałabym wybrać orchidee do groty. Zamierzałam od razu zdecydować, które będą najlepiej wyglądały pośród muszli i kamieni.

Czas na pożegnanie

93

- Rozumiem z tego, że przyjmujesz propozycję Joanny.

- O tak! Z przyjemnością! Teraz już nie potrafiłabym odmówić.

- Więc to tak! - rozległ się za ich plecami znajomy głos. - Żona zawsze dowiaduje się ostatnia! - Joanna wzięła się pod boki i zmarszczyła brwi, mierząc dwójkę winowajców groźnym spojrzeniem.

April nie bardzo wiedziała, jak powinna zareagować na te słowa, ale zanim zdążyła się spłoszyć, Joanna wybuchnęła śmiechem. Potem podeszła i serdecznie ucałowała ją w oba policzki.

- Pojęcia nie masz, jak się cieszę! - zawołała. - Bałam się, że w końcu jednak mi odmówisz. Joshua z radością przyglądał się obu kobietom. Cieszył go widok Joanny wreszcie rozpromienionej, pełnej zapału, pochłoniętej nowym projektem. Było też jasne, że znalazła doskonałą wykonawczynię swoich zamierzeń.

O tak, pomyślał. April jest naprawdę... wyjątkowa.

- Niewiele brakowało, żebym zrezygnowała - przyznała April.

- Ze względu na termin. Muszę przesunąć realizację wszystkich innych zleceń. Ale po kilku dniach szkicowania zaczęłam widzieć tę grotę... - Zabrakło jej słów, więc tylko rozłożyła ręce. - Najwyraźniej połknęłam bakcyła.

- Chcesz powiedzieć, że zapadłaś na orchideomanię? - spytał Joshua.

- Szczerze mówiąc... - zastanowiła się - sprawa jest chyba nieco bardziej skomplikowana. Najwyraźniej nie mogę żyć bez projektu tej groty - a także bez orchidei. Jedno z drugim się splata... Nie sposób oprzeć się tak kuszącej propozycji.
- Tak właśnie podejrzewałam - oznajmiła Joanna. - Byłam przekonana, że znalazłam właściwą osobę do tego zadania.
- Witaj wśród swoich - uśmiechnął się Josh.
- Bardzo mi przyjemnie - odrzekła April z lekkim wahaniem. Nie była całkiem pewna, jak ma rozumieć to określenie.
- Znalazłaś jakieś kandydatki do groty? - spytała ją Joanna.
- Właśnie powiedziałam Joshowi, że zwiedzając szklarnie, zapomniałam o bożym świecie, o robieniu notatek też - przyznała April.
- Ale muszę przyznać, że stanowczo jest w czym wybierać.
- Dziewczęta - wtrącił Joshua - zostawię was z tym trudnym zadaniem, bo wzywa mnie praca.
- Idź, idź. - Joanna ucałowała męża serdecznie. - Jak skończymy wycieczkę po szklarniach, będziemy w domu.

Josh przytulił żonę i oddał jej pocałunek.

Judith Gould

Czas na pożegnanie

95

- No to na razie. - Uśmiechnął się do April.
- Bardzo dziękuję za oprowadzanie. Jestem ci naprawdę dzięczna. Joshua raz jeszcze błysnął w uśmiechu śnieżnobiałymi zębami zniknął.
- Powiedz mi - zapytała Joanna - widziałas już wszystko?
- Chyba tak - April w zamyśleniu rozejrzała się dookoła - ale nie mam pewności.
- W takim razie przejdźmy się jeszcze raz szybszym krokiem zaproponowała gospodyni - przy okazji pokażę ci, które kwiaty mo-
tn zdaniem pasowałyby do groty. Jeśli i ty pokażesz mi te, które to->ie wpadły w oko, sporządzimy listę i porównamy spostrzeżenia.

Oranżerię urządzono w stylu neoklasycznym. Podłoga z gładkiego francuskiego wapienia stanowiła przepiękne tło dla ozdobnych roślin: palm, najróżniejszych paproci oraz, rzecz jasna, orchidei. Na środku stał ogromny stół zdobiony kamieniarsko-jubilerską metodą zwaną pietra dura, polegającą na tworzeniu niewielkich obrazków z precyzyjnie wycinanych

kolorowych kamieni półszlachetnych. Centralną część blatu zajmował wizerunek gołębi na drzewie. Z sufitu zwisał kryształowy żyrandol z szesnastoma ramionami. Joanna i April zdecydowały, iż tutaj właśnie będzie się im najlepiej pracowało. Rozłożyły na stole wstępne szkice.

Gospodyni długi czas przyglądała się uważnie rysunkom, przekładając je i zamieniając miejscami, aż wreszcie podniosła spojrzenie na April, która oczekiwała werdyktu z niespokojnym biciem serca.

- Świetnie. Właśnie o czymś takim marzyłam.

Projektantka odetchnęła z ulgą.

- Cieszę się, że ci się podobają moje propozycje. Włożyłam w te szkice całe serce.

- Mhm... Trzeba oczywiście zmienić kilka drobiazgów...

O, nie... - westchnęła w duchu April z rezygnacją. Teraz się zacznij. Klienci zawsze wywracają wszystko do góry nogami. „Kilka drobiazgów” oznaczało zwykle gruntowne zmiany od podstaw.

Joanna dostrzegła jej zmieszanie.

- Nie ma się czym przejmować! - Jej głos od razu złagodniał. - Naprawdę chodzi mi o drobiazgi.

- Nie przejmuję się... - April wyraźnie robiła dobrą minę do złej gry. - Powiedz, proszę, co ci się nie podoba.

- Wszystko mi się podoba. Chcę ci jedynie podsunąć kilka sugestii! Rozchmurz się, proszę. April musiała się uśmiechnąć.

- Teraz lepiej - uznała Joanna. Przełożyła kilka kartek, aż znalazła tę, której szukała. Był to szkic ściany, ozdobionej wnękami i innymi elementami architektonicznymi z muszli oraz kamieni.

- Spójrz tutaj.

April pochyliła się nad rysunkiem. Tak ciężko pracowała nad tym projektem, że trudno jej było uwierzyć, iż coś należałoby zmienić.

- Oto doskonała wizja ściany we wnętrzu neoklasycznym

- oświadczyła Joanna. - Piękna. Chciałabym zmienić tylko jeden element. Proponuję rozmyć granice.

April podniosła na nią pytające spojrzenie.

- Nie rozumiem.

- Wyobraź sobie, że ta ściana jest doskonale rozplanowanym ogrodem. Każdy kamyk, każda muszelka znajduje się dokładnie na swoim miejscu.

April skinęła głową.

- A teraz - ciągnęła Joanna - zobacz oczami wyobraźni, jak ten ogród się rozrasta. Jak rozkwitają kolejne rośliny. Tu czy tam wystaje gałązka, listek, kwiat. Pozwól tutaj na to samo. Niech od czasu do czasu któraś muszelka wymknie się spod sznurka, niech jakiś kamyk wyłamie się z szyku.

- Oczywiście! - rozjaśniła się April.

- Wiedziałam, że się zrozumiemy.

- Trochę baroku przełamującego czyste linie klasyki.

- Tak! Właśnie tak. Tu i ówdzie coś niespodziewanego, zaskakującego, z innego wymiaru.

- Kamień przełamany muszlą... Joanno! Jesteś genialna!

- Bez przesady! Po prostu długo się nad tym zastanawiałam. Frontony zaplanowałam z koralowca...

- Jak to!?! - April była wzburzona.

- No tak... - Joanna straciła pewność siebie. - Dlaczego by nie?

- Joanno, koralowiec jest gatunkiem zagrożonym. I właśnie dlatego nie wolno go wykorzystywać w grocie. - Widać było wyraźnie, że mówi całkowicie poważnie.

- To prawda. Z drugiej strony mam go całe kilogramy, zbierałam przez lata. Po co go marnować?

i s s s

%M S.2

.. N O,

™ co ,2 0> co S >>>

-U CD I tJ J

iiS^

- Moim zdaniem jest jak najbardziej do przyjęcia. Poproszę jesz-Josha, aby rzucił na to okiem, ale nie podejrzewam, żeby miał

Leś zastrzeżenia.

- To świetnie. - Czekwała na słowa zleceniodawczyni z biciem serca, bo rachunek opiewał na rzeczywiście niebagatelną sumę. .rugiej strony, miała świadomość, iż praca zajmie jej prawie pół roku i będzie wymagała ogromnego wysiłku.

- Bardzo się cieszę, że się rozumiemy - powiedziała Joanna zasolona. Wzięła do ręki niewielką kartkę. - Wypisałam sobie naj-żniejsze sprawy do załatwienia... Dam ci kod do głównej bramy... ykle jest otwarta, ale nie zawsze. Aha, oczywiście kod do cieplar-

żebyś miała dostęp do kwiatów...

- Cudownie!

- Jeśli będziesz chciała coś do picia czy do jedzenia, zwróć się do •nnie. Niezależnie od pory. Zawsze mamy wszystkiego za dużo, ęc pomożesz nam trochę ograniczyć marnotrawstwo.

- Z przyjemnością. Chociaż starym zwyczajem będę pewnie zyjeżdżała z własnym prowiantem.

- Rób tak, jak ci najwygodniej.

- Chciałabym teraz jeszcze zajrzeć do stajni. Muszę zrobić do-:adniejsze pomiary. I poprawiłabym szkice.

- Oczywiście.

- Trochę to potrwa...

- Może wobec tego zostaniesz na kolację?

- Nie chcę sprawiać kłopotu...

- Nie przyjmuję sprzeciwu - oznajmiła Joanna. - Zapraszam cię a kolację z szampanem, aby uczcić rozpoczęcie wspaniałego pro-|sktłł.

- W takim razie nie zgłaszam sprzeciwu.

- Całkiem słusznie. Jemy zwykle między wpół do ósmej a ósmą. leśli się nie zjawisz do tego czasu, przyjdę po ciebie.

- Dobrze. - April zebrała swoje rzeczy. - Do zobaczenia. - Wyszła przez ogromne drzwi balkonowe.

Joanna odprowadzała ją wzrokiem, aż straciła gościa z oczu. Cudownie, pomyślała. Wszystko idzie jak po maśle.

* * *

Dopiero gdy w budynku stajni zapanował półmrok, April uświadomiła sobie, że zrobiło się późno. Tak była zajęta pracą, iż nie do-

Czas na pożegnanie

strzegła upływu czasu. Zebrała do teczki kartki z pomiarami i ostatni raz rzuciła okiem na szkice. Były to rysunki znacznie bardziej szczegółowe niż te, które pokazała Joannie - i uwzględniały sugestie zleceniodawcy.

Niesamowite, pomyślała. Na jej ustach błąkał się lekki uśmiech. Jeszcze nikt mnie tak szybko i łatwo nie przekonał do swojego punktu widzenia.

Tego dnia zyskała nowe, ogromnie ważne doświadczenie: okazało się, iż potrafi zachować ustalone reguły i zasady, ale też nagiąć je do tego stopnia, by spełnić oczekiwania zleceniodawcy, a jednocześnie ulepszyć projekt.

Zarzuciła torbę na ramię i ruszyła między starymi jabłoniemi w stronę domu Lawrence'ów. Wieczór był piękny, powietrze rześkie, a ją przepelniało cudowne uczucie spełnienia, satysfakcja z dobrze wykonanego zadania.

Z daleka dobiegł ją głośny śmiech. Gdy zobaczyła basen, aż przystanęła, by podziwiać niespotykany widok. Wszędzie rozstawione były latarnie ze świeczkami: nad brzegiem wody, na stołach i na murze, na trawie i na schodach, nawet na mostku. Joanna siedziała na tarasie, Joshua, zanurzony po pas, akurat prysnął na nią wodą.

- Co to za wrzucanie męża do basenu! - zawołał z udawanym oburzeniem.

- Przestań! - krzyknęła Joanna. - Widzisz, coś narobił? Będę musiała się przebrać. - Wstała, aby strzepnąć mokrą bluzkę i spodnie.

- Dobrze ci tak! - Wyszedł na brzeg, zamknął żonę w uścisku mokrych ramion i obsypał jej twarz pocałunkami.

Joanna pisnęła.

- No, teraz to już koniec -jęknęła. - Jestem zupełnie przemoczona. - Ale jednocześnie wcale nie próbowała się uwolnić z jego objęć.

April poczuła się trochę nieswojo, jak intruz podpatrujący idylliczną scenkę małżeńską, lecz nie mogła oderwać oczu od tych dwojga. Tak właśnie wyobrażała sobie szczęście.

Jaki on jest cudowny! Wysoki, przystojny i silny, ale delikatny, czuły, a na dodatek skory do zabawy i z poczuciem humoru...

Gdzieś w głębi serca ukłuła ją dawno zapomniana tęsknota za beztróską radością we dwoje. Obudziło się w niej pragnienie takiego życia ze wspaniałym mężczyzną, wypalone i pogrzebane w czasie nieszczęśliwego małżeństwa.

- A, jesteś nareszcie! - zawołał do niej Joshua.

Judith Gould

Zawstydzila się, jakby ją przyłapał na gorącym uczynku, choć rzecież nie robiła nic złego. Bezwiednie przybrała ton i postawę, ik gdyby dopiero co zjawila się nad basenem.

- Cześć!

Jednak na nic się zdała gra pozorów.

- Śledziłaś nas!

- Nie, wcale nie! - zaprzeczyła odruchowo. - Ale widziałam, jak ię całowaliście! - dodała przekornie.

Roześmieli się wszyscy troje.

- Chodź, napijemy się szampana - powiedziała Joanna. - Czekajmy na ciebie z otwarciem butelki.

- Bardzo to miłe z waszej strony. Ale niech Josh obieca, że mnie ie ochłapie.

- Masz to jak w banku - oznajmił z szerokim uśmiechem. Owi-iał się jedwabnym szlafrokiem i zaczął otwierać butelkę, która już zekała w wypełnionym lodem wiaderku na stole.

- Muszę się przebrać w coś suchego - uznała Joanna. - Zaraz rróćą.

- Tylko nie marudź! - zawołał za nią Joshua. - Bo wypijemy wszystko bez ciebie. - Spojrzał na April. - Usiądź - poprosił. - Czuj ięjak w domu.

- Z przyjemnością. - Usiadła i popatrzyła dokoła z zachwytem. Pięknie tutaj w blasku świec.

- Rzeczywiście - przyznał Joshua. - Nie wiem, czy Joanna już ci wspominała, ale z basenu też możesz korzystać, kiedy zechcesz. Za-3Ży nam, żebyś się tu czuła zupełnie swobodnie.

- Jesteście kochani.

- Daj spokój. Przecież nam nie ubędzie. - Korek z głośnym pyk-dęciem wyskoczył z butelki, w powietrze uniosła się cienka smuż-;a mgiełki.

- Voila! - Joshua nalał szampana do trzech smukłych kryszta-ów ustawionych na srebrnej tacy. Wcisnął butelkę z powrotem v lód, następnie podał gościowi kieliszek.

- Nie powinniśmy zaczekać z toastem na Joannę? - spytała ^pril.

- Masz rację - przyznał. - Jestem niewychowanym prostakiem. | Roześmieli się oboje. - Wypiję tylko troszeczkę, nie zorientuje się, ;e miałem więcej. - Podniósł kieliszek do ust. - Zaraz, zaraz... Ale •rzed tobą się nie ukryję. Hm... Wobec tego lepiej zaczekam.

April w odpowiedzi tylko się uśmiechnęła.

707

- Muszę ci powiedzieć - podjął Joshua - że Joanna zdążyła mi już pokazać twój kosztorys. Moim zdaniem jest bez zarzutu. Widać tu rękę profesjonalistki.

- Dziękuję. Twoja żona ma dalekosiężne plany, więc nawet oszacowanie kosztów nie było łatwym zadaniem. Określenie płatności za zmiany konstrukcyjne wymagało sporo pracy, a do tego jeszcze wycena mojego wkładu...

- Zdaję sobie sprawę, że stanęłaś przed wielkim wyzwaniem - stwierdził Joshua. - Ale też, przyznam szczerze, bardzo się z tego cieszę, bo ten projekt wyraźnie uszczęśliwia Joannę. Jest bardzo podobna do swojego ojca, musi stale tworzyć coś nowego. Domek na plaży urządziła właściwie własnymi rękami. I to jak! Potem wydała album o orchideach, prawdziwy bestseller. Wiecznie coś zmienia i poprawia, a to zakłada ogród, a to zmienia wystrój któregoś pokoju, a przynajmniej kolorystykę wnętrza... stale coś nowego.

- Moim zdaniem można się z tego tylko cieszyć. Wolałbyś, żeby spędzała czas głównie na zakupach?

- Dziękuję Bogu, że mi oszczędził takiej przyjemności!

- Wróciłam! - rozległ się głos Joanny. Lekkim krokiem podeszła do stołu i usiadła. - O, jak miło! Zaczekaliście na mnie! - Podała April cienki szal. - Masz, zaraz będzie chłodno. A kolacja najwcześniej za pół godziny.

- Dziękuję. - April narzuciła szal na ramiona. Był wykonany z pashminy, delikatniejszej niż kaszmir, i cudownie miękki, a na dodatek w ciepłym odcieniu jasnego brązu, wyjątkowo korzystnym przy jej karnacji.

Joanna przebrała się w beżową bluzkę z jedwabiu i spodnie od kompletu. Na ramiona zarzuciła biały kaszmirowy sweterek. Wyglądała uroczo, ale zarazem wydawało się, że wcale się o to nie starała. Jakby piękno stanowiło nieodłączny, oczywisty element jej otoczenia i jej samej.

April jednak wiedziała swoje. Ponieważ jej praca polegała na dyskretnym eksponowaniu piękna w taki sposób, by wydawało się całkowicie naturalne, doskonale zdawała sobie sprawę, ile wysiłku kosztuje osiągnięcie takiego rezultatu.

- Wobec tego teraz - odezwał się Joshua, podnosząc kieliszek - nadszedł czas, aby wznieść toast. Za grote! Za szalony projekt mojej żony, którego ukończenia wszyscy wyglądamy z równą niecierpliwością.

Mam nadzieję, że go doczekam, pomyślała Joanna.

zaśmiała się tak samo wesoło, jak pozostała dwójka, równie yście zadzwieczał jej kryształ ze szlachetnym trunkiem. :il dawno już nie piła tak wyśmienitego szampana. Drobne bą-
|ozkosznie laskotały ją w podniebienie. Swoją drogą, od dłuż-czasu nie miała żadnej

szczególnej okazji do świętowania. Chciałbym wnieść jeszcze jeden toast - odezwał się Joshua. aki? - spytała Joanna.

'a April. - Przeniósł na gościa spojrzenie błyszczących błękit-oczu. - Za jedyną kobietę, która słuchając mojej żony, pojęła lko jej słowa, lecz także myśli.

Fak jest! Słusznie! - wsparła go Joanna entuzjastycznie, drżeniem w sercu obserwowała, jak patrzył na tę wyjątkową tę. Rodziła się między nimi sympatia, a może nawet zażyłość, pril natomiast przelknęła kolejny łyk szampana i znów podda-i fali melancholii. Tak dobrze jej było z tymi dwojgiem, mogła-)stać z nimi na zawsze. Obawiała się jedynie, że wzbierające sercu uczucie nie zostało równo podzielone. A lwia jego część padła panu domu.

Rozdziołjedcnasty

I Vadeszło lato w całej pełni, a prace w stajni posuwały się naprzód w zadowalającym tempie. Szybko wmontowano rząd balkonowych drzwi, ale nie zyskały one całkowitej aprobaty żadnej z inicjatorek powstawania groty, póki Joanna nie dokupiła potwornie drogich okuć i klamek - rzecz jasna z motywem muszli.

April przyjęła założenie, iż w chwili rozpoczęcia robót Joanna, jak każdy normalny zleceniodawca, zniknie z horyzontu i tylko od czasu do czasu będzie sprawdzała postępy prac. Pomyliła się jednak; ta klientka stale trzymała rękę na pulsie. Taka sytuacja mogła się okazać trudna dla obu stron, ale w tym wypadku praktyka szybko wykazała, że obecność Joanny przynosiła więcej pożytku niż kłopotów. Podsuwała cenne rady, pomagała w podejmowaniu ważnych decyzji, brała na siebie wiele obowiązków, słowem - często okazywała się niezastąpiona.

Na przykład niewielką fontannę, która miała stanąć pośrodku groty, uznała za nieodpowiednią, zbyt dużo było na niej barokowych ozdób.

- Sądziłam, że dorówna obrazom powstającym w twojej wyobraźni - zdziwiła się April.

- Sama bryła fontanny ma być tylko podstawą dla stworzonych przez ciebie dekoracji - odparła Joanna. - Dlatego musi być jak najskromniejsza. Tyją obłożysz muszlami i kamieniami. Tak samo jak ściany. Wyznaczysz na niej linie wzorów, a następnie zatrzysz granice.

April przez chwilę mierzyła ją osłupiałym wzrokiem, aż wreszcie wybuchnęła śmiechem. Tak, tej lekcji z pewnością nie zapomni.

> _____

Ale zaśmiała się tak samo wesoło, jak pozostała dwójka, równie rebrzyście zadźwięczał jej kryształ ze szlachetnym trunkiem.

April dawno już nie piła tak wyśmienitego szampana. Drobne bąbelki rozkosznie łaskotały ją w podniebienie. Swoją drogą, od dłuższego czasu nie miała żadnej szczególnej okazji do świętowania.

- Chciałbym wznieść jeszcze jeden toast - odezwał się Joshua.

- Jaki? - spytała Joanna.

- Za April. - Przeniósł na gościa spojrzenie błyszczących błękitnych oczu. - Za jedyną kobietę, która słuchając mojej żony, pojęła nie tylko jej słowa, lecz także myśli.

- Tak jest! Słusznie! - wsparła go Joanna entuzjastycznie.

Z drżeniem w sercu obserwowała, jak patrzył na tę wyjątkową kobietę. Rodziła się między nimi sympatia, a może nawet zażyłość.

April natomiast przełknęła kolejny łyk szampana i znów poddała się fali melancholii. Tak dobrze jej było z tymi dwójkiem, mogłaby zostać z nimi na zawsze. Obawiała się jedynie, że wzbierające w jej sercu uczucie nie zostało równo podzielone. A lwia jego część przypadła panu domu.

Rozdziółjedcnosty

/ Vadeszło lato w całej pełni, a prace w stajni posuwały się naprzód w zadowalającym tempie. Szybko wmontowano rząd balkonowych drzwi, ale nie zyskały one całkowitej aprobaty żadnej z inicjatorek powstawania groty, póki Joanna nie dokupiła potwornie drogich okuć i klamek - rzecz jasna z motywem muszli.

April przyjęła założenie, iż w chwili rozpoczęcia robót Joanna, jak każdy normalny zleceniodawca, zniknie z horyzontu i tylko od czasu do czasu będzie sprawdzała postępy prac. Pomyliła się jednak; ta klientka stale trzymała rękę na pulsie. Taka sytuacja mogła się okazać trudna dla obu stron, ale w tym wypadku praktyka szybko wykazała, że obecność Joanny przynosiła więcej pożytku niż kłopotów. Podsuwała cenne rady, pomagała w podejmowaniu ważnych decyzji, brała na siebie wiele obowiązków, słowem - często okazywała się niezastąpiona.

Na przykład niewielką fontannę, która miała stanąć pośrodku groty, uznała za nieodpowiednią, zbyt dużo było na niej barokowych ozdób.

- Sądziłam, że dorówna obrazom powstającym w twojej wyobraźni - zdziwiła się April.

- Sama bryła fontanny ma być tylko podstawą dla stworzonych przez ciebie dekoracji - odparła Joanna. - Dlatego musi być jak najskromniejsza. Tyją obłożysz muszlami i kamieniami. Tak samo jak ściany. Wyznaczysz na niej linie wzorów, a następnie zatrziesz granice.

April przez chwilę mierzyła ją osłupiałym wzrokiem, aż wreszcie wybuchnęła śmiechem. Tak, tej lekcji z pewnością nie zapomni.

104

Judith Gould

Gdy wreszcie dostarczono właściwą fontannę, Joanna doglądała prac hydraulicznych, pilnując, by wyloty rur znalazły się na odpowiedniej wysokości, a każdy zwrócony był w odpowiednią stronę.

Ale korzystała też z doświadczenia April. Szybko odkryła naj-oczywistsze źródło jej sukcesów - doskonały kontakt z wykonawcami, owocujący ich prawdziwym, szczerym wysiłkiem. Jeśli jakiś fragment stiuków wyglądał już „prawie idealnie” i był „właściwie poziomo”, a fachowcy przestawali się nim interesować, April potrafiła ich skłonić do poprawek, do poświęcenia najdrobniejszemu wycinkowi dekoracji takiej uwagi, że w końcu rzeczywiście był idealnie poziomo i dokładnie tak jak trzeba - choć wymagało to odrobinę więcej czasu i pracy.

W nawale prac dni uciekały lotem błyskawicy. Gdy nadszedł czas, by April zajęła się układaniem kamieni i muszli, obie były zdumione, iż nastąpiło to tak szybko. Zaprzyjaźniły się przez mi-lione tygodnie, stały się sobie bliższe, zmienił się ton ich rozmów, któregoś piątkowego ranka, na początku czerwca, kiedy pozwoliły obie na chwilę odpoczynku, Joanna zaczęła opowiadać o siostrze.

- Christina jest ode mnie cztery lata starsza, kuta na cztery no-i i szczerze mówiąc, niekiedy zachowuje się podle. Ale umie też być troskliwa, pełna życzliwości. Przeżyłyśmy razem wiele cudownych chwil. Uczyła mnie, jak się ubierać, malować, z nią pierwszą rozmawiałam o sprawach damsko-męskich, plotkowałyśmy o chłopakach... Nie wiem, co bym bez niej zrobiła, na dobrą sprawę zastępowała mi matkę.

- Nadal jesteście takie zaprzyjaźnione?

- Cóż... Swego czasu wiele nas łączyło... Teraz... Odwiedzamy się przy różnych okazjach... Ja zawsze dwa razy w roku zaglądam do Montecito, natomiast Christina... z nią nigdy nie wiadomo. Może pokazać się u nas raz w roku albo przyjeżdżać co weekend. Jest przewidywalna. - Westchnęła głośno. - Ot, choćby ostatnim razem... ze trzy miesiące temu wpadła do nas jak bomba całkiem nieodczekała. Jesteśmy takie różne...

- Pod jakim względem?

- Pod wieloma. Christina jest szalenie ambitna. Od dziecka pragnęła brylować w towarzystwie. Kocha pieniądze i szaleje na punkcie mężczyzn. Może powinnam powiedzieć, że jest

zwariowana na nckie mężczyzn z pieniędzmi i władzą... Tak, to chyba bliższe awdy. A tacy ludzie najczęściej mają także wysoką pozycję towa-raką.

Czas na pożegnanie

105

- Twoja siostra nie stanowi jakiegoś szczególnego wyjątku w kobiecym gronie.
- A jednak się wyróżnia. Wyobraź sobie, skończyła trzydzieści sześć lat i była już trzy razy mężatką. Wszyscy trzej mężowie mieli pieniądze, władzę i doskonałą pozycję towarzyską. Moja siostra obraca się wśród snobów z Montecito i Palm Beach, bogaczy, zainteresowanych tylko perfekcyjną opalenizną. No, może jeszcze w pewnym stopniu końmi. Niektórzy grywają w polo, większość dysponuje gigantycznymi funduszami powierniczymi i nigdy w życiu nie skalala się żadną pracą.
- Ty nie umiałabyś tak żyć.
- Rzeczywiście - przyznała Joanna. - I wiesz, co najdziwniejsze, wielu spośród nich to naprawdę nieszczęśliwi ludzie. Oczywiście nie wszyscy, ale Christina wyraźnie ma talent do otaczania się próżniakami, znudzonymi, niespełnionymi i rozczarowanymi życiem.
- Bez żadnych celów i pragnień.
- Właśnie. Dostają obsesji na punkcie własnych kłopotów, jakby z powodu niedoskonałej fryzury czy kreacji miał się zawalić świat. Najważniejsza pod słońcem jest kolejna operacja plastyczna. Albo oryginalna biżuteria. Lub najnowszy kochanek. Oto sprawy bezsprzecznie najistotniejsze na świecie! - Joanna pokręciła głową.
- Powinni czasem popatrzeć dalej niż na czubek własnego nosa. Taki jest mój najlepszy sposób na chandrę. Zrobić coś dla drugiego człowieka. - Spojrzała na Joannę. - Czy to nie brzmi jak banal?
- Owszem, ale ja powiedziałabym to samo. Zawsze to powtarzam.
- Christina powinna się zająć działalnością charytatywną. Robić coś, co by komuś innemu przyniosło pożytek.
- Powiedziałaś, że dawniej byliście mocno zżyte. A jak teraz układa się między wami? Skoro jesteście tak różne?
- Jakoś dajemy sobie radę. - Joanna zamilkła. - Chyba zaakceptowałyśmy to, że mamy odmienne podejście do różnych spraw
- podjęła - i mimo tych rozdzźwięków pozostałyśmy przyjaciółkami. Przed śmiercią tata zapytał nas, jak chciałybyśmy podzielić majątek. Miałyśmy zdecydować, która woli wziąć ziemię i orchidee, a która pieniądze. Christina bez namysłu wybrała pieniądze, a ja byłam zadowolona z jej decyzji, bo wolałam ziemię i rodzinny interes. - Urwała i zapatrzyła się w

dal. - Chyba dokonaliśmy właściwego wyboru, chociaż nie był to równy podział. Moja część okazała

Judith Gould

ę, przynajmniej z początku, dużo mniej warta niż gotówka i gruby artfel akcji, które przypadły w udziale Christinie.

- Zdumiewające, że mimo to nie ma między wami niesnasek.

- To prawda. Może właśnie dlatego, że jesteśmy tak różne. Ja ie dbałam o tamte pieniądze, Christiny nie obchodziły szklarnie ziemia. - Zamilkła. - Przynajmniej wtedy - dodała.

- Jak to? Chcesz powiedzieć, że teraz jest inaczej?

- Właściwie... nie bardzo wiem, co o tym myśleć. Ostatnio Chri-;ina często wypytuje o firmę, chociaż zwykle w ogóle jej nie zauwa-ała. Więc trochę to dziwne... - Wzruszyła ramionami. - Może po rostu się nudzi między jednym mężem a drugim i poczuła senty-lent do rodzinnego biznesu. - Pokręciła głową. - Naprawdę nie dem. Tak czy inaczej - uśmiechnęła się - choć byliśmy i jesteśmy alkiem różne, choć życie poprowadziło nas odmiennymi ścieżkami, igdy nie zapomnę, że zastępowała mi mamę, i zawsze będę jej za 3 wdzięczna.

- A co się stało z twoją mamą? - Jeszcze kilka tygodni temu ipril nie miałyby śmiałości zadać takiego pytania, teraz jednak na-ret się nie zawahała.

- Utonęła - odpowiedziała Joanna. - Niedługo po moim urodze-iu.

- O Boże!

- Swego czasu mieliśmy żaglówkę i kiedyś mama z tatą wybrali ię popływać po zatoce Monterey, niedaleko naszego domku plažo-rego. Nagle zerwał się sztorm, a na zatokę opadła gęsta mgła. Od azu podniosły się też wielkie fale. Rodzice natychmiast skierowali ódkę do brzegu. Oboje byli na rauszu, mama nie włożyła kamizelki atunkowej, więc kiedy wypadła za burtę, właściwie nie miała zans. Tata szukał jej długi czas, oczywiście wezwał pomoc, ale wszystkie wysiłki spełzły na niczym. Następnego dnia morze wy-zuciło jej ciało nieomal przed domkiem plażowym. - Joanna pod-liosła na April smutne spojrzenie.

- To straszne. Podejrzewałam, że spotkało ją coś złego. Często wspominacie z Joshem o twoim ojcu, a wcale nie mówicie o matce.

- Dla mnie jej śmierć nie stanowiła tragedii - przyznała się Jo-mna. - Byłam wtedy niemowlęciem. W ogóle nie pamiętam matki, ^hristina ledwo ją sobie przypomina i też nie ma całkowitej pewno-ici, czy pamięta rzeczywistą postać, czy też fotografie i historie, jadę jej opowiadano.

- Twój ojciec już się nie ożenił?

Czas na pożegnanie

- Nie. O ile mi wiadomo, nawet nie spojrzął na inną kobietę. A łódź spalił. I do końca życia nie tknął alkoholu.

- Winił siebie za śmierć żony?

- Najprawdopodobniej. I ze wszystkich sił starał się nam wynagrodzić brak matki. Poświęcił się całkowicie, kochał nas całym sercem. Czasami nawet myślę, że musiał poczekać, aż obie się usamodzielnimy i wyjdziemy za mąż, żeby zachorować na raka. Dopiero kiedy zyskał absolutną pewność, że znalazłyśmy swoje miejsce w życiu, pozwolił sobie umrzeć.

- Dziwne są koleje losu... Taki ojciec to prawdziwy skarb.

- O tak. Miałam najlepszego tatę na świecie. Bezsprzecznie. Był wspaniałym człowiekiem, godnym podziwu pod każdym względem. Nie mogę się pozbyć odczucia, że los jest niesprawiedliwy... okrutny, skoro życie takiego wartościowego człowieka zakończyła straszna śmierć, powolna i bolesna... - Przeniosła na April poważne spojrzenie. - Kiedy umierał, straciłam wiarę w boskie miłosierdzie. I chyba jej nie odzyskałam. Ciągłe bez skutku usiłuję się doszukać jakiegokolwiek sensu w niesprawiedliwości... w okrucieństwie, jakie czasem niesie ze sobą życie. - Uśmiechnęła się melancholijnie. - Wybacz, nie chciałam wpadać w taki poważny ton. A wracając do naszej rodziny, muszę przyznać obiektywnie, że obie z Christiną wyrastałyśmy otoczone miłością i rozpuszczane do granic możliwości.

- Szczerze mówiąc, jakoś nie widzę, żebyś była rozpuszczona - odparła April. - Doskonale zdajesz sobie sprawę z własnej sytuacji i doceniasz to, co masz.

- Jesteś bardzo miła. Ech, wracajmy do pracy, bo czas ucieka.

- Skoro już mowa o pracy, to chciałam ci powiedzieć, że od jutra będzie przychodził mój pomocnik, Woody.

- To ten przyjaciel, o którym wspominałaś? Ten ramiarz?

- Tak. Już nieraz pomagał mi przy większych zleceniach. Doskonale radzi sobie z szybko schnącym cementem. Skoro mamy skończyć budowę grotty w jak najkrótszym czasie, Woody bardzo się przyda. Nie dopuszczę go do żadnych prac dekoracyjnych, ale niech położy grunt pod wzory.

- A co z jego warsztatem? - spytała Joanna.

- Znalazł sobie zastępstwo. Będzie też pracował u siebie popołudniami, nic mu się nie stanie, jak czasem posurfuje trochę krócej.

Joanna nie chciała zdradzać April, że zna Woody'ego Pearlma-na. Przynajmniej nie teraz.

Trudno było jej wyrzucić z pamięci

Judith Gould

Widok na incydent w pracowni ramiarza, ale też nie sposób zaprzeczyć, że poprzednie dwa zlecenia wykonał wzorowo. Może za trzeci razem po prostu miał kiepski dzień.

- Ten Woody chyba bardzo cię lubi, skoro jest gotów wszystko zrobić, żeby ci pomagać - zauważyła. - Może nawet kocha się tobie?

- Nie, nie. To znaczy... to nie jest miłość... Do licha! Właściwie, i wiem.

- A ty co do niego czujesz?

April najpierw się uśmiechnęła, a potem roześmiała w głos.

- Z całą pewnością go nie kocham. W każdym razie, tak mi się wydaje. Przyjaźnimy się od dłuższego czasu, a znamy się kopę lat, i tak czy inaczej jesteśmy jak brat z siostrą, a nie kochankowie, ik mi się przynajmniej wydaje. Nigdy na jego widok nie miękły mi łana, nie łomotało serce ani nic z tych rzeczy. Z Woodym można \ do kina. Albo załatwić konkretną sprawę. Jest świetnym kumem.

Joanna słuchała tej opinii z rosnącą ulgą, ale nie zdradziła się ze swoimi rewelacjami.

Woody Pearlman nie jest wart April, pomyślała.

Miałaby, delikatnie mówiąc, pewne zastrzeżenia w stosunku do tego mężczyzny, z którym chciałyby się widywać April, ale też zęba przyznać, że Woody, ów niefortunny Casanova, przede wszystkim budził jej niechęć.

Temu facetowi chodzi wyłącznie o jedno!

Z drugiej strony, czym wytłumaczyć przyjaźń tych dwojga? Czy-i należało przyjąć, że on traktował ich znajomość inaczej niż April. A kiedy dostanie, czego chce, rzuci ją bez skrępowań i zacznie się rozglądać za następną zdobyczą. Ponieważ ona nie będzie już anowiała wyzwania.

- Przebiorę się i wyjdę Woody'emu na spotkanie - odezwała się April.

- Dobrze. W takim razie, do zobaczenia przy obiedzie.

- Joanno, czyja aby na pewno nie nadużywam twojej gościnności?

- Daj spokój! A już poza wszystkim innym, dziś mamy szczegól-ą okazję, bo przecież zakończyły się roboty przygotowawcze i za-jynamy prawdziwą pracę.

- Masz talent do wyszukiwania specjalnych okazji - zaśmiała się April.

- Dobrego nigdy za wiele.

Czas na pożegnanie

109

- Wobec tego, do zobaczenia przy obiedzie. - April poszła zmienić ubranie w domku przy basenie. Z niejakim poczuciem winy uświadomiła sobie, że zastanawia się, czy Joshua także będzie z nimi jadł.

* * *

Woody wetknął rękę w kieszenie i z nieskrywaną ciekawością dłuższy czas przyglądał się dawnej stajni. Wreszcie potrząsnął głową, aż czarne loki rozsypały mu się na ramiona, i zagwizdał z podziwu.

- Muszę przyznać, że to będzie ekstra.

- A ja muszę od razu zaznaczyć, że to pomysł Joanny, nie mój.

- Zgoda, ale to ty odwaliałaś całą robotę nad projektem. A teraz przyczepiasz te muszelki. - Jego czarne oczy rozbliły. - Najwyższy czas, żebyś zaczęła dostrzegać własną wartość.

- Lejesz miód na moje serce. A wracając do rzeczy: widziałeś już, co trzeba zrobić.

Znajdziesz czas, żeby mi pomóc?

- Jasne. Dla ciebie zawsze. A mogłabyś uściślić, o co dokładnie chodzi?

- Chciałabym, żebyś zajął się wypełnieniem większych fragmentów przeznaczonych pod jeden rodzaj kamieni czy muszli. Tam, gdzie nie będzie konkretnych wzorów. Spójrz. - Poprowadziła go do roboczego stołu zarzuconego planami. - Choćby na tej ścianie. Widzisz te miejsca między stiukami? Można je pociągnąć szybko-schnącym cementem, bo tam chcę ułożyć identyczne muszle i kamienie bez wzorów.

- Aha. Nudna, łatwa robota, z którą sobie poradzi pierwszy lepszy kretyn.

- Właśnie. Ciężką i trudną pracę zatrzymałam dla siebie.

- Ty tu rządzisz - stwierdził Woody ze śmiechem. April spojrzała na zegarek.

- Przepraszam cię, ale muszę już uciekać, nie chcę, żeby na mnie czekali z jedzeniem. Trafisz sam z powrotem?

- Pewnie! Ale jeszcze przejrzę szkice, jeśli nie masz nic przeciwko. Zorientuję się, ile jest tej przewidzianej specjalnie dla mnie nudnej roboty.

- Nie ma sprawy. - Zdziwiło ją takie zaangażowanie przyjaciela. Woody pracował szybko i dobrze, ale nigdy nie interesował się szczególnie tego rodzaju robotą, traktując swoją pomoc tylko jako obowiązek do odbębnienia.

4

Judith Gould

:ykry incydent w pracowni ramiarza, ale też nie sposób zaprze-ć, że poprzednie dwa zlecenia wykonał wzorowo. Może za trze-i razem po prostu miał kiepski dzień.

- Ten Woody chyba bardzo cię lubi, skoro jest gotów wszystko iść, żeby ci pomagać - zauważyła. - Może nawet kocha się tobie?

- Nie, nie. To znaczy... to nie jest miłość... Do licha! Właściwie, s wiem.

- A ty co do niego czujesz?

April najpierw się uśmiechnęła, a potem roześmiała w głos.

- Z całą pewnością go nie kocham. W każdym razie, tak mi się daje. Przyjaźnimy się od dłuższego czasu, a znamy się kopę lat, ! tak czy inaczej jesteśmy jak brat z siostrą, a nie kochankowie, k mi się przynajmniej wydaje. Nigdy na jego widok nie miękły mi łana, nie łomotało serce ani nic z tych rzeczy. Z Woodym można : do kina. Albo załatwić konkretną sprawę. Jest świetnym kum-jm.

Joanna słuchała tej opinii z rosnącą ulgą, ale nie zdradziła się ze roimi rewelacjami.

Woody Pearlman nie jest wart April, pomyślała.

Miałyby, delikatnie mówiąc, pewne zastrzeżenia w stosunku do zdego mężczyzny, z którym chciałyby się widywać April, ale też seba przyznać, że Woody, ów niefortunny Casanova, przede wszystkim budził jej niechęć.

Temu facetowi chodzi wyłącznie o jedno!

Z drugiej strony, czym wytłumaczyć przyjaźń tych dwojga? Chy-l należało przyjąć, że on traktował ich znajomość inaczej niż arii. A kiedy dostanie, czego chce, rzuci ją bez skrępułów i zacznie ? rozglądać za następną zdobyczą. Ponieważ ona nie będzie już anowiła wyzwania.

- Przebiorę się i wyjdę Woody'emu na spotkanie - odezwała się pril.

- Dobrze. W takim razie, do zobaczenia przy obiedzie.

- Joanno, czyja aby na pewno nie nadużywam twojej gościnności?

- Daj spokój! A już poza wszystkim innym, dziś mamy szczegól-\ okazję, bo przecież zakończyły się roboty przygotowawcze i za-;ynamy prawdziwą pracę.

- Masz talent do wyszukiwania specjalnych okazji - zaśmiała ę April.

- Dobrego nigdy za wiele.

Czas na pożegnanie

109

- Wobec tego, do zobaczenia przy obiedzie. - April poszła zmienić ubranie w domku przy basenie. Z niejakim poczuciem winy uświadomiła sobie, że zastanawia się, czy Joshua także będzie z nimi jadł.

Woody wetknął ręce w kieszenie i z nieskrywaną ciekawością dłuższy czas przyglądał się dawnej stajni. Wreszcie potrząsnął głową, aż czarne loki rozsypały mu się na ramiona, i zagwizdał z podziwu.

- Muszę przyznać, że to będzie ekstra.

- A ja muszę od razu zaznaczyć, że to pomysł Joanny, nie mój.

- Zgoda, ale to ty odwaliałaś całą robotę nad projektem. A teraz przyczepiasz te muszelki. - Jego czarne oczy rozbłysły. - Najwyższy czas, żebyś zaczęła dostrzegać własną wartość.

- Lejesz miód na moje serce. A wracając do rzeczy: widziałeś już, co trzeba zrobić.

Znajdziesz czas, żeby mi pomóc?

- Jasne. Dla ciebie zawsze. A mogłabyś uściślić, o co dokładnie chodzi?

- Chciałabym, żebyś zajął się wypełnieniem większych fragmentów przeznaczonych pod jeden rodzaj kamieni czy muszli. Tam, gdzie nie będzie konkretnych wzorów. Spójrz. -

Poprowadziła go do roboczego stołu zarzuconego planami. - Choćby na tej ścianie. Widzisz te miejsca między stiukami? Można je pociągnąć szybko-schnącym cementem, bo tam chcę ułożyć identyczne muszle i kamienie bez wzorów.

- Aha. Nudna, łatwa robota, z którą sobie poradzi pierwszy lepszy kretyn.

- Właśnie. Ciężką i trudną pracę zatrzymałam dla siebie.

- Ty tu rządzisz - stwierdził Woody ze śmiechem. April spojrzała na zegarek.

- Przepraszam cię, ale muszę już uciekać, nie chcę, żeby na mnie czekali z jedzeniem. Trafisz sam z powrotem?

- Pewnie! Ale jeszcze przejrzę szkice, jeśli nie masz nic przeciwko. Zorientuję się, ile jest tej przewidzianej specjalnie dla mnie nudnej roboty.

- Nie ma sprawy. - Zdziwiło ją takie zaangażowanie przyjaciela. Woody pracował szybko i dobrze, ale nigdy nie interesował się szczególnie tego rodzaju robotą, traktując swoją pomoc tylko jako obowiązek do odbębnienia.

no

Judith Gould

- I w ten oto sposób, gdy w poniedziałek przystąpimy do żmudnej pracy, będę już znał na pamięć obszar swoich działań artystycznych.

- Och, Woody! - April nie mogła powstrzymać się od śmiechu. - Jesteś niemożliwy. -

Cmoknęła go w policzek. - Czas na mnie. Do zobaczenia wieczorkiem.

- Trzymaj się. Miłej zabawy. April poszła w stronę basenu.

Woody odprowadzał ją wzrokiem, śledząc baczny spojrzeniem, póki nie stracił jej z oczu.

- Nie wstawaj. - Joanna zatrzymała April gestem. - Dam sobie radę, naprawdę nie potrzebuję pomocy.

- Dobrze, nie będę się z tobą kłóciła.

- I słusznie - wtrącił Joshua. - Ona zawsze wie, co robi. Joanna wyniosła do kuchni tacę załadowaną brudnymi naczyniami. Właśnie skończyli główne danie. Nadeszła kolej na kawę oraz deser.

- Connie ma dzisiaj wolne? - spytała April.

- Tak. Jest pod tym względem niemożliwa. Zawsze bierze wolne dni zniecka i w ostatniej chwili. Z drugiej strony, nam to specjalnie nie przeszkadza. Joanna uwielbia się rządzić w kuchni pod jej nieobecność. Może w pewnym stopniu dlatego, że nieczęsto jej się zdarza taka gratka.

- Ma to swój sens - przyznała April ze śmiechem. - Ja także lubię coś upichcić od czasu do czasu, zwłaszcza dla przyjaciół.

- Ze mną jest tak samo - powiedział Joshua. - Raz na jakiś czas chętnie przygotuję coś specjalnego dla nas dwojga albo jakieś wystrzałowe danie w ramach wkładu w imprezę. Gdybym jednak miał to robić codziennie, raczej nie byłbym zachwycony.

- Jako podłotek bardzo poważnie podchodziłam do wszelkich działań w kuchni, nawet do zrobienia kanapki. Zawsze starałam się uzyskać szczególny rezultat. Na przykład chleb z masłem orzechowym ozdabiałam sosem czekoladowym...

- Skąd ja to znam! - zaśmiał się Joshua. - Do wszystkiego dodawałem keczup. Do kanapek z sardynkami, do zupy z puszki...

- Blee! Teraz mnie skręca na samą myśl o takich delicjach. Ale trzeba przyznać, że kiedy młody człowiek czuje się samotny, stara się ubarwić sobie życie na wszelkie możliwe sposoby.

Czas na pożegnanie

111

- O tak. Powiedziałbym nawet, że do tego nie trzeba być bardzo młodym ani specjalnie samotnym.

- Może i racja.

- Ty chyba nie narzekasz na swój los? Joanna wspomniała, że masz dom jak z bajki, rozumiem też, że zarabiasz na życie tak, jak lubisz. Wyglądasz na szczęśliwą.

- Tak, rzeczywiście. Czuję się szczęśliwa. Nie zawsze bramy rajy stoją przede mną otworem, ale jest dużo lepiej, niż drzewiej bywało. A taki zleceniodawca jak Joanna to prawdziwy dar niebios. Przy okazji: gdzie ona się podziała?

- Jak ją znam, dopieszcza deser - wyjaśnił Joshua. - Co może trochę potrwać. Nie muszę ci mówić, że dążenie do perfekcji to główna cecha charakteru mojej żony. Wiesz to już na pewno równie dobrze jak ja.

Joanna obserwowała ich przez okno. Deser był już gotowy, kawa zaparzona. Nie potrafiła jednak oderwać wzroku od sceny na tarasie. Na policzkach miała mokre smużki po łzach smutku, radości oraz ulgi. Widok tych dwojga, rosnącej między nimi zażyłości, rodził w niej całkiem nowe refleksje. Rozdarta między poczuciem godności i przerażającą świadomością

straty musiała iść dalej zdradliwą ścieżką, na którą wstąpiła z pełnym rozmysłem. Stała na niepewnym gruncie, bo w świecie emocji nigdy nic nie wiadomo. Bliskość tych dwojga mogła się okazać fatalnym błędem. Czy rzeczywiście podjęła właściwą decyzję?

Kimże ona jest, żeby tak igrać z ludzkimi uczuciami?

Ale też zaraz uświadomiła sobie przyczyny, dla których musiała rozpocząć tę grę - i doprowadzić ją do zamierzonego końca.

Z drugiej strony, co mam do stracenia?, spytała siebie. Absolutnie nic.

A co oni mogą zyskać?

Znała odpowiedź także i na to pytanie.

Oni mogą zyskać wszystko.

Woody zgasił światła w grocie i ruszył między jabłoniemi w stronę basenu. Wiatr przynosił mu odległy szmer rozmowy, tutaj podobny do szeptu, akcentowany dźwięcznym stukaniem lodu o szkło.

112

Judith Gould

Na skraju sadu zatrzymał się w cieniu. Z daleka obserwował sielankową scenę. Joshua Lawrence. Przystojny, jasnowłosy, bogaty. Trzymał April za rękę. A ona pożerała go wzrokiem. Oczywiście. Jakże by inaczej.

Piękny obrazek, nie ma co. Skrzywił się, obrócił na pięcie i obszedł taras szerokim łukiem. Jak ona tak może! Kto jej pozwolił! A on? Podrywacz się znalazł! Żonaty! Z tamtą dzianą niedotykalską! A ta się ślini na jego widok! Dlaczego mnie nie chce dać tego, co powinna? A jemu pewnie dałaby ze śpiewem na ustach!

Na podwórzu wyjął z kieszeni kluczyki od vana. W tej samej chwili jego wzrok padł na toyotę Josha.

Staruszka, pomyślał. Ale świetnie utrzymana.

Chwycił kluczyk mocniej i przycisnął go do karoserii. Z potwornym zgrzytem wyrysował na żółtym lakierze długą, krzywą rysę.

Ma za swoje, kuta fon jeden.

Wsiadł do swojego auta, uruchomił silnik i wycofał vana z takim impetem, że żwir spod kół strzelił wysoko do góry. Zadowolony był ze swojego wyczynu. Zastanawiał się też, w jaki sposób mógłby naprawdę wyrównać rachunki z tymi dwojgiem.

Rozdział dwunasty

v_hristina wbiegła po betonowych stopniach na chodnik. Szpileczki od Gucciego, warte fortunę, stukwały głośno. Skrzywiła się paskudnie i pożałowała, że nie może się stać

niewidzialna. Chciała się spotkać z Peterem Rossim gdzieś indziej, ale on nalegał. Koniecznie musiał ją ściągnąć w ten posepny zaułek, do sklepiku na końcu deptaka w Santa Cruz.

Spieszył się ponoć, miał jakieś niecierpiące zwłoki sprawy do załatwienia właśnie tam, a ponieważ późnym letnim popołudniem w takim miejscu nie ma ludzi, istniało bardzo niewielkie ryzyko, że ktoś znajomy ich zobaczy.

No jasne, pomyślała Christina. Ponieważ nikt znajomy za nic w świecie nie pokazałby się w tak żalonym miejscu!

Peter mówił, że w okolicy jest mnóstwo przytulnych zakątków, gdzie będą mogli miło spędzić razem parę godzin. Nie potrafiła odgadnąć, czy przypadkiem nie przeprowadzał właśnie testu, który miał pokazać, czy Christina byłaby skłonna zadawać się z facetem z dołów społecznych.

No, jak dla niej to mógł pochodzić nawet z Marsa.

Skądś popłynęła smutna pieśń grana na flecie, ale niemal od razu zagłuszył ją ryk osiemdziesięcioletniej kolejki górskiej zwanej Giant Dipper. Towarzyszyły mu krzyki i śmiechy pasażerów. W powietrzu unosił się pomieszany zapach hot dogów, prażonej kukurydzy, waty cukrowej oraz piwa, olejku do opalania i potu. Dla Christiny - smród trudny do wytrzymania.

Boże! Co ja tu robię?!

Czuła tylko pogardę dla ludzi, których pociągają przejażdżki kolejką górską, fast foody i niezliczone kioski z upominkami, gdzie

Judith Gould

rzedawano tandetne koszulki, muszle, sztuczną biżuterię oraz nie bezwartościowe gadżety. Z odrazą przesunęła wzrokiem po upce spoconych, brudnych motocyklistów, ubranych w skóry, aż ich równie zaniedbanych przyjaciółkach. Akurat w tej chwili do nich strażnicy miejscy w schludnych mundurach laki. Stróże prawa na rowerach nie robili może wrażenia szczególnie srogich, ale pozory mylą. Christina uśmiechnęła się z satysfakcją.

Starła się trzymać jak najbliżej dobrze oświetlonych sklepów 3 prawej stronie ulicy. Ciągle nie widziała tego, w którym się umówili... Wreszcie znalazła: Ogród Posejzona. Kolejna nędzna buda tandetą. Zwolniła i zajrzała do środka przez podwójne szklane drzwi. Może wypatrzy Petera? Niestety, widok zasłaniała para utleiona na blond. Oboje demonstrowali muskulaturę kulturystów, ona była ubrana w pomarańczowe bikini, które pozostawiało niewiele pola wyobraźni, on miał na sobie ledwo widoczną cielistą irzepaskę, przy której jakiegokolwiek domysły były w zasadzie zbędne. Oboje prezentowali wzorcową opaleniznę i

napompowani sterydami do granic możliwości, przypominali ciężarowców. Obładowani łączkami zdążali w stronę wyjścia. Idioci! Zamarzną!

Rzeczywiście wieczorna bryza niosła ze sobą chłód. Christina przyglądała im się z uwagą, a było na co popatrzeć, bo boje poruszali się niemal w zwolnionym tempie, prezentując jak przed publicznością każde wybrzuszenie, każde rozciągnięcie mięśnia czy ścięgna.

Wreszcie oderwała od nich wzrok i po raz drugi zajrzała do wnętrza sklepu. Tym razem dostrzegła Petera. Stał tam - wysoki, przystojny, mocno zbudowany. Silny. Przysięgłaby, że serce zabiło jej szybciej. Stał między półkami... z muszlami? Trudno powiedzieć, z daleka nie widziała dokładnie. Wzięła głęboki wdech i pchnęła drzwi. Peter się nie odwrócił, za to sprzedawczyni podniosła na nią zbolale spojrzenie.

- W czym mogę pomóc? - spytała tonem stojącego na ostatnich nogach zombi.

Wyglądała, jakby podanie czegokolwiek było stanowczo ponad jej siły. Tkwiła oparta o ladę, z łokciami na kontuarze i brodą opartą na dłoni. Nawijała na palec jedno z jasnych pasemek przecinających jej kruczoczarne włosy. W nosie, ustach i brwiach miała okrągłe kolczyki, na chudych rękach roilo się od tatuaży.

7 75

- Dziękuję, rozejrzę się - powiedziała Christina. Jakoś udało jej się nie wzdrygnąć z obrzydzenia.

Podeszła do Petera, który nadal jej nie zauważał.

- Cześć - powitała go wesoło.

- O! Sie masz!

- Coś taki zajęty? - spytała.

- Oglądam pocztówki.

Dopiero teraz zauważyła, że trzymał w ręku kartki przedstawiające różne ujęcia wielkich rekinów, rozciągniętych na nadbrzeżu, skąpanych we krwi.

- Śliczności - wyrwało jej się zjadliwie.

Bez słowa odłożył kartki na stojak. Wziął w rękę konika morskiego w pudełku z muszelek.

- Dziwaczny, nie?

Popatrzyła na niego z uwagą, po czym skinęła głową.

- Tak. Ale i piękny.

- I taki kruchy. Można mu kark złamać dwoma palcami. - Uśmiechnął się ponuro.

Christina przyglądała mu się w zamyśleniu, nie mając pewności, jak powinna rozumieć komentarz. Czy to była subtelna groźba? Ale dlaczego miałby jej grozić? Tego nie wiedziała, miała natomiast pewność, że Peter jest... niebezpiecznym człowiekiem. I właśnie to ją kręciło.

- Chodźmy stąd - zarządził. Wziął ją pod ramię i wyprowadził na deptak. - Zarezerwowałem pokój w motelu. Niedaleko. - Objął ją mocno.

On nigdy nie pyta. Po prostu wydaje polecenie.

Lubiła takich mężczyzn. Bez dwóch zdań. Na wysokich obcasach z trudem dotrzymywała Peterowi kroku, ale i to jej nie przeszkadzało. Cudowna była taka sekretna schadzka.

Przebiegli ulicę i po kilku krokach stanęli przed nędznym moteli-kiem o łososiowych ścianach, z jaskrawym neonem głoszącym na czerwono: „Morska Bryza”. Żarówki w literze „y” były przepalone. Doszedłszy do pokoju z numerem dziewięć, Peter wyjął z kieszeni spodni klucz i otworzył drzwi. Przytrzymał je kurtuazyjnie przed Christiną.

Weszła i rozejrzała się po ascetycznym wnętrzu.

Przynajmniej czysto, pomyślała. Dzięki Bogu.

Peter pchnął drzwi, odwrócił się do Christiny i zamknął ją w potężnych ramionach.

Zmiażdżył jej usta gwałtownym pocałunkiem i przycisnął ją do ściany.

16

Judith Gould

Przeszedł ją dreszcz. Peter wepchnął jej wielkie łapska pod pódnicę, ścisnął uda, potem przesunął ręce wyżej, chwycił ją za po-ładki i przyciągnął do siebie. Poczowała jego twarde członek i o mało nie spaliła się z pożądania.

- No jak, laluniu, cieszysz się, że mnie widzisz? - wychrypiał 'eter.

- Jeszcze jak! - Nogi miała jak z galarety.

I na tym skończyły się czułe słówka. Peter błyskawicznie ściąg-ą\ z niej ubranie, potem w równie ekspresowym tempie pozbył się swojego i pociągnął ją do łóżka. Wdarł się w nią bezlitośnie, uderzał wałtownie i ważna była dla niego tylko własna satysfakcja.

Christina uwielbiała takie brutalne natarcie, jej ciało zare-gowało prawie natychmiast i po chwili połączył ich wspólny Tgasm.

Szybko się skończyło to zbliżenie. Oboje dyszeli głośno, wy-zerpani jak po forsującym biegu, błyszczący od potu. Powoli od-lech im się uspokajał. Żadne nie powiedziało słowa, patrzyli sobie v oczy, aż po jakimś czasie ich dłonie ożyły, budząc na nowo na-niętność.

Gdy znów odzyskali oddech, Peter zapalił dwa papierosy i jedno-jo podał Christinie.

- Cieszę się, że przyszedłś - powiedział. Christina zaciągnęła się głęboko.

- Ja też nie żałuję. - Doceniała komplement zawarty w słowach Petera, bo wiedziała, że Rossi nieczęsto deklaruje, iż cieszy go czy-eś towarzystwo.

- Twoja siostra i szwagier nie wiedzą, że tu jesteś? - spytał. Christina ze śmiechu omal nie zakrztusiła się dymem.

- Jasne, że nie! - Uśmiechnęła się chytrze. - Jeśli ktoś zobaczy mojego rollsa albo mnie gdzieś tutaj, powiem Joannie, że wybrałam się w odwiedziny do przyjaciół w San Francisco. I przejeżdżałam przez Santa Cruz.

- Sprytna jesteś.

- Dlaczego? Bo sypiam z wrogiem?

- Właśnie, właśnie. I nie tylko sypiasz, ale też trochę mu pomagasz w tym i owym.

Oboje roześmiali się głośno.

- Odrobina cierpliwości - podjął Peter - i zrobię tę twoją siostrzyczkę na perłowo. Przyjdzie czas, a będzie mnie błagała, żebym kupił od niej firmę. - W jego głosie brzmiało rozbawienie.

Czas na pożegnanie

117

Christina aprobowała jego plany. A konieczność zachowania ich związku w tajemnicy fascynowała ją do takiego stopnia, że aż się temu dziwiła, bo przecież z niejednego pieca chleb jadła.

- Z tego co słyszałam, wzmocnili ochronę. - Wydmuchnęła nosem smugę dymu. - Chyba kupili psa. Więc na razie może być trudniej.

- Poczekamy, zobaczymy. Liczę na twoją pomoc, na informacje.

- Wyciągnę od Joanny, co się da. Ale muszę być ostrożna, bo uzna, że jestem za bardzo zainteresowana sprawami firmy, i zacznie coś podejrzewać. Podejmuję dla ciebie niemałe ryzyko. - Obrzuciła Petera badawczym spojrzeniem. Spodziewała się podziwu i wsparcia. Spojrzenie mężczyzny stwardniało, zabłysła w nim zimna stal, zdolna zadać śmiertelny cios.

- Dasz sobie radę, laluniu. - Nie odrywając wzroku od Christiny, zgasił papierosa, po czym przycisnął ją do siebie tak mocno, że zabrakło jej tchu. - Zrobisz to dla nas.

- Oczywiście - przytaknęła natychmiast. Potem się uśmiechnęła i odłożyła papierosa. - Możesz na mnie liczyć.

- Tak, wiem. - Pochylił się i pocałował ją, tym razem w usta. Językiem rozsunął jej wargi, powoli, niemal czule. Potem cofnął się niechętnie, jakby z ociąganiem. - A wiesz, co będzie dalej?

Christina pokręciła głową bez słowa.

Nakrył jej pierś dłonią, czubkiem języka połaskotał w ucho i zaczął coś szeptać. Kiedy skończył, połączyły ich kolejne pocałunki, bardziej namiętne i pełne pożądania. Peter przesunął dłoń po brzuchu Christiny, między jej uda.

- Peter... -jęknęła. - Boże...!

Zaczęła poruszać biodrami, jak zwykle natychmiast reagując gotowością na jego szorstkie pieszczoty.

Nagle Peter wstał i Christina została niespodziewanie pozbawiona dotyku jego ust, dłoni, całego ciała.

- Co się stało? - wykrztusiła.

- Będiesz mnie lepiej pamiętała, laluniu. I bardziej za mną tęskniła - wyszczerzył zęby w rekinim uśmiechu. - Aż do następnego razu.

Była potwornie rozczarowana, ale na samą myśl o następnym spotkaniu, kiedy dokończą to, co dzisiaj zaczęli, poczuła gorącą falę podniecenia.

- Nie da się zaprzeczyć - odparła ze zrezygnowanym westchnieniem.

Judith Gould

- Czas na mnie - uznał Peter. - Pora wracać do domu. Christina obserwowała, jak się ubierał.

Z jednej strony targła

ą wściekłość na faceta, który rozpałił ją do białości i właśnie za-ierzał wyjść, z drugiej - nie mógł jej nie cieszyć widok tego przy-ojnego mężczyzny wkładającego ubranie warte fortunę.

W końcu nachylił się nad nią i pocałował ją długo, głęboko, na-iętnie.

- Będziemy w kontakcie - powiedział, prostując się.

- Już zaczynam tęsknić - odrzekła i tak było naprawdę.

Peter rzucił klucz od pokoju na komódkę przy drzwiach, jeszcze progu odwrócił się i posłał Christinie całusa. Potem zniknął.

Ubierała się powoli, czując rozkoszne zmęczenie całego ciała, iż nie mogła się doczekać następnej randki.

Nienawidziła, a jednocześnie uwielbiała te potajemne schadzki, ie mogli się pokazywać razem. Po pierwsze, Peter był w trakcie jzwodu i aż do zakończenia sprawy musiał udawać świętego. Po rugie, Christina zdawała sobie sprawę ze swojej zdrady.

Tak, jest zdrajczynią. Sypia z wrogiem. Szkodzi Joannie i Josho-ń. Pomaga Peterowi zniszczyć ich firmę. Przekazuje mu poufne in-jrmacje. A niedługo jej siostrzyczkę i szwagra spotka kolejna przy-:ra niespodzianka. I bardzo dobrze. Oni zawsze mieli wszystko, zego dusza zapragnie. A zdrada jest niewysoką ceną za Petera. Za 3go władzę i pieniądze, za ten podniecający brak skrupułów, który \ tak niesamowicie kręcił.

O tak, pomyślała Christina. Jestem podła. Ale słuszny cel uświęca środki. A tym celem jest moje dobro.

Rozdział trzynasty

i

oshua podniósł słuchawkę telefonu w biurze przy szklarniach.

- Słucham?

- Czy mówię z panem Lawrence'em? - odezwał się głęboki męski głos.

Joshowi przeszły ciarki po plecach. Znał ten głos i zaczynał się go bać. Jednak już w następnej chwili gniew okazał się silniejszy.

- Tak, to ja - odparł rzeczowym tonem. - Poznaję pana, panie Rossi.

- Dzwonię, by spytać - podjął Peter Rossi - czy może zmienił pan zdanie na temat sprzedaży firmy. - Z uprzejmych słów wyraźnie przebijało rozbawienie.

Ów kpiący ton doprowadził Joshuę do furii. Nie zdołał opanować emocji.

- Nie! - wykrzyknął. - Nie sprzedam panu firmy! Ani panu, ani nikomu innemu!

Rzucił słuchawkę na widelki, a potem ukrył twarz w dłoniach.

Co za drań, pomyślał. Cholerny skurczysyn.

Wyprostował się, kilka razy odetchnął głęboko, ale tak czy inaczej nie zdołał powstrzymać natłoku myśli.

Czy wzywać policję? Tylko właściwie - do czego? Co im powie? Że za każdym razem, kiedy pojawiają się jakieś kłopoty, dzwoni Peter Rossi z propozycją kupna firmy?

Wstał i wyszedł do sekretariatu, zatrząskując za sobą drzwi biura.

- Luno - odezwał się, nie patrząc na nią. - Idę do domu. Nie przekazuj żadnych wiadomości.

Judith Gould

- Jasne, szefie - odpowiedziała z oczami wielkimi jak spodki. Wyjściowymi drzwiami także trzasnął.

Trzasnął również drzwiami od holu i ciężko opadł na drewnianą iwę. Wolno rozwiązał sznurowadła.

- Joanna! - zawołał z ponurą miną. - Joanna!

Nikt się nie odezwał. Gniewnym gestem rzucił buty w kąt wstał.

- Joanno! - krzyknął znowu. - Gdzie jesteś?! Najpierw ruszył do kuchni.

Ciekawe, gdzie ją dzisiaj poniosło?

Zaczynał mieć serdecznie dosyć tych ciągłych eskapad żony. Całe >opołudnie nikt nie odbierał telefonu, a komórki Joanna nie była iprzejmą zaakceptować. Z początku trochę go to śmieszyło, teraz loprowadzało do białej gorączki. Miał nieodparte wrażenie, że zaciska się wokół niego pętla jakiegoś złowrogiego spisku.

W kuchni także nie było Joanny. Ani jej, ani Connie, ani żadnej wiadomości.

Zajrzał po kolei do wszystkich pokoiów na parterze. Ani śladu żony. Wbiegł na piętro, wołając ją głośno. Odpowiedziała mu cisza.

Gdzie ona jest, kiedy jej naprawdę potrzebuje?

Zbiegł na dół, wrócił do holu. Wsunął stopy w miękkie mokasyny. Wyszedł na taras i rozejrzał się dookoła.

Nikogo.

Przeszedł po mostku i spojrzął w dół, między jabłonie.

Ani żywego ducha, cholera jasna!

Wpadł do sadu, ruszył w stronę grotty i o mało nie wpadł na April.

- O, cześć! - przywitała go z uśmiechem. - Skąd ten pośpiech? - Dopiero teraz dostrzegła wyraz twarzy Josha. - Co się stało?

- Sam chciałbym wiedzieć - wycedził przez zęby. - Joanna ostatnio robi dziwne numery i zaczyna mi się to nie podobać.

- Ooo... Rzeczywiście chyba masz dosyć.

- Wybacz, po prostu...

- Po prostu szlag cię trafia - dokończyła za niego. - Każdemu się czasem zdarza. Chcesz się wygadać?

- Nie - odparł krótko. - Chociaż właściwie... - zreflektował się z mniejszą pewnością siebie. - Może jednak.

Czas na pożegnanie

121

April wzięła go pod łokieć i poprowadziła do jednego ze stolików przy basenie.

- Siadaj - zarządziła. - Upuść trochę pary.

Było gorąco i parno, a sam widok powierzchni wody, którą marszczył wiatr, przynosił ochłodę.

Joshua miał minę nietęgą, był wyraźnie zmartwiony i przybity.

A taki zawsze jest wesoły, taki szczęśliwy, pomyślała April. Cóż, w końcu los nikomu nie szczędzi przykrych doświadczeń.

Postanowiła dać mu się wygadać, jeśli będzie chciał, ale nie udzielać żadnych rad.

- Joanna była na lunchu? - spytał Joshua.

- Nie, w ogóle jej dzisiaj nie widziałam. Wyszła, zanim przyjechałam.

- Dziwne. - Wydawał się coraz bardziej zaszepiony.

- Pewnie wybrała się na zakupy - powiedziała April z uśmiechem na ustach, ale Bogiem a prawdą, nie wierzyła we własne słowa. Bo i kto się wybiera na zakupy o ósmej rano, jeżeli nie musi? A lunch - to druga sprawa. Joanna przecież zawsze wracała do domu na wspólny posiłek.

- Może i tak - mruknął Joshua. - Ale jakoś nie chce mi się w to wierzyć.
- Zazwyczaj zostawia w kuchni wiadomość... - podsunęła April.
- Dziś nie zostawiła. I właśnie dlatego zaczynam się martwić.
- Dajże spokój. Przecież i tak stale masz ją na wyciągnięcie ręki, niezależnie od pory i okoliczności.
- To prawda - przyznał Joshua. - Ale ostatnio jakoś tak... Sam nie wiem... Mam wrażenie, że dzieje się coś złego.
- Chyba po prostu miałaś ciężki dzień. I trochę cię poniosło.
- No tak... - Josh w zamyśleniu pokiwał głową. - Trudno zaprzeczyć. Ciężki dzień... delikatnie mówiąc!
- A co się stało? Czyżby pan Hara nie zostawił u was okrągłych stu patyków? - spytała April, próbując rozładować atmosferę. Jednak bez skutku.
- Nie, nie... To by jeszcze było pół biedy. - Zgarbił się na krześle. - Mamy naprawdę poważne kłopoty. Ktoś robi nam szkody w szklarniach.
- Jak to?!
- Ano, tak to.
- Mówisz poważnie? Skąd takie podejrzenia? Joshua podniósł się gwałtownie.

Judith Gould

- Napijesz się ze mną? Strasznie mi jest potrzebny kieliszek wina.
 - Nie bardzo mam czas... powinnam się już zbierać.
 - Tylko jeden kieliszek.
- April wiedziała, że Joshua naciska, ponieważ bardzo chciałby zwierzyć się komuś z kłopotów.
- Dobrze, zgoda. Ale tylko jeden.
 - Zaraz wrócę. - Szybkim krokiem ruszył do kuchni. Patrzyła za nim, zastanawiając się, co takiego wydarzyło się w szklarniach, co do tego stopnia wytrąciło Josha z równowagi.
- Może diabeł okaże się nie taki straszny... a rzeczywistość nie taka znowu ponura. Skoro nałożyły się na siebie kłopoty z orchideami i niepokój o Joannę...
- Znienacka wyrósł przy niej Woody.
- O rany! - Aż krzyknęła. - Ale mnie wystraszyłeś!
 - Ty chyba oszalałaś! - szepnął, obrzucając ją płonącym spojrzeniem.
 - Co?

- Uważaj, igrasz z ogniem - dodał tak samo cicho, obrócił się na pięcie i zniknął.

Jezus Maria! O co mu chodzi? Trzeba z nim poważnie porozmawiać.

Czy aby na pewno nie popełniła błędu, proponując Woody'emu prace pomocnicze? Nie podejrzewała, że w ogóle stać go na podobne zachowanie. Do tej pory zawsze wzorowo wypełniał powierzone obowiązki. Ale też należało przyznać, iż nigdy wcześniej nie była w tak zażyłych układach ze zleceniodawcami.

- Już nalewam. - Joshua wrócił z dwoma kieliszkami oraz butelką schłodzonego białego wina.

- Proszę bardzo. - Podał gościowi jeden i usiadł.

April z przyjemnością wypła łyk aksamitnego płynu.

- Powiedz mi teraz - poprosiła - co się dokładnie stało w szklarniach. Czy jesteś pewien, że to sabotaż?

- Całkowicie. - Joshua zamilkł na chwilę. - Żebyś dobrze mnie zrozumiała, muszę się cofnąć w czasie o kilka tygodni. Wtedy zawiódł komputerowy system zraszania. Gdyby nie czujność Carla, straty byłyby ogromne. Kwiatom groziło albo przesuszenie, albo zbyt intensywne nawilżanie.

- A, tak, Joanna mi o tym wspominała. Odniosłam wrażenie, że to była kwestia czysto techniczna, po prostu jakaś usterka.

- Pracownicy firmy, która nam ten system instalowała, byli od-

Czas na pożegnanie

123

miennego zdania - odparł Joshua. - Uważali, że ktoś majstrował przy programie.

- A może nie chcieli się przyznać do błędu? - zasugerowała April. - Po prostu zrzucili z siebie odpowiedzialność?

- Raczej wątpię. Ta firma cieszy się nieskazitelną reputacją.

- No dobrze. Jeśli jednak istotnie doszło do czegoś takiego, kto mógł zmienić program? I po co?

Joshua spojrzał jej prosto w oczy.

- Nietrudno się domyślić. Bracia Rossi od dłuższego czasu starają się kupić naszą firmę. Ich ziemie otaczają nas ze wszystkich stron, jesteśmy im solą w oku.

- A nie chcecie im sprzedać.

- Nie chcemy. - Joshua pociągnął łyk wina i odstawił kieliszek.

- Moglibyśmy uzyskać sumę wystarczającą na spokojną emeryturę albo zainwestować pieniądze w inny interes, ale jest dla nas istotne, że ojciec Joanny kochał tę ziemię. I włożył w

firmę wiele serca. Budował ją niemal przez całe życie. A Joanna jest bardzo do niego podobna.

- Ty też od nich nie odstajesz - zauważyła April. - Kochasz orchidee, jesteś oddany swojej pracy.

- To prawda - zgodził się z uśmiechem. - Masz całkowitą rację.

- Umilkł i na chwilę zatonął w myślach.

- Twoim zdaniem - podjęła April - za tymi próbami stoją bracia Rossi.

- Jak najbardziej. Tuż po wypadku z systemem zraszania zadzwonił do mnie nie kto inny, tylko właśnie Peter Rossi i kolejny raz złożył mi ofertę.

- Coś podobnego! Nie do wiary!

- Właśnie. Bawi się ze mną w kotka i myszkę.

- Powiedziałeś o tym policji?

- Tak, oczywiście. Ale niewiele to dało. Bo i co można by zrobić?

- Rzeczywiście... A dzisiaj co się stało? Joshua westchnął ciężko.

- W szklarni wybuchła epidemia jakiegoś grzyba. Chyba to Phytophthora. Zaatakował dużą część okazów Phalaenopsis.

- O Boże! Czy sytuacja jest poważna?

- Trudno powiedzieć. Na razie chyba choroba objęła tylko jedną szklarnię. Wszystkie Phalaenopsis. Trzeba zrobić analizę bakterii, sprawdzić, z czym dokładnie mamy do czynienia, ale w zasadzie to i tak już nie ma większego znaczenia. Musimy pożegnać się z niektórymi-

724

Judith Gould

rymi okazami, a inne będą wymagały długotrwałej odbudowy. Wiele spośród tych roślin czekało na wysyłkę, teraz będziemy musieli kupić te orchidee u kogoś innego, bo w przeciwnym razie stracimy klientów.

- Straszne!

- Najdziwniejsze w tym wszystkim, że kwiaty miały idealne warunki. Wszystko dokładnie tak jak trzeba. Ruch powietrza, temperatura, wilgotność, nasłonecznienie, odstępy między poszczególnymi sadzonkami... Wszystko wręcz podręcznikowe. W ogóle nie miał prawa się tam pojawić żaden grzyb!

- Wezwałeś policję?

- O, tak, oczywiście. I tak samo jak poprzednio nie znaleźli żadnych śladów włamania. Nic. A Miguel, nocny stróż, tak samo jak ubiegłym razem nie widział ani nie słyszał niczego

podejrzanego. Pies też nie podniósł alarmu. - Josh zamilkł na kilka chwil. - Oczywiście sprawcą mógł być któryś z klientów. Ale to czysta teoria, bo niewielu kupującym pozwalamy wchodzić do szklarni, a jeśli już, to zawsze w towarzystwie kogoś z obsługi.

- Mój Boże... Czy tym razem także zadzwonił któryś z braci Rossi?

- A, owszem, jak najbardziej. - Josh z rezygnacją pokręcił głową. - Mówiłem ci, bawią się ze mną w kotka i myszkę.

- Okropność. I dziś też zadzwonił... Peter?

- Tak, właśnie on. Zaczynam się obawiać... Ci ludzie mają opinię bezlitosnych i pozbawionych zasad, ale nie mieści mi się w głowie, jak on śmie dzwonić do mnie... Wygląda na to, że nie ma żadnych skrupułów!

- Co w związku z tym zamierzasz?

- Sę w tym, że nie wiem. Nie mam bladego pojęcia. Dlatego tak mnie poniosło... Miałem nadzieję, że naradzę się z Joanną...

April przyglądała się Joshowi ze współczuciem. Był wyraźnie zaszepiony, wręcz przybity. Najchętniej pogłaskałaby go i przytuliła, niestety, nie mogła tego zrobić.

- Joanna niedługo wróci - odezwała się wreszcie. - Pewnie rzuciła się w wir zakupów i zapomniała o bożym świecie. Sam wiesz, jak łatwo w takiej sytuacji stracić poczucie czasu.

- Dzięki za pocieszenie. Jesteś... fantastyczna.

Znów ogarnęło ją tamto kłopotliwe uczucie, całkowicie nie na miejscu. Zaczerwieniła się lekko.

- Nie ma za co. Jesteście wspomniała parą... - Dopiła wino, odstawiła kieliszek. - Czas na mnie. Mam mnóstwo pracy w domu.

Czas na pożegnanie

125

- Przepraszam, że cię zatrzymałem. Nie dość, że harujesz tutaj cały dzień, to jeszcze pocieszasz mnie po godzinach. - Joshua uśmiechnął się rozbrajająco.

- Nie ma sprawy, naprawdę. - Wstała i zarzuciła torbę na ramię. - Od czego są przyjaciele? Joshua także się podniósł, zabrał kieliszki i butelkę z winem.

- Tak czy inaczej, wielkie dzięki. I cieszę się, że możemy być przyjaciółmi.

- Ja także.

* * *

Przed nią ciągnęła się plaża. Pozornie nieskończone pasmo wszelkich odcieni szarości tam, gdzie brzeg zalewały fale, poprzez beże mokrego piasku, aż po suchą biel na wydmach. Tu i ówdzie wypęzły na łąd nagie pnie drzew, niczym prehistoryczne stwory, gdzieniegdzie

widniały zielonkawe plamy wodorostów. W oddali na tle nieba rysowała się samotna postać wędkarza, a jeszcze dalej sterczały smukłe sylwetki kominów elektrowni w Moss Landing. Odwróciła się w przeciwną stronę, odgarnęła włosy z twarzy i obiema rękami przytrzymała je z tyłu. Już prawie nie było widać zabudowań Santa Cruz, a perłowa mgła, podnosząca się z oceanu, wkrótce miała je zasłonić całkowicie. Bliżej rozciągał się Joe Camel. Był to wielki pień, wyrzucony przez fale. Nadała mu takie imię, ponieważ przywodził jej na myśl odpoczywającego na pustyni wielbłąda. Znajdował się na drodze do domku plażowego. Szła bardzo długo i całkowicie straciła poczucie czasu, choć coraz chłodniejsze słońce, opadające nad horyzont, wyraźnie mówiło, iż nadciąga wieczór. Powinna już dawno być w domu.

Dziś jednak nie umiała się zachować właściwie i odpowiedzialnie. Wyjechała natychmiast po wyjściu Josha i nie zostawiła żadnej wiadomości, nie powiedziała nikomu, dokąd się wybiera. Tym razem pozwoliła sobie na taki właśnie luksus. Na ucieczkę, rozmyślnie zostawienie wszystkiego za sobą. I nie miała zamiaru nikogo za to przepraszać. Chciała pobyć sama w starym domku na plaży, który kochała całym sercem. Nie było dla niej na całym świecie ważniejszego miejsca niż ten zwyczajny domek bez żadnych luksusów, gdzie spędzała szczęśliwe weekendy oraz wakacje z ojcem i z siostrą, a także gdzie przeżyła pierwsze, rajskie miesiące małżeństwa.

26

Judith Gould

Gdy doszła do pnia w kształcie wielbłąda, nagle całe ciało dziwie jej zaciążyło. Ręce zmieniły się w ołowiane sztaby, nogi odmówi-y posłuszeństwa. Opadła na piasek, z jej dłoni wysunęły się uchwy-y dwóch toreb z muszlami. Niektóre okazy były wyjątkowe, ale iriększość nieszczęśliwa, wiele połamanych. Mimo wszystko miała nadzieję, że i te dadzą się wykorzystać. Co do jednej. Tak postanowiła. Całe czy popękane, pięknie ubarwione czy szare i byle jakie każda znajdzie swoje miejsce.

Jej wzrok powędrował ku horyzontowi, który powoli zasłaniała mgła. Słońce dotykało już krawędzi wody.

Kończy się jeszcze jeden dzień, pomyślała. Przeminał.

Łzy napłynęły jej do oczu. Pozwoliła im stoczyć się po policzkach. Normalnie próbowałaby je ukryć, ale teraz popłynęły swo->odnym strumieniem po twarzy, kapały z brody na sweter, na ipodnie, na piasek. Gdzieś z głębi piersi wyrwał się pierwszy szloch. Ibanna objęła się ramionami i rozplakała głośno. Zawodziła wiatro-vi do wtóru i krzyczała z żalu, z bezsilności, z bólu. Odpowiadały jej tylko głębokie pomruki oceanu i ptasie krzyki.

Gdy wreszcie atak rozpaczy minął, z wyczerpania bolało ją całe dało. Zwinęła się w kłębek i oddychała z trudem. Kłujące słone ziarnka przyłgnęły jej do twarzy. Długo leżała skulona, bardzo wolno odzyskując świadomość, gdzie jest i co się z nią dzieje.

W końcu usiadła. Zapadał już zmrok.

Z niemałym wysiłkiem wstała, niezdarnie otarła twarz dłońmi otrzepała ubranie. Czowała się bardzo zmęczona. Podniosła z trudem obie torby z muszlami i zapadając się w miążskim piasku, ruszyła do domku plażowego.

Przy schodach powinna była opłukać nogi pod prysznicem, ale tego nie zrobiła. Owszem, zostawiła w całym domu piaszczyste ślady i co z tego? Otworzyła zewnętrzne drzwi z siatki, potem te właściwe. Postawiła torby na krześle i zapaliła światło. Poszła prosto do łazienki. Jej stopy stuknęły głucho o drewnianą podłogę. Spojrzała w lustro.

- Kochana, jak ty wyglądasz - mruknęła do swojego odbicia.

Zaczął w niej wzbierać śmiech, który łatwo mógł się przerodzić w następny wybuch rozpaczy. Na szczęście zdołała się opanować. Nie chciała już płakać. Obmyła twarz chłodną wodą, przeczesała włosy długimi, pewnymi ruchami. Wyszła z łazienki i ruszyła w stronę sypialni.

Trzeba pościelić łóżko, pomyślała. Sprzątać kieliszek, wino i...

Czas na pożegnanie

127

- Bez sensu - powiedziała na głos.

Nikt poza mną tu nie przychodzi, więc co za różnica...?

Zabrała muszle, zamknęła dom i poszła do samochodu. Gdy wsiadła, jakiś czas siedziała, oddychając głęboko, by odzyskać spokój i opanowanie. Wreszcie uruchomiła silnik. Mogła już wrócić do domu, żeby na nowo odgrywać rolę szczęśliwej żony.

Joshua zakręcił prysznic i podśpiewując półgłosem, wyszedł na chłodną, marmurową posadzkę. Akurat zaczął się wycierać ogromnym śnieżnobiałym ręcznikiem, gdy usłyszał warkot silnika. Z mosiężnego wieszaka na drzwiach ściągnął szlafrok i włożył go, przechodząc przez sypialnię.

Nareszcie!, pomyślał, zbiegając po schodach. Ciekawe, gdzie to Joanna podziewała się przez cały dzień. Zaraz się dowie. A w każdym razie przynajmniej usłyszy, co miała mu do powiedzenia.

Dotarł na dół akurat w tej samej chwili, gdy otworzyły się frontowe drzwi i stanęła w nich Joanna z dwiema ogromnymi torbami.

- Cześć, kochanie! - zawołała od progu, rozpromieniona i szczęśliwa.

Joshua odetchnął z ulgą. Opanował go nastrój radosnego podniecenia, jak zawsze w obecności żony.

- Czekaaj, czekaaj, pomogę ci!

Przytrzymał drzwi, a jednocześnie usiłował wyjąć Joannie torby z rąk.

- Ostrożnie... zacisnęły mi się na palcach!

- Postaw na ziemi.

- Są strasznie brudne! Całe w piachu...

- Trudno, stawiaj.

Joanna uwolniła się od ciężaru, brudząc marmurową posadzkę, i pocałowała męża w usta.

- Witaj, przystojniaku. Dziękuję za pomoc.

Od razu poczuł od niej alkohol. Dziwne. Joanna zawsze pachniała egzotycznymi cytrusami oraz wetiwerią, a tym razem cuchnęło od niej jak z gorzelni. I włosy miała potargane... a ubranie dziwnie wymięte...

- Gdzieś ty się podziewała? Pachniesz jak targ rybny.

- Och, kochany, zachciało mi się zbierać muszle, znalazłam mnóstwo...! Najróżniejszych!

728

Judith Gould

Joshua uśmiechnął się, ujęty niewinnym podnieceniem żony.

- Zaraz ci pokażę! - ciągnęła Joanna, szperając w jednej z toreb. - Zobacz! Prawdziwa macica perłowa! Doskonała na tło do grotty.

- Wygląda na to, że udał ci się dzień. Włożę te torby do worków na śmieci.

- Kochany jesteś. - Poszła za nim do kuchni. - Tylko kieliszczyk białego wina może postawić człowieka na nogi po takiej eskapadzie.

- Jakiś czas temu wstawiłem do lodówki dwie butelki, powinny już się schłodzić. - Joshua wyjął z pudełka worki na śmieci.

- Napijesz się ze mną?

- Chętnie. Zaraz wrócę. - Wychodząc z kuchni, jeszcze się odwrócił. - Może od razu zaniósę te twoje skarby do pralni i namoczę?

- O, tak, dzięki.

Gdy wyszedł do holu, Joanna otworzyła butelkę wina, naszykowała dwa kryształowe kieliszki, ustawiła wszystko na tacy i wyniosła na taras. Usiadła pod wielkim parasolem. Góry powoli ginęły w sinawej zasłonie. Nad basenem także już unosiły się obłoczki mgły. Z jaką przyjemnością weźmie teraz relaksujący prysznic... Ominęło ją pływanie tego wieczoru, ale była już zbyt zmęczona, żeby się zdecydować na taki wysiłek.

Pojawił się Joshua. Stanął za nią, położył mocne ręce na jej ramionach i pomasaował kark.

- Ooo, jak dobrze - westchnęła Joanna z rozmarzonym uśmiechem. Zamknęła oczy i poddała się ciepłym dłoniom ukochanego mężczyzny.

- Jesteś głodna? - spytał Joshua. - Dawno minął czas kolacji, ale Connie zostawiła nam w lodówce zapasy na rok.

- Kolacja...? To już tak późno?

- A i owszem.

- Ojej, nie miałam pojęcia...

- Piłaś coś może? - spytał lekkim tonem. - Nigdy nie zapominasz o kolacji.

- Tak! - przyznała podekscytowana. - To było niesamowite. Zatrzymałam się w „U Umberto” na wino i podziwiałam z tarasu zachód słońca. Niesamowity!

- Przecież nie znosisz tej knajpki.

- A dzisiaj czułam się tam doskonale. To chyba przez ten zachód słońca. W ogóle nie zauważyłam tam tych obrzydliwych sztucznych kwiatów i plastikowych mebli.

Czas na pożegnanie

129

- Z czego wynika, że jesteś w wyjątkowo dobrym humorze - uznał Joshua. Jeszcze raz przesunął dłońmi po ramionach żony i usiadł przy stole. - Popijałaś to wino w pojedynkę? - spytał pół żartem, pół serio.

- Byłyśmy we dwie - odparła Joanna, uśmiechając się sennie.

- Ja i moja samotność.

Po takiej odpowiedzi nie poczuł się ani odrobinę mądrzejszy, nie wiedział, jak ma to rozumieć i czy wierzyć w słowa żony. Instynkt podpowiadał mu, że Joanna mija się z prawdą. Na pewno zbierała muszle i z pewnością piła, ale czy naprawdę akurat tam? W towarzystwie tych wszystkich surferów i turystów?

Bardzo chciał wiedzieć, co robiła przez cały dzień, ale spojrzawszy jej w oczy, które same się zamykały, postanowił nie naciskać.

Powinienem z nią porozmawiać, uświadomił sobie. Powiedzieć jej o nowych kłopotach w szklarni. Ale nie teraz. Nie w chwili, kiedy, jak widział, ledwo się trzymała na nogach.

- Po powrocie ze szklarni spotkałem tu April - powiedział.

- Jak sobie radzi? Często o niej dzisiaj myślałam.

- Radzi sobie świetnie, ale chyba ma do ciebie kilka pytań. Zdaje się, że w paru kwestiach potrzebuje twojej opinii.

- Załatwimy to jutro - mruknęła sennie Joanna. - Zresztą, ufam jej bez zastrzeżeń. - Odchyliła się na oparcie, zamykając oczy.

- Aha, jeszcze jedno - odezwał się Joshua. - Byłbym zapomniał. Dzwoniła Christina. Może pół godziny temu.

Joanna usiadła prosto i otworzyła oczy.

- Czego chciała moja najdroższa siostra?

- Prosiła, żebyś dała jej znać, czy zajrzysz do niej, tak jak się umawialiście.

- O Boże! Na śmierć zapomniałam! Przez tę grotę i w ogóle...

- Powiedziałem jej, że nic nie wiem - ciągnął Joshua. - Nie wiedziałem nawet, że się z nią umawiałaś.

Joanna zapatrzyła się w dal.

- Cóż, uznałam, że przyda jej się towarzystwo - powiedziała cicho. - Trudno jej dojść do siebie po rozwodzie. - Spojrzała na męża.

- Aż wstyd, że ją tak zaniedbałam. Ona cierpi, a ja...

Joshua zamknął jej dłoń w swojej.

- Nie myśl o tym teraz. - Podniósł się, nadal trzymając ją za rękę. - Chodź, zjesz coś, nie sposób tak o pustym żołądku...

Pozwoliła się podnieść, przygarnąć i czule pocałować. Joshua był prawie nagi, czuła jego ciepło, zapach jego skóry. Zorientowała się, że jest podniecony.

730

Judith Gould

Och, nie... tylko nie to... Nie dam rady, jestem taka zmęczona... Podniosła na niego spojrzenie.

- Josh - szepnęła -jestem wykończona. Powinnam wziąć szybki prysznic i od razu przytulić się do poduszki.

- Naprawdę jestem bez szans? - Nie chciał pogodzić się z odmową.

- Przykro mi, ale lecę z nóg.

- No dobrze... - Blask w jego oczach przygasł. - Ja też niedługo przyjdę na górę. - Wypuścił ją z objęć.

- Dobranoc. - Joanna lekko musnęła wargami usta męża i skierowała się ku drzwiom prowadzącym do kuchni.

Joshua pomyślał, że powinien być zły na żonę, ale jakoś nie potrafił wzbudzić w sobie gniewu. Przyjechała taka szczęśliwa, rozradowana, promieniejąca, a teraz była taka... krucha.

Obserwował ją przez chwilę, po czym usiadł i w samotności dokończył wino. Był zbity z tropu. Zagubiony. Przestał cokolwiek rozumieć.

Joanna zniknęła na cały dzień, wróciła do domu na rauszu i twierdzi, że popijała wino w knajpce, której nie znosiła z całego serca. Zapomniała, że umówiła się z siostrą. Nie zjadła kolacji. Ale najgorsze z tego wszystkiego, że nie chciała się z nim kochać.

Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio odprawiła go z kwitkiem. Przez wszystkie lata małżeństwa zdarzyło się to zaledwie kilka razy. I zawsze z konkretnego powodu: była chora albo bardzo zła na niego... A teraz? Całkiem nowa sytuacja. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by go odtrąciła z powodu zmęczenia.

Czyżby go już nie kochała?

Nie, nie, to śmieszne. Czysta paranoja. Przecież kochali się, wcale nie tak dawno. I było równie bosko jak zawsze.

Co się wobec tego dzieje, do diabła?!

Rozdział czternasty

1

oshua siedział na stołku w marmurowej łazience i osłupiałym wzrokiem wpatrywał się w niewielkie kartonowe pudełko. W oczach miał łzy, czuł się oszukany i zawiedziony.

Powinienem być z nią porozmawiać!, wyrzucał sobie ciągle na nowo.

Oczywiście, doskonale wiedział, dlaczego dotąd tego nie zrobił. Przez ostatnie dni miał tyle do zrobienia w szklarniach, że nie bardzo wiedział, w co najpierw ręce włożyć. Wszyscy pracowali po godzinach, dwojąc się i trojąc, by sprostać zamówieniom, ściągnąć więcej kwiatów, a jednocześnie odizolować i leczyć rośliny zainfekowane grzybem.

A teraz jeszcze to.

Gapił się na pudełko pustym wzrokiem, z przedziwnym uczuciem, że Joanna stała mu się zupełnie obca. Zmieniła się w jakąś zimną, bezduszną istotę, całkowicie pozbawioną serca. Albo zawsze była taka, pomyślał Joshua, tylko ja tego nie dostrzegałem.

Właśnie zamierzał się położyć spać. Czuł się ledwo żywy, choć przecież było jeszcze stosunkowo wcześnie. Szukał Joanny, by jej życzyć dobrej nocy. Najpierw poszedł do jej gabinetu, bo wcześniej widział, że siedziała przy komputerze. Nie zastał jej tam jednak.

Zajrzał do sąsiadującej z gabinetem łazienki i tam, na marmurowym blacie, znalazł to fatalne pudełko. Nawet nie było schowane. Ot, po prostu leżało na widoku.

W pierwszej chwili osłupiał. Następnie ogarnął go ból tak wielki, że stłumił nawet gniew, który musiał poczekać na swoją kolej. Jo-

Judith Gould

shua usiadł zrezygnowany i próbował zmusić otepiały umysł do podjęcia decyzji, co dalej. Zapytam ją wprost, postanowił. I to już, od razu. Koniec odkładania, ciągłego czekania, braku czasu. Koniec z wymówkami. Dosyć tego.

Chwycił pudełko i zbiegł na dół, do kuchni. Skoro nie znalazł Joanny w sypialni ani w gabinecie, była w kuchni lub na przeszklonej werandzie.

Znalazł ją w kuchni. Akurat nalewała sobie wina do kieliszka.

Dostrzegła go kątem oka.

- Napijesz się ze mną? - spytała.

Joshua stanął przed nią i podsunął jej pod oczy fatalne pudełko.

- Dlaczego?! - z trudem wykrztusił to dramatyczne pytanie.

Joanna zbladła jak płótno. Kieliszek wyslizgnął jej się spomiędzy bezwładnych palców i rozprysnął w drobny mak na meksykańskiej terakocie.

- Powiedz mi, dlaczego?! - powtórzył Josh. Chociaż kochał żonę całym sercem i choć nigdy nie podniósł na nią ręki, w tej chwili miał nieprzewartą chęć ją uderzyć. Do tej pory nawet sobie nie wyobrażał, że mógłby chcieć zrobić coś takiego.

- Ja... - zaczęła Joanna niepewnie. - Ja... - Jęknęła rozdzierająco, przycisnęła dłonie do oczu, by powstrzymać łzy, i wybiegła z kuchni, depcząc okruchy szkła.

Joshua został w kuchni sam. Jakiś czas po prostu wpatrywał się w podłogę. Wreszcie odzyskał zdolność myślenia. Otworzył szafkę z koszem na śmieci i wyrzucił kartonik pigulek antykoncepcyjnych. Trzasnął drzwiczkami z całej siły i zdecydowanym krokiem ruszył do sypialni. Musi wreszcie porozmawiać z żoną. Teraz. Natychmiast.

Nacisnął klamkę, ale drzwi nie ustąpiły.

- Joanno! - zawołał. - Otwórz, proszę. Odpowiedziała mu cisza.

Huknął pięścią w grube deski.

- Otwieraj! - wrzasnął. - Musimy porozmawiać. Natychmiast! - Przyłożył ucho do drewna, lecz nie usłyszał nic. Wściekle załomotał w drzwi, ale zaraz opuścił ręce. Poczul się śmieszny.

Już i tak postawiłem ją w przykrej sytuacji, pomyślał. Nie ma sensu pogarszać sprawy.

Zszedł na dół, do pokoju gościnnego. Już miał się położyć, gdy jego wzrok padł na zaimprovizowany barek przyszykowany dla od-

Czas na pożegnanie

wiedzących - kilka butelek alkoholu i kieliszki na dużej srebrnej tacy. Kubełek na lód był pusty, trudno się dziwić. Mimo wszystko Joshua nalał sobie solidną porcję szkockiej. Zrzucił szlafrok, rozciągnął się na łóżku i patrząc w sufit, sączył whisky. W życiu nie spędził nocy w tym pokoju. Zresztą nie pamiętał nawet, kiedy spał bez Joanny. Wcale nie miał pewności, czy w ogóle uda mu się zasnąć. Myśli kłębiły mu się w głowie, a sprzeczne emocje szarpały nim do tego stopnia, że ogarnęło go niezłomne przekonanie, iż do bladego świtu nie zmruży oka. Objął tęsknym spojrzeniem butelkę szkockiej, ale po chwili namysłu doszedł do wniosku, że kac jest najmniej pożądanym stanem następnego dnia z rana. Zwłaszcza przy tych wszystkich kłopotach.

Muszę przeprowadzić z Joanną poważną rozmowę, postanowił w myślach. I to jutro. Tak dalej być nie może.

Zasnął, nawet nie wiedząc kiedy, głębokim snem sprawiedliwego.

Obudził się nagle i to od razu ze świadomością, że nie śpi we własnym łóżku. Natychmiast otworzył oczy i obrzucił pokój szybkim spojrzeniem. Wszystko jasne. Przypomniały mu się zdarzenia poprzedniego wieczoru.

Usiadł wolno, spojrzał na zegarek na nocnym stoliku. Dochodziła siódma. Przez szczeliny między zasłonami przesiąkał szarawy świt. Mgła jeszcze się nie podniosła, słońce będzie musiało ją ogrzewać kilka godzin.

Zsunął nogi na podłogę, włożył szlafrok, wstał, przeciągnął się, aż zatrzeszczały kości, i ziewnął szeroko.

- Joanno - zwrócił się do czterech ścian - idę do ciebie. Trzeba działać szybko, zanim żona wymknie się z domu, uciekając przed konfrontacją. Musiał wykorzystać szansę.

Poszedł na piętro. Drzwi sypialni były otwarte. Czyżby jednak się spóźnił? Cisza. Nikogo. Akurat wtedy dobiegły go jakieś odgłosy z łazienki.

Stłumiony płacz.

W dwóch susach przemknął przez pokój i jednym szarpnięciem otworzył drzwi na oścież.

Joanna siedziała przy toalecie, łokcie wsparła na blacie, twarz ukryła w dłoniach.

- Joanno! - Objął ją delikatnie i przytulił. - Co się stało?! Co się z tobą dzieje?

134

Judith Gould

Długo trwało, nim się uspokoiła na tyle, by podnieść na niego wzrok. W oczach miała ból, twarz mokrą od łez i zaczerwienioną, powieki spuchnięte. Oparła mu głowę na ramieniu.

- Kochanie, powiedz mi - poprosił Joshua. - Zrzuć to z siebie. Ona jednak milczała. Wreszcie wstała, podeszła do umywalki

i opłukała twarz chłodną wodą, osuszyła krople ręcznikiem. I dopiero wtedy odwróciła się, zatapiając spojrzenie w niebieskich oczach Josha. Tak długo odsuwała od siebie nieuniknione... Teraz jednak należało wyjawić mu prawdę. Z jednej strony, znalazł pigułki antykoncepcyjne, z drugiej, choroba postępowała na tyle szybko, że nie można było dłużej zwlekać.

- Rzeczywiście, musimy porozmawiać - odezwała się wreszcie. Objęła się rękami i znieruchomiała przygarbiona.

- Joanno, co się dzieje? - Joshua przygarnął ją do siebie.

Dostrzegła strach w jego oczach. Wiedziała, że nie zdoła tego odwiec. Że słowami, które trzeba wypowiedzieć, zada mu głębokie rany. Wzięła go za rękę.

- Chodź, zaparzymy sobie kawę i usiądziemy na tarasie. Dobrze?

- Oczywiście, jak chcesz.

Zeszli razem do kuchni i we dwoje odprawili poranny rytuał parzenia kawy, jakby ten dzień niczym się nie wyróżniał. Wyszli na taras, zanurzony w porannej mgle, jakby odcięty od rzeczywistości. Usiedli pod ogromnym parasolem i otuleni szlafrokami popijali kawę.

W końcu Joshua ujął żonę za rękę. Był napięty i przestraszony.

- Już od jakiegoś czasu uświadamiałem sobie, że coś się między nami zmieniło na gorsze, ale wczoraj zareagowałem zbyt gwałtownie. Znalazłem te pigułki, byłem wstrząśnięty...

- Kochanie, nie ma tu twojej winy. - Joanna utkwiała wzrok w filizance, jakby na jej dnie szukała właściwych słów. Nie da się tego złagodzić. Musiała zwyczajnie powiedzieć prawdę. Podniosła wzrok na męża. Widziała w jego oczach obawę i najbardziej na świecie pragnęły ją stamtąd wypłoszyć. - Niedługo umrę - powiedziała spokojnie.

Joshua drgnął jak ukąszony przez węża. Joanna mocniej ścisnęła jego dłoń. Oczy mu się rozszerzyły, otworzył usta, chcąc coś powiedzieć.

- Zamierzałam jeszcze jakiś czas nie mówić ci o tym, ale już nie mam wyjścia.

Czas na pożegnanie

135

- Jak to, nic nie rozumiem... - wyszeptał.

- Jestem śmiertelnie chora...

- Na co?! - wykrzyknął Joshua nieomal z wściekłością. - Co się z tobą dzieje?!

- Mam raka mózgu.

Przyglądał się jej z niedowierzaniem, przekonany, że zwariowała. Nie mieściło mu się w głowie, iż usłyszał prawdę. Wstał, ukląkł przed Joanną, objął ją w pasie i przytulił głowę do jej kolan.

- Co ty mówisz...? - szepnął. - Jesteś pewna?

- Tak. - Czule pogładziła go po włosach. - Jestem całkowicie pewna.

-Ale... Przecież... Na pewno można ci jakoś pomóc! Lekarze... Pójdziemy do najlepszych specjalistów i...

- Josh! - Ucieła jego przemowę tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Posłuchaj mnie, proszę. - Przez chwilę szukała najwłaściwszych słów. - Lekarze mogą przedłużyć mi życie najwyżej o kilka miesięcy. Zaaplikują mi naświetlania i chemioterapię.

- A potem...

- Posłuchaj! - Joanna przerwała mu stanowczo. - Joshua, wysłuchaj mnie, bardzo cię proszę. - W milczeniu zebrała myśli. - Nie zamierzam zyskiwać na siłę kilku miesięcy marnej wegetacji. Byłabym tylko ciężarem dla otoczenia i znienawidziłabym za to samą siebie. Nie chcę umierać jak mój ojciec, w udręce i cierpieniu. Chcę umrzeć jak człowiek. Z godnością.

- Ale... Joanno...

- Żadnych „ale” - odrzekła miękko. - Kochanie, objawy choroby dają mi się we znaki coraz częściej. I są coraz groźniejsze. Mam bóle głowy i nudności, a ostatnio doszły jeszcze zaburzenia wzroku...

- Jak... jak się dowiedziałas? Kiedy poszłaś z tym do lekarza?

- W styczniu wybrałam się do San Francisco na większe zakupy i wówczas byłam u lekarza w Stanford. Już wtedy męczyły mnie częste bóle głowy.

- Nic mi nie powiedziałaś - stwierdził Josh oskarżycielskim tonem, - Słowem nawet nie wspomniałaś, że coś jest nie w porządku.

- To prawda. Postanowiłam żyć normalnie. Tak długo, jak zdołam. I nadal tego pragnę. Lekarz zaproponował środki uśmierzające ból, to mi na razie wystarcza. Chciałabym, żebyś zdawał sobie sprawę ze skutków, jakie może za sobą pociągać mój stan. I żebyś pamiętał, jaką podjęłam decyzję.

36

Judith Gould

- O czym ty mówisz?

- O tym, że chcę umrzeć godnie - odparła. - Tutaj, w domu. Nie amierzam spędzać ostatnich dni w szpitalu, nie życzę sobie lecze-ia, które jedynie przedłuży moje męczarnie...

- Ale...

- Joshua, już ci powiedziałam: żadnych „ale”. Nie zmienię zda-ia, nie próbuj mnie przekonywać. Kłamka zapadła. - Zamilkła ucisnęła go mocno. - Mieliśmy dużo szczęścia, kochanie. Dobrze am się żyło razem. Zostaliśmy obdarzeni najcenniejszym darem ia świecie:

wzajemnym uczuciem. Z tą świadomością naprawdę logę odejść w spokoju. Rozumiesz mnie chyba?

Joshua pokiwał głową, choć nie był do końca pewien, czy rzeczywiście rozumiał. Oczy napelniły mu się łzami, które trudno było powstrzymać. Jeszcze nie do końca pojał słowa Joanny. Wydawały mu ię nieprawdziwe, jakby dotyczyły cudzego życia albo moze zostały wypowiedziane w jakimś filmie.

- Josh? - odezwała się, ujmując w dłonie obie jego ręce. -Tak?

- Chcę cię prosić o pomoc w bardzo ważnej sprawie.

- Zrobię dla ciebie wszystko - zapewnił, a łzy popłynęły mu oczu.

- Naprawdę bardzo chcę żyć normalnie, zwyczajnie, tak jak do ej pory - powiedziała Joanna z naciskiem. - Jak gdyby nic się nie tało. Wiem, to nie będzie łatwe, ale tak właśnie zdecydowałam.

proszę cię, żeby o mojej chorobie nie wiedział nikt, kto tego wie-Izieć nie musi. Tylko w ten sposób mozesz mi osłodzić czas przed •dejsciem. Jestem najszczeńliwsza wówczas, kiedy nasze życie to-:zy się utartym szlakiem.

Tylko pokiwał głową, gdyż nie mógł zawierzyć własnemu głośowi. Łzy ciekły mu po policzkach strumieniami.

- Chcę, żebyś pracował jak zwykle. Sama też będę robiła wszyst-ło, jak do tej pory. Wiem, to niełatwe. Ale takie właśnie mam ostat-ie życzenie.

- Kto... Kto cię leczy? - wychrypiał Joshua.

- Z myślą o tobie wypisałam wszystkie niezbędne informacje - odparła Joanna. - Kartka jest w górnej prawej szufladzie mojego biurka w gabinecie. Są tam również nazwiska lekarzy, masz do nich wszystkie numery telefonów. Dołączyłam także kilka artykułów Drasowych dotyczących tego konkretnego rodzaju nowotworu. Po-nogą ci lepiej zrozumieć sytuację.

Czas na pożegnanie

137

Joshua oparł głowę na kolanach żony, a ona delikatnie przeczesała mu włosy palcami.

Dziwne, pomyślała. Wydawało mi się, że nie zdołam powstrzymać łez. Że trudno mi będzie wziąć się w garść. Tymczasem... kiedy siedzimy tak blisko, objęci, połączeni naszą miłością... nie jest to takie trudne, jak się spodziewałam.

Joshua nagle podniósł głowę.

- Teraz rozumiem, dlaczego brałaś te pigułki.

- Dowiedziałam się o mojej chorobie zaraz po tym, jak zaplanowaliśmy dziecko, i zdecydowałam, że nie zajdę w ciążę. Nie wiadomo, czy dożyłabym porodu. A gdyby nawet -

nikt nie mógł mi zagwarantować, że obejdzie się bez komplikacji. - Nie dodała, że chciała, by miał dziecko z inną kobietą, że postanowiła, iż jego syn czy córka będzie mieć oboje rodziców. Jeszcze przyjdzie czas na te sprawy. I na wiele innych.

- Joanno... jesteś taka dzielna... Sama borykałaś się z tym przez tyle czasu... Żałuję, że nie powiedziałaś mi wcześniej, nie czułaś się taka osamotniona. W jakimś sensie... jestem na ciebie urażony, że mi nie zaufałaś.

- To nie była kwestia zaufania. Musiałam najpierw dojść do ładu z własnymi emocjami. Nie chciałam cię odsuwać, ale po prostu nie umiałam z tobą o tym rozmawiać.

- Cieszę się, że wreszcie się na to zdobyłaś.

- Ja też. - Umilkła i potargała mu włosy. - A teraz - poleciała - wstaniesz i przygotujesz się do wyjścia. Jak co dzień. Niedługo przyjedzie April, zjawi się Connie... Mamy mnóstwo pracy.

- Nie potrafię się zachowywać jak gdyby nigdy nic! To czyste szaleństwo!

- Nieprawda. Nie ma w tym ani odrobiny szaleństwa. I pamiętaj, że właśnie o takie zachowanie cię proszę. Normalne, zwykłe, jakby nic szczególnego się nie działo.

- Nie do wiary.

- A jednak. Tylko na tym mi zależy. Kocham życie, jest mi z tobą dobrze, chcę wykorzystać każdą chwilę, jaka została nam dana. Pomóż mi spełnić to życzenie. Wiem, że proszę o bardzo wiele, ale pragnę tego ponad wszystko. W ten sposób łatwiej będzie mi odejść. Joshua wstał i spojrzał na żonę. W oczach miał ból i rozpacz. Dobry Boże, pomyślała, oby tylko zdołał wziąć się w garść! W głębi serca miała przekonanie, że mu się to uda.

738

Judith Gould

- Musisz się zbierać - powiedziała. - Przed wyjściem zajrzyj i pocałuj mnie na do widzenia. A jeśli będziesz mógł, przyjdź na lunch jak zwykle.

Joshua stał bez ruchu. Nie chciał odejść.

- Josh, pora na ciebie - ponagliła go miękko.

Wreszcie przestąpił z nogi na nogę i wolno wszedł do domu. Joanna powiodła za nim wzrokiem, chcąc utrwalić sobie w pamięci każdy ruch jego barków, kołysanie ramion, sposób stawiania kroków. Ogarnęła ją fala miłości. Poczuła pod powiekami łzy. Udało jej się jednak zachować spokój. Powstrzymała płacz.

Tylko otarła jedną słoną kropelkę z kącika oka.

Och, Joshua, westchnęła w duchu. Żałuję, że muszę odejść.

Po chwili wyprostowała się i upiła łyk kawy.

Umieram, pomyślała, ale zanim odejdę, muszę jeszcze wiele zrobić.

Księgo drugo

APRILIJOSH

Jesień i zimo 2000 roku

Rozdział piętnasty

A

pril siedziała przy stole w kuchni, popijając kawę i skubiąc grzanki. Jedna była z dżemem z czarnej porzeczki, druga z marmoladą pomarańczową. Koło talerza leżały poranne gazety. Gdy zadzwonił telefon, sięgnęła po słuchawkę, nie odrywając oczu od artykułu.

-Halo?

- April?

Joshua?, zdumiała się w myślach. Natychmiast odsunęła gazetę.

- Cześć, Josh. Co u ciebie?

- Poświęć mi kilka chwil - poprosił niepewnie. - Muszę z tobą porozmawiać o pewnej ważnej sprawie.

Ciekawe, co to za ważna sprawa, zastanowiła się April. W głosie Josha nie usłyszała zwykłej wesołości. A właściwie to był wyraźnie smutny.

- Oczywiście - powiedziała. - Zamieniam się w słuch. O co chodzi?

Jednak Joshua jakoś nie potrafił zebrać się w sobie.

- Masz dziwny głos - dorzuciła.

- Widzisz... Ja raczej... - westchnął zrezygnowany. - April, nie chcę ci przeszkadzać, ale naprawdę muszę z tobą porozmawiać. I to nie przez telefon. Sprawa jest wyjątkowo ważna.

- Rozumiem. Przyjechać do ciebie?

- Nie, nie. Lepiej nie. - Zamilkł, wyraźnie się zastanawiając. - Czy moglibyśmy się spotkać gdzieś przy kawie? W jakimś spokojnym miejscu?

Mój Boże, pomyślała April. Zdaje się, że jest czymś bardzo zmartwiony.

742

Judith Gould

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zapraszam cię do siebie - zaproponowała. - Kawę już wstawiam. Odpowiada ci to?

- Bardzo - odrzekł z wyraźną ulgą. - Już jadę.

- Czekam. Wiesz, jak do mnie trafić?

- Tak. Joanna tyle razy opowiadała mi o jeździe do ciebie, że znam drogę na pamięć. - W jego głosie zabrzmiała znajoma nutka humoru.

April uśmiechnęła się w duchu. Może nie jest tak źle, jak sądziła?

- Będę za jakieś pół godziny - powiedział Joshua.

- Świetnie.

- No to, na razie.

- Do zobaczenia.

April odłożyła słuchawkę i dłuższy czas wpatrywała się w przestrzeń. Potem próbowała czytać artykuł, ale nie mogła się skupić, ledwie dostrzegła litery. Wreszcie zrezygnowała, zamknęła gazetę, odłożyła ją na bok i wstała, by zaparzyć kawę.

Co tam się mogło stać? Przecież Joshua nie dzwoniłby do niej z byle błahostką. I z pewnością nie prosiłby o spotkanie w cztery oczy, gdyby nie miał jakiegoś wyjątkowo ważnego powodu. Pytanie tylko, o co może mu chodzić... Czyżby Lawrence'owie nagle doszli do wniosku, że nie podoba im się jej praca? Postanowili zrezygnować z groty?

Miała zamiar wyrzucić fusy z kubka do kosza, ale chybiła.

- A niech to!

Urwała kilka kawałków papierowego ręcznika i kiedy zaczęła sprzątać bałagan, uświadomiła sobie, że drżą jej ręce.

Dlaczego jestem taka zdenerwowana?, zdziwiła się.

W głębi serca знаła odpowiedź. Choć starała się stłumić w sobie uczucie do Joshuy Lawrence'a, jej wysiłki nie przynosiły oczekiwanych rezultatów, a nawet chyba dawały wręcz przeciwny skutek. A nie było to uczucie, jakie mogła żywić siostra wobec brata... O, nie.

A teraz jeszcze i to. Rozmowa w cztery oczy.

Wycierając podłogę, April przysięgła sobie po raz kolejny, że niezależnie od tematu wyrzutek Josha, ona opanuje natłok gwałtownych emocji. Ze względu na jego żonę. Ponieważ Joanna stała jej się bliska jak siostra. I dlatego April gotowa była uczynić wszystko, by oszczędzić bólu przyjaciółce. I nic, a już zwłaszcza zakazana miłość do Joshuy, nie może zakłócić szczęścia tamtych dwojga.

Czas na pożegnanie

143

* * *

Joanna prowadziła mercedesa krętą górską drogą, od czasu do czasu zerkając na niewielkie pudełko w kolorze przygaszonej pomarańczy, ozdobione brązową kokardą. Leżało na siedzeniu pasażera, tuż obok i za każdym razem, gdy rzuciła na nie okiem, uśmiechała się z dumą. Któregoś dnia, robiąc zakupy, wstąpiła do Hermesa. Tam zobaczyła apaszkę ozdobioną wzorem w muszle. Natychmiast pomyślała, iż to drobiazg wprost stworzony dla April, toteż

kupiła chustkę bez chwili wahania, kazała ją elegancko zapakować i postanowiła dać przyjaciółce przy najbliższej sposobności.

Instynkt podszeptnął jej, że można by to zrobić już dziś, więc w drodze powrotnej z salonu piękności, świeżo uczesana, wypoczęta i w doskonałym nastroju, postanowiła wstąpić do April.

Zatrzymała się przed znakiem stopu. Lepiej było go nie lekceważyć, droga naprawdę należała do niebezpiecznych. Przepuściła samochód z przeciwka, potem wolno pokonała zwięzony odcinek szosy, wreszcie znów ruszyła nieco szybciej. Z ciekawością przyglądała się letnim domkom zawieszonym na skałach po drugiej stronie wąwozu. Niektóre zostały tak zręcznie ukryte między gęstymi drzewami, że trudno je było dostrzec. I na tym, między innymi, polegał ich urok.

Za następnym zakrętem stał domek April. Joanna zwolniła. Miała zamiar, jak poprzednio, zaparkować tuż za autem gospodyni, ale gdy wyjechała zza zakrętu, okazało się, iż na wąskim podjeździe nie ma wolnego miejsca.

Tuż za starym dżipem stał land cruiser Josha.

Joanna zatrzymała samochód. Myśli kłębiły jej się w głowie, serce waliło jak młotem. Szybko podjęła decyzję, wcisnęła gaz i odjechała. Miała nadzieję, że nie zauważyli jej mercedesa. Na najbliższym skrzyżowaniu skręciła w lewo, w jakąś podporządkowaną drogę. Akurat trafiła na zatoczkę, więc zatrzymała się tam i długi czas siedziała bez ruchu, niewidzącym wzrokiem patrząc w okno. Serce nadal biło jak na alarm.

Boże jedyny, pomyślała, aż mi się ręce trzęsą!

Kilkakrotnie odetchnęła głęboko, by uspokoić nerwy i oczyścić umysł. Kolejny raz spojrzała na wytworną paczuszkę z kokardą. Prezent dla April.

Zaczęła się śmiać.

Judith Gould

Najpierw bezgłośnie, jakby dyskretnie, potem coraz gwałtowniej, aż w końcu pochyliła się i mało nie popłakała ze śmiechu. Udało się! Tak! Tylko... nie przewidziała, że będzie zazdrosna, ło tego: czuła się osamotniona i zdradzona i... Ach, Boże! Wtedy popłynęły łzy. Płakała spokojnie, cicho, nienawidząc siebie samej za to uczucie zazdrości, której nie chciała. Za złość do Jo-i i April, za pretensję, że między nimi zrodziło się coś niepowtarzalnego. Wyrażna więź, którą sama zadzierzgnęła, umacniała i na irej tak bardzo jej zależało.

Oczywiście, że przyjechał tutaj, pomyślała. A dokąd miał pójść? downie! Fantastycznie, że akurat z April chciał porozmawiać ;ak trudnej chwili.

Gdy łyzy w końcu obeschły, zdjęła okulary przeciwsłoneczne i wyła oczy chusteczką. Nagle znowu zaczęła się śmiać - ale tym razem w jej śmiechu brzmiał bezsilny, pełen bezradności ton. Co za ironia! Osiągnęła cel. Powinna być szczęśliwa. A wcale się i cieszyła.

Nadszedł czas, by się z tym oswoić. Należało przewidzieć, że cię-; uczucia Josha dla innej kobiety będą ją bolały. Nawet jeśli to ko-;ta przez nią wybrana.

W końcu Joanna uspokoiła się i wyjechała na szosę. Postanowiła ócić do domu inną drogą, nie przejeżdżając już obok domu April. Prowadziła wolno, by mieć czas na rozmyślenia. We wspomnie-ich wróciła do początków swojej choroby.

Gdy tylko się dowiedziała, że nie zostało jej wiele czasu, postawiła, że na jej miejscu w życiu Joshuy pojawi się inna kobieta, mieważ jej dzielny mąż, wbrew pozorom, potrzebował wsparcia ądrej partnerki. Fizycznego, emocjonalnego i duchowego. Jak idy człowiek zresztą. Kochała go tak bardzo, iż postanowiła znaleźć mu kogoś, kto ją stąpi.

Pierwszą kandydatką była robiąca karierę dekoratorka wnętrz, die Gillette. Joanna zatrudniła ją do pomocy przy zamawianiu ta-st i farb i szybko uznała za fascynującą kobietę. Z początku nowa Lajoma wydawała się doskonałą kandydatką na drugą żonę Jo-aiy. Niestety, zaledwie po kilku dniach Joanna odkryła z przykro-ia, iż Julie, przy wszystkich swoich zaletach - a było ich niemało miała także jedną cechę stanowczo niepożądaną: kochała pieni-:e i eksponowaną pozycję towarzyską. Nie było w tym w zasadzie c złego, ale taka postawa nie współgrała z podejściem do życia re-

prezentowanym przez Joshue. Innymi słowy, jako para nie zaszliby daleko.

Następnie trafiła się Rachel Lewis, z zawodu fotografik. Joanna poznała ją, pracując nad albumem z orchideami. Na tamtym etapie była jeszcze przekonana, że tekst powinien zostać urozmaicony zdjęciami, a nie rysunkami - na które zdecydowała się później - i dlatego umówiła się z kilkoma fotografami, by zobaczyć z bliska ich osiągnięcia. Przy tej okazji spotkała Rachel, która okazała się zarówno doskonałym fachowcem, jak i piękną kobietą. Uroda Rachel nie podlegała dyskusji, natomiast w czasie kolejnych rozmów wyszedł na jaw poważny mankament: okazała się osobą emocjonalnie słabą, brakowało jej wewnętrznej siły, na której mógłby polegać Josh. Najwyraźniej z trudnością radziła sobie z własnymi problemami, wobec czego, oczywiście, nie mogła wspierać kogoś innego.

Przewinęło się jeszcze kilka innych kandydatek, które wzbudziły nadzieję w Joannie. Ot, choćby Frieda. Piękna, rozwiedziona właścicielka księgarni. Idealna kandydatka, gdyby nie była lesbijką. Albo Laura, młoda bogata miłośniczka jazdy konnej - o zrównoważonym charakterze, przypominająca araba czystej krwi. Niestety, okazała się mało inteligentna i niewykształcona, chociaż uczyła się w najlepszych szkołach.

Wreszcie Joanna trafiła na April. Kobietę idealną dla Josha. Poszukiwania zakończyły się szczęśliwie i to akurat wtedy, kiedy właściwie już się poddała i pogodziła z myślą, że Joshua będzie dalej szedł przez życie sam. Właśnie wtedy pojawiła się April, partnerka doskonała, o ogromnej sile charakteru, z pewnością zdolna w razie potrzeby wesprzeć ukochanego mężczyznę. April, która będzie szczęśliwa, zarówno dając, jak biorąc.

Joanna uśmiechnęła się z triumfem. Pokonała strach i żal, burza uczuć wreszcie ucichła, przynajmniej na jakiś czas. Nie mogła się doczekać poniedziałku, gdy podaruje April tę uroczą apaszkę, zdobioną wzorem z tęczowych muszli. Cudnie będzie zobaczyć na twarzy przyjaciółki zachwyty.

Spodoba jej się na pewno, pomyślała zadowolona. Obojgu im się spodoba.

- Joanna umiera... - powtórzyła zszokowana April. Joshua pochylił głowę.

146

Judith Gould

- Nie chciała mi o tym powiedzieć. Nie dowiedziałbym się i dzisiaj, gdybym przypadkiem nie znalazł tych pigulek... - Podniósł wzrok i napotkał pełne współczucia spojrzenie April. - Widzisz, bardzo długo odkładaliśmy decyzję o powiększeniu rodziny. Kiedy w końcu uznaliśmy, że nadszedł na to czas, zrezygnowaliśmy ze środków antykoncepcyjnych... A później Joanna dowiedziała się o swojej chorobie... - Umilkł i pokręcił głową. - Wtedy na nowo zaczęła brać pigułki. Nie wiedziała, czy dożyje do końca ciąży, obawiała się komplikacji, nie chciała skrzywdzić nienarodzonego dziecka...

April patrzyła na niego w milczeniu, targana sprzecznymi uczuciami. Nie bardzo mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

- Josh... Dobry Boże... - Z trudem powstrzymywała łzy. - Nie wiem, co ci powiedzieć... Ale zapewniam, że zrobię wszystko, co w ludzkiej mocy, by wam pomóc. Powiedz tylko słowo. Naprawdę, zrobię wszystko. - Oczy miała pełne smutku, ale nie uroniła ani jednej łzy. Na płacz przyjdzie czas później.

Joshua wbił wzrok w kubek z kawą, stojący przed nim na kuchennym stole.

- Dziękuję ci, April. - Spojrzał na nią z wdzięcznością. - Wiem, że bardzo polubiłaś Joannę, inaczej niczego bym ci nie zdradził. Powiedziałem ci nie tylko dlatego, że musiałem zrzucić z siebie ten ciężar, ale też po to, żebyś pierwsza o wszystkim się dowiedziała. Moim zdaniem masz do tego prawo.

April położyła dłoń na ręku Josha.

- Dobrze zrobiłeś - zapewniła go. - Miło mi, że obdarzyłeś mnie zaufaniem. Oczywiście masz rację, kocham Joannę całym sercem, jest wspaniała... brak mi słów. Zawsze chciałam mieć

siostrę - i znalazłam ją w Joannie. - Głos uwiązał jej w gardle. - Kocham was oboje - dodała po chwili. Poczzerwieniła, mówiąc te słowa. - I zawsze jestem gotowa pomagać wam ze wszystkich sił. Zrobię dla was wszystko.

Joshua zamknął jej rękę w dłoniach.

Boże jedyny, pomyślał. Chciałbym móc teraz jej powiedzieć, że także ją kochamy. I że ja ją kocham.

Byłaby to jednak zdrada wobec Joanny. Nawet taka myśl wydawała się niestosowna.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że możemy na tobie polegać - odrzekł ciepło. - Jesteś dla nas jak członek rodziny. Na pewno o tym wiesz.

Czas na pożegnanie

147

April pokiwała głową.

- Tak - szepnęła po prostu. Jej spojrzenie zbłądziło za okno, zatoneło w gęstych liściach. -

Josh - spojrzała mu prosto w oczy - mam do ciebie jedną prośbę.

-Jaka?

- Lepiej nie przyznawaj się Joannie, że mi opowiedziałeś o jej chorobie. Zaczekajmy, aż sama się na to zdecyduje.

Joshua w milczeniu pokiwał głową.

April wysunęła rękę z jego dłoni i nerwowym gestem przeczesła włosy.

- Na pewno niedługo to zrobi.

- Prawdopodobnie - zgodził się Joshua. - Ma coraz więcej objawów. Częstsze bóle głowy, zaburzenia widzenia, nudności... Lekarstwa trochę pomagają, ale i tak niedługo będzie ci się musiała wytłumaczyć...

- Zostanę przy was - obiecała April spokojnie.

- Dziękuję. W imieniu nas obojga. - Joshua poruszył się niespokojnie. - Będę się zbierał. Nie wiem, kiedy Joanna wróci do domu, a wolę być pierwszy. Boję się o nią, nie chcę jej zostawiać samej. Najchętniej zamknąłbym ją na cztery spusty... ale ona nie znosi żadnych ograniczeń...

- I trudno ci się z tym pogodzić?

- Właśnie.

Joshua wstał, April także.

- Umówiliśmy się, że przyjadę do was dopiero w poniedziałek rano. Jeśli byłabym potrzebna wcześniej, daj mi znać, proszę. Możesz dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Nigdzie się nie wybieram na weekend.

- Dobrze. - Joshua uśmiechnął się smutno. - Będziemy improwizowali na bieżąco...
- Tak, raczej tak. - Odprowadziła go aż do mostka. - Pamiętaj, w razie potrzeby dzwoń bez wahania. Jestem do waszej dyspozycji.
- Będę pamiętał. Wiem, że mogę na ciebie liczyć. - Tak bardzo chciał ją objąć i przytulić, podziękować tym gestem za zrozumienie, za dobroć.
April jakby wyczuła jego pragnienie, objęła go i przycisnęła do siebie.
- Musimy być silni - wyszeptwała.
- To prawda.

Wszedł na mostek i ruszył ku drodze.

48

Judith Gould

April patrzyła za nim długo, aż wsiadł do samochodu i odjechał, lachając na pożegnanie. Dopiero wtedy wróciła do domu. Zamknęła za sobą drzwi, oparła się o nie i przymknęła oczy. Z ust wyrwało jej się głośne westchnienie. I wtedy łzy, tak długo powstrzymywane, płynęły po policzkach. Szlochała, jakby nie miała nigdy przestać. Płakała Joannę, Josha i siebie. Joshua wjechał na podwórze i natychmiast zauważył mercedesa Joanny. Odetchnął z ulgą. Zaparkował wóz i szybkim krokiem loszedł do domu. Uświadomił sobie, że po rozmowie z April czuje się silniejszy. Nie wiedział dokładnie dlaczego, ale miał wrażenie, że pomogła mu sama świadomość, że może liczyć na wsparcie przyjaciółki. Zdawał sobie także sprawę z nowej, mocniejszej więzi, jaką połączyła ich wspólna tajemnica. Z jednej strony cieszyła go ta sytuacja, z drugiej - budziła w nim poczucie winy. Może za bardzo polubił towarzystwo April? Podobał mu się jej skromny domek, miły i przytulny, pełen bajkowego uroku. Podobnie jak wszystko, do czego przyłożyła rękę Joanna, uświadomił sobie. W sieni się zorientował, że buty ma zupełnie czyste, więc nie nusi ich zmieniać, wobec tego od razu poszedł do kuchni. Tam jednak nie było Joanny. Nie dostrzegł jej także na tarasie. Stanął w hoku i zawołał ją po imieniu, lecz odpowiedziała mu cisza. Kierowany impulsem wyszedł na taras, minął mostek, basen i sad, aż znalazł się przy grocie. Tam ją zobaczył. Zatrzymał się przed drzwiami i patrzył, jak węzowała wzdłuż ściany, muskając palcami muszle. Od czasu do czasu odsuwała się o krok czy dwa i spoglądała krytycznym wzrokiem na to, co zostało zrobione. Wszedł do środka.
- Joanno! - zawołał miękko.

Odwróciła się do niego, wcale nie zaskoczona. Na twarzy miała promienny uśmiech. Robiła wrażenie całkowicie spokojnej, nawet szczęśliwej.

- Pięknie z dnia na dzień, prawda? - odezwała się jasnym głosem.

Czas na pożegnanie

149

- Istotnie.

- Ma w sobie coś ze mnie, nie uważasz?

- Cała moja Joanna! - odparł Joshua. - Twój pomysł, twoja wyobraźnia... - Nagłe łzy nie pozwoliły mu skończyć.

Joanna otarła je delikatnie.

- Nie płacz - powiedziała. - Damy sobie radę. Nie wolno się załamywać. - Pocałowała go czule w usta. - Nie jesteś sam.

* * *

Następnego ranka Joanna przebudziła się wyjątkowo wcześnie, jakaś nieswoja. Coś ją zaniepokoiło. Wyciągnęła rękę do Josha, lecz go nie znalazła.

Ach, to dlatego, pomyślała. Niesamowite, jak można się przyzwyczaić... Wystarczy, że go przy mnie zabrakło, a już jestem niespokojna.

Wstała z łóżka, zarzuciła szlafrok i na bosaka poszła do łazienki. Połknęła pierwszą tego dnia pigułkę, zapobiegawczy środek przeciwbólowy. Ochlapała twarz, wymyła zęby, przeczesła włosy. Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze.

Dziwne, wcale nie sprawiaam wrażenia chorej. W zasadzie wyglądam całkiem dobrze.

Uśmiechnęła się i zgasiła światło.

I

Czas poszukać Josha.

Ruszyła w stronę schodów, ale zatrzymała się przy gabinecie męża. Drzwi były otwarte na oścież, światło zapalone. Joshua siedział przy biurku, monitor komputera rzucał na jego twarz migotliwe blaski. Na blacie piętrzyły się jakieś papiery; zapewne były między nimi artykuły i notatki, o których mu wspomniała. Zastukała lekko w drzwi i weszła do środka.

- Josh?

Drgnął i obrócił się gwałtownie. Oczy miał czerwone i zapuchnięte, włosy potargane, ubranie wygniecione. W pokoju panował zaduch.

- Wyglądasz na zmęczonego - odezwała się zaniepokojona.

- Nic dziwnego. - Uśmiechnął się ponuro. - Jestem zmęczony.

Podeszła i objęła go od tyłu, a potem pogładziła po włosach. Wiedziała, czym się zajmował, bo nietrudno się było domyślić, ale i tak spytała:

- Co robisz?

Judith Gould

- Myszkowałem po sieci - rzekł ochryple. - Chciałem się do-edzieć jak najwięcej o... na temat... - Podniósł na nią smutne ojrzenie.

- Śmiało, Josh. Odwagi. Powiedz to wyraźnie. Choroba nowo-rorowa. Rak. Widzisz? To tylko słowo.

- Wybacz mi... po prostu nadal nie mogę uwierzyć... - Wyraźnie alczył ze łzami.

Przytuliła go czule i ucałowała w czoło.

Musi się wziąć w garść!

Sama też z trudem powstrzymywała łzy. Kochała go ponad szystko na świecie i nie mogła okazać słabości, bo złamałaby mu rce.

- Dojdiesz z tym jakoś do ładu, kochanie - oznajmiła, siląc się i pogodny ton. Zmierzwiła mu włosy. - Powiedz mi, co znalazłeś.

- Szukałem organizacji skupiających ludzi, którzy mają do ;ynienia z tą chorobą. Wpadło mi w oko Amerykańskie Stowa-;yszenie Osób Chorych na Raka Mózgu, Towarzystwo Walki Rakiem, Narodowy Instytut Onkologiczny, Krajowa Fundacja) Walki z Nowotworami Mózgu... Sporo tego. Całą noc przegła-ilem witryny w Internecie. Wczoraj zadzwoniłem do doktora altzmana z Pało Alto i dostałem od niego sporo informacji, od-awiedział na wszystkie moje pytania. Chciałem jednak bliżej za-Dznać się z tematem, dlatego przesiedziałem całą noc przy kom-uterze.

- Nic dziwnego, że jesteś wykończony. Chodź, napijemy się ka-y. A może wolisz wziąć prysznic i położyć się spać?

- Nie, nie. Teraz nie potrafiłbym zasnąć. Niech będzie kawa. Trzymając się za ręce, zeszli do kuchni. Joanna wrzuciła do

łylnka ciemnobrazowe ziarna i włączyła ekspres, Joshua przyszy-ował tosty oraz świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy, a potem na-rył stół na tarasie. Gdy w końcu usiedli do śniadania, poranne tońce już rozprawiało się z mgłą.

- Twój lekarz jest wymieniany w witrynie „Najlepsi lekarze” odezwał się Josh.

- Wiem. Ale nie stamtąd się o nim dowiedziałam, chociaż zajrza-im chyba na każdą stronę w sieci, gdzie znajdowała się choćby wzmianka o tej chorobie.

- Joanno - Joshua utkwiał w żonie spojrzenie - zdajesz sobie prawe, że pojawiają się coraz to nowe techniki leczenia i są coraz kuteczniejsze. Jest też wiele...

I

Czas na pożegnanie

- Josh - przerwała mu. - Wiem o tym, możesz mi wierzyć. Czytałam wszystko, co znalazłam na ten temat, rozmawiałam z całym zastępami lekarzy. Wszyscy mówią mi właściwie to samo: można jedynie zyskać na czasie. Ale nie tak znowu wiele.

- Są też pewne badania eksperymentalne... - Nie dawał za wygraną.

Joanna uderzyła otwartą dłonią w blat stołu.

- Dość! W tej chwili przestań! Nie chcę tego dłużej słuchać!

- Głos jej się załamał, w oczach zabłyśły łzy.

Joshua zerwał się na równe nogi, opadł na klęczki i objął żonę.

- Wybacz mi -jęknął. - Kochanie, ja tylko chciałem... Po prostu nie umiem się z tym pogodzić... Szukałem czegoś... Chciałem cudu. Nie możesz tak odejść!

- Spójrz na mnie.

Podniósł na nią wzrok i dojrzał niezłomną siłę. Oraz całkowity brak jakichkolwiek wątpliwości.

- Powiedziałam ci, że nie chcę umierać jak tata, w bólu i cierpieniu. Nie będę odwlekać momentu odejścia. Nie zamierzam też zostać królikiem doświadczalnym. Joshua, spójrz prawdzie w oczy. Można mnie utrzymać przy życiu, ale tak naprawdę nie byłabym żywa. Podjęłam taką, a nie inną decyzję i mam nadzieję, że ją uszanujesz.

Po dłuższej chwili ciszy Josh wolno skinął głową. Nie widział sposobu, by przekonać żonę do zmiany zdania, choć nie umiał sobie wytłumaczyć, jakim cudem tak spokojnie podchodziła do straszliwego wyroku śmierci.

- Joanno, jak ty sobie dajesz z tym radę? Nie czujesz nienawiści do losu?

- Był taki czas - przyznała z błyskiem w oku - że przeklinałam Boga i ludzi... Cały świat. Ale to już minęło. Teraz pogodziłam się z nieuniknionym. I z własną bezsilnością wobec losu. -

Uśmiechnęła się smutno. - Odzyskałam spokój - dodała cicho. - Mam nadzieję, że i tobie się to uda. - Pochyliła się, ucałowała go i uścisnęła.

- Jedźmy - powiedziała. - Czeka mnie dziś wyjątkowo pracowity dzień.

- A co planujesz?

- Muszę się spakować. Wybieram się na kilka dni do Christiny. Najwyższy czas jej powiedzieć, jak wyglądają sprawy. Muszę to zrobić osobiście, nie przez telefon. Nawet nie zauważysz mojej nieobecności, bo przecież masz pełne ręce roboty.

- Czy aby na pewno powinnaś jechać sama?

- Powiedziałam ci już, że chcę żyć zupełnie normalnie. Aż do końca. - Nagle się roześmiała. - Wizyta u Christiny nie jest może szczytem moich pragnień, ale postaram się zachowywać przyzwoicie.

Joshua zgodnie pokiwał głową, lecz w głębi serca nadal burzył się przeciwko decyzjom żony.

- Zajrzysz dzisiaj do szklarni? - spytała Joanna.

- Nie. W tym tygodniu nie mam żadnych spotkań, więc Carl się wszystkim zajmie.

Planowałem popracować w cieplarni, w jaskini rozpusty.

- A może najpierw byś się przespał? Wyglądasz jak zombi.

- Dobrze, może rzeczywiście się położę.

- Obiecujesz? Joshua pokiwał głową.

- Obiecuję - odrzekł ze słabym uśmiechem. Wiedział jednak, że tego nie zrobi. Nie zdołałby zasnąć.

Rozdział szesnasty

A

pril leżała na rusztowaniu, rozciągnięta na plecach. Do sufitu miała mniej niż pół metra. Z ogromnym skupieniem układała w szybko-schnącym cemencie okrągłe muszle w odcieniach od różu do pomarańczowego. Uważnie obserwowała nakreślone wcześniej linie, bo każda pomyłka wymagałaby trudnych i czasochłonnych poprawek.

Argopecten circuhris, pomyślała z kwaśnym uśmiechem. W życiu nie przypuszczałam, że tyle się dowiem o tym małżu. Chcąc nie chcąc, musiałam.

Pracowała caluteńki dzień, z krótką przerwą na obiad. Woody już poszedł, a ona została najdłużej, jak mogła. Po pamiętnej rozmowie z Joshem poświęcała pracom w grocie każdą chwilę. Poza tym chciała, żeby Joanna po powrocie z Montecito mogła się ucieszyć niespodziewanie żwawym postępem prac.

Oczami wyobraźni widziała już gotowy sufit. Choć wiedziała, że nie uda jej się skończyć go w ciągu tych kilku dni, zamierzała przynajmniej zrobić jak najwięcej. Zdobienie sufitu stanowiło najtrudniejszą część zadania, chociażby z tego prostego powodu, że trzeba było pracować na leżąco, z podniesionymi rękami. Jakby tego było mało, bardzo dawały jej się we znaki upał i duchota, wyjątkowo dokuczliwe w górze, mimo stale włączonych wiatraków.

Umieściła ostatnią muszlę na końcu wyrysowanej linii i odetchnęła z ulgą.

Dosyć na dzisiaj, uznała. Tym razem już na serio.

Podejmowała tę decyzję już kilka razy, ale pracowała dalej, starając się zbliżyć do zamknięcia przynajmniej jednego fragmentu zdobienia.

Judith Gould

- Heeej, tam na górze! - zawołał Joshua od wejścia.

- Cześć! - odkrzyknęła April.

- Późno się robi. Nie wystarczy ci na dzisiaj?

- Właśnie skończyłam.

Joshua przyjrzał się sufitowi. Już było widać, że wnętrze będzie jedyne w swoim rodzaju, fascynujące, egzotyczne. Szkice nawet nie umywały się do rzeczywistości. I nic dziwnego, w końcu przecież stworzenie takiego cudu wymagało nieskończonej cierpliwości i wielkiego nakładu pracy.

April przesunęła się do brzegu rusztowania i opuściła nogi na niższy poziom. Gdy dotarła na sam dół, ściągnęła gumowe rękawice. Rozprostowała ramiona, zatoczyła kółko głową, najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

- Najgorsze, co może być. - Westchnęła. - Pojęcia nie mam, jak dawał sobie z tym radę Michał Anioł. Zresztą nie on jeden. Pewnie wszyscy artyści miewają potworne skurcze.

- Ale chyba gra jest warta świeczki? - zaśmiał się Joshua.

Jak dobrze słyszeć jego śmiech, pomyślała April. Od wyjazdu Joanny nawet się nie uśmiechnął. Przyjrzała się uważnie sufitowi.

- Masz rację - przyznała. - Będzie rewelacyjny.

- April, może zostaniesz na kolacji? Connie jak zwykle coś upieczęła, a ja strasznie nie lubię jeść sam. No i po takim dniu pracy naprawdę należy ci się przyzwoity posiłek. A także chwila odpoczynku.

Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Szybko jednak uświadomiła sobie, że zachowuje się jak dziecko. Przecież chciała zjeść z nim tę kolację, więc niby dlaczego miałyby sobie odmówić tej przyjemności? A Josh też poczuje się lepiej, jeśli nie będzie musiał siedzieć w domu sam.

- Chętnie zostanę, dziękuję. - Otrzepała ręce. - O Boże! Zobacz, jak ja wyglądam! Cała w cemencie, kurzu...

- Nie przejmuj się. Wykap się albo weź prysznic, jak wolisz.

- Zaraz będę gotowa - obiecała April, rozwiązując wielki fartuch. - Chociaż i tak będę wyglądała trochę niestosownie...

- Jak artystka po pracy - uśmiechnął się Joshua. - Nie ma w tym nic niestosownego.

- Jeszcze tylko pozbieram rzeczy i zaraz przyjdę.

- Możesz skorzystać z łazienki dla gości w domu albo z tej w domku nad basenem.

- Tę nad basenem już znam, więc tam się ogarnę - zdecydowała April.

- Niech ci będzie - zgodził się Joshua. - Wobec tego do zobaczenia na tarasie.

Po jego wyjściu szybko uporządkowała grote, przygotowała wszystko na następny ranek i zebrała narzędzia, które trzeba było umyć. Jak co dzień włożyła je do wiadra, wzięła też swoją przepastną torbę, zgasiła światło i wyszła, dokładnie zamykając za sobą ogromne przeszklone drzwi.

Znalazłszy się w jednej z dwóch łazienek w domku nad basenem, najpierw starannie umyła i osuszyła narzędzia, dopiero potem spojrzała w lustro.

- Kompletna beznadzieja - zawyrokowała. Wyszorowała ręce, zeskrobując nawet z ramion ledwo zastygły cement, a następnie obmyła twarz i szyję. Wycierając się, zerknęła ponownie w lustro. - O Boże! Włosy! - jęknęła. Rzeczywiście, włosy miała równo pokryte białą warstwą cementowego pyłu. - Wyglądam jak kiepsko ucha-rakteryzowana aktorka. Jakbym usiłowała dodać sobie lat wyłącznie siwizną... - Chwyła szczotkę i energicznie wyszczotkowała włosy. - No i nic z tego - oceniła po jakimś czasie, całkowicie zgodnie z prawdą. Westchnęła i odłożyła szczotkę. - Ech, trudno. Mniejsza o fryzurę! Będę po prostu sobą. Josh musi się pogodzić ze stanem faktycznym.

Strząsnęła pył z ubrania, chwyciła torbę i poszła na taras.

W czasie gdy usiłowała doprowadzić się do porządku, wiele się tutaj zmieniło. W każdym kąciku paliła się latarenka, stół został pięknie nakryty, jak zwykle lnianym obrusem i wykrochmalonymi serwetkami. Znalazły się na nim talerze z Prowansji, kryształowe kieliszki do wina i błyszczące srebrne sztuce. Na samym środku pyszniła się orchidea w doniczce, pokryta maleńkimi, delikatnymi kwiatkami, które kaskadą rozsypały się po blacie. Niemal chciało się je pogłaskać.

- Prawdziwa piękność, prawda? - Joshua wychodził właśnie z kuchni, w dłoniach trzymał butelkę wina.

- Rzeczywiście, prześliczna. Taka delikatna.

- Barkeria specabilis - powiedział. - Z rodziny Cattleya. - Podsunął April krzesło. - Siadaj, proszę. Connie zaraz przyniesie jedzenie.

- Dziękuję. - Usiadła z prawdziwą przyjemnością. Joshua zajął miejsce naprzeciwko i napełnił kieliszki winem.

Judith Gould

- Twoje zdrowie, Michale Aniele - wygłosił toast, unosząc swój. Chociaż pewnie powinienem powiedzieć: Michalino Anielska, moszę toast za ten niesamowity, przepiękny strop w grocie. April z uśmiechem wzięła kieliszek.

- A ja za ciebie - powiedziała - i za twoje przepiękne orchidee. Gdy sączyli wino, pojawiła się Connie z kolacją. Postawiła tacę stole.

- Nałóżcie sobie sami, dobrze? Ja muszę się już zbierać.

- Jakoś pewnie damy sobie radę - uśmiechnął się Joshua. Dziękuję ci, Connie.

- Nie ma za co. Cała przyjemność po mojej stronie. - Ledwo do-|zegalnie uniosła głowę i spojrzała na gościa czarnymi jak noc syma, lekko zamglonymi, jakby ukrywały jakąś mroczną tajem-;ę. - Smacznego.

- Dziękujemy - powiedziała April. Gosposia szybko wróciła do domu.

- Czasami nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ona za mną nie zepada - przyznała się April przyciszonym głosem.

- Dlaczego? - Joshua był wyraźnie zdziwiony. Zaczął im nakła-ć na talerze zieloną sałatę, potem kurczaka, następnie pieczone ode ziemniaki, wreszcie zieloną fasolkę.

- Jak to pięknie wygląda! - odezwała się w niej artystka.

- A smakuje pewnie jeszcze lepiej. Connie przyprawia potrawy niezrównany sposób... nikt jej nie dorówna. Ale, ale: powiedz, iczego sądzisz, że ona nie darzy cię sympatią?

- Trudno to sprecyzować. Natomiast daje się odczuć w tysiącu jróźniejszych drobiazgów. W zasadzie odnosi się do mnie uprzej-e, jednak z lekką rezerwą. Mam wrażenie, że po prostu nie chce akceptować naszej przyjaźni.

- Między tobą a mną?

- Nie, nie to miałam na myśli - zaprzeczyła April. - Chociaż... to yba także nie bez znaczenia.

- Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Niekiedy odnoszę wrażenie, że jest o mnie zazdrosna. Może sądzi, wchodzę jej w paradę... sama nie wiem. Przecież Joanna i Connie ze sobą dość mocno zżyte...

- To prawda - przyznał Joshua - nie sposób zaprzeczyć. Z dru-ij strony, Joanna ma wiele przyjaciółek, więc nie bardzo rozu-lem, dlaczego Connie miałaby akurat ciebie nie lubić.

- Dajmy temu spokój. - April wzruszyła lekko ramionami. Żewnie to tylko moja wyobraźnia. Stale jestem w pobliżu, budowa

Czas na pożegnanie

157

groty zajmuje Joannie sporo czasu, a normalnie pewnie spędzałyby go właśnie z Connie. Joshua podniósł na nią wzrok.

- Nie pomyślałem o tym - przyznał. - Może to i racja. Joanna zawsze miała do Connie całkowite zaufanie. Ta dziewczyna jest nieomalże członkiem naszej rodziny.

- Tak, wiem. I właśnie dlatego nie chcę... jak by to powiedzieć... stawać między nimi.

Zwłaszcza teraz. - Włożyła do ust kawałek ziemniaka. -Mmm... Przepyszne.

- Widzisz? Mówiłem ci: smakuje jeszcze lepiej, niż wygląda. April, posłuchaj mnie - podjął poważnym tonem. - Zapewniam cię, że nikomu w niczym nie przeszkadzasz. Nic dziwnego, że Joanna obdarzyła cię pełnym zaufaniem. Znalazła w tobie prawdziwą przyjaciółkę. I vice versa, jak sądzę.

- O tak - przytaknęła April.

- I to najważniejsze - oświadczył Joshua stanowczo. - Nie masz się czym przejmować. Connie z pewnością da sobie radę. Jest drobna i wydaje się krucha, ale twarda z niej kobieta. A jeśli Joanna znalazła w tobie bratnią duszę, możemy się tylko cieszyć.

- Muszę ci powiedzieć, że i ja zyskałam w niej przyjaciółkę, o jakiej nawet nie marzyłam. Nigdy wcześniej nie miałam bratniej duszy. Jakoś tak się złożyło. - Umilkła i odetchnęła głęboko. Łzy napływały jej do oczu, a przecież nie mogła płakać przy Joshu. Szybko podniosła kieliszek do ust.

Joanna uznała, że najwyższy czas poprawić makijaż przed wieczornym przyjęciem. Włączyła światło w luksusowej, wyłożonej marmurami łazience z ogromnymi lustrami. Zdumiała ją liczba własnych odbić. Powietrze przesycone było słodkim zapachem gardenii - trzy ich doniczki zdobiły ogromnych rozmiarów gładki blat, na którym znajdowały się wszelkie akcesoria toaletowe, o jakich można by zamarzyć - wszystkie w najlepszym gatunku. Podeszła do lustra wiszącego nad jedną z dwóch złotych umywalek i przyjrzała się sobie z uwagą.

Całkiem nieźle. A nawet zupełnie dobrze. Biją ode mnie zdrowie i radość życia!

Uśmiechnęła się ponuro i zbliżyła twarz do gładkiej tafli.

Może odrobina różu... Tak. Zdecydowanie.

758

Judith Gould

Sięgnęła po niewielki kompaktowy zestaw i lekko musnęła policzki różem „Sunset” Givenchy'ego. Odsunęła się o krok.

Teraz jest dobrze, uznała. Wszyscy dzisiejsi goście będą opaleni na brąz, więc w ten sposób lepiej się do nich dopasuje.

Większość przyjaciół Christiny przez okrągły rok przemieszczała się po świecie w pogoni za słońcem, tak więc zawsze byli opaleni. Bez sensu. Płacili potem lekarzom grube pieniądze za usuwanie skutków nadmiernego nasłonecznienia, po czym od nowa wystawiali się na działanie promieni słońca.

Joanna zatrzasnęła wieczko zestawu i cofnęła się, by sprawdzić efekt. Zawirowała przed ogromnymi lustrami. Świetnie. Była doskonale ubrana. Miała na sobie luźną bluzkę z długimi rękawami i dość głębokim dekoltem, do niej długi szal z tego samego co bluzka jedwabnego muślinu oraz szerokie spodnie z cieniutkiej dzianiny w tym samym kolorze. Komplet od Chanel. I uszyty jakby specjalnie dla niej. Wyglądała elegancko, ale też swobodnie, jakby osiągnięcie owego efektu nie wymagało żadnego wysiłku. Mało kto wiedział, ile pracy trzeba włożyć w takie dopasowanie wszystkich elementów, by sprawiać wrażenie, że się w tym celu nic nie zrobiło.

Trąciła palcem jeden z kolczyków w kształcie łezki. Odpowiedział jej błyskiem w gładkiej tafli lustra. Uwielbiała te kolczyki, ponieważ dostała je w prezencie ślubnym od Josha, który w tamtych czasach właściwie nie mógł sobie na nie pozwolić. Kropelki złota, ozdobione brylantami i maleńkimi rubinami. Na pierwszą rocznicę ofiarował jej naszyjnik do kompletu. Nieczęsto nosiła kosztowną biżuterię, ale tego wieczoru zrobiła wyjątek, ponieważ Christina, bywając na przyjęciach u nich w domu, zawsze wkładała mnóstwo drogich świecidełek, wobec czego Joanna postanowiła dostosować się do jej stylu. No i był jeszcze jeden powód: chciała wyglądać możliwie najlepiej, przekazując siostrze niewesołą wiadomość.

Wróciła do sypialni i głęboko odetchnęła cudną wonią świeżych kwiatów.

Pochyliła się nad ogromną różą.

- Mmmm! Sama słodycz.

Christina zawsze dąży do doskonałości, pomyślała.

Pościel była z najdelikatniejszego płótna, na nocnym stoliku leżały równo ułożone najnowsze książki i czasopisma, w niewielkiej lodówce czekały alkohole, soki, woda oraz świeże owoce. O tak, Christina umiała rozpieszczać gości.

Czas na pożegnanie

159

Joanna usiadła na łóżku i zsunęła z nóg sandaalki na wysokich obcasach. Od Manolo Blahnika. Objęła je zachwyconym spojrzeniem. Prawdziwe dzieło sztuki zdobione kryształowymi kwiatuskami.

Jesteś niemądra, skarciła się w myślach. Jak można się zajmować takimi błahostkami w sytuacji gdy... Cóż, z drugiej strony, pozwalają oderwać myśli od...

Niespecjalnie miała ochotę brać udział w uroczystej kolacji, zwłaszcza dzisiaj, ale postanowiła dostosować się do zwyczajów Christiny. Przyjechała do Montecito, by osobiście przekazać jej niewesołą wiadomość, ponieważ uważała, że tak właśnie wypada postąpić. Poza

tym, uznała, iż po kolejnym rozwodzie siostrze przyda się towarzystwo. No i może smutne wiadomości oderwą ją od własnych smutków.

Tymczasem Christina, ku zaskoczeniu Joanny, była w pogodnym, a nawet radosnym nastroju. Ani jednym słowem nie wspomniała o eksmeżu, nie zająknęła się też na temat samotności, która nieodmiennie gnębiła ją w okresach pomiędzy kolejnymi małżeństwami.

Ciekawe dlaczego?

Z pewnością myśli ma zaprzątnięte czymś niezmiernie dla niej ważnym. Cóż takiego mogło ją napęlić niespodziewaną radością życia?

Joanna podniosła torebkę leżącą obok łóżka, poszperała w niej chwilę i wyjęła płaską buteleczkę z pigułkami. Wieczko odskoczyło z cichym pyknięciem. Włożyła do ust od razu dwie. Sięgnęła po wodę stojącą na nocnym stoliku, popiła lekarstwo.

Lepiej dmuchać na zimne, pomyślała. I od razu połknąć tabletki, na wypadek gdyby miał nadejść ten potworny ból głowy.

Czuję się bardzo dobrze, zapewniła sama siebie z przekonaniem. Naprawdę. Ale koniecznie muszę dzisiaj porozmawiać z Christina.

Odkładała tę rozmowę od przyjazdu, powtarzając sobie stale, że nie ma powodu się śpieszyć. Czas jednak uciekał i zbliżał się dzień powrotu do domu. A ona nie znalazła sposobności, by poruszyć smutny temat. Stale były zajęte, a na dodatek Christina wydawała się taka szczęśliwa i pełna energii, że Joanna nie miała serca psuć jej nastroju.

Rozległo się lekkie pukanie, więc otworzyła drzwi.

- Gotowa, siostrzyczko? - spytała Christina.

- Jak najbardziej.

160

Judith Gould

- Wyglądasz pięknie! Jak ty to robisz? I to jakby zupełnie od niechcienia! Ja całe godziny siedzę przed lustrem, żeby przypominać człowieka, a tu - proszę!

Joanna przewróciła oczami.

- Christino, przestań! Oczu od ciebie oderwać nie można, a ty się krygujesz. Z drugiej strony, jeśli chcesz posłuchać komplementów, to dobrze trafiłaś. Jesteś prześliczna, a ta suknia wygląda, jakby była na ciebie szyta!

- W rzeczy samej! - zaśmiała się Christina. - Uszył ją dla mnie Josephus Thimister z Paryża. I żądał czterech przymiarek! Jednej więcej niż zwykle. - Obróciła się dookoła, demonstrując piękną suknię sięgającą podłogi. - Boska, co?

- Nieziemska - przyznała Joanna.

Kreacja została uszyta z artystycznie dopasowanych skrawków tiulu oraz jedwabiu w kolorze tak delikatnego różu, iż przywodził na myśl nagie ciało. Christina sprawiała wrażenie ubranej wyłącznie w brylantowe kolczyki, naszyjnik, bransoletki oraz pierścionki.

- To co, idziemy? - rzuciła, poprawiając włosy w tysiącu odcieni blond. - Wypijemy coś, zanim nadciągną tłumy.

Wyszła z sypialni pierwsza, a za nią podążyła Joanna, by w przestronnym marmurowym salonie przy drinku oczekiwać przybycia zaproszonych.

Przyjęcie się skończyło, goście wyszli. Siostry usiadły w oranżerii, urządzonej w stylu neoklasycznym. Przez szklane ściany zaglądał do wnętrza wymyślnie oświetlony ogród z basenem oraz fantazyjną kaskadą spływającą ze wzgórza.

Joanna nie czuła się tu najlepiej. Dostawała gęziej skórki na widok ustawionych rzędem na cokółkach marmurowych popiersi oraz antycznych rzeźb, przedstawiających różne części ciała. Christina wyraźnie była w nastroju do pogaduszek.

- Dobrze się bawiłaś? - spytała, wypuszczając nosem siną chmurę dymu.

- Tak. Zwykle bywam na zupełnie innych przyjęciach. Poważnych, nawet dostojnych... A u ciebie było zabawnie.

Christina zmierzyła siostrę nieufnym spojrzeniem.

- Co ty wygadujesz? Przecież widziałam, wynudziłaś się za wszystkie czasy!

Czas na pożegnanie

161

- Ależ skąd! - wykrzyknęła Joanna. - Może wydawałam się trochę... nieobecna myślami, roztargniona, ale przyjęcie było świetne.

- No dobrze, żarty na bok. - Christina spoważniała. - Masz jakieś kłopoty z Joshem?

- Nie, skądże! - odparła Joanna ze śmiechem.

- Siostrze możesz powiedzieć. Ja znam mężczyzn. Wszyscy oni to świnię! - Zawahała się. - No, może prawie wszyscy.

Joanna znów się roześmiała.

- Nie, nie, daj spokój! To nie tak. Między mną a Joshem wszystko jest w jak najlepszym porządku.

- Wobec tego, o co chodzi? - spytała Christina, zaciągając się papierosem.

Joanna rozejrzała się dookoła.

- Wyjdźmy na taras - poprosiła. - Nie chciałabym, żeby nas usłyszał ktoś ze służby.

- Daj spokój! Robią taki raban w kuchni, że nie usłyszeliby armatnich wystrzałów.

- Będę się lepiej czuła na zewnątrz... Muszę ci powiedzieć coś naprawdę ważnego. Ale zachowaj tę sprawę w sekrecie...

Christina zerwała się na równe nogi i wyciągnęła rękę do siostry.

- Dla ważnej i dyskretnej sprawy gotowa jestem wybrać się nawet do Santa Barbara.

Wyszły na taras i usiadły na leżakach. Wiał lekki, przyjemnie chłodny wiatr.

- No dobrze. - Christina, walcząc z bryzą, usiłowała zapalić kolejnego papierosa. - Możesz mówić.

Joanna najpierw dłuższą chwilę patrzyła jej w oczy.

- Zanim ci powiem - odezwała się w końcu - musisz mi obiecać, że nikomu nie zdradzisz mojej tajemnicy.

- Przecież wiesz, że możesz mi ufać.

- Naprawdę nikomu - podkreśliła Joanna. - Tak jak w czasach, kiedy we dwie spiskowałyśmy przeciwko tacie. Tylko że teraz sprawa jest znacznie poważniejsza.

Christina miała oczy okrągłe ze zdumienia i ciekawości, ale nie odezwała się słowem.

- Obiecujesz? - naciskała Joanna.

- Tak - odrzekła Christina i wolno skinęła głową. Dziwnie się czuła. Ogarnął ją trudny do wytłumaczenia lęk. Joanna nigdy nie zachowywała się w ten sposób.

162

Judith Gould

Młodsza siostra zatopiła spojrzenie w źrenicach starszej.

- Niedługo umrę - powiedziała zwyczajnie.

- Nnn... nie rozumiem - wykrztusiła Christina.

- Mam raka mózgu. Zostało mi najwyżej kilka miesięcy. Christina zaniemówiła na chwilę.

Nie dowierzała, bała się, była

wręcz zszokowana.

- Jak to? Ale... przecież... - jąkała się z oczami pełnymi łez. - Joanno! To niemożliwe! - wykrzyknęła ochryple.

- A jednak to prawda. Mówię ci, bo jesteś moją siostrą i masz prawo wiedzieć, co się dzieje.

Christina zerwała się z leżaka i chwyciła siostrę za ramiona.

- Kłamiesz! - syknęła. - Albo sobie ze mnie żartujesz! Joanna łagodnie ujęła w dłonie jej ręce.

- Nie kłamie, kochanie. I nigdy w życiu nie mówiłam równie poważnie. Przykro mi, ale taka właśnie jest prawda.

Christina z płaczem rzuciła jej się w ramiona.

- A Josh? - wyszlochała przez łzy. - Już wie?

- Tak. I powiem ci to, co powiedziałam jemu: chcę żyć normalnie, jak dotąd. Nie życzę sobie żadnych zmian w związku z moją chorobą. Rozumiesz mnie?

- Normalnie?!? - wybuchnęła Christina.

- Ależ tak. Tak samo jak zawsze. Dla mojego dobra. Christina jakiś czas patrzyła na nią bez słowa.

- Chyba rozumiem - odezwała się wreszcie.

- Musimy wszyscy być silni - powiedziała Joanna - choć to nie będzie łatwe.

Christina wyprostowała się. Oczy miała błyszczące od łez.

- Potrafię znieść niejedno - oznajmiła z mocą. - I obojętne, co się stanie, zawsze możesz na mnie liczyć.

Joanna wstała, objęła ją ramieniem i serdecznie ucałowała w policzek.

- Wiem o tym, siostrzyczko. I za to cię kocham.

- Jeśli tylko zdołam ci w czymś pomóc, daj mi znać - szepnęła Christina.

Nie miała pewności, czy mówi szczerze. Jej słowa porwał wiatr, łatwo było o nich zapomnieć. Przytulona do Joanny, zacisnęła mocno powieki i usiłowała zaprowadzić jakiś porządek w chaosie własnych uczuć.

Już sama nie wiem, co myśleć. Muszę pamiętać, co dla mnie dobre... Mieć na względzie plany Petera...

I

Czas na pożegnanie

163

Joshua upił łyk wina i podniósł wzrok na April.

- Ja też nigdy nie miałem bratniej duszy, do czasu gdy poznałem Joannę.

Usłyszała w jego głosie tęskną nutę. Pozostało jej mieć nadzieję, że nie skierowała rozmowy na bolesny temat.

- Joanna mogła wybrać, kogo chciała - ciągnął Josh - ale...

- Ty byłeś jej przeznaczony.

- Najwyraźniej. - Uśmiechnął się smutno. - Byliśmy dla siebie stworzeni. - Patrzył gdzieś w dal. - Zdarzył się prawdziwy cud. Gdy się poznaliśmy, nie miałem prawie nic. Pracowałem u jej ojca. Odkładałem zaledwie kilka dolarów tygodniowo. Ale dla niej to nie miało najmniejszego znaczenia. Była piękna, miała poczucie humoru i bujną wyobraźnię. Pewnie dzięki temu we mnie uwierzyła. - Uśmiechnął się do wspomnień. - Byliśmy najszczęśliwszą parą na świecie. - Twarz mu się skurczyła z bólu. Umilkł.

- Takie właśnie zrobiliście na mnie wrażenie - odezwała się April, by przerwać dręczącą ciszę.

- Naprawdę? - Oczy miał błyszczące od łez.

- Jak najbardziej. Od razu rzuciło mi się w oczy, że osiągnęliście harmonię, o której zawsze marzyłam. O której marzy większość ludzi.

Joshua zrozumiał cały sens jej słów. Pojął, że April jest samotna, a w każdym razie nie spotkała jeszcze swojej drugiej połowy. Sięgnął przez stół i wziął ją za rękę.

- Znajdziesz go - powiedział z mocą. - Kiedyś poznasz najwspanialszego mężczyznę na świecie.

Niewiele brakowało, a wyrwałaby rękę, zreflektowała się w ostatniej chwili. W końcu, są przecież zaprzyjaźnieni. Nawet więcej: łączy ich wielka tajemnica. A ten uścisk dłoni, tak niewinny, tak przyjacielski, stanowił jedynie wyraz wsparcia. Czemu wobec tego poczuła znajome ukłucie winy? Czemu upajała się tym dotknięciem?

- Taka kobieta jak ty - ciągnął Joshua - z pewnością znajdzie tego, kogo szuka. Za pierwszym razem źle trafiłaś, to prawda, ale życie toczy się dalej. - Ciągłe trzymał ją za rękę, aż w pewnej chwili zdał sobie sprawę, iż być może pozwala sobie na zbyt wiele. Ale przecież był to tylko przyjacielski gest. Zresztą, April najwyraźniej nie zwróciła na niego większej uwagi.

764

Judith Gould

Gdyby nie Joanna... pomyślał. Gwałtownie cofnął dłoń i zaczerwienił się aż po uszy. Nie powinien nawet tak myśleć! Zwłaszcza w tej sytuacji.

- Dziękuję za podniesienie na duchu - powiedziała April z wymuszonym uśmiechem. - Każdemu się przyda kilka słów otuchy. Chyba czasami siebie nie doceniam.

- A powiedz mi, jaki był w życiu codziennym Roger Woodward? Oczywiście nie chcę być wścibski...

- Nie jesteś. Nie mam nic przeciwko twojemu pytaniu. - Umilkła, zbierając myśli. - Roger jako partner życiowy był... uroczym zerem - stwierdziła w końcu rozbawionym tonem. - Byliśmy małżeństwem przez cztery lata, lecz niekiedy mam wrażenie, że nasz związek nie trwał dłużej niż dwa tygodnie. Stale w pośpiechu.

- Nie brakuje ci Hollywoodu i życia w blasku sławy? Przecież związek z gwiazdą ekranu na pewno miał swoje plusy.

- Wcale mi tego nie brakuje. Kiedy poznałam Rogera, był jeszcze nikomu nieznanym, początkującym aktorem, a ja studiowałam architekturę. - Lekko wzruszyła ramionami. - Historia, jakich wiele. Rzuciłam uczelnię, żeby mu pomagać, a on chodził na kolejne castingi,

obiecując, że kiedy zostanie sławny, wrócę na studia. Tyle tylko, że kiedy dostał swoją wielką szansę, nie miał ochoty dać mi wolnej ręki. Jak wielu aktorów był egocentrykiem. Wymagał ode mnie poświęcenia dla siebie - i dla swojej kariery. A ja doszłam do wniosku, że taka rola mi nie odpowiada. Chciałam także coś osiągnąć.

- I to się stało przyczyną rozstania.

- W jakimś stopniu - przytaknęła. - Najpierw projektowałam ogrody dla przyjaciół, potem zaczęłam eksperymentować z płytkami i kamieniami. Oraz muszlami - dokończyła z uśmiechem.

- I całe szczęście - roześmiał się Joshua.

- Tak czy inaczej, w końcu postanowiliśmy się rozwieść - zakończyła. - I za te marne grosze, które od niego dostałam, kupiłam sobie domek w górach.

- Dlaczego dostałaś marne grosze?

- Nie chciałam nikomu niczego zawdzięczać - wyjaśniła. - A już zwłaszcza jemu. Chciałam żyć wreszcie na własny rachunek. Poza tym, akurat wtedy trafiło mi się właśnie tutaj całkiem przyzwoite zlecenie, które bardzo mi odpowiadało. No i tak to się jakoś ułożyło.

- Widać, że lubisz swoją pracę.

- Można by nawet powiedzieć, że ją kocham. Nie mam nic prze-

Czas na pożegnanie

165

ciwko roli pani domu, ale chciałabym robić coś więcej. Innymi słowy: usmażyć omlet, nie rozbijając jajek. - Uśmiechnęła się rozbrajająco. - Marzy mi się, że któregoś dnia będę miała rodzinę. Dom z prawdziwego zdarzenia, dzieci...

- Tak... rozumiem cię. Ja też miałem takie plany. - Joshua zwiesił głowę i umilkł na dłuższy czas. W końcu poniósł wzrok. - Miałaś szczęśliwe dzieciństwo?

- Cóż... - April szukała najwłaściwszych słów. - Było w nim wiele jasnych chwil. Ale często czułam się samotna. Moi rodzice się rozwiedli, mama codziennie wychodziła do pracy... Tata wyprowadził się na Wschodnie Wybrzeże i prawie go nie widywałam.

- Jakoś mi to znajomo brzmi - stwierdził Joshua. - Moi rodzice także byli rozwiedzeni, ojca prawie nie znałem. Mama pracowała, więc w zasadzie byłem zdany na siebie samego.

- Założę się, że pomysłów ci nie brakowało.

- Co racja, to racja - uśmiechnął się Joshua. - Zawsze mnie gdzieś nosiło... Można by powiedzieć, że szybko nauczyłem się życia. - Podniósł na nią oczy. - Ty też?

- I tak, i nie. Z jednej strony, miałam dużo swobody, z drugiej, stale chciałam udowodniać... nie wiem, jak to powiedzieć... Usiłowałam tworzyć pozory, lepsze niż rzeczywistość.

Przedstawiać się w lepszym świetle. Przekonywać otoczenie, że jest mi lepiej, niż było naprawdę.

Joshua usłyszał w jej głosie echo bolesnych wspomnień.

- Jednym słowem, w domu nie było najlepiej i chciałaś z niego jak najszybciej odejść? Zacząć lepsze życie na własną rękę?

April pokiwała głową.

- Tak. Szczerze mówiąc... - zaśmiała się głośno. - Co za okropny zwrot! Nie znoszę go. Zawsze kiedy ktoś tak zaczyna zdanie, zamierza mnie okłamać.

Joshua także się uśmiechnął.

- To samo jest z: „prawda jest taka”. Wtedy też człowiek od razu wie, że zaraz zostanie poczęstowany stekiem kłamstw. - Upił łyk wina i odstawił kieliszek. - No ale dokończ to, co mówiłaś.

Widać było, że naprawdę chce tego słuchać, że jest ciekawy jej przeszłości, pragnie się o niej jak najwięcej dowiedzieć. Poznać ją. April spuściła wzrok i przyjrzała się swoim dłoniom.

- Chciałam powiedzieć, że... wstydziłam się biedy - wyjaśniła. - Mieszkałyśmy blisko Beverly Hills, większość moich kolegów i koleżanek miała ogromne domy, jeździła drogimi samochodami, nosiła

766

Judith Gould

modne ciuchy. Niektórzy mieli rodzeństwo, inni nawet oboje rodziców... Właściwie każde z nich było ode mnie lepsze.

Joshua popatrzył na nią w milczeniu, twarz mu nagle poczerwieniała. Zęby miał zaciśnięte, pobielały mu kłykcie dłoni, w której trzymał kieliszek.

April poczuła się zakłopotana. Najwyraźniej sprawiła mu przykrość, zbyt się zagłębiła w swoje osobiste sprawy. Czuła, jak fala gorąca ogarnia jej szyję i twarz. Szybko podniosła kieliszek do ust.

Boże jedyny, pomyślała. Wszystko popsułam. Ten wspaniały człowiek był mną rzeczywiście zainteresowany, a ja go zanudzam jakimiś bzdurnymi nieszczęściami z dzieciństwa. Przecież nikt nie chce słuchać o smutnej przeszłości.

Ledwo do niej dotarł głos Josha.

- April, mam wrażenie, jakbyśmy razem dorastali!

Zwróciła na niego zdumione spojrzenie. Zniknęło wszelkie napięcie. Wpatrywały się w nią hipnotyzujące niebieskie oczy, rozjaśnione uśmiechem, który podnosił zaledwie kąciki ust.

- Co...? Jak to? Nie rozu... - Zamilkła. - Co powiedziałaś?

- Powiedziałem, że dorastaliśmy w takich samych warunkach.

- Ujął znowu jej dłoń. - Oboje poznaliśmy wstyd i upokorzenie. Byliśmy biedakami, żyliśmy wśród bogaczy, a w każdym razie - wśród ludzi, których uważaliśmy za lepszych. - Lekko zacisnął palce.

W oczach April pojawiły się nieproszone łzy. Słowa więzły jej w gardle.

- Polubiłem cię od razu, od pierwszego spotkania poczułem do ciebie instynktowną sympatię. Teraz już wiem dlaczego. Nie dość, że jesteście z Joanną takie podobne do siebie, to jeszcze masz za sobą prawie taką samą przeszłość, jak moja. I chyba dlatego, że ta przeszłość jest dla mnie tak ważna, wyczułem w tobie bratnią duszę.

- To... niesamowite - wykrztusiła April w końcu. Bezlitosne łzy spłynęły jej po twarzy.

- Racja! - Joshua delikatnie otarł jej policzki lnianą serwetką.

- Teraz lepiej, prawda?

- Tak. O, tak. - Chętnie by się do niego przytuliła... - O wiele lepiej. Tyle tylko, że mi się zrobiło jakoś nijako. Czuję się głupio. Urządziłam scenę jak z opery mydlanej. Przepraszam...

- Ciii... Nie było żadnej sceny. Po prostu, powiedziałaś mi coś o sobie i wzruszyłaś się trochę. Tak się szczęśliwie złożyło, że wybrałaś sobie na powiernika najwłaściwszą osobę pod słońcem.

I

Czas na pożegnanie

167

- Gdy się uśmiechnął, w ciepłym blasku świecy błysnęły śnieżnobiałe zęby. - Głowa do góry! Dobraliśmy się w korcu maku!

- Dziękuję. Już się przeraziłam, że popełniłam straszny błąd, za dużo powiedziałam, zbyt mocno skupiłam się na własnych sprawach. Wszystko przez to, że jesteście tacy fantastyczni. Ciepłi, mili, serdeczni. Nie macie przede mną tajemnic, traktujecie mnie jak członka rodziny. Dlatego pozwoliłam sobie na zbyt wiele wynurzeń.

- Przy nas możesz być sobą - zapewnił ją Joshua. - Możesz się z nami czuć bezpiecznie.

- Miło mi to słyszeć - podziękowała mu. - Och, czuję się jak idiotka! - zaśmiała się lekko.

- To dlatego, że pozwoliłaś sobie na szczerość. Teraz dopiero potrafisz ocenić, ile mnie kosztowała rozmowa z tobą na temat choroby Joanny.

Oboje się roześmieli, zachwyceni porozumieniem, które wzmocniło łączącą ich więź.

- Myślę, że do Joanny i jej ojca przyciągnął mnie blask ich świata - podjął Joshua poważnym tonem. - Zupełnie innego niż mój, uporządkowanego i spokojnego. Ach, i oczywiście

orchidee. Wyjątkowo pomocny element zmieniania świata na lepszy. Miałem nadzieję, iż coś zyskają dzięki moim staraniom.

- Doskonale cię rozumiem. Mnie z tego samego powodu ciągnęło zawsze do architektury i niecodziennych projektów... Właśnie dlatego rysuję rośliny i planuję ogrody. I dlatego podjęłam się wykonania tej groty. Ciągłe staram się porządkować chaos, upiększać świat i przez to, niestety, często... - umilkła znowu.

- Czujesz się wyobcowana? - podsunął Joshua.

- Właśnie. Nigdzie nie czuję się naprawdę dobrze. Mam wrażenie, jakby cały świat był zrzeszony w jakimś klubie, do którego ja nie należę. Ale, przyznaję, niekiedy udaje mi się przerzucić most nad tą przepaścią. Tak się na przykład czułam, kiedy was poznałam.

- Ze mną jest identycznie. - Joshua się uśmiechnął. - Zapewne dlatego, że w dzieciństwie także często czułem się gorszy... i tak dalej.

- Na pewno. Z całą pewnością - przytaknęła April żarliwie. - Najwyższy czas skończyć z przeszłością i zacząć cieszyć się życiem.

Joshua stuknął się w czoło.

- O Boże! Deser! Kompletnie zapomniałem. Mam nadzieję, że zdołasz jeszcze coś zjeść.

- Oj, nie wiem.

168

Judith Gould

- Musisz koniecznie. Connie upiekła tarte owocową. Lepszej nigdzie nie dostaniesz. Zaczekaj chwilę, zaraz przyniosę.

April odprowadziła go wzrokiem. I dokładnie w chwili, gdy Josh wchodził do kuchni, uświadomiła sobie, że go kocha. Nie mogła się dłużej oszukiwać, choć czuła się z tą miłością paskudnie.

Jestem beznadziejnie zakochana w Joshu Lawrensie, pomyślała. W mężczyźnie zonatym. I, co gorsza, mężu mojej najlepszej przyjaciółki. Mojej śmiertelnie chorej...

Zalało ją poczucie winy.

Nie mogę tego zrobić Joannie. Ani Joshowi. Ani sobie. Muszę ukrócić wszelkie spotkania i rozmowy poza pracą. Zwłaszcza pod nieobecność Joanny.

Choć z jednej strony dobrze jej było z Joshem sam na sam, z drugiej - żałowała, iż Joanna wyjechała do Montecito.

Szybkim ruchem nalała wina do kieliszka i wypła spory łyk. Niestety, utraciło swój poprzedni smak. Już nie pieściło łagodnie podniebienia, nie zachwycało aromatycznym bukietem. Miało posmak grzechu i wyrzutów sumienia oraz przykrą woń zdrady.

Zanim Joshua wrócił z deserem, udało jej się wziąć w garść i powitała go uśmiechem. A on się zawahał, jakby niepewny własnych reakcji, nim odpowiedział jej tym samym. Ponieważ w kuchni uświadomił sobie rzecz straszną: pokochał April Woodward. I musiał stawiać czoło sile popychającej go ku tej kobiecie pomimo świadomości, że to owoc zakazany.

Boże jedyny! Skąd w ogóle takie myśli?! Zwłaszcza teraz, gdy Joanna... umiera.

No cóż - serce nie sługa. Nieważne, co postanowisz, jeśli los tak zechce, chcąc nie chcąc, wpadniesz w sidła miłości.

Rozdział siedemnasty

April napełniła maszynkę do prażenia kukurydzy i ustawiła pod wylotem duży metalowy garnek. Do niego będą spadały wielkie, puszyste ziarna. Woody w tym czasie rozpuszczał w rondlu masło. Maszynka była wyposażona w pojemnik do topienia masła, ale wielkość naczynia stanowczo nie spełniała wymagań obojga. Słyszając pierwsze wystrzały, April roześmiała się wesoło.

- Co cię tak cieszy? - spytał Woody.

- Zobacz, używamy wyrafinowanej maszynki do dietetycznego prażenia kukurydzy gorącym powietrzem, zamiast przygotować pop-corn w rondlu, a potem zalewamy tę niskokaloryczną kukurydzę kostką stopionego masła. Czysty absurd!

- Fakt. Kretynstwo. Tyle tylko, że maszynka jest super.

- To prawda - zgodziła się April.

Częstotliwość kukurydzianych wystrzałów zaczęła przypominać serię z broni maszynowej.

April nie mogła się powstrzymać i wrzuciła do ust kilka białych, ciepłych ziaren.

Do niczego. Bez masła i soli - mdłe i byle jakie.

Po powrocie do domu zastała nagrany na sekretarce wiadomość od Woody'ego. Prosił o telefon. Ciągle była na niego zła z powodu nedorzecznych uwag, na jakie sobie pozwolił, gdy zobaczył ją rozmawiającą z Joshem, ale w końcu postanowiła mu wybaczyć. Naprawdę dobrze się z nim pracowało, choć od czasu owego pamiętnego komentarza przepadły gdzieś ich swobodne pogaduszki. Może czas już oczyścić atmosferę. A poza wszystkim innym, przyjaciel miał głos wyraźnie skruszony. Przy okazji obiecała sobie porozmawiać z Woodym o jego przykrym zachowaniu.

Zadzwoiła do niego, wysłuchała przeprosin i błagań, by dała się wyciągnąć na kolację.

Odmówiła, ponieważ zamierzała skubnąć coś

'70

Judith Gould

v domu, wziąć kąpiel, a potem iść do łóżka i pogapić się w telewizor. Wtedy Woody zaproponował zorganizowanie nocy wideo-pop-ornowej. Wiedział, że temu April się nie oprze.

- Wygrałeś - przyznała. - Możesz być za jakąś godzinę. Tylko ni nie przynoś żadnych superprodukcji, na których krew się leje strumieniami. Nie mam dzisiaj najmniejszej ochoty oglądać scen przemocy. Mówię zupełnie poważnie. Nawet śmiesznych.

Teraz była zadowolona, że przyszedł. I że był sobą. Ciepłym, sympatycznym przyjacielem, a nie szyderczym macho, w jakiego zmienił się u Lawrence'ów. Na dodatek przyniósł francuski film kostiumowy „Śmieszność”. Jeszcze go nie oglądała, ale słyszała o nim wiele dobrego. Co oznaczało, iż Woody jest naprawdę skruszony. W przeciwnym razie nie pokazałby się z takim dziełem.

Maszynka wyrzuciła ostatnie gorące ziarenka.

April obrzuciła krytycznym spojrzeniem wielki garnek.

- Twoim zdaniem tyle nam wystarczy? Woody też zajął do garnka.

- Mowy nie ma. - Potrząsnął czarnymi lokami. - Na dwie osoby? Do dobrego filmu?

- Tak właśnie podejrzewałam. - Podstawiła pod wylot drugi garnek i ponownie napełniła maszynkę. - Doprawisz tę uprażoną, póki ciepła?

- Sie robi. Masła też na pewno zabraknie. - Wylał wszystko z rondla do garnka, solidnie posolił, a potem zamknął wieko i zaczął potrząsać całością jak Carmen Miranda kastanietami.

- Nieźle! - zaśmiała się April.

Woody spokojnie dokończył występ i odstawił garnek.

- Nie przeczę.

- Chciałabym cię spytać o jeden drobiazg. - Cóż, chwila dobra jak każda inna. - Co cię napadło wtedy u Lawrence'ów? Po jakie licho wygadujesz takie bzdury?

- Jak by ci to powiedzieć... - Wrzucił następną porcję masła do rondla. - Tacy ludzie to szczerwane lisy, w życiu nie wyczaisz, co im raptem do łbów strzeli.

- Daj spokój, jesteś śmieszny. - Rozpoczęły się regularne strzały pękającej kukurydzy. - Oni są bardzo mili.

- Wolno ci tak uważać. - Woody wzruszył ramionami. - A ja im nie ufam. Bogata rozpuszczona suka rozbija się tym swoim mercem, jakby świat do niej należał... A on też nie lepszy. Zarozumiały dureń. Pręży mięśnie, podrywa naiwniaczki i rżnie na prawo i lewo.

Czas na pożegnanie

April patrzyła na niego osłupiała. Miała wrażenie, że mówią o zupełnie różnych osobach.

- Ty chyba zwariowałeś - wykrztusiła w końcu. - To bzdury wysane z palca! Nie wiem, czy są bardzo bogaci, ale przyjmuję, że przynajmniej dobrze sytuowani. Na pewno jednak nie zachowują się w ten sposób i nie są zarozumiali. A Joshua Lawrence nikogo nie podrywa! Są wzorowym małżeństwem.

Woody zerknął na nią z ukosa.

- Już mówiłem, że wolno ci tak uważać. - Wyłączył maszynkę i wlał stopione masło do garnka. Dopiero wtedy podniósł wzrok na April. - Mogę ci opowiedzieć o jej siostrze takie ciekawostki, że włosy ci staną dęba - oznajmił.

Jakiś czas przyglądała mu się bez słowa.

- O niej rzeczywiście wiem niewiele - odrzekła w końcu. - Ale ich znam, widuję oboje codziennie. Naprawdę nie są tacy, jak mówisz. - Stała jej przed oczami Joanna, jej serdeczna hojność, przyjaźń - i choroba. Nie mogła dłużej słuchać takich kalumnii. - Woody - podjęła z ogniem w oczach. - Nie chcę słyszeć złego słowa na tych ludzi. Rozumiesz? Nigdy więcej.

- Skoro opowiadam bzdury - zirytował się - to dlaczego pan Joshua Lawrence pożerał cię wzrokiem?

- Ty chyba jesteś nienormalny. Opowiadał mi o kłopotach w pracy. I nic więcej się nie działo.

- Nooo... Proszę, proszę... A wyglądało całkiem inaczej. Tobie się wydaje, że ślepy jestem czy co? Ten facet się do ciebie klei jak sto pięćdziesiąt!

- Czy ty mnie słyszałeś? Powiedziałam, że nie chcę więcej rozmawiać na ten temat, więc daj już sobie spokój. Brakuje ci obiektywnego spojrzenia.

- Może i tak. Ale chciałaś poznać moje zdanie. No to usłyszałaś. Maszynka do prażenia kukurydzy wypuła kilka ostatnich ziaren popcornu.

- Proszę bardzo. - April podała Woody'emu garnek. - Jeszcze sól.

W końcu przeszli do sypialni i ułożyli się na wielkim łóżku pośród mnóstwa poduszek, ustawiając między sobą dwie miski z pop-cornem. April obserwowała leniwie, jak Woody włącza telewizor, a potem magnetowid, ale myślami błądziła zupełnie gdzie indziej. Musiała przyznać, że choć często zachowywał się niepoważnie jak dziecko, nie był ani ślepy, ani głupi.

Judith Gould

Wręcz przeciwnie: można go było z czystym sumieniem nazwać bystrym i wnikliwym obserwatorem. Wobec czego należało uważać, bo coś zobaczył. Ponieważ odkrył zażyłość łączącą ją z Joshem. Wystarczyło, aby popatrzył na nich, gdy rozmawiali na tarasie. Skoro on się domyślił, to może i Connie? Albo nawet... sama Joanna?

Żołądek podszedł jej do gardła. Sięgnęła po miskę z popcornem, nabrała pełną garść ciepłych ziaren, wsadziła je do ust i zaczęła gryźć, ale właściwie nie czuła smaku. Owszem, wiedziała, co czuje do Joshuy Lawrence'a, nie sposób zaprzeczyć, że go kochała, ale miała nadzieję, iż zdoła ukryć tę miłość. A co z Joshem? Czyżby Woody miał rację? Czy Joshua odwzajemnia jej uczucie?

Od dawna zgadywała, że więź łącząca ją z mężem Joanny wykracza poza granice przyjaźni. Mało tego: domyślała się, że Joshua nie ma nic przeciwko temu. Nie miała jednak żadnej pewności, a także najmniejszej ochoty roztrząsać tego teraz. Gdzieś w głębi mózgu zaczynał się odzywać dzwonek alarmowy. Bała się, że skoro Woody się czegoś dopatrywał, może się też znaleźć inny spostrzegawczy obserwator w ich otoczeniu - i ktoś w końcu złamie Joannie serce. A tego by nie zniosła.

- Gotowa? - spytał Woody, wrywając ją z zamyślenia. - Możemy zaczynać?

- Gotowa - przytaknęła April. - Kukurydzy już spróbowałam, jak widać.

* * *

Minał jakiś czas. Woody tylko udawał, że patrzy w telewizor, w rzeczywistości bowiem przyglądał się April. Ona utkwiała spojrzenie w ekranie jak zahipnotyzowana. Chłoneła film równie zachłannie jak kukurydzę. Woody był zadowolony, choć francuski dramat kostiumowy wcale go nie interesował. Lubił dogadzać April. W zasadzie, w ogóle lubił dogadzać kobietom. W każdym razie tym, na których mu zależało. Których pragnął. April była jedną z najbardziej godnych pożądania kobiet, jakie spotkał na swojej drodze. I stanowiła nie lada wyzwanie. A on nie przepadał za łatwymi zdobyczami. Przesunął wzrokiem po jej piersiach, wyraźnie zarysowanych pod cienkim t-shirtem.

Jeszcze będzie moja, pomyślał. Bez dyskusji. Będzie mi jadła z ręki. Jak wszystkie.

Rozdział osiemnasty

oshua wolno szedł przez szklarnię, Carl posuwał się tuż za nim. Rozglądali się uważnie na boki, wypatrując miejsc, gdzie należało odtworzyć sadzonki zainfekowane przez Phalaenopsis. Za ogromną cenę udało się odkupić kwiaty zniszczone przez grzyb i były rzeczywiście piękne. Koszty wzrosły jednak niepomniernie, gdyż choroba zaatakowała wiele roślin, wobec czego nie wystarczyło własnych orchidei na zrealizowanie zamówień i trzeba

było, nie licząc się z wielkością strat, dokupić odpowiednie okazy u innych hurtowników, by nie stracić klientów.

- Ja tam swoje wiem - oświadczył Carl po raz kolejny. - Przydałaby się lepsza ochrona. Na przykład kamery.

Joshua pokręcił głową.

- Przesadzasz. W nocy czuwa tu Miguel, i to z psem. A w dzień klient może wejść do szklarni wyłącznie w towarzystwie pracownika. Czyli z eskortą.

- Niby to wszystko prawda - uznał Carl - ale pamiętaj, że ten, kto przyniósł te cholerne grzyby, też wszedł z eskortą. A na dodatek Miguel nie lubi psów... Dlaczego się upierasz?

- Nic podobnego! - zachnął się Joshua. - Doskonale zdajesz sobie sprawę, że mogliśmy sami wprowadzić do szklarni zakażone kwiaty, co oczywiście wyszło na jaw dopiero po pewnym czasie. Istnieje taka możliwość. Po drugie, do tej pory nie każdy wchodził do szklarni z naszym pracownikiem. Nie każdy miał eskortę.

- To prawda - zgodził się Carl. - Nie każdy. Ale jest o wiele bardziej prawdopodobne, że szklarnie zostały zainfekowane nocą. Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę?

Judith Gould

- Mów.

- Mnie się wydaje, że ty nie chcesz uwierzyć, że ktoś to robi specjalnie - oznajmił Carl stanowczo. - Oszukujesz się i nie chcesz sam przed sobą przyznać, że tak jest naprawdę.

Joshua nie miał siły tłumaczyć, iż od czasu, gdy dowiedział się o chorobie Joanny, trudno mu się skupić na sprawach dotyczących firmy.

- Josh! - rozległ się za nimi kobiecy głos. - Szefie!

Luna biegła najszybciej, jak mogła na niebotycznych obcasach, rzucając w żwirze. Pokażny biust dziewczyny, obciągnięty dopasowaną bluzką, falował efektownie. Było na co popatrzeć.

Carl rozejrzał się głośno, Joshua tylko się uśmiechnął.

- Co się stało? - spytał.

- Ten, jak mu tam - wykrztusiła bez tchu - czeka w biurze.

- Aha. A kto? - Joshua nie dawał za wygraną.

Sposób przekazywania informacji przez Lunę pozostawia nieco odcienia, pomyślał z rozbawieniem.

- Ten... Japończyk!

- Który? - Teraz Joshua był rzeczywiście zaciekawiony.

- No wiesz, ten z czarnymi włosami i... No, ten taki potwornie irogaty!

- Mogłaś mnie wezwać pagerem. Albo przez interkom...

- Ja bym tam nie wysiedziała! A poza tym powiedział, że chce ię widzieć z szefem natychmiast, więc chciałam mu pokazać, że ro-»ię, co mogę.

- Dziękuję ci, Luno.

W takim razie będzie to pan Hara. On zwykle tak się śpieszy, 'rawdopodobnie spodobały mu się nasze orchidee i wrócił po wię-iej. A może to nawet pan Nakamura?

Szybkim krokiem ruszył do biura.

Joshua rozparł się w fotelu, założył ręce za głowę, spojrział w su-Eit i zadowolony odetchnął pełną piersią.

Jest jednak sprawiedliwość na tym świecie!, pomyślał.

Pan Nakamura zostawił okrągłą sumkę, która z okładem wystarczy na pokrycie strat poniesionych z winy Phalaenopsis. Podobne wizyty zdarzały się coraz częściej, w miarę jak firma zyskiwała międzynarodową renomę, ale Joshua nadal do nich nie przywykł i za

Czas na pożegnanie

175

każdym razem miał wrażenie, iż zespołowi pracującemu przy kwiatkach udało się odnieść ogromny, lecz jednorazowy sukces. Nie umiał spocząć na laurach, nie czuł się rozpieszczanym przez los bogaczem.

Muszę przekazać Joannie dobre wieści, pomyślał. I to natychmiast.

Sięgnął po słuchawkę, wystukał numer. Po trzech sygnałach odebrała Connie.

- Witaj, chciałbym rozmawiać z Joanną.

- Nie ma.

- A gdzie jest? Chciałbym ją złapać jak najszybciej.

- Nie wiem.

- Jak to: nie wiesz? - zdumiał się Joshua.

Jasna cholera! Joanna nie powinna wychodzić sama, nie powinna tak znikać. Co będzie, jeśli...

- Wiem tylko - pojęła Connie zirytowana - że ona się bardzo dziwnie zachowuje.

- Co przez to rozumiesz? - Joshowi zrobiło się zimno ze strachu.

- Boja wiem... Trudno powiedzieć.

- Connie, zlituj się nade mną... O co chodzi?

- Sprzątałam niedawno domek na plaży - oznajmiła Connie. -I co?

- Nie wierzyłam własnym oczom.

- Dlaczego? Co tam znalazłaś?

- Domek wyglądał, jakby przez niego przeszła trąba powietrzna.

- A dokładnie? - Joshua był coraz bardziej zdenerwowany i zmartwiony.

- Dosłownie. Wszędzie pełno pustych butelek po winie. A inne, jeszcze z winem, niezakorkowane. Na podłodze -jak w chlewie: piasek, brud, wodorosty... Łóżko nawet niezakorkowane... Naprawdę, jak w chlewie. - Umilkła, wyraźnie szukając słów. Gdy znowu się odezwała, w jej głosie brzmiała złość. - Roboty było na calutęki dzień.

Joshua miał ściśnięty żołądek, na czole pojawiły się kropelki potu. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Joanna gdzieś musiała się podziewać, kiedy znikła z domu przez ostatnich kilka tygodni. Zaszywała się gdzieś, aby dojść ze sobą do ładu. Zupełnie sama. Teraz już wiedział gdzie.

- Bardzo mi przykro, Connie - odezwał się, gdy wreszcie mógł zaufać własnemu głosowi. - Powinnaś była mi powiedzieć wcześniej.

- Nie chciałam cię martwić.

Judith Gould

Czas no pożegnanie

177

- Tak czy inaczej, jadę do domu - zdecydował. - Zaraz będę. "znał, że najwyższy czas zawiadomić Connie, co się dzieje, by sumiała niezwykle zachowanie Joanny.

- Jasne - rzuciła słuchawkę.

Joshua jakiś czas siedział przy biurku i niewidzącym wzrokiem itrywał się w przestrzeń. Jak to w kilka minut może się zmienić trój. W jednej chwili uniesienie i radość z pomyślnie przeprowadzonej transakcji, w następnej ponura świadomość nieuchronnego ;o losu, która wszystko pogrąży w cieniu.

Feraz już nic nie ma znaczenia, pomyślał. Liczy się tylko Joanna. Zowoli wstał i zajrzał do holu.

- Luna, skończyłem na dzisiaj. Gdyby wyskoczyło coś bardzo nego, będę w domu.

Sekretarka, jak zwykle ze słuchawką przyklejoną do ucha, za-dła dłonią mikrofon.

- Tak jest, szefie - odrzekła z uśmiechem. - Niczym się nie jjmuj, wszystko będzie w

porządku. - Odsloniła mikrofon i na-lmiast z jej ust popłynął wartki potok hiszpańskich słów.

Foshua wyszedł na parking i wskoczył do land cruisera. Skrę-szy w drogę szybkiego ruchu na północ, do domu, mijal po pra-stronie tereny należące do braci Rossi.

- Jasna cholera! - zaklął głośno. Ostro wcisnął hamulec i mało sowało, a byłby skręcił na ich parking. Rozmyślił się w ostatniej iii. Pojechał dalej, z nowym ciężarem i nowym zmartwieniem, >y miał ich jeszcze za mało.

^a parkingu przed biurem Rossich stał samochód Carla. Jego, najmniejszych wątpliwości.

Do Carl robi u konkurencji?, zapytał Joshua sam siebie. Prze-nie pojechał tam w interesach, trudno sobie wyobrazić, co łby tam załatwiać. A gdyby nawet, to dlaczego słowem mi o tym wspomniał? Szlag!

'e złością uderzył otwartą dłonią w kierownicę. Ale jedynym tkiem był ostry ból ręki. }zy już naprawdę cały świat obrócił się przeciwko niemu?!

'atrzymał wóz na podwórzu. Samochodu Joanny nie było, stał o dziup należący do April oraz van Connie. Jak zwykle zmienił "zedpokoju ubłocone w szklarni buty na mokasyny.

Connie zastał w kuchni, tak jak się spodziewał.

- Cześć. - Ledwo uniosła powieki. Takie spojrzenie oznaczało, że nie miała najmniejszej ochoty z nim rozmawiać.

- Witaj, Connie. Domyślam się, że nadal nie wiesz, gdzie zniknę-ła Joanna?

- Nie wiem. W domu jej nie ma. Tylko April siedzi w stajni, razem z tym swoim pomocnikiem.

W głosie gosposi wyraźnie dało się słyszeć dezaprobatę. Dlaczego Connie nie lubiła April? Czyżby była zazdrosna? Trudno zgadnąć. Tak czy inaczej, Josh teraz nie miał zamiaru łamać sobie nad tym głowy.

Wyszedł na taras, minął basen i jabłonie, aż dotarł do stajni, która powoli stawała się grota. Wsunął głowę przez drzwi i rozejrzał się po wnętrzu. April tkwiła wysoko na rusztowaniu, jej towarzysz pracował przy jednej ze ścian.

- Cześć! - zawołał Joshua. - Jak wam idzie?

- O, Josh! - ucieszyła się April. Ściągnęła z twarzy papierową maseczkę. - Robota pali nam się w rękach. - Zeszła z rusztowania i ściągnęła gumowe rękawice.

Woody porzucił na chwilę układanie drobnych kawałków macicy perłowej wykorzystywanych jako tło i zmierzył ich dwoje długim spojrzeniem, po czym w milczeniu wrócił do pracy.

- Sam zobacz. - April wskazała strop szerokim gestem. - Sufit już prawie gotowy.

Joshua po raz pierwszy miał okazję podziwiać jej dzieło nieomal w całości. Z wrażenia przez chwilę nie mógł wydobyć głosu. Sufit przedstawiał wieczorne niebo, roziskrzone dziesiątkami gwiazdnych konstelacji, a wszystko to zostało stworzone z kamyków i muszli.

- Boże! - wyrwało mu się. - Ale piękne! Nie wiedziałem, że to będzie takie... skomplikowane, takie precyzyjne... jakie żywe kolory!

- Prawda? - ucieszyła się April. - Rewelacyjny efekt.

- Aż trudno uwierzyć. - Joshua z podziwem pokręcił głową. - Joanna już widziała?

- Nie. Zajrzała tu zaraz po powrocie z Montecito, ale wtedy sufit jeszcze nie robił takiego wrażenia. Mam nadzieję, że spodoba jej się końcowy efekt.

- Na pewno! W życiu nie widziałem czegoś podobnego. Wszystko tu jest. Słuchotki kalifornijskie, przegrzebki, macica perłowa,

778

Judith Gould

porcelanka monetka, stożek, jeżokrabki, sercówki, turban zielony, nawet zawiaśnik kolczasty! Coś podobnego!

- Znasz się na muszlach - zdziwiła się April.

- Interesowały go od zawsze - rozległ się głos Joanny. - Prawdę mówiąc, to właśnie on mnie zaraził tą pasją.

Oboje odwrócili się w jej stronę. Stała w progu, uśmiechnięta i szczęśliwa. Torby z zakupami oparła o framugę.

- Witaj, kochanie. - Podeszła do Josha i ucałowała go czule w policzek.

- Dzień dobry, moja piękna.

Joanna uściśnęła serdecznie April i ją także pocałowała. Wreszcie spojrzała w górę. Dłuższy czas przyglądała się sufitowi z niekłamanym zachwytem.

- April - odezwała się wreszcie -jesteś cudotwórczynią. Aż trudno uwierzyć... Piękne! To prawdziwe czary... Bosko! Jak w niebie!

- Cóż, sufit powinien mieć jak najwięcej wspólnego z niebem

- roześmiała się April.

- Przecież wiesz, o co mi chodzi. Fantastyczny. Idealny. Och, już się nie mogę doczekać, kiedy będzie gotowa reszta.

- Pracujemy najszybciej, jak możemy - zapewniła ją April.

- Ach, no właśnie. Akurat przyszły gipsowe popiersia do nisz, chcesz obejrzeć?

Twarz Joanny wykrzywił ból.

- Nie... może później... Teraz się położę... Wyszła, zostawiając torby z zakupami.

Woody obserwował jej zniknięcie z krzywym uśmiechem. Taaa, jasne, pomyślał. Nic dziwnego, że musi się położyć. Jak ich zobaczyła razem, to od razu się pochorowała. I bardzo dobrze. April spojrzała na Josha. Oboje mieli w oczach ten sam smutek.

- Zajrzę do Joanny - powiedział cicho.

- Ucałuj ją ode mnie - poprosiła, mocno zaniepokojona. Joanna nigdy się tak nie zachowywała. Taka nieuprzejma reakcja była całkiem do niej niepodobna.

W sypialni panowały ciemności. Kotary starannie zaciągnięto, nie paliło się żadne światło. Joshua ledwie dostrzegł żonę leżącą na łóżku. Ubrana była w krótki jedwabny szlafroczek. Podeszedł i cicho przysiadł na brzegu materaca.

Czas na pożegnanie

179

- Jak się czujesz? - zapytał z niepokojem.
- Jako tako. Muszę trochę odpocząć.
- Przynieść ci coś?
- Nie, niczego mi nie trzeba. Naprawdę. Nie przejmuj się, po prostu potrzebuję trochę odpoczynku i spokoju.
- Dobrze. - Joshua wstał. - Gdybyś jednak czegoś chciała, zawołaj mnie.
- Zawołam - szepnęła. - Dziękuję.

Joshua wyszedł z pokoju i dokładnie zamknął za sobą drzwi. Zrobił dwa kroki i zachwiawszy się, oparł czoło o ścianę. Serce nieznośnie ciążyło mu w piersi.

Boże jedyny! Spraw, żeby nie cierpiała.

Strach, namacalny i rzeczywisty, obezwładnił go i pozbawił możliwości jakiegokolwiek działania. Trwało to całą wieczność. W końcu przerażający uścisk nieco się rozluźnił i dopiero wtedy Joshua zdołał się poruszyć. Poszedł do swojego gabinetu, nalał sobie porcję szkockiej i wyciągnął się na fotelu. Nie potrafił się na niczym skupić, całkowicie opanowany przez straszne uczucie, które po raz pierwszy z bliska pokazało mu swoją przerażającą twarz. Była to samotność.

i

1!

Czas na pożegnanie

181

Rozdział dziewiętnasty

inna stanęła w progu stajni, gdzie April i Woody starannie wydali ściany muszlami. Nie zamierzała im przeszkadzać, ale bar-i chciała popatrzeć, jak pracują. Ostatnio coraz częściej musiała (oczywać, mówiła sobie, że po prostu chce trochę poczytać, ale czy inaczej, potrzebowała coraz więcej pauz, przerw w aktyw-n życiu, by odzyskać utraconą energię i zebrać siły. Dlatego przez ca dni nie mogła tu zajrzeć i bardzo była ciekawa postępów prac.

- April - odezwała się półgłosem.
- Och, Joanna! - ucieszyła się projektantka. - Chodź, chodź. Nie iważyłam, kiedy się zjawiłaś.
- Siedziała dość wysoko na ruszto-niu, układając muszle w samym kącie.

- Nie przeszkadzałyby wam, gdybym chwilę popatrzyła? Będę ho jak myszka, obiecuję.
- Zostań. Usiądź sobie, zobacz, tam są krzesła. Tylko trzymaj w przyzwoitej odległości, bo inaczej za chwilę cała będziesz ob->ana cementem.
- Dobrze. Będę udawała, że mnie tu w ogóle nie ma.

Woody zerknął na nią spod oka, ale się nie odezwał. Sprawiał ażenie całkowicie pochłoniętego swoim zadaniem. Joanna rozstawiła sobie krzesło i usiadła. Rozejrzała się dookoła-Prace postępowały nieco szybciej, niż przewidywał grafik. Zda-ły się dni, gdy gołym okiem dawało się zauważyć ogromne postę-Bywały jednak też i takie, gdy pozornie nie zmieniało się nic, yż April mozoliła się akurat nad jakimś skomplikowanym deta-n, wymagającym czasu i cierpliwości.

Mijający dzień szczęśliwie należał do tych, co z dumą ukazywały ^bagatelne postępy. Joanna, rozglądając się po wnętrzu, które wymię nabierało charakteru, odkrywała z radością, jak niewiele bra-

kuje do ukończenia dzieła. Sufit, rozjarzony perłowymi gwiazdozbiorami, okazał się imponujący; nisze, gdzie miały stanąć rzeźby obłożone muszlami, były całkowicie gotowe. Ozdobiono je, podobnie jak okna i drzwi, wymyślnymi gzymsami, oczywiście z kamieni oraz muszli. Ściany wydawały się błyszczeć, jak gdyby ozdobiono je drogimi kamieniami. Zostało jeszcze kilka pustych miejsc na orchidee z muszli.

Joanna musiała zaciskać usta, by nie rozpraszać pracujących pochwałami. Dała sobie słowo, że zaczeka z wyrazami uznania do obiadu, jako że przyjaciółka obiecała dotrzymać im dzisiaj towarzystwa.

April pracowała w skupieniu, lecz stale czuła obecność Joanny, która ostatnio zaglądała do groty znacznie rzadziej. Zwłaszcza w ciągu minionych dwóch, może trzech tygodni. Znając przyczynę takiego stanu rzeczy, April tym bardziej starała się zachowywać jak gdyby nigdy nic. Pracowała najszybciej, jak mogła, wbrew rozsądkowi mając nadzieję, iż zdąży przed... przed śmiercią Joanny.

Przysunęła sobie muszle bliżej, usiadła na piętach i uważnie przyjrzała się linii. Doskonale. Idealnie prosto.

- Woody, bądź aniołem - poprosiła - i podaj mi Cardita crassico-sta, dobrze?
- Jedną sekundę. - Starannie osadził w cemencie kolejny fragment macicy perłowej. Siedział po turecku, twarzą do ściany, całkowicie pochłonięty pracą - i od stóp do głów obsypany białym cementem. Oboje woleli codziennie zeskrobywać pod prysznicem wszechobecny pył, niż nosić foliowe czepki.
- Hej, Woody, posiwiłeś ostatnio!

- Przyganiał kocioł garnkowi! Gdzie twój uroczy blond? - Wstał, znalazł pudło z odpowiednimi muszlami i podał je April.

- Serdeczne dzięki. - Ustawiła karton na rusztowaniu.

- Nie ma sprawy. - Znowu usiadł po turecku i wrócił do pracy. Joanna długi czas przyglądała im się ze swojego kąta. Stanowili zgrany tandem, rozumieli się bez słów. Byli idealnie zestrojeni. Jak starzy przyjaciele. Albo kochankowie.

Musiała obiektywnie przyznać, że Woody jest atrakcyjnym mężczyzną. Z pewnością nie mógł narzekać na brak zainteresowania kobiet. Zwłaszcza takich, które miały ochotę na przelotny romans bez zobowiązań.

Obserwowała tych dwoje uważnie od kilku tygodni. Zauważyła, że Woody otaczał April troskliwą opieką, wyczuwała w nim za-

182

Judith Gould

zdrość o jej zażyłość z innymi ludźmi. Ponieważ miała prawo zakładać, iż nie jest w niej naprawdę zakochany, musiała przyjąć, że chce ją dopisać do listy swoich zdobyczy.

Najwyraźniej zamierzał odgrywać rolę kochającego starszego brata aż do skutku.

April najwyraźniej niczego nie podejrzewała i rzeczywiście traktowała go jak dobrego przyjaciela. Śmiała się swobodnie z jego przygód miłosnych, ufając mu całkowicie, choć zdaniem Joanny powinna być ostrożniejsza z tym podstępny draniem. Nie bardzo wiedziała, jak powinna zareagować. Przecież nie życzyła sobie stanowczo, by ktokolwiek stanął na drodze zażyłości między April a nią oraz... Joshem, oczywiście.

Z zamyślenia wyrwał ją głos przyjaciółki, która właśnie zeszła z rusztowania.

- Prawie cię nie widać, wcale nie słysząc...

- Obiecałam, że będę się zachowywać cichutko jak myszka. Grota z godziny na godzinę pięknie, nie chcę wam przeszkadzać.

April potoczyła dookoła krytycznym spojrzeniem.

- Rzeczywiście, nie jest źle. - W jej głosie brzmiała nieskrywana duma.

- Pamiętasz, że jemy razem lunch?

- Tak, tak. Tylko zajrzę do łazienki w domku przy basenie i trochę się ogarnę.

- Dobrze. Wobec tego spotkamy się na tarasie. Posiedzę tu sobie jeszcze kilka chwil, pooddycham atmosferą.

- Niemożliwa jesteś - odrzekła April z rozbawieniem. - Co to za atmosfera? Chyba robocza, przesycona cementem. Ale rób, jak chcesz.

- Jeszcze odwróciła się do pomocnika. - Wrócę za jakąś godzinę.

- Będę na czas. - Woody starannie wytarł ręce w szmatkę. Joanna przyglądała mu się bez słowa.

- Wracasz na lunch do domu? - spytała wreszcie. Oboje nadal odgrywali tę farsę: udawali, że dopiero co się poznali.

Nawet nie podniósł wzroku.

- Czasami. Ale zwykle wpadam do jakiejś knajpki.

- Musisz któregoś dnia zjeść z nami - powiedziała, bardziej z uprzejmości niż ze szczerego serca.

- Zwykle jadam w towarzystwie - odparł Woody. - Ale dzięki.

- Rzucił szmatkę na ziemię. - No to spadam. - Minął próg i dumnym krokiem ruszył pod górę, w stronę jabłoni.

I bardzo dobrze, pomyślała Joanna. Spadaj.

Rozdział dwudziesty

Christina dotarła na miejsce pierwsza. W gęstej mgłę z trudnością odnalazła parking na końcu osiedla. Stały tam zaledwie dwa samochody.

Uważnie rozejrzała się dookoła i skierowała ku drewnianemu pomostowi wiodącemu przez wydmy do domków krytych cedrowymi gontami. Całe szczęście, że do Petera należał ostatni w rzędzie, ponieważ inaczej bardzo trudno byłoby trafić. Pytanie tylko, w którym rzędzie.

Rany, dlaczego to zawsze wygląda tak samo, pomyślała rozeźlona. Czy my naprawdę musimy się spotykać w takich nędznych dziurach?

Doskonale знаła odpowiedź na to pytanie. Tak właśnie musiało być, gdyż nie wolno im było pokazywać się razem. I dlatego właśnie akurat dzisiaj spotykali się w domku plażowym, który stał na uboczu.

Porywisty wiatr od oceanu szarpał ogromne eukaliptusy i udęczone sosny. Drobne, ostre ziarenka piasku wbijały się w skórę.

Boże jedyny!

Wyjęła z torebki jedwabną apaszkę i osłoniła nią twarz.

Co za pogoda!

Dziś jednak mógł nastąpić nawet koniec świata, było jej wszystko jedno. Ponieważ dzisiaj miała się spotkać z Peterem.

Ruszyła w górę po stromych schodach, mocno trzymając się poręczy. Cienkie wysokie szpilki stanowczo nie ułatwiały marszu.

Powinnam była włożyć pantofle na płaskim obcasie, pomyślała.

Zaraz jednak porzuciła tę myśl. Peter lubił, gdy była odstawiona od stóp do głów. Zachwycał się wtedy, że Christina wyglądała tak dys-

184

Judith Gould

tyngowanie. Roześmiała się głośno. To, co będą robili za kilka chwil, można by określić na wiele różnych sposobów, ale z pewnością nie tym słowem.

Na szczycie schodów mgła okazała się jeszcze gęściejsza. Christina stanęła niezdecydowana, rozglądając się za jakimś znakiem, który by ją skierował do właściwego rzędu domków.

W życiu tam nie trafi!

Akurat wtedy dostrzegła, prawie na wprost, drewnianą tabliczkę z mosiężnymi numerami zmatowiałymi od wiatru. Numer osiemset trzy znajdował się na prawo. Poszła w kierunku wskazanym przez strzałkę i wkrótce zobaczyła, że ma do pokonania jeszcze jeden długi ciąg drewnianych schodów.

Westchnęła głęboko, podniosła wzrok na niebieskie stopnie i przeklęła wszystkie wypalone papierosy oraz swoje trzydzieści sześć lat.

Wreszcie stanęła u celu. Wspinając się na palce, sięgnęła do gzymsu i znalazła klucz.

Jest!, ucieszyła się w myślach. Przepustka do krainy rozkoszy.

Weszła do domku, zsunęła wreszcie apaszkę z twarzy i stanowczym gestem zamknęła za sobą drzwi. Zrzuciła z udręczonych nóg pantofle i rozejrzała się dookoła z nieskrywanym zaciekawieniem. Na wprost widziała jadalnię, za nią kuchnię i salonik o wielkich oknach, a właściwie przeszklonej ścianie, która sięgała od podłogi do sufitu, otwierając się na morze. Tego dnia nie dało się podziwiać krajobrazu, ponieważ za szybą kłębiła się szarobura zasłona. Christina podniosła szpilki i przeszła do saloniku. Cały domek urządony był w różnych odcieniach bieli, umeblowanie składało się z rozłożystych kanap i foteli oraz niedrogich drewnianych stolików.

Nudne, ale praktyczne, uznała.

Zostawiła pantofle obok kanapy w salonie, apaszkę przerzuciła przez ramię. Podeszła bliżej okna, ciekawa, czy uda jej się dostrzec choć skrawek oceanu.

Mgła jest fascynująca, pomyślała. Można się w nią wpatrywać godzinami. Człowiek ma wrażenie zawieszenia w nicości, nie znajduje oparcia...

Przypomniało jej się, że ich dawny domek plażowy, tak starannie urządony przez Joannę i Josha, znajduje się na tej samej plaży. Stary, wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju. Kiedyś wiele takich staroci z charakterem stało wzdłuż wybrzeża, teraz natomiast, gdy

Czas na pożegnanie

rozprzestrzenił się agrobiznes, kierowany przez rzutkich ludzi interesu, jak Peter, oraz profesjonalnych deweloperów, budowano osiedla składające się z jednakowych pudełek. Warto przy tym pamiętać, iż do firmy Rossi Brothers należały już prawie wszystkie wartościowe grunty w okolicy.

Stary domek nad morzem jest w tej sytuacji wart fortunę, uprzytomniła sobie.

Nagle ktoś ją złapał od tyłu. Zesztywniała w potężnych ramionach, czując na karku gorący oddech.

Krzyknęła, serce zamarło jej w piersi - i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że to on.

- Rany boskie...! - jęknęła. Kolana się pod nią ugięły. - Ty... Ty...!

- Przestraszyłem cię, laluniu? - Językiem wyrysował mokrą słoną ścieżkę na jej szyi.

- Mało nie umarłam ze strachu! Przecież to mógł być... nie wiem, choćby jakiś morderca albo gwałciciel... Na takim pustkowiu!

Peter zaśmiał się głośno, odwrócił Christinę do siebie i wbił w nią spojrzenie smoliście czarnych oczu.

- A to nie gwałciciel, tylko ja...

- Myślałam... Przeraziłam się... - Ciągle jeszcze drżała. Pocałował ją w usta, zachłannie, gwałtownie. Potem odsunął

Christinę od siebie, ale nadal trzymał w mocnym uścisku jak w imadle.

- Lubisz to, maleńka, co?

Znów poczuła dreszcze, ale tym razem nie ze strachu. Miała wrażenie, jakby gdzieś w głębi jej ciała zadrgała struna, dostrajająca się do oczekiwań Petera. Nie potrafiła nad tym zapanować, Serce waliło jej jak młotem, zmieniała się w czyste pożądanie, zniknęły wszelkie inne myśli, jakby je zagarnęła mgła kłębiąca się za oknem.

- Tak, tak... Uwielbiam. Tak.

- Wiedziałem.

Ściągnął jej apaszkę z ramienia i skręcił w gruby sznur. Zafascynowana Christina przyglądała się jego zręcznym, zdecydowanym ruchom. I zanim uświadomiła sobie, do czego Peter zmierza, już miała zawiązane oczy.

- Ej! Nic nie widzę!

- Ciii... - Wziął ją za rękę i poprowadził.

- Dokąd idziemy? - szepnęła. - Co robisz?

- Ciii... - powtórzył. - Nie pożałujesz.

Judith Gould

Rozebrał ją szybko i bezceremonialnie, głodny jej nagiego ciała, 3tem sam ściągnął ubranie. Christina go nie widziała i nie potrafiłby wyrazić słowami, jak bardzo pragnie widoku tego muskularne-) ciała, jak bardzo chce czuć je tuż obok, na sobie i w sobie.

Czyżby myśl stała się rozkazem? Gorąca dłoń musnęła piersi hristiny, opadła między jej uda, przesunęła się po pośladkach i po-ędrowała w górę przez środek pleców.

Christina mało nie oszalała z podniecenia, ale nie chciała psuć :enariusza, stała więc bez ruchu, bez słowa i omal bez tchu, stłu-iwszy w sobie nawet westchnienie zadowolenia.

Teraz poczuła dwie dłonie na piersiach, naciskające najpierw kko, jakby niezdecydowanie, potem coraz bardziej stanowczo, alce muskały jej różowe sutki, z początku delikatnie, później coraz ocniej, aż chwilami rozkosz zmieniała się w ból. Nagle wszystko stało.

Prawy sutek objęły gorące, wilgotne usta. Język poruszał się co-lz szybciej, a jednocześnie któraś dłoń odnalazła drogę między lami i pieściła wilgotne zakamarki.

- Peter... jeszcze...!

- Nieźle, laluniu, co? Zadowolona?

- Tak - wychrypiała z oczami pełnymi łez, zafascynowana siłą ała mężczyzny, który nią rządził. - Tak.

Pociągnął ją w stronę łóżka, chwycił na ręce i rzucił w pościel.

- Och! - Christinie zabrakło tchu.

Zanim jednak zdążyła zaprotestować, zanim się zorientowała, co ę dzieje, Peter już był nad nią. Kolanami rozepchnął jej nogi na)ki i wtargnął w nią, wcisnął się aż do końca, wypełniając ją po łanice możliwości.

Przez chwilę miała wrażenie, że ją rozedrze, choć przecież była I dawna gotowa, ale gdy bezlitośnie w nią uderzał, jej ciało szybko iczęło odpowiadać tym samym, otwierając się na jego przyjęcie, dy wycofywał się prawie całkowicie, miała ochotę szlochać z roz-iczy, ale zaraz wracał, jeszcze mocniej i gwałtowniej, przyciskając do materaca.

Nagle zabłyśły jej przed oczami gwiazdy, zalała ją gorąca fala wstrząsnęły nią drgania. Peter uderzył po raz ostatni, krzyknął jksplodował, a potem opadł bez sił. Christina jęknęła, po jej ciele łzebiegł ostatni dreszcz. Osłabła, niezdolna do najmniejszego Lchu.

i

Czas na pożegnanie

187

Leżeli, powleczeni słonym woalem potu, z wysiłkiem łapiąc powietrze. Obejmowali się mocno. Dużo czasu upłynęło, nim odzyskali oddech i głos.

- Peter... - Odchrząknęła. Udało jej się w pewnym stopniu pozbyć chrapliwego tonu. - Możesz mnie... straszyć, kiedy tylko zechcesz.

Zachichotali oboje. Rossi stoczył się na materac.

- Podobało ci się, mała, nie? - stwierdził z dumą w głosie.

- Tak, podobało mi się - przyznała szczerze. Sięgnęła do apaszki, ale Peter odepchnął jej dłonie. Sam rozwiązał chustkę i okręcił ją wokół dłoni jak bokser, chroniący rękę bandażem. Przycisnął pięścią brzuch Christiny.

- Musimy to kiedyś powtórzyć - powiedział. - Zagramy mocniejszą scenkę. Dorzucimy jakieś gadzety.

Nie żartował. Naprawdę chciał podkręcić sprężynę. Z jednej strony Christina miała wrażenie, że ta propozycja jest dziwaczna, wynaturzona, wręcz odrażająca, z drugiej - było jej wszystko jedno. Chciała mieć tego mężczyznę, ze wszystkich sił pragnęła go zatrzymać. Dopiero przy nim poznała naprawdę świetny seks. Więc - dlaczego by nie?

Wobec tego zgodnie pokiwała głową.

Peter pochylił się nad nią i pocałował w usta. Potem podniósł się i sięgnął po papierosy.

Christina usiadła przy nim, oparła mu głowę na piersiach. Objął ją za ramiona.

- No to teraz mów, co takiego ważnego się zdarzyło u tej twojej siostrzyczki. - Wydmuchnął w górę smugę szaroniebieskiego dymu.

- Państwo Lawrence są źli z powodu najnowszych kłopotów?

- Słuchaj, stało się coś takiego, że nie uwierzysz.

- Może jednak?

- Chodzi o coś znacznie poważniejszego niż kłopoty w szklarniach. - Christina zrobiła efektowną pauzę. - Joanna jest śmiertelnie chora. Niedługo umrze. - Podała tę sensacyjną wiadomość głosem pozbawionym emocji, ale żołądek miała dziwnie ściśnięty.

Peter przyjrzał jej się z wyraźnym zainteresowaniem] Usta rozciągnęły mu się w szerokim uśmiechu.

- Jaja sobie robisz.

- Nie, poważnie. Zostało jej najwyżej kilka miesięcy. Ma raka.

- Zgasiła papierosa w popielniczce na nocnym stoliku i natychmiast odwróciła się z powrotem do Petera. Leciutko powiodła palcem wo-

188.

Judith Gould

kół jego ust. - Teraz wystarczy, że cierpliwie zaczekasz, a ziemia będzie twoja. I szklarnie, i domy, wszystko. Joshua nie ma głowy do interesów, chętnie się pozbędzie tego całego kramu.

Peter, nie odrywając od niej wzroku, wyjął z ust papierosa, a drugą ręką wsunął sobie jej palec do ust. Dłoń natomiast powędrowała dalej, wzdłuż ramienia, aż do piersi, do różowego sutka.

Christina wstrzymała oddech i osunęła się na łóżko. W następnej chwili Peter znów przebijał ją, zdawałoby się, na wylot, jak nikt nigdy wcześniej. Pomyślna wiadomość błyskawicznie rozpalila w nim ogień.

Warto było mu powiedzieć, myślała Christina. Zapłacę za jego podniecenie każdą cenę.

Rozdział dwudziesty pierwszy

/gromny jasnobeżowy rolls-royce corniche wjechał majestatycznie na podjazd. Dach miał opuszczony. Christina siedziała rozparta na mięciutkiej skórzanej tapicerce jaśniejszej o ton od karoserii. Pasy bezpieczeństwa miały dokładnie ten sam odcień. Między dwoma upierścienionymi palcami trzymała nieodłącznego papierosa, jak modny dodatek.

Connie, zaciekawiona pomrukiem silnika, wyjrzała przez okno.

- Szlag by to! - wyrwało jej się szczerze. - Silikonowa wiedźma!

Nienawidziła Christiny z całego serca. Tak głęboko, iż nie sposób było tego nie zauważyć.

Zresztą, nie zawsze miała ochotę kryć się ze swoją antypatią.

Akurat przygotowywała, razem z April, niewyszukany lunch, który miały zanieść nad basen.

- Co się stało? - April natychmiast zauważyła zmianę nastroju Connie.

- Przyjechała siostra Joanny - prychnęła gospoia.

- Jak to? - zdziwiła się April. - Tak bez uprzedzenia?

- U niej to normalne. Właśnie wylądowała na podwórzu. Razem z tą swoją miotłą wartą fortunę.

April nie mogła powstrzymać serdecznego śmiechu. Domyślała się, jakimi uczuciami gospoia darzy Christinę oraz wszystkie podobne jej kobiety, wiedziała także, co o tym myślała Joanna i Josh. Nie przejmowali się szczególnie złością Connie, czasem nawet żartowali na ten temat.

Żadne z nich trojga nie uświadamiało sobie, jak głębokie było

190

Judith Gould

owo uczucie nienawiści. Żadne z nich nie wiedziało także, iż wypływało z trudnej wprost do wyobrażenia, najpodlejszej, najbardziej prymitywnej zawiści. Connie gotowa była oddać wszystko, by żyć tak jak Christina, mieć wszystko to, co miała siostra Joanny, i móc się zachowywać tak jak tamta.

- Pójdę ją wprowadzić - zaoferowała się April. - Możesz się nie pokazywać. I nie trzeba tu ściągać Joanny, zabiorę Christinę do groty, a potem nad basen.

Odstawiła tacę z talerzami i sztuccami i poszła do frontowych drzwi.

Gdy je otworzyła, uderzył ją niezwykle widok.

Christina była wystrojona jak na wieczorny spacer po słynnej Via Condotti. Właśnie stała przy otwartym bagażniku ogromnego auta, więc można ją było podziwiać w pełnej krasie. Włosy miała osłonięte zawiązaną z tyłu barwną apaszką paryskiej firmy Hermes, do tego czarny kapelusz gauczo na głowie. Wielkie okulary przeciwsłoneczne w stylu Jackie Onasis zakrywały jej prawie całą twarz. Biała jedwabna koszula była jedynie zawiązana w tali, guziki okazały się całkowicie zbędne, więc dekolt sięgał pępka. Stroju dopełniały obcisłe jedwabne spodnie do pół łydki oraz krwistoczerwone sandaalki na wysokich szpilkach i cukierkowa torebka w tym samym odcieniu, z pewnością od Louisa Vuittona.

- Christina? - odezwała się April po dłuższej chwili. Przybyła zsunęła okulary na czubek nosa i zmierzyła ją uważnym spojrzeniem.

- Owszem... - wycedziła. - A kto pyta?

- Przepraszam. - April zeszła ze schodów. - Nazywam się April Woodward. - Wyciągnęła dłoń na powitanie. - Pracuję u Joanny.

- Taaak, widzę. - Christina zignorowała jej rękę. - Jakaś brudna robota.

April przed obiadem usiłowała doprowadzić swoje ubranie do jakiego takiego stanu, niestety, jej wysiłki nie odniosły pożądanego skutku.

- Nie da się ukryć - przyznała. -Aha.

- Joanna chyba nie spodziewa się gościa?

- Ależ skąd! - obruszyła się Christina. - Zamierzam jej zrobić niespodziankę, a gdybym ją uprzedziła, z niespodzianki byłyby nici, prawda?

Nie sposób zaprzeczyć tej logice.

Czas na pożegnanie

191

Na schodach pojawiła się Connie. Zmierzyła gościa podejrzliwym spojrzeniem.

- Dobrze, że jesteś - powitała ją Christina. - Bądź tak miła i zajmij się bagażami.

- Chętnie pomogę - zaproponowała April.

- Nie trzeba. Connie da sobie radę.

- Dobrze. Wobec tego zapraszam do groty, Joanna z pewnością się ucieszy.

- Do jakiej groty? Pierwsze słyszę. Co tu się znowu dzieje?

- To najnowszy pomysł Joanny - odrzekła April tajemniczo i ruszyła przodem.

Connie zajrzała do bagażnika. Twarz jej zapłonęła. Walizki od Louisa Vuittona! Pewnie! I to ile! Ale szczęściara!

* * *

- Świetnie wyglądasz! - Christina wyciągnęła do siostry szczupłe, opalone ramiona.

Joanna podniosła się z leżaka. Uścisnęła gościa i obie ceremonialnie ucałowały powietrze w pobliżu swoich policzków.

- To ty robisz piorunujące wrażenie! - odparła.

- Phi! Jestem kobietą po przejściach, odsysaniu tłuszczu i dwóch liftingach twarzy. -

Christina uśmiechnęła się jednak, ukazując olśniewająco białe zęby, których pielęgnacja także kosztowała fortunę. - Ale efekty są niezłe, co?

Joanna roześmiała się serdecznie.

- Rzeczywiście, niezłe.

- Powiedz no mi, co to za historia z tą całą... grotą? - Christina podparła się pod boki i pierwszy raz spojrzała na budowlę. - O rany... Aaale! - Aż się zachłysnęła i z ciekawością zajrzała do środka.

- Wyrazy uznania należą się tej osobie - rzekła Joanna, wskazując April. - Rozumiem, że już się poznałyście, ale pozwólcie, że was sobie przedstawię. April, to moja siostra, Christina. Christino, poznaj April Woodward, prawdziwą cudotwórczynię, która wyczarowała wszystkie te skarby.

- Miło cię poznać.

- Mnie także - zrewanżowała się Christina uprzejmie, obrzucając April uważniejszym spojrzeniem.

- Och, a to jest pomocnik April - powiedziała Joanna, wskazując Woody'ego. - Woody, to moja siostra, Christina.

192

Judith Gould

Młody mężczyzna ledwo podniósł wzrok znad muszli. Z marsem na czole mruknął coś, kiwnął głową i przestał się interesować towarzyskimi ceregielami.

- Ja też się cieszę, że cię poznałam - wycedziła Christina z nieskrywaną ironią. Przeniosła spojrzenie na Joannę. - Ogromne przedsięwzięcie! - zauważyła z niejakim podziwem.

- To prawda. Tysiące muszli i kamieni oraz mnóstwo pracy.

- To fantastyczne, chociaż chyba trochę przesadne... A w ogóle, skąd ci to przyszło do głowy? Zwłaszcza teraz... - Uświadomiła sobie, że powiedziała za dużo. - Rozumiesz, o co mi chodzi. Na pewno masz z tym urwanie głowy!

April dzielnie trzymała język za zębami, ale Christina miała sokoli wzrok. Od razu spostrzegła, że miejscowa cudotwórczym zżyma się w duchu.

Ona wie o chorobie Joanny, pomyślała.

Zainteresowało ją ogromnie, dlaczego jakaś obca kobieta została dopuszczona do tak poufnych spraw. Postanowiła zapytać o to siostrę przy najbliższej okazji.

- Robię to, ponieważ tego chcę - odparła Joanna, wiedząc, iż z taką odpowiedzią trudno dyskutować. - Christino, właśnie mieliśmy siadać do stołu. Zjesz z nami?

- Z rozkoszą. Tylko najpierw muszę się odświeżyć. No i zobaczę, co ta mała zrobiła z moimi bagażami.

- Wobec tego pójdziemy razem - zaproponowała Joanna. Odwróciła się do April. - Zjemy troszkę później, dobrze? - Mrugnęła do niej porozumiewawczo. - Za jakieś pół godzinki. Czekaemy przy basenie.

April z uśmiechem skinęła głową.

Siostry poszły w stronę domu. Christina jak czapla pięła się pod górę na wysokich obcasach.

- Co to za jedna? - spytała, gdy tylko oddaliły się od groty.

- April? - upewniła się Joanna. - Prawdziwy geniusz. Specjalizuje się w pracach z muszli i kamieni. Kiedyś zobaczyliśmy jej dzieło w ogrodzie u Ingrid Wilson. Obojgu nam się bardzo spodobało, toteż postanowiliśmy urządzić grotę w starej stajni. April to wyjątkowa osoba. Znalazłam w niej prawdziwą przyjaciółkę.

Christinie, zawsze irracjonalnie zazdrosnej o sympatie młodszej siostry, nie spodobały się te słowa.

- A ten jej facet? - spytała. - Co to za jeden?

- Nazywa się Woody Pearlman. Zawodowo oprawia obrazy, ma

Czas na pożegnanie

193

pracownię w Capitolu, ale od czasu do czasu pomaga April przy większych zleceniach.

- Ładniutki. - Christina zachichotała jak nastolatka. - Ale nie-wychowany.

- Cały Woody, cały on - odparła Joanna.

- Hmm... - Christina nie zamierzała rezygnować z tematu. - Szkoda, że taki nastroszony.

Zdaje się, że pod tymi paskudnymi roboczymi ciuchami kryje się całkiem apetyczne ciało.

Chętnie bym sprawdziła, na co go stać.

- Christino! - Joanna roześmiała się głośno. - Czasami własnym uszom nie wierzę!

- Dobrze, już, dobrze, żartowałam... Ale... ślinka cieknie na jego widok.

- Bezwstydna!

Weszły do kuchni. Connie akurat wybierała się z tacą nad basen.

- Bagaże zaniiosłam do tego pokoju gościnnego, co zawsze.

- Rozpakowałam?

Connie podniosła na Christinę leniwe spojrzenie.

- Nieee - powiedziała wolno. - Chyba nie powinnam ruszać takich drogich rzeczy.

Christina popatrzyła na Joannę z rozbawieniem i złością. Młodsza siostra tylko bezradnie rozłożyła ręce.

- Pomogę ci się rozgościć - zaproponowała.

- Nie, daj spokój. Poradzę sobie sama. Na pewno chcesz odpocząć przed obiadem albo coś takiego...

- To nie jest konieczne - ucięła Joanna chłodno. - Ale jak wolisz. Wobec tego spotkamy się przy basenie.

- Dobrze. - Christina wymaszerowała z kuchni i podażyła ku schodom wiodącym na piętro. Joanna odwróciła się do Connie.

- Wiem, że nie lubisz Christiny - powiedziała - i wiem, że bywa naprawdę przykra, ale czy mogłabyś się postarać zachowywać trochę bardziej uprzejmie?

Gospościa obrzuciła ją mrocznym spojrzeniem spod ciężkich powiek.

- Myślisz, że jej nie lubię?

- Ja to wiem z całą pewnością - odparła Joanna. - I ty wiesz, że ja wiem.

- W ogóle nie myślę o tej silikonowej lalce - prychnęła Connie. Joanna westchnęła ciężko i wyszła. Po ostatnim zdaniu dziewczyny ledwo powstrzymała uśmiech. Nie mogła jednak pozwolić so-

794

Judith Gould

bie na taką reakcję, bo nie chciała, by gospościa uznała, iż w stosunku do Christiny wszystko jej wolno. Wiedziała, że i bez kąśliwych uwag Peruwianki czeka ją dość kłopotów z siostrą. Usiadła przy stole ustawionym nad brzegiem basenu, pod wielkim parasolem.

Kusiło ją, by zadzwonić do Josha i powiedzieć mu o niespodziewanej wizycie, ale w końcu postanowiła nie przeszkadzać mu w pracy.

Biedny Josh, pomyślała. I tak ostatnio ma mnóstwo kłopotów, jeszcze mu do szczęścia potrzebna moja siostra.

Przymknęła oczy, napawając się ciszą i ciepłem.

Nie powinnam była mówić Christinie o chorobie, uznała. Ona nawet mimo najlepszych chęci bywa trudna do zniesienia. Potrafi w ciągu kilku godzin, najdalej paru dni, doprowadzić Josha do białej gorączki. No i, co gorsza, zapewne nie będzie umiała zachowywać się, jak gdyby nic się nie stało. Ech... I co teraz?

Wiedziała doskonale, że siostra będzie usiłowała jej pomagać na wszelkie możliwe sposoby - a jej starania w większości okażą się mocno chybione. A ponieważ Christina była manipulatorką z zapędami do przejmowania kontroli nad wszystkim i wszystkimi, w krótkim czasie odsunie od Joanny Connie, Josha, a także April, czyli wszystkich najbliższych. Nie można dopuścić do takiej sytuacji. Koniecznie trzeba coś z tym zrobić. I to najlepiej już, od razu.

Wstała i poszła do groty. Na początek zamierzała zaprosić April także na kolację. Zyska na tym podwójnie. Po pierwsze - miłe towarzystwo, po drugie - zamknie Christinie usta. Siostra nie będzie rozprawiała o chorobie w obecności osoby, którą uważała za obcą.

Lunch przeszedł gładko. Oczywiście rozmowę zdominowała Christina, zasypując Joannę i Josha najnowszymi ploteczkami z życia sławnych i bogatych od San Francisco po Montecito. Po jedzeniu siostry zajęły się zbieraniem naczyń. Normalnie byłoby to zajęcie Connie, zwłaszcza przy gościach, ale tym razem gosposia uznała, że musi koniecznie załatwić jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę daleko od domu Lawrence'ów. Joanna doskonale wiedziała, czym podyktowana była taka decyzja, lecz nie protestowała.

Czas na pożegnanie

195

Popołudnie minęło nie wiadomo kiedy i nastąpiła pora kolacji. Tym razem jedli na tarasie, a posiłek upłynął w identycznej atmosferze jak poprzednio. I znów Christina z Joanną składały talerze.

- Chętnie wam pomogę - zaproponowała April już po raz drugi. - Pozwólcie mi się do czegoś przydać.

- Nie ma mowy - odparła Joanna. - Jesteś gościem. We dwie doskonale damy sobie radę.

- A poza tym - przyłączyła się Christina - chcemy poplotkować w cztery oczy, jak siostra z siostrą.

- Oczywiście - poparła ją gładko Joanna.

Z pełnymi tacami poszły do kuchni. Na tarasie zostali tylko April z Joshem.

Joshua upił łyk kawy i spojrzał na swą towarzyszkę ze znaczącym uśmiechem.

- I co myślisz o starszej siostrze? - spytał.

- Cóż... Z pewnością to osoba, która przyciąga uwagę... Jest piękna, inteligentna, ma cięty język, poczucie humoru, ale... - Spuściła wzrok i lekko wzruszyła ramionami.

- Ale...?

- Wydaje się apodyktyczna, dumna i ma pogardliwy stosunek do reszty świata... - podniosła na Josha niepewne spojrzenie.

- Mów, mów! - zaśmiał się w głos. - Teraz nie wolno ci zamilknąć. Właśnie mnie zaciekawiłaś.

- I tak już powiedziałam za dużo - wycofała się April. - Stanowczo przekroczyłam wszelkie granice przyzwoitości.

- Daj spokój, przecież wiesz, że jesteś tu na prawach członka rodziny! - Roześmiał się znowu.

- Chociaż z rodziną, jak wiadomo, człowiek najlepiej wychodzi na zdjęciu.

- Nie chcę być niegrzeczna. Nie zamierzam jej krytykować. Przecież ja tej kobiety właściwie nie znam.

- Coś mi się zdaje, że i tak trafiłaś w dziesiątkę - stwierdził Joshua z rozbawieniem. - Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby starsza siostrzyczka tu nie zawitała. Joanna z pewnością także. Jakoś nie podejrzewam, żeby ta wizyta była jej wybitnie na rękę. Szczególnie teraz... April mimowolnie zadrżała. Straszna była myśl o czyjejs bliskiej śmierci. W dodatku odejść miała istota tak dobra, taka kochana... Joanna w zasadzie wyglądała na całkiem zdrową, jedynym sygnałem złego stanu były coraz częstsze chwile odpoczynku, toteż nic dziwnego, że trudno by u niej dostrzec śmiertelną chorobę. Nato-

96

Judith Gould

liast kiedy się o ten temat zahaczało w rozmowie, zagrożenie stawało się bardziej realne, nawet zbyt prawdziwe. Jakby słowa pod-reślały istnienie zła. April wołała zmienić temat.

- Jak tam w szklarniach? - spytała. - Joanna ostatnio nic o nich nie wspominała.

- Odpukać w niemalowane - Joshua stuknął kłykciami w blat wszystko w najlepszym porządku. Mam nadzieję, że to koniec nie-zczęść na długi czas. - Podniósł na April pogodne spojrzenie.

O postępy w twojej pracy nie muszę pytać. Joanna jest pełna po-ziwu dla ciebie. Ja także. April poczerwieniała. Komplementy sprawiły jej ogromną przy-?mność, lecz jednocześnie czuła się winna.

Zawsze, kiedy Joshua mówi mi coś miłego, odnoszę wrażenie, ikbym zdradzała Joannę.

Wszystko przez to, że tak bardzo go lu-ię. I najchętniej słuchałabym go dniami i nocami...

Boże, co robić?

Christina rozparła się na skórzanej sofie Chesterfield i wyjrzała irzez okno. Wykrzywiła wargi w ironicznym uśmiechu. Długimi iaznokciami pomalowanymi krwistoczerwonym lakierem nerwowo irzeczesała włosy. Ciężkie złote bransoletki z drogimi kamieniami adźwzięwały na chudych nadgarstkach. Wypiła solidny łyk brandy zaciągnęła się papierosem.

Więc to tak, pomyślała. Dobra wróżka z grotty została na kolacji. L teraz czaruje Josha. Interesujące.

Rysy jej twarzy zastygły w wyrazie złości.

Cały ten Joshua Lawrence gównu mnie obchodzi, ale niech mnie zlag, jeśli jakaś wścibska przybłęda będzie się plątała po moim ro-[zinnym domu! Genialna projektantka pozał się Boże! Artystka! fuż ja szybciotko zakończę te jej gościnne występy!

Wściekłym ruchem zgasila papierosa, zerwała się na równe nogi ruszyła na taras. W drzwiach omal nie wpadła na siostrę wraca-ącą z łazienki.

- Dokąd tak pędzisz? - zdziwiła się Joanna.

- Na taras. Widzę, że Joshua wyjątkowo miło spędza czas z tą :ałą April. - Znacząco uniosła brew.

- Daj im spokój - zaśmiała się Joanna. - Nic złego się nie dzieje. \. my wreszcie mamy okazję spokojnie porozmawiać.

Christina z ociąganiem wróciła na wielką skórzaną sofę.

Ii

Czas na pożegnanie

197

- A co to właściwie za imię, „April”...!

- Nie irytuj się, nie ma powodu. Ona naprawdę jest najmilszą istotą pod słońcem.

- Pewnie! - Christina zapaliła kolejnego papierosa i wypuściła w powietrze długą smugę dymu. - Jak myślisz, rżnie się z tym swoim przystojniakiem?

- Nie mam zielonego pojęcia - odparła Joanna, lekko zirytowana. Nie podobało jej się zainteresowanie siostry Woodym. Zżymała

się w duchu, bo Christina była pod tym względem taka sama jak jej eksmężowie: oni szukali przygód, stale zmieniając partnerki, najczęściej na coraz młodsze, ona chętnie zabawiała się z chłopcami.

Joanna stanowczo nie życzyła sobie komplikacji w postaci romansu siostry z pomocnikiem April. O, nie. Nagle uświadomiła sobie, że jest tylko jedno wyjście z tej sytuacji. Od dawna już miała w głowie pewien plan, dotyczący gburowatego pana Woody'ego Pearl-mana.

Wystarczy, że wprowadzi go w życie nieco wcześniej, niż zamierzała. I w ten sposób upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Zadowolona z siebie odwróciła się do siostry, gotowa poświęcić jej całą uwagę.

- To jak, kochanie - zapytała - długo planujesz u nas zostać?

96

Judith Gould

liast kiedy się o ten temat zahaczało w rozmowie, zagrożenie stawało się bardziej realne, nawet zbyt prawdziwe. Jakby słowa pod-reślały istnienie zła. April wołała zmienić temat.

- Jak tam w szklarniach? - spytała. - Joanna ostatnio nic o nich nie wspominała.

- Odpukać w niemałowane - Joshua stuknął kłykciami w blat wszystko w najlepszym porządku. Mam nadzieję, że to koniec nie-

zczęść na długi czas. - Podniósł na April pogodne spojrzenie. O postępy w twojej pracy nie muszę pytać. Joanna jest pełna po-[ziwu dla ciebie. Ja także.

April poczerwieniała. Komplementy sprawiły jej ogromną przy-smność, lecz jednocześnie czuła się winna.

Zawsze, kiedy Joshua mówi mi coś miłego, odnoszę wrażenie, akbym zdradzała Joannę.

Wszystko przez to, że tak bardzo go lu->ię. I najchętniej słuchałabym go dniami i nocami...

Boże, co robić?

* * *

Christina rozparła się na skórzanej sofie Chesterfield i wyjrzała przez okno. Wykrzywiła wargi w ironicznym uśmiechu. Długimi paznokciami pomalowanymi krwistoczerwonym lakierem nerwowo przeczesła włosy. Ciężkie złote bransoletki z drogimi kamieniami zadźwięczały na chudych nadgarstkach. Wypiła solidny łyk brandy zaciągnęła się papierosem.

Więc to tak, pomyślała. Dobra wróżka z groty została na kolacji. \ teraz czaruje Josha.

Interesujące.

Rysy jej twarzy zastygły w wyrazie złości.

Cały ten Joshua Lawrence gównie mnie obchodzi, ale niech mnie szlag, jeśli jakaś wścibska przybłęda będzie się plątała po moim rodzinnym domu! Genialna projektantka pożał się

Boże! Artystka! Już ja szybciotko zakończę te jej gościnne występy!

Wścickłym ruchem zgasiła papierosa, zerwała się na równe nogi i ruszyła na taras. W drzwiach omal nie wpadła na siostrę wracającą z łazienki.

- Dokąd tak pędzisz? - zdziwiła się Joanna.

- Na taras. Widzę, że Joshua wyjątkowo miło spędza czas z tą całą April. - Znacząco uniosła brew.

- Daj im spokój - zaśmiała się Joanna. - Nic złego się nie dzieje. A my wreszcie mamy okazję spokojnie porozmawiać.

Christina z ociąganiem wróciła na wielką skórzaną sofę.

II

Czas na pożegnanie

- A co to właściwie za imię, „April”...!

- Nie irytuj się, nie ma powodu. Ona naprawdę jest najmiłszą istotą pod słońcem.

- Pewnie! - Christina zapaliła kolejnego papierosa i wypuściła w powietrze długą smugę dymu. - Jak myślisz, rżnie się z tym swoim przystojniakiem?

- Nie mam zielonego pojęcia - odparła Joanna, lekko zirytowana. Nie podobało jej się zainteresowanie siostry Woodym. Zżymała się w duchu, bo Christina była pod tym względem taka sama jak jej eksmężowie: oni szukali przygód, stale zmieniając partnerki, najczęściej na coraz młodsze, ona chętnie zabawiała się z chłopcami.

Joanna stanowczo nie życzyła sobie komplikacji w postaci romansu siostry z pomocnikiem April. O, nie. Nagle uświadomiła sobie, że jest tylko jedno wyjście z tej sytuacji. Od dawna już miała w głowie pewien plan, dotyczący gburowatego pana Woody'ego Pearl-mana.

Wystarczy, że wprowadzi go w życie nieco wcześniej, niż zamierzała. I w ten sposób upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Zadowolona z siebie odwróciła się do siostry, gotowa poświęcić jej całą uwagę.

- To jak, kochanie - zapytała - długo planujesz u nas zostać?

Rozdział dwudziesty drugi

Joshua bez tchu wpadł do domu i pognął od razu do sypialni. Za-armowany telefonem od April całą drogę ze szklarni gnał, jakby) wszyscy diabli gonili.

Przyjaciółka wyszła naprzeciw i zanim zdążył się odezwać, położyła palec na ustach.

- Zasnęła - powiedziała szeptem.

- Ale... Ale... co się stało? - Z trudem łapał oddech. Pogładziła go po ramieniu.

- Zejdźmy na dół - zaproponowała. Wzięła go za rękę i poprowadziła do schodów. Gest ten był tak naturalny, że żadne nie zwróciło i niego uwagi.

Razem wyszli na taras i usiedli przy tekowym stole.

- Mów, proszę. Co się stało? - Joshuę dławiał strach. April uściśnęła go za rękę, chcąc dodać mu sił.

- Byłyśmy w grocie - odezwała się cicho - gdy nagle Joannę pokornie rozboleła głowa. Miała też zaburzenia wzroku. Od razu za-woniłam po lekarza. Nie było go w gabinecie, więc nalegałam, y go wezwano przez pager. - Odetchnęła głęboko, by odzyskać wnowagę. - Zgodnie z jego zaleceniami dałam jej silne środki zeciwbólowe oraz tabletki nasenne. Powiedział, że będzie dłuższy as głęboko spała, a po przebudzeniu powinna się czuć dużo lepiej.

Joshua nie odrywał wzroku od jej twarzy. Poglądził April po dłoni.

- Bogu dzięki, że jesteś z nami! Wiem... wiem, że mamy przed bą bardzo trudny okres, szczególnie pod koniec... Nie musisz m pomagać. Znajdę pielęgniarkę...

- Daj spokój - obruszyła się April. - Mowy nie ma. Joanna przez większość czasu czuje się zupełnie dobrze. Mnie sprawia przyjemność jej towarzystwo przy pracy, więc tak czy inaczej, mam na nią oko. Niepotrzebna tu żadna dodatkowa osoba.

- Doceniam twoje dobre chęci...

- Obiecuję ci, że będę się opiekowała Joanną. Daję słowo. Joshua spojrział na nią z wdzięcznością. Cudowna kobieta. Teraz

zauważył, że April ma na sobie roboczy strój, włosy w nieładzie i cała jest obsypana białym cementowym pyłem.

- Oderwałem cię od pracy...

- Och, daj spokój. Przecież to najmniej istotne!

- Niby są rzeczy ważniejsze... - Zmarszczył brwi. - A gdzie się podziały Christina i Connie?

- Nie wiem. Joanna wspomniała tylko, że Christina znowu gdzieś zniknęła. Connie była rano, sprzątała trochę, a potem chyba wybrała się po zakupy.

- I nadal jej nie ma?

- Nie. Joanna mówiła też, że Connie ma sporo zajęcia przy Chri-stinie... To znaczy, nie drażyła tematu, tylko tak sobie rozmawiałyśmy... Akurat ustalałyśmy, które muszle będą pasować do orchidei... i tak się jakoś zgadało. - Odwróciła wzrok, bo łzy napłynęły jej do oczu. - Tak było miło i nagle... - Głos jej się załamał. - Zupełnie bez powodu...

Joshua znów ujął ją za rękę.

- April, jesteś wyjątkowo dzielna.

- Dzielna to jest Joanna.

Siedzieli w milczeniu, zatopieni w myślach. Wreszcie April spojrziała na zegarek.

- Wracam do pracy - oznajmiła stanowczo. - Miałam zamiar zajrzeć do szklarni, żeby ostatecznie zdecydować, które orchidee ozdobią grotę, ale Woody się dzisiaj nie pojawił, więc spadło na mnie sporo innych prac.

- Dlaczego nie przyszedł?

- Nie mam pojęcia. Liczyłam na niego. Pierwszy raz mu się coś takiego zdarzyło, więc zupełnie nie wiem, co o tym myśleć. Może musiał nadgonić własną robotę. - Spojrzała na Josha z uśmiechem. - Najwyraźniej taki dzisiaj pechowy dzień.

- Na to wygląda.

- Możesz spokojnie wrócić do szklarni. Zajrzę do Joanny od czasu do czasu. Lekarz powiedział, że będzie długo spała, więc i tak w niczym jej teraz nie pomożesz, a ja jestem pod ręką, tak czy inaczej.

Judith Gould

- Kochana jesteś, ale nie pojedę już dzisiaj do firmy. Zadzwońię Carla, niech się zajmie interesami, a ja może spróbuję coś osiągnąć w jaskini rozpusty.

- Ale nie masz nic przeciwko temu, żebym raz czy drugi sprawła, jak się czuje Joanna?

- Nie, oczywiście, że nie. We dwójkę będzie nam łatwiej... - Zaśmiał się. - Ciekaw jestem, czy Christina po powrocie będzie chciała się obiad.

- Jeśli nawet, to przecież jest dorosła i wie, gdzie stoi lodówka, i wda?

- Słuszna uwaga! - uznał Joshua z rozpromienioną twarzą.

Christina leżała na wielkim łożu małżeńskim, rozpięta jak motyl w gablocie. Ręce i nogi miała przywiązane do rogów stelaża, na ach tę samą barwną apaszkę od Hermesa co poprzednio. Nie wiała nic.

Drżała ze strachu i zniecierpliwienia. Choć trzykrotnie wychodziła za męża i miała wielu kochanków, nigdy w życiu nie była tak [niecona. Każdym nerwem dostroiła się do Petera, z napięciem tując odgadnąć, w jaki sposób teraz będzie sobie radził z jej nie-yconym apetytem. Teraz wyczuła jakiś ruch w pokoju, a w pewnej chwili schłodził niespodziewany powiew, jakby mgła skłębiona za oknami dostała do wnętrza i musnęła ją sinymi wstęgami. Co on robi?

Wyczuwała jego obecność, ciepło bijące od rozgrzanego ciała, go-ego bezlitośnie ją wykorzystać. Uda jej drżały z pożądania. Na-wślizgnął się w nią jego palec. Krzyknęła - zaskoczona, a jednocześnie zadowolona i natychmiast straciła resztki panowania nad sobą. Bez wahania poddała się jego woli, wiała się, dyszała, błagała ięcej.

Dłoń zniknęła, zostawiając po sobie straszną pustkę. Materac ął się po obu stronach Christiny. Od razu wiedziała, że Peter ygotowuje się do ataku. Miała rację. Wsunął dłonie pod jej polki i wbił się w nią gwałtownie.

Jej ciało natychmiast odpowiedziało orgazmem. Wyrwał jej się sny okrzyk, gdy uciekała przed nim, a jednocześnie za nim goni-ogarnięta pierwotną ekstazą, jakiej istnienia nawet nie podej-

Czas na pożegnanie

201

rzewała. Wreszcie i Peter eksplodował z jękiem, a wtedy Christina wygięła się w łuk, by poczuć jego rozkosz do końca.

Oboje leżeli bez ruchu, zdyszani jak po długim biegu. W powietrzu uniosła się ciężka woń zmęczenia, pożądania i spełnionej namiętności.

Długo trwało, nim Christina wreszcie odzyskała oddech i mogła coś powiedzieć, ale i wtedy zdobyła się tylko na westchnienie.

Peter natomiast w milczeniu zsunął się z niej i wstał z łóżka.

Co on robi? Ciągle jeszcze nie miała dosyć.

Słyszała, że chodzi po pokoju... dobiegły ją szmery, jakby się ubierał!

Co on znowu wykombinował?!

Szarpnęła więzy - bezskutecznie.

- Peter - wyszeptwała w końcu. - Co robisz?

Odpowiedziała jej cisza. Potem usłyszała lekki zgrzyt zapinanego suwaka, szcęk klamerki paska od spodni. I szelest tkaniny, gdy kochanek wkładał marynarkę.

- Peter! - Tym razem w jej głosie pobrzmiwała irytacja. - Co jest, do cholery?!

Nadal nie odpowiadał. Spróbowała się oswobodzić - na próżno.

- Peter! - krzyknęła. - Rozwiąż mnie! I wtedy usłyszała czyjś szept. Szept?!

Wyobrażenia podsunęła jej setki możliwości. Christina nie mogła myśleć logicznie, strach sparaliżował ją, pozbawił zdrowego rozsądku. Oblała się zimnym potem.

- Peter!!! - zawołała, wrywając się z całej siły. - Rozwiąż mnie! Teraz! Natychmiast! -

Zaczęła szlochać jak dziecko. - Proszę cię!

I wtedy... usłyszała śmiech.

Nie był to jednak śmiech mężczyzny.

Nie, to śmiała się kobieta. Okrutnie i szyderczo.

Przez chwilę Christina myślała, że zemdleje. Zebrała się jednak w sobie i szarpnęła więzy z całej siły. Nic to nie dało. Zaczęła się miotać jak szalona, krzyczała i płakała, błagała, by ktoś ją uwolnił.

Nagle czyjaś dłoń zakryła jej usta i ledwo mogła oddychać.

- Spokojnie, laluniu - odezwał się Peter. - Nie denerwuj się. Jestem tutaj.

Christina pisnęła przerażona.

- Teraz odsunę rękę - oznajmił - żebyś mogła swobodnie oddychać, ale jeśli chociaż miaukniesz, zatkam cię na dobre. Dotarło?

Judith Gould

orliwie pokiwała głową.

ak, tak, myślała rozpaczliwie. Zrobię wszystko, co zechcesz.

a już przestań.

Materac się poruszył, usłyszała Petera:

Idź i zaczekaj w samochodzie.

iów usłyszała śmieszek - wyraźnie kobiecy. Potem dobiegł ją

»s szybkich drobnych kroków, gdy ktoś wyszedł z pokoju.

zcie trzasnęły drzwi domku.

hristina dygotała na całym ciele, ale nie z podniecenia, tylko

;zerpania i strachu.

fter wstał z łóżka.

Teraz cię rozwiążę, laluniu - powiedział. - A potem wychodzę.

3SZ?

3z słowa pokiwała głową.

•ęcznie uwolnił jej nogi. Radził sobie z tym równie dobrze jak wiązaniem. Przesunął się po łóżku i oswobodził lewą rękę itiny. Wreszcie mogła poruszyć stopami, aby przywrócić krąże-' zdrewniałych kończynach.

No to znikam - oznajmił. - Zatrzaśnij za sobą drzwi. Ale co... Kto to...

Rób, co ci mówię. - W głosie mężczyzny zabrzmiał groźny ton. tdnych pytań.

Peter... - zakwiliła żałośnie. - Kto to był? I... co z nami? Z jakimi „nami”? - roześmiał się szyderczo. - Nie jesteś mi już ebna. Zapomnij o mnie. A jak będziesz się naprzykrzać, gorz- iżałujesz, jasne?

ie wierzyła własnym uszom. Z wściekłości aż jej pociemniało ;ach. Chętnie by się na niego rzuciła, gryzła i drapała, rozdarła i strzępy! Strach jest jednak potężną siłą, więc nie pisnęła słó-li nie drgnęła. Ciao - rzucił Peter.

słyszała, jak wychodzi z pokoju, a następnie zamyka frontowe i.

;wą ręką ściągnęła apaszkę z oczu. Nie było to łatwe, bo Peter iżał ją naprawdę mocno.

Zamrugła kilka razy, nim wzrok na przyzwyczał się do światła. Rozejrzała się dookoła.

Oczywi-dkogo nie zobaczyła.

ajszybciej jak mogła oswobodziła prawą rękę. Potrząsając nią ierając nadgarstki, zerwała się na równe nogi i pognąła do drzwi iowych. Otworzyła je, wyrzała ostrożnie zza framugi.

Niestety,

Czas na pożegnanie

203

parking przesłaniała mgła. Nie było widać niczego i nikogo. Tylko ptasie krzyki przeszywały niebo, śląc w powietrze przenikliwą skargę.

Wróciła do sypialni. Ubrała się, usiadła na łóżku i skryła twarz w dłoniach. Po policzkach spływały jej zdradliwe ciche łzy, potem dołączył się do nich szloch, jeden i drugi, aż wreszcie wrzasnęła ze złości i miotała się, waląc pięściami w materac.

W końcu gniew się wypalił. Wyczerpana, obolała, długi czas leżała bez ruchu.

Wreszcie wstała i ruszyła chwiejnym krokiem do łazienki. Włączyła światło, spojrzała w lustro.

Piękny widok!

Wyszarpnęła kilka chusteczek z kartonika ustawionego na blacie, by zetrzeć rozmazany tusz.

Wróciła do sypialni po torbę i wyłowiła z niej po kolei wszystkie kosmetyki niezbędne do zrobienia makijażu.

Znów popatrzyła na siebie w lustrze. Najpierw podkład, potem róż, tusz i szminka. Nie było to łatwe, bo ręce wciąż jej drżały, ale w końcu osiągnęła cel. Wrzuciła kosmetyki do torby i już miała zgasić światło, gdy przyszła jej do głowy całkiem nowa myśl. Ponownie wyjęła ołówek do brwi i zastygła przed lustrem z narzędziem zemsty w dłoni.

Nie, to na nic, pomyślała. Za łatwo wyczyścić.

Wróciła do sypialni i weszła na łóżko. Zdjęła ze ściany krajobraz morski, prawdziwy landszaft i z całej siły cisnęła nim w lustro na drzwiach szafy. Srebrna tafla pokryła się gęstą pajęczyną, okruchy szkła poleciały na podłogę.

Dobrze. Bardzo dobrze, pomyślała z zadowoleniem, choć w tej satysfakcji nie było ani odrobiny radości.

Kawałkiem szkła pracowicie wydrapała w tynku duże litery, pogrubiając je kilkakrotnie.

Wreszcie usiadła na łóżku, wsunęła stopy w pantofle, podniosła z podłogi torbę i poszła do drzwi. W progu odwróciła się jeszcze i obrzuciła taksującym spojrzeniem swoje dzieło. Nad wezłowiem widniały trzy słowa: WAL SIĘ SAM. Niżej, pośrodku - tylko jedno:

ZŁAMASIE. Od niego prowadziła w dół strzałka, wskazująca łóżko.

Zadowolona z efektu, zarówno literackiego, jak i artystycznego, Christina odwróciła się, wyszła z domku i spokojnie zamknęła za sobą drzwi.

Czas na pożegnanie

205

Rozdział dwudziesty trzeci

amienie słońca przedarły się przez mgłę i rozsiały w jadalni zło-ilask. Joshua wyszedł już do pracy, Connie sprzątała na piętrze. 11 zajrzała tylko na chwilę, przywitała się w biegu i pomknęła do ty. Od kilku dni pracowała sama, bo Woody nie wiedział, w co jierw ręce włożyć u siebie w zakładzie. Miał się pojawić dopiero rzyszłym tygodniu. Dlatego też siostry tylko we dwie popijały poranną kawę.

- Cudownie się dzisiaj czuję - powiedziała Joanna. Minął ty-;ń od pamiętnego bólu głowy i kłopotów z widzeniem, więc epi-, choć przerażający, zaczynał nabierać kształtów odległego tomnienia. - Dzwoniłaś do Vincenta?

- A, owszem. Wczoraj wieczorem, kiedy mi wspomniałaś, że je-s poumawiana i cały dzień masz zajęty, już nie miałam siły go ;ać, ale dzisiaj wstałam o bladym świcie i od razu go złapałam, hristina zabębniła nerwowo paznokciami o blat.

- Już nie spał?

- Dziwne, ale nie spał. Coś tam napomknął, że kto rano wstaje... raczej o inne dawanie mu chodziło. Podejrzewam aluzję do na-ków.

Młodsza siostra uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Dziwisz mnie trochę - wyznała - bo włosy masz idealne. - Nie knął jej uwagi także nienaganny makijaż. - Nawet jeśli Vincent . taki dobry, jak mówią, nie bardzo widzę, co właściwie miałby irawiać.

Christina pogładziła dłonią nienaganną fryzurę.

- Kochana, włosy nigdy nie są idealne. A Vincent, chociaż mieszka w dziurze zabitej dechami, jest jednym z najlepszych fryzjerów na świecie. Dzięki niemu wyglądam, jakbym nie robiła nic szczególnego z włosami, a efekt jest. Znać rękę mistrza.

- Aha, rozumiem - bąknęła Joanna, niespecjalnie zainteresowana tematem. Nie pojmowała, jak można tyle pieniędzy i czasu poświęcać na poprawianie urody. Przecież to strasznie nudne. Chyba że... to właśnie nuda prowadzi do obsesji na temat wyglądu.

- Szkoda, że nie możesz ze mną jechać - powiedziała Christina, nawet nie pytając, czy siostra chciałyby się z nią wybrać. - Vincent na pewno zrobiłby coś z twoimi włosami.

- Będę dziś bardzo zajęta, nie mam ani jednej wolnej chwili. Poza tym lubię się strzyc u Jonathana.

- Ależ on cię obcina zawsze tak samo! - wykrzyknęła Christina z oburzeniem.

-1 bardzo dobrze.

- Koszmar!

- Jeśli chcesz, podrzucę cię do fryzjera - zaproponowała Joanna. - Chyba że wolisz jechać własnym wozem.

- Czyja wiem... - zastanowiła się Christina. - Może zajrzę jeszcze do jakiegoś sklepu... Lepiej jedźmy osobno. - Zniżyła głos. - Czy jesteś pewna, że poradzisz sobie sama? Jeśli wolisz, zostanę w domu albo pojedę z tobą.

- Nie, nie trzeba - odparła Joanna. - Dzięki za troskę, ale na pewno wszystko będzie w porządku. Jedź śmiało.

- Jak uważasz. - Christina wstała i przeciągnęła się. - Wezmę zakiet i jadę. Vincent nie lubi czekać. - Pochyliła się i cmoknęła powietrze obok policzka siostry. - Trzymaj się.

- Cześć. Baw się dobrze.

- Jasne! - zaświergotała i wyszła.

Joanna czas jakiś jeszcze siedziała zapatrzona w okno i pogrążona w rozmyślaniach. Christina ostatnio zachowywała się dziwnie. Ze dwa razy wyglądała na zapłakaną, ale kiedy Joanna ją o to spytała, smutek skończył się natychmiast i starsza siostra zaczęła dla odmiany demonstrować nieoczekiwaną wesołość. Co dziwne, wiecznie była czymś zajęta, właściwie ciągle gdzieś znikwała. A to robiła wypadki do pobliskich sklepów, a to umawiała się z przyjaciółmi, o których Joanna pierwszy raz słyszała, co chwilę biegła do fryzjera... Zdumiewała siostrę i szwagra co krok.

Judith Gould

Cóż, dopóki jest zadowolona z życia, wszystko w porządku, po-ślała Joanna. Muszę się zająć własnymi sprawami. Czas ucieka, i nie mam chwili do stracenia.

* * *

Joanna szybko pokonała zdradliwą górską drogę. Po dziesięciu nutach znalazła się w banku. Pewnych transakcji nie sposób zrobić przez telefon ani za pośrednictwem Internetu.

Wróciła do samochodu z dużą, wypchaną kopertą w torbie.

Ruszyła do Capitoli, gdzie cieszyły oko wiktoriańskie domy jastelowych kolorach, a w licznych butikach oferowano po zawyżonych cenach rękodzieła okolicznych mieszkańców.

Ponieważ był środek tygodnia, bez trudu zaparkowała dosłownie przed wejściem do pracowni Woody'ego.

Wyprostowała się dumnie i gotowa na wszystko weszła do idka.

Za kontuarem siedziała jakaś nastolatka. Jej długie tlenione asy kontrastowały z piękną opalenizną.

- Dzień dobry - odezwała się grzecznie. - W czym mogę pomóc?

- Chciałabym porozmawiać z panem Pearlmanem.

- Nie ma go.

- Jest w domu?

- Nie wiem... - Nastolatka była wyraźnie zbита z tropu. - Chęć-s przekażę mu wiadomość...

Joanna zmierzyła ją uważnym spojrzeniem. Dziewczyna kłama-to więcej niż pewne.

- Nie, dziękuję, zajrzę później.

Po wyjściu ze sklepu od razu skręciła za róg budynku. Woody ał mieszkanie nad zakładem.

Wiedziała, bo któregoś dnia zgada-się z April na ten temat.

Drewniane, poszarzałe od słońca zewnętrzne schody okazały się rdzo strome. Wzięła głęboki oddech.

Nie ma rady, naprzód.

Udało jej się dotrzeć na górę bez niemiłych przygód. Otworzyła rdzewiałe drzwi z siatki i zastukała w drewnianą ramę, z której łażyła farba. Cisza. Zapukała głośniej. I tym razem nikt się nie jawił.

Wtedy zauważyła niegdyś biały, umocowany na framudze przy-ik dzwonek. Wcisnęła go, choć nie miała szczególnej nadziei, że to

Czas na pożegnanie

207

cokolwiek da. Ku jej zdumieniu gdzieś w mieszkaniu zabrzmiał głośny brzęczyk.

Po chwili drzwi się uchylily, a Woody wytknął głowę przez szparę. Czarne wielkie oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia, ale szybko wziął się w garść i zrobił swoją zwykłą, zblazowaną minę.

- Sie masz - wycodził, ledwo otwierając usta. - Co jest?

- Chciałabym z tobą porozmawiać.

- Trochę jakby zajęty jestem.

- Mam do ciebie pewną sprawę - oświadczyła Joanna. - Powiedzmy, że jeśli nie znajdziesz dla mnie kilku minut, przejdzie ci koło nosa niebagatelna suma.

- Chwilunia. Coś na siebie wrzucę.

- Dobrze, zaczekam. - Dopiero teraz Joanna spostrzegła, że młody mężczyzna przytrzymuje ręcznik na biodrach.

Zniknął, ale nie zamknął drzwi. Mimo to czekała cierpliwie na zewnątrz. Czowała obrzydzenie na samą myśl o tym, co zamierzała zrobić, ale niekiedy człowiek musi działać wbrew swoim najświętszym zasadom.

Woody wrócił i otworzył szerzej drzwi.

- No, już - rzucił, wskazując kciukiem za siebie. Najwyraźniej było to zaproszenie.

Weszła więc i rozejrzała się ciekawie. Została mile zaskoczona widokiem pięknych, starannie oprawionych rysunków oraz przyciągających wzrok reprodukcji, zajmujących właściwie całe ściany. Większość stanowiły dzieła miejscowych artystów. Umeblowanie było dość kosztowne, zarazem nowoczesne i funkcjonalne. Gdzieś z głębi mieszkania dobiegał jazz, wygłuszony przez zamknięte drzwi.

- Tylko nie za długo, bo muszę zaraz iść do pracowni - odezwał się Woody.

- Dobrze.

Nie bardzo wiedziała, jak zacząć.

- No, o co chodzi? - Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Ubrany tylko w workowate szorty, wydawał się wyższy i bardziej muskularny niż w grocie. Czarne włosy kłębiły się gęstą masą, ciemne oczy rzucały niepokojące błyski.

- Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy - odezwała się Joanna niepewnie - ale muszę ci zadać osobiste pytanie.

- No? - Zmierzył ją hardym spojrzeniem. Ręce założył na piersiach i zakołysał się na piętach. Najwyraźniej bawił go jej brak pew-

08

Judith Gould

ości siebie, ale sam też był podenerwowany. - Ja tam nie mam żadnych tajemnic - oświadczył.

- Strzelaj.

- Czy kochasz April? - spytała Joanna prosto z mostu. Zamarł na chwilę w bezruchu. Potarł policzek i odwrócił wzrok.

Areszcie spojrzał na nią butnie.

- Nie twój interes.

- Podobno nie masz żadnych tajemnic - przypomniała.

- Bo nie mam.

- Wobec tego...

- To jest pytanie zbyt osobiste. Ale skoro tak bardzo chcesz wie-Izieć, to... Owszem, może być, że kocham April.

- Może być? - powtórzyła Joanna jak echo. - Czyli nie jesteś pewien? - W napięciu czekała na odpowiedź. Przyszła tutaj święcie irzekonana, że Woody jest egoistycznym łobuzem, zimnym uwodzi-icielem, słucha jedynie testosteronu i żyje w przekonaniu, że żadna kobieta mu się nie oprze.

- W sumie... - podrapał się po głowie... - Znam April nie od dzisiaj, byłem kumplem jej eks i w ogóle. Mądra z niej kobieta, praw-[ziwa artystka i niczego sobie... - Wzruszył ramionami. Kawał lodu w żołądku Joanny natychmiast stopniał. Już wie-[ziała, że wygra.

- A co ona czuje do ciebie?

- Traktuje mnie jak przyjaciela - odparł bez wahania. - Albo jak tarszego brata. - Wyszczерzył zęby w uśmiechu. - Tyle tylko że itarszy brat zwykle nie rżnie siostrzyczki.

Joanna skrzywiła się lekko.

- O ile mi wiadomo, nigdy do tego nie doszło. Woody spochmurniał.

- Skoro tak cholernie dużo wiesz, to po co pytasz? - Znów zaczął iię kołysać na piętach. - A poza tym, kto wie, może jej się to spodo-jać, nie? Wszystkim innym się podoba.

Te przechwałki nie zrobiły na niej wrażenia. Ani jej nie wystra-

yy

- Chcę, żebyś zostawił April - powiedziała. - Żebyś od niej odszedł. Żebyś wymyślił jakąś zgrabną historyjkę i zniknął z jej życia, itaz na zawsze.

- Palma ci odbiła?

- Mówię zupełnie poważnie. Jestem gotowa ci zapłacić. Znik-liesz z jej życia?

- Chcesz mi zapłacić?

Czas na pożegnanie

209

- Jeśli znikniesz z życia April na zawsze.

- Wariatka.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Sformułuję je inaczej. Czy jesteś gotów w zamian za pięćdziesiąt tysięcy dolarów raz na zawsze usunąć się z życia April?

- Pięćdziesiąt patyków? - powtórzył Woody osłupiały. Joanna w milczeniu skinęła głową.

- Poważnie?

Skinęła głową po raz drugi.

Wbił wzrok w podłogę. Fala kręconych włosów opadła mu na czoło. W końcu podniósł spojrzenie na Joannę.

- Niech będzie. Pięćdziesiąt kawałków i już mnie nie ma.

- Zadzwonisz do niej z jakąś wiarygodną wymówką i nigdy więcej się nie spotkacie.

- Dobra. Zadzwoń. Dzisiaj wieczorem. Powiem jej, że spotkałem swój ideał. I że musi się trzymać ode mnie z daleka, bo w przeciwnym razie moja lalunia będzie zazdrosna i mnie rzuci. Zniknę z życia April Woodward raz na zawsze.

Joanna uznała, iż może mu wierzyć, chociaż był bezdyskusyjnym łajdakiem. Wyjęła z torby grubą brązową kopertę.

- Proszę.

Nie chciał sprawić jej satysfakcji, ale ciekawość zwyciężyła. Od-darł brzeg opakowania.

Rzeczywiście, pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- I nikomu ani słowa - dodała. - Jeśli zdradzisz się przed April, i tak nie będziesz miał u niej szans, bo natychmiast dowie się ode mnie, że wzięłeś pieniądze.

Woody niedbale rzucił kopertę na kanapę. Joanna powiodła za nią wzrokiem i osłupiała. Na podłodze ujrzała parę czarnych sandałków na wysokim obcasie, od Gucciego, takich samych jak Chri-stiny. Na siedzisku leżał niedbale rzucony skórzany zakiet, biały, w czarne łaty, również od Gucciego i także identyczny z tym, jaki Joanna widziała u siostry. A na zakiecie - czarna skórzana torebka. Rzecz jasna, od Gucciego. I oczywiście identyczną miała Christina. Woody dostrzegł jej spojrzenie, zrozumiał wyraz twarzy.

- Tak to właśnie jest. - Bezczelnie wzruszył ramionami. - Lecą na mnie. Wszystkie.

- Oprócz April - odparowała Joanna z krzywym uśmiechem. Odwróciła się i wyszła.

Woody stanął na progu.

- A gdybym się nie zgodził?

Judith Gould

- Nie było takiej możliwości.

Spiesznie pokonała strome schody, wsiadła do auta, uruchomiła Lik i niecierpliwie wcisnęła gaz. Chciała się jak najszybciej odda- od Woody'ego i zapomnieć o scenie, w której właśnie brała udział. Choć sama ją wyreżyserowała, czuła do siebie wstręt, była retydzona. A jeszcze przy okazji zyskała niechciany dowód wąt- wej konduity swojej siostry.

Boże jedyny, chyba jesteśmy bardziej podobne do siebie, niż by- ym skłonna przyznać. Jedna daje łapówki, druga ma nieciężkie rzaje...

Światło na skrzyżowaniu zmieniło się na zielone. Joanna wcis- a pedał gazu do oporu. Byle szybciej wrócić do domu, wziąć gorą- prysznic, splukać z siebie wstrętne wspomnienia.

Z pewnością nie mam prawa odsądzać Christiny od czci i wiary. i jestem od niej lepsza. Nigdy dotąd nie upadłam tak nisko. Da- i łapówkę! Przekupiłam człowieka, któremu April ufała, mimo zelkich jego wad.

Tak czy inaczej, nie żałowała tego kroku. Dzięki niemu skutecz- i usunęła z życia przyjaciółki konkurencję, ułatwiając drogę ihowi.

Natomiast zaskoczyła ją Christina.

Co ona wyprawia...?

W końcu doszła do wniosku, że nie powinno jej to obchodzić.

•ody zniknie z życia April i tylko to się liczy. A przy okazji pozna- prawdziwy charakter tego człowieka.

Chociaż zachowała się podle, nie żałowała swojego uczynku, po- ;waż przyświecał jej szczytny cel. Dobrze zrobiła. To oczywiste.

Rozdział dwudziesty czwarty

M,

/inąwszy mostek przy basenie, Joanna dostrzegła Christinę rozciągniętą na leżaku. Ogromny słomiany kapelusz zasłaniał jej głowę, wielkie okulary przeciwsłoneczne zakrywały prawie całą twarz. Czytała jakiś kolorowy magazyn. Miała na sobie pomarańczowe bikini i smażyła się na słońcu, nie myśląc o skutkach starzenia się skóry.

- O, już wstałaś - odezwała się na widok Joanny. - Jak się dzisiaj czujesz, kochanie?

- Dobrze.

- Na pewno? -Tak.

- Masz ochotę przejrzeć włoskie wydanie „Vogue”? Prezentują kolekcję zimową.

- Nie, dziękuję. Idę do groty, porozmawiać z April.

- Aha. Nie pobrudź się cementem. Lepiej byłoby, gdybyś została na słońcu. Zobacz, jak tu przyjemnie.

- Nie przyzwyczajaj się za dużo - odrzekła Joanna, obrzucając ją chłodnym spojrzeniem. - Wyjeżdżasz stąd najdalej jutro z samego rana.

Christina opuściła czasopismo na kolana i zsunęła okulary.

- Nie rozumiem...

- Wyraziłam się zupełnie jasno. Powiedziałabym ci wczoraj, ale wróciłaś tak późno, że już się nie widziałyśmy.

- Bo widzisz... Ja...

- Nie musisz się tłumaczyć. Po prostu pakuj manatki. Jutro po śniadaniu się pożegnamy. I bez ciebie nie wiem, w co najpierw ręce włożyć.

Judith Gould

- Nie było takiej możliwości.

Spiesznie pokonała strome schody, wsiadła do auta, uruchomiła lik i niecierpliwie wcisnęła gaz. Chciała się jak najszybciej oddać od Woody'ego i zapomnieć o scenie, w której właśnie brała udział. Choć sama ją wyreżyserowała, czuła do siebie wstręt, była ystydzona. A jeszcze przy okazji zyskała niechciany dowód wątlej konduity swojej siostry.

Boże jedyny, chyba jesteśmy bardziej podobne do siebie, niż by-ym skłonna przyznać. Jedna daje łapówki, druga ma niecieężkie rczaje...

Światło na skrzyżowaniu zmieniło się na zielone. Joanna wcis-a pedał gazu do oporu. Byle szybciej wrócić do domu, wziąć gorą-prysznic, spłukać z siebie wstrętne wspomnienia. Z pewnością nie mam prawa odsądzać Christiny od czci i wiary. i jestem od niej lepsza. Nigdy dotąd nie upadłam tak nisko. Da-a łapówkę! Przekupiłam człowieka, któremu April ufała, mimo zelkich jego wad.

Tak czy inaczej, nie żałowała tego kroku. Dzięki niemu skutecz-z! usunęła z życia przyjaciółki konkurencję, ułatwiając drogę showi.

Natomiast zaskoczyła ją Christina. Co ona wyprawia...?

W końcu doszła do wniosku, że nie powinno jej to obchodzić, lody zniknie z życia April i tylko to się liczy. A przy okazji pozna-prawdziwy charakter tego człowieka.

Chociaż zachowała się podle, nie żałowała swojego uczynku, po-;waż przyświecał jej szczytny cel. Dobrze zrobiła. To oczywiste.

Rozdział dwudziesty czwarty

/Winąwszy mostek przy basenie, Joanna dostrzegła Christinę rozciągniętą na leżaku.

Ogromny słomiany kapelusz zasłaniał jej głowę, wielkie okulary przeciwsłoneczne zakrywały prawie całą twarz. Czytała jakiś kolorowy magazyn. Miała na sobie pomarańczowe bikini i smażyła się na słońcu, nie myśląc o skutkach starzenia się skóry.

- O, już wstałaś - odezwała się na widok Joanny. - Jak się dzisiaj czujesz, kochanie?

- Dobrze.

- Na pewno? -Tak.

- Masz ochotę przejrzeć włoskie wydanie „Vogue”? Prezentują kolekcję zimową.

- Nie, dziękuję. Idę do groty, porozmawiać z April.

- Aha. Nie pobrudź się cementem. Lepiej byłoby, gdybyś została na słońcu. Zobacz, jak tu przyjemnie.

- Nie przyzwyczajaj się zaudto - odrzekła Joanna, obrzucając ją chłodnym spojrzeniem. -
Wyjeżdżasz stąd najdalej jutro z samego rana.

Christina opuściła czasopismo na kolana i zsunęła okulary.

- Nie rozumiem...

- Wyraziłam się zupełnie jasno. Powiedziałabym ci wczoraj, ale wróciłaś tak późno, że już się
nie widziałyśmy.

- Bo widzisz... Ja...

- Nie musisz się tłumaczyć. Po prostu pakuj manatki. Jutro po śniadaniu się pożegnamy. I bez
ciebie nie wiem, w co najpierw ręce włożyć.

Judith Gould

Ue...

vTie ma o czym dyskutować - ucięła Joanna.

nęła ją i poszła do grotty. Nie zamierzała rozmawiać z siostrą
;orajszych wypadkach. Nie miała pojęcia, co jej powiedział
f, i wcale jej to nie obchodziło. Chciała tylko pozbyć się Christiny
IU.

iril stała na drabinie. Pracowała dziś sama. Powitała Joannę
iechem.

]zęść, miło mi cię widzieć. Chcesz zobaczyć szkice orchidei?

\ie tu pięknie! - Joanna ogarnęła gestem całe wnętrze. - Wiem,
iwiłam to już sto razy, ale powtórzę sto pierwszy: grotta jest
nie ładniejsza, niż przypuszczałam.

Fak już mówiłam sto razy i powtórzę sto pierwszy, masz w tym
iły udział - odparła April.

anna przetarła krzesło papierowym ręcznikiem i usiadła.

jdzie Woody? - spytała niby to mimochodem. - Nie pomaga ci
j?

iril zeszła z drabiny.

Saraz ci wszystko opowiem, zczekaj chwilę. Przyda mi się pa-nut odpoczynku. - Zdjęła kitel,
ściagnęła rękawice i przetarła wilgotnym ręcznikiem. Wreszcie nałała wody do szklanki,
lijesz się? SFie, dziękuję.

iril z przyjemnością wypła kilka solidnych łyków, po czym unęła sobie plastikowe krzesło i
usiadła. Najwyższy czas na przerwę - uznała.

S[ie chcę ci przeszkadzać - zaczęła się tłumaczyć Joanna - ty-prostu uwielbiam patrzeć, jak pracujesz, ^ie przeszkadzasz mi - zapewniła ją April. - Jeśli już, to y miewał jakieś anse. NTo tak. Chyba za mną nie przepada.

Możesz się tym już nie przejmować. Sprawa umarła śmiercią alną - oznajmiła April. Fakto? Woody był uprzejmy zadzwonić do mnie z informacją, że się iuje z układu. Nie nadała z własną robotą, więc musi sobie od-z moją. Ale to nie wszystko! - Uniosła w górę palec wskazują-Wyznał mi też, że poznał jakąś wyjątkową kobietę, fantastycz-iealną, jedyną. Wobec czego nie będzie się ze mną więcej wał - zakończyła ze wzruszeniem ramion.

Czas na pożegnanie

213

- Widzę, że nie spędza ci to snu z powiek. Chociaż pewnie będzie ci go brakowało. W końcu byliście przyjaciółmi.

- Szczerze mówiąc, mam mieszane odczucia - przyznała April. - Z jednej strony, przyzwyczaiałam się do naszego układu. Woody pocieszał mnie, kiedy miałam chandrę, zapraszał do kina czy na kolację, dzięki niemu nie byłam samotna.

- Tak, wspominałaś.

- Rzecz w tym, że od jakiegoś czasu zaczął mnie irytować. Zrobiło się go koło mnie jakoś za dużo, za bardzo się kleił. Nie chciałam go odpychać ani specjalnie trzymać na dystans, bo bałam się go urazić. Muskulaturę ma imponującą, ale nie grzeszy nadmiarem pewności siebie.

- Na pewno jakoś dałby sobie radę. April pokiwała głową.

- I to chyba dość szybko. - Uśmiechnęła się szeroko. - Opowiadał mi o swoich niezliczonych podbojach... Zresztą, kobiety zawsze leciały do niego jak pszczoły do miodu. Widziałam na własne oczy.

- Nic dziwnego.

- Od jakiegoś czasu nasza sielanka straciła trochę uroku, bo Woody za mocno się ode mnie uzależnił. A jednocześnie za bardzo chciał mnie chronić. W każdym razie - jak na przyjaciela. Ja też chyba za mocno do niego przylgnęłam. Czasami lepiej samemu radzić sobie z samotnością.

- To prawda. Człowiek musi się nauczyć polegać na sobie, czerpać energię z własnych rezerw.

- W przeciwnym razie nigdy nie pozna swoich możliwości, prawda? I nie nauczy się być sobą. - April zamyśliła się, patrząc w dal. - Jednym słowem - wróciła do rzeczywistości - w zasadzie kamień spadł mi z serca. Zwłaszcza że ostatnio Woody zaczął robić pewne aluzje na

temat seksu... Nie był agresywny, właściwie nawet nie naciskał, ale ciągle wisiało nad nami coś dwuznacznego. A to mi nie odpowiadało.

- Skoro nie czujesz się porzucona, to wszystko w porządku. Na pewno znajdziesz swoją bratnią duszę.

- Tym się nie przejmuję. Gorzej z pracą. Kto mi teraz będzie pomagał? Oto pytanie za milion dolarów. Muszę się rozejrzeć za jakąś parą chętnych rąk.

- Ja ci chętnie pomogę.

- Ty? - zdumiała się April. - Ale ty... To znaczy...

- Boisz się, bo jestem chora. Bo umieram na raka.

Judith Gould

Czas na pożegnanie

215

ril obląła się rumieńcem, nie mogąc wykrztusić słowa. Zresz-
ik nie wiedziałyby, co powiedzieć.

fak, tak, wiem, że wiesz - odezwała się Joanna miękko.

ale mi to nie przeszkadza.

fak się dowiedziałaś?

Im... Może jestem wyjątkowo spostrzegawcza? Widzę ukradko-
ajrzenia, zatroskane miny... Och, niekoniecznie zawsze z moje-
wodu, ale czasem... Dostrzegam gniewną reakcję na głupie
ri Christiny... - Nagle roześmiała się głośno. - Oczywiście nie
łączenia był fakt, że w dniu, kiedy powiedziałam o chorobie Jo-
, zobaczyłam jego samochód przed twoim domem - oznajmiła
ną miną. - Akurat miałam do ciebie zajrzeć, ale w tej sytuacji
iłam zmienić plany, nie chciałam wam przeszkadzać.

iril przyglądała się jej bez słowa, kompletnie osłupiała. Wresz-
Inak i ona się roześmiała.

Festeś niemożliwa!

bardzo mi na rękę - ciągnęła Joanna poważniejszym tonem
oshua zwierzył się właśnie tobie.

Czułam się... wyróżniona - przyznała April nieśmiało.

jłowa do góry. Cieszę mnie wasze wspólne tajemnice. Nie
pojęcia, jak bardzo. Dobrze, że wiesz o wszystkim. I że nie
ujesz, iż przestanę żyć jeszcze przed śmiercią. Nie przekon-

mie do przerywania prac nad grota, rozumiesz, że to pamiątka, chcę po sobie zostawić. Dla Josha. I dla ciebie.

Cak, rozumiem - szepnęła April.

tobie to, co wydaje mi się naturalne i właściwe - tłumaczyła Joanna. - Jesteście oboje z Joshem wyjątkowo dzielni. Niełatwo jak gdyby nigdy nic, wiedząc to, co wiecie. Dobrze, że możecie wspierać nawzajem, a zwłaszcza że Joshua znalazł w tobie ściątkę.

Musiał się z kimś podzielić bólem...

STa szczęście wybrał ciebie. Bardzo potrzebuje oparcia.

Wiem.

Zawsze stanowiliśmy doskonale zgraną parę. Od samego początku. I teraz smuci mnie tylko jedno: świadomość, że kiedy umrę, duet przestanie istnieć. Zależy mi ogromnie, najbardziej na to, by Joshua znów miał kogoś bliskiego. - Podniosła wzrok na niego. - On kocha życie. I to nie tylko ze względu na mnie. Uwielbia pracę, sprawia mu przyjemność prowadzenie firmy... Mam nadzieję, że nie porzuci tego zajęcia. Chciałabym, żeby nadal walczył z braćmi Rossi. Znam go jednak i wiem: lepiej będzie mu szło przy wsparciu mądrej partnerki. Dlatego właśnie mam ogromną nadzieję, że ożeni się po raz drugi. Im szybciej po mojej śmierci, tym lepiej. - Zatopiła uważne spojrzenie w źrenicach April. - To dla mnie rzecz największej wagi. Najważniejsza na świecie. Joshua musi mieć kogoś, z kim będzie budował wspólne życie.

April gubiła się w natłoku sprzecznych emocji. Nie umiała nic powiedzieć, choć doskonale rozumiała, co słyszy. Chciała być silna. Spełnić oczekiwania serdecznej przyjaciółki.

- A teraz - zaproponowała Joanna pogodnie - pokaż mi, co mam robić. - Podniosła się i ujęła April za ramię. - Naucz mnie pracy, którą wykonywał Woody.

Dzień okazał się znacznie bardziej wyczerpujący od innych, nic dziwnego zatem, że April szła do swojego ukochanego starego dżipa kompletnie wykończona. Sama praca wymagała ogromnego skupienia i bardzo przyzwoitej kondycji, a na dodatek dziś jeszcze trzeba było uczyć wszystkiego Joannę. Szczęściem okazała się równie pojętą co chętną uczennicą, więc pod wieczór wykonywała pracę Woody'ego tak samo dobrze jak on, tylko wolniej.

Najbardziej wyczerpująca okazała się jednak rozmowa z Joanną. April była poruszona do głębi. Chciała jej się płakać, a przecież musiała trzymać się w ryzach.

Była ledwo żywa.

Już miała zamknąć drzwiczki, gdy ktoś ją zawołał. Szła ku niej Christina, jak zwykle nienagannie uczesana i ubrana z najwyższą starannością. Miała na sobie drukowaną jedwabną koszulę oraz jedwabne spodnie. Luksusowa biżuteria rzucała w gasnącym świetle dnia ostre błyski.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię jeszcze złapałam! Muszę z tobą zamienić słówko.

- Słucham. O co chodzi?

- Jesteś bardzo miłą dziewczyną - Christina dokładała starań, by zabrzmiało to szczerze, ale efekt osiągnęła mizerny - dlatego na pewno zrozumiesz, co mam ci do powiedzenia.

- To znaczy?

- Chodzi mi o Woody'ego Pearlmana - wyjaśniła Christina - tego młodego człowieka, który ci pomagał.

Judith Gould

- Tak, znam Woody'ego. I co z nim?

- Wiem, że byliście przyjaciółmi, i to nawet bliskimi... Znacie się ić długo. No, ale czasy się zmieniają i teraz my ze sobą chodzimy.

poważnie.

April musiała zdobyć się na niemały wysiłek, by nie okazać zdu-
żnia.

- Rozumiem.

- Co za tym idzie, oczekuję, że okażesz się kobietą cywilizowa-za którą ma cię moja siostra, i zachowasz w stosunku do niego

>owiedni dystans.

April zmierzyła Christinę długim spojrzeniem.

- Nie obawiaj się żadnych kłopotów z mojej strony - oświadczy-vreszcie. - Woody już nie zamierza się ze mną widywać.

- No cóż, tak to w życiu bywa. Nawet Woody ma prawo zmienić nie. - Chwyciła April mocno za ramię. - Więc trzymaj się od nie-i daleka - dokończyła ciszej, tonem groźby. -

Zrozumiano?

- Oczywiście. Rozumiem cię doskonale - odparła April, bynaj-iej nie zbита z tropu. - Nie mam zamiaru ingerować w... wasze junky. W najmniejszym stopniu. Uważam iż doskonale do siebie ujecie.

- Naprawdę? - rozpromieniła się tamta.

- Ależ tak. On przeleciał prawie wszystkie chętnie w okolicy, a ty, sgo, co słyszałam, zaliczyłaś większość facetów, więc dobraliście jak w korcu maku. - Spokojnie zdjęła z ramienia rękę Christiny, chomiła silnik i wcisnęła gaz. Ruszyła z miejsca, jakby opuściła miejsce ohydnej zbrodni.

Christina cofnęła się, jej twarz wykrzywiła furia. Poczerwieniła burak.

- Ty suko! - wycodziła przez zęby. - Ja ci jeszcze pokażę!

Rozdział dwudziesty piąty

W wyjeździe Christiny atmosfera wyraźnie się oczyściła.

April i Joanna wykańczały grootę we dwie. Usta im się nie zamykały, a wspólnych tematów miały wiele: od zwykłych ploteczek po roztrząsanie sensu życia.

Z początku April się niepokoiła, że wspólna praca niekorzystnie wpłynie na układ ze zleceniodawczynią, jednak bardzo szybko jej obawy okazały się płonne. Po dwóch tygodniach więź między nimi wyraźnie się zacieśniła, ponieważ Joanna traktowała serio swoje zajęcia.

Jedno tylko nie dawało April spokoju: owa przykra scena z Christiną w ostatni wieczór jej wizyty u Lawrence'ów. Wiele razy się zastanawiała, czy powinna o tym opowiedzieć przyjaciółce, aż w końcu Joanna sama rozwiązała ten problem, zupełnie jakby znała jej myśli.

- Wiesz, April, od kilku dni chcę ci coś powiedzieć, ale jakoś nie mogę się zebrać i znaleźć odpowiednich słów.

- Nie żartuj! Najlepiej mów prosto z mostu. Joanna odłożyła kielnię.

- Dobrze. Wobec tego, powiem bez ogródek: choć trudno w to uwierzyć, wymarzoną kobietą Woody'ego okazała się Christina. Są razem.

April zamknęła oczy, westchnęła, otworzyła oczy i wybuchnęła śmiechem.

Joanna patrzyła na nią zdumiona.

- Co cię tak rozbawiło?

- Bo wiesz - April złapała się za brzuch - miałam ci to powiedzieć, tylko nie wiedziałam jak!

Judith Gould

Czas na pożegnanie

219

irtujesz?! - Teraz i Joanna zaczęła się śmiać. - A skąd wiesz?

zienie przed wyjazdem Christina w niewybredny sposób kazała trzymać z daleka od Woody'ego.

3Ś podobnego! Nie wiedziałam, że ją stać na coś takiego.

:ońcu April powtórzyła przyjaciółce dokładnie, jak przebiegła

nsł z Christina, i obie uśmieły się serdecznie. I ta beztroska
ść sprawiła, że wreszcie pozbyły się na dobre niemilego
nienia starszej siostry.

rzeń cały czas bardzo dziwnie się zachowywała - zauważyła
i. - Znikała na całe dni... Podobno robiła zakupy i spotykała
rzyjaciółmi, o których w życiu nie słyszałam, ponoć nawet
a do szklarni! - Spoważniała. - Chyba nie znałam Christiny.
iym razie, nie tak dobrze, jak mi się zdawało. Jest dla mnie
:ą i pewnie tak już zostanie. Tyle tylko - wyraźnie powesela-
teraz to wcale nie jest ważne. Ważna jesteś ty i Joshua.

ii pogładziła ją po policzku, Joanna uściśnęła jej dłoń. Jakiś
sdziały melancholijnie zamyślane.

cle Joanna zeszywniała.

usze... się położyć. - W jej oczach błysnął strach. Podniosła
udem i zachwiała.

11 natychmiast ją podtrzymała.

dprowadzę cię.

nna tylko kiwnęła głową.

i i April siedzieli na tarasie, a Joanna spała, oszołomiona lekami.

dwójkę łatwiej było znosić ogromny smutek. Joshua zrobił
;le dużo starszy. Zniknął gdzieś beztroski chłopiec.

obrze, że byłaś z Joanną - uśmiechnął się niewesoło. - W prze-
n razie... - Ścisnął ją za rękę.

rzestań się zamartwiać - powiedziała April stanowczo. - By-
uż. Takie gdybanie nie ma sensu. Damy sobie radę. Joanna
ie w domu, tak jak postanowiła. Jeśli będzie trzeba, to się do
jrowadzę.

hua miał ochotę uściśnąć ją i pocałować.

[asz rację - przyznał. - We dwoje damy sobie radę.

•ii zrobiło się ciepło na sercu, choć jednocześnie ukłuło ją po-
winy. Oto Joshua powiedział „my”. Podświadomie połączył

- Zajrzę do niej - zaproponowała, niechętnie wysuwając dłoń z jego ręki. - Nigdy nie
wiadomo... - Wstała.

- Ja też pójdę.

Joanna leżała w półmroku, twarz miała pogodną. Oddychała spokojnie. Tylko maleńkie kropelki potu na czole przypominały o niedawnych przejściach.

Joshua delikatnie ujął żonę za rękę i pogładził czule.

- Wszystko będzie dobrze - odezwał się cicho.

I choć nie doczekał się odpowiedzi, długo jeszcze szeptał Joannie słowa otuchy.

April ze łzami w oczach patrzyła na tę wzruszającą scenę szczerego oddania.

Wreszcie pochylił się, musnął ustami czoło śpiącej i wstał.

Na schodach April spojrzała na zegarek.

- Powinna spać jeszcze przynajmniej godzinę. Chcesz coś zjeść w tym czasie? - spytała. -

Connie wzięła dzisiaj wolne, ale zostawiła spore zapasy, więc wystarczy coś podgrzać.

- Chętnie zjem - przyznał się Joshua. - Zaraz ci pomogę, ale najpierw zadzwonię do szklarni.

Carl niedługo wychodzi, muszę z nim zamienić kilka słów. Spróbuję też przekreślić do

Connie. Trzeba jej powiedzieć, może się okazać potrzebna po godzinach...

- Poza tym powinna znać prawdę. -Tak.

Stanęli w holu.

- Rozejrzę się w kuchni - powiedziała April.

- Zaraz wracam. - Joshua poszedł do biblioteki.

W lodówce rzeczywiście znalazła, zapasy dla pułku wojska na miesiąc, między innymi słynną zupę z krewetek, pieczonego kurczaka oraz potrawkę z drobiu z awokado i ziemniakami.

Kochana dziewczyna, pomyślała. Ma dużo roboty, ale zawsze jest co zjeść. I to wcale nie najgorzej!

Wyjęła pojemnik z zupą, wstawiła do kuchenki mikrofalowej. Właśnie zaczęła się zastanawiać, że więcej chyba i tak nie zjedzą, gdy pojawił się Joshua.

- W szklarniach wszystko w porządku - powiedział.

- To dobrze. A złapałeś Connie?

- Nie. Pewnie wyszła. Zadzwonię później. Albo porozmawiam z nią rano.

- Zobacz, lodówka pełna, ale czy zjemy coś oprócz zupy?

- Na pewno nam wystarczy.

Judith Gould

artujesz?! - Teraz i Joanna zaczęła się śmiać. - A skąd wiesz?

zienie przed wyjazdem Christina w niewybredny sposób kaza-
ię trzymać z daleka od Woody'ego.

oś podobnego! Nie wiedziałam, że ją stać na coś takiego.

Lońcu April powtórzyła przyjaciółce dokładnie, jak przebiegła

wa z Christina, i obie uśmieły się serdecznie. I ta beztroska
ść sprawiła, że wreszcie pozbyły się na dobre niemilego
mienia starszej siostry.

rzeń cały czas bardzo dziwnie się zachowywała - zauważyła
i. - Znikała na całe dni... Podobno robiła zakupy i spotykała
irzyjaciółmi, o których w życiu nie słyszałam, ponoć nawet
a do szklarni! - Spoważniała. - Chyba nie znałam Christiny.
dym razie, nie tak dobrze, jak mi się zdawało. Jest dla mnie
:ą i pewnie tak już zostanie. Tyle tylko - wyraźnie powesela-
teraz to wcale nie jest ważne. Ważna jesteś ty i Joshua.

•ii pogładziła ją po policzku, Joanna uścisnęła jej dłoń. Jakiś
edziały melancholijnie zamyślane.

jle Joanna zeszywniała.

tuszę... się położyć. - W jej oczach błysnął strach. Podniosła
•udem i zachwiała.

ii natychmiast ją podtrzymała.

Oprowadzę cię.

nna tylko kiwnęła głową.

h i April siedzieli na tarasie, a Joanna spała, oszołomiona lekami.

dwójkę łatwiej było znieść ogromny smutek. Joshua zrobił

jle dużo starszy. Zniknął gdzieś beztroski chłopiec.

'obrze, że byłaś z Joanną - uśmiechnął się niewesoło. - W prze-
n razie... - Ścisnął ją za rękę.

rzestań się zamartwiać - powiedziała April stanowczo. - By-

uż. Takie gdybanie nie ma sensu. Damy sobie radę. Joanna

ie w domu, tak jak postanowiła. Jeśli będzie trzeba, to się do
prowadzę.

hua miał ochotę uścisnąć ją i pocałować.

lasz rację - przyznał. - We dwoje damy sobie radę.

•ił zrobiło się ciepło na sercu, choć jednocześnie ukłuło ją po-
winy. Oto Joshua powiedział „my”. Podświadomie połączył
jje.

Czas na pożegnanie

- Zajrzę do niej - zaproponowała, niechętnie wysuwając dłoń z jego ręki. - Nigdy nie wiadomo... - Wstała.

- Ja też pójdę.

Joanna leżała w półmroku, twarz miała pogodną. Oddychała spokojnie. Tylko maleńkie kropelki potu na czole przypominały o niedawnych przejściach.

Joshua delikatnie ujął żonę za rękę i pogładził czule.

- Wszystko będzie dobrze - odezwał się cicho.

I choć nie doczekał się odpowiedzi, długo jeszcze szeptał Joannie słowa otuchy.

April ze łzami w oczach patrzyła na tę wzruszającą scenę szczerego oddania.

Wreszcie pochylił się, musnął ustami czoło śpiącej i wstał.

Na schodach April spojrzała na zegarek.

- Powinna spać jeszcze przynajmniej godzinę. Chcesz coś zjeść w tym czasie? - spytała. -

Connie wzięła dzisiaj wolne, ale zostawiła spore zapasy, więc wystarczy coś podgrzać.

- Chętnie zjem - przyznał się Joshua. - Zaraz ci pomogę, ale najpierw zadzwonię do szklarni.

Carl niedługo wychodzi, muszę z nim zamienić kilka słów. Spróbuję też przekreślić do

Connie. Trzeba jej powiedzieć, może się okazać potrzebna po godzinach...

- Poza tym powinna znać prawdę. -Tak.

Stanęli w holu.

- Rozejrzę się w kuchni - powiedziała April.

- Zaraz wracam. - Joshua poszedł do biblioteki.

W lodówce rzeczywiście znalazła zapasy dla pułku wojska na miesiąc, między innymi słynną zupę z krewetek, pieczonego kurczaka oraz potrawkę z drobiu z awokado i ziemniakami.

Kochana dziewczyna, pomyślała. Ma dużo roboty, ale zawsze jest co zjeść. I to wcale nie najgorzej!

Wyjęła pojemnik z zupą, wstawiła do kuchenki mikrofalowej. Właśnie zaczęła się zastanawiać, że więcej chyba i tak nie zjedzą, gdy pojawił się Joshua.

- W szklarniach wszystko w porządku - powiedział.

- To dobrze. A złapałeś Connie?

- Nie. Pewnie wyszła. Zadzwonię później. Albo porozmawiam z nią rano.

- Zobacz, lodówka pełna, ale czy zjemy coś oprócz zupy?

- Na pewno nam wystarczy.

Judith Gould

Czas na pożegnanie

* * *

cończyli jeść, zajrzeli do Joanny, która nadal spokojnie spała,
;anowili odpocząć na tarasie, choć noc przyniosła ze sobą chłód.

Miałam dzisiaj pojechać do szklarni - powiedziała April. - Jo-
dała mi kod do bramy.

Czy to oznacza - zapytał z uśmiechem Joshua - że w końcu
k dokonałyście wyboru?

Owszem. - April pokiwała głową. - Zresztą, o co chodzi? Prze-
ajęło nam to zaledwie kilka miesięcy. - Zastanowiła się chwilę.

i82, jednak wybiorę się tam dziś, jeśli nie masz nic przeciwko

Chyba że chcesz, żebym została na noc. ^ie, nie trzeba. - Joshua pokręcił głową. - Na pewno
dam sodę, zresztą nic się nie będzie działo. Nie wiem tylko, czy war-lać tam dzisiaj, w końcu
do szklarni jest kawałek drogi... Chciałabym zabrać te orchidee jak najszybciej. Muszę się z
niwie. Jeśli mam je narysować, powinnam je obejrzeć. Widzisz, - zagryzła wargi - zdaję sobie
sprawę, że czas ucieka... Nie o tym zapomnieć.

shua skinął głową i w milczeniu spuścił wzrok, 'rzepraszam, nie chciałam ci sprawić
przykrości, ipril, nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. - Zamilkł na dłuższą i, po czym dodał
żartobliwym tonem: - Uciekaj, bo mi za-
w jakiejś szklarni.

-ii cały czas pilnowała prędkościomierza, bo na tym odcinku wyjątkowo często trafiały się
patrole policji. Nie miała naj-zej ochoty na mandat. Przez otwarte okna wpadało rześkie mne
powietrze, wiatr gładził ją po twarzy, rozwiewał włosy, ił napięcia wyczerpującego dnia.
Taka jazda to prawdziwy ynek, a połączona z wizytą w szklarni pełnej orchidei z zbawcza
terapia.

srane okazy nie należały do szczególnie kosztownych, dlate-tanowiła zabrać je do domu.
Chciała je oglądać przez kilka no i wieczorem, w zmieniającym się świetle. Pragnęła jak
:towniej odwzorować je za pomocą muszli, a najlepsze pomy-ychodziły jej do głowy, gdy
dobrze poznała kwiat, mogła się yjrzyć pod różnymi kątami, bez pośpiechu.

Zjechała na drogę prowadzącą bezpośrednio do szklarni i wkrótce zatrzymała wóz na
parkingu. Pierwszy raz była tutaj nocą, pierwszy raz wstąpiła w niesamowitą ciszę, którą
mącił jedynie koncert nocnych owadów. Gdy wystukała kod na pilocie, rozległ się metaliczny
szczęk i oba skrzydła bramy płynnie rozsunęły się na boki. Ruszyła ścieżką prowadzącą do
szklarni z Phalaenopsis.

Ciekawe, gdzie też się podział słynny Miguel ze swoim groźnym psem obronnym, pomyślała. Pewnie obaj się zdrzemnęli. Najwyraźniej pies nie jest taki dobry, jak miał być.

W pewnej chwili ciarki jej przeszły po plecach.

Ktoś tu jest, pomyślała. I to nie pies!

Zastygła bez ruchu, nadstawiając uszu. Z pewnością coś się tam działo. Nadal jednak nie słyszała psa, a przecież powinien już ujadać jak oszalały!

Znowu!

Po drugiej stronie żywopłotu. Jakby dyszenie? I jęki?

O Boże! Czyżby ktoś potrzebował pomocy? Może jakiś włamywacz skrzywdził Miguela?!

Nie śmiała nawet drgnąć, stała jak zaklęta w kamień, cała zmieniona w słuch.

Oho! Tym razem... jakby dwa jękliwe głosy... męski i kobiecy...

Skradając się z największą ostrożnością, zrobiła trzy kroki, jakie dzieliły ją od końca żywopłotu. Wyteżyła słuch, wstrzymując oddech. Teraz słyszała wyraźniej: z pewnością były tam dwie osoby - mężczyzna i kobieta.

Bezszelestnie wyjrzała zza żywopłotu.

O mało nie padła trupem z wrażenia.

Cofnęła się gwałtownie, ale po cichu, i na powrót ukryła za krzewami.

Zadrzała, chłodny pot wystąpił jej na czoło. Jednocześnie z trudnością powstrzymywała śmiech.

Kilka razy odetchnęła głęboko, a potem najszybciej, jak się dało, wróciła do samochodu. Nie zapalając świateł, wycofała się z parkingu.

Na autostradzie zaczęła oddychać swobodniej. I dopiero wówczas zdała sobie sprawę, że zachowała się absurdalnie. Wreszcie pozwoliła sobie na wybuch śmiechu.

Pięknie, pomyślała. Pięknie! Niech no tylko Joanna i Josh się dowiedzą. Tego się nie spodziewali.

I nagle śmiech zamarł jej w gardle.

Judith Gould

ize! Ale ze mnie idiotka! Przecież to oznacza... właśnie się do-iałam, kto jest sprawcą niedawnych kłopotów! Joanna będzie gotana. Joshua też.

Ldziła się, że się myli, ale była to płonna nadzieja, as jakiś zastanawiała się, czy w ogóle mówić Joannie o swoim ciu. A może powinna iść z tym od razu do Josha? Niech on duje, czyją zawiadomić...

k czy inaczej, zaczekam do jutra, postanowiła. Dziś już nie będę-niepokoilo. Nie jest to dobry czas na takie wieści. Po wszystko się dzisiaj zdarzyło... Jutro z samego rana porozmawiamy sry oczy.

śnęła mocniej gaz.

e chcę być posłańcem przynoszącym złe wieści..., pomyślała dnie. Ale, zdaje się, nie mam wyboru. Muszę mu powiedzieć, działam. Wtedy wreszcie prawda wyjdzie na jaw. Niestety, ra.

Rozdział dwudziesty szósty

A

Ipril przyjechała do Lawrence'ów wcześniej niż zwykle, chcąc złapać Josha samego.

Plymouth już stał na podwórzu, czyli Connie, jak co dzień, stawiała się w pracy. Co zresztą potwierdzała niebiańska woń świeżo parzonej, mocnej kawy.

Gdy weszła do kuchni, gospoia podniosła wzrok znad deski, na której siekała warzywa.

- Wcześniej dziś jesteś - zauważyła.

- Muszę pogadać z Joshem - wyjaśniła April. - Jest gdzieś tutaj?

- Dokładnie przed tobą! - zaśmiała się Connie. - Na tarasie.

- Och! No tak. Chyba się jeszcze nie obudziłam.

- Idź, przyniosę ci kawę.

- Dziękuję, chętnie się napiję. - Wyszła na taras, gdzie Lawren-ce'owie siedzieli przy dużym, okrągłym stole. - Witajcie! - Pochyliła się i ucałowała Joannę w oba policzki, z Joshem wymieniła serdeczny uścisk ręki.

- Wcześniej się dzisiaj zjawiłaś - zauważyła Joanna.

W ciągu nocy wszystkie jej dolegliwości jak gdyby ustąpiły.

- Jak się czujesz? - spytała April, siadając.

- Przy tobie fantastycznie! Jak nowo narodzona.

- Szczerze? - upewniła się April.

- Możesz wierzyć albo nie, ale naprawdę czuję się wyśmienicie.

- To cudnie.

Rzeczywiście Joanna wyglądała dobrze i choć może nie tryskała energią jak zwykle, sprawiała wrażenie wyjątkowo ożywionej.

- Kochani - odezwała się, przechylając głowę - wiem, że sprawiam wam kłopoty. Nie powinnam być w domu, tylko w hospicjum...

Judith Gould

rzestań - przerwała jej April. - Nie mów tak i nawet tak nie

le to prawda. Dlatego tak bardzo chcę ci podziękować za
ko, co dla mnie robisz. Bardzo mi zależy, żeby zostać w domu.

bua objął żonę i pogładził czule.

ocham cię, nie pamiętasz?

nna przytuliła się do niego.

imiętam. I dziękuję wam obojgu za spełnianie moich wariac-
iprysów.

aj spokoj. - Joshua zaśmiał się głośno. - No, chociaż jeśli

o te wariackie kaprysy, to może masz trochę racji.

eśmiali się wszyscy troje.

»sh - rozległ się głos Connie. Gospośia stała w drzwiach na

- Telefon do ciebie. Carl dzwoni.

lua natychmiast spowaźniał, na jego twarzy odmalowała się

iraz wróć - powiedział. - Mam nadzieję, że nie stało się nic

- Wyszedł za Connie do kuchni.

ii opanowały złe przeczucia. Lawrence'owie nadal o niczym
dzieli...

am trochę papierkowej roboty - odezwała się Joanna - siądę do

az, od razu z samego rana, a potem przyjdę ci pomóc, dobrze?

abry Boże, Joanno! Przecież wcale nie musisz mi pomagać!

laś bardziej dbać o siebie. Nie wolałabyś dzisiaj odpocząć?

ie, nie... Carpe diem i tak dalej - odparła z uśmiechem. - Ale

skorzystam z okazji, skoro zostałyśmy same i coś ci powiem.

d zabrzmiało głupio, ale...

ów śmiało. Nie zawsze twoje wypowiedzi muszą mieć ciężar

owy rozpraw intelektualnych.

niały się obie, ale Joanna szybko spowaźniała.

am nadzieję, że moja śmierć i wspomnienie naszej przyjaźni

sszkodzą ci żyć dalej całą pełnią.

e bardzo rozumiem...

iwinnaś wyjść za mąż, urodzić dzieci. Powiedziałaś, że prag-

:iedyś założyć rodzinę, doskonale pamiętam. Chciałabym,

roje marzenia się spełniły. Chciałabym, żebyście oboje z Jo-

yli szczęśliwi.

e...

ma położyła jej palec na ustach.

ii... Kocham was. Oboje. I jego, i ciebie.

Czas na pożegnanie

225

April już od dobrych dwudziestu minut pracowała w grocie, gdy niespodzianie pojawił się Josh. Od razu poznała, że coś jest nie tak.

- Co się stało?

Joshua stanął w wejściu, przygarbiony i smutny.

- Zniszczono rośliny w laboratorium. - Wolno pokręcił głową.

- Młodziutkie siewki.

- Josh...

- Co oznacza - ciągnął - że tym razem ponieśliśmy ogromne straty. Przynajmniej jeśli chodzi o czas. Sam stworzyłem każdą z tych roślinek. To były wyłącznie moje krzyżówki. -

Westchnął ciężko.

- Czy to się nigdy nie skończy? Już nie mam siły.

- Posłuchaj. Przyjechałam dzisiaj wcześniej, bo chciałam ci w cztery oczy powiedzieć coś ważnego.

- Dlaczego akurat w cztery oczy?

- Bo to dotyczy szklarni, a nie chciałam martwić Joanny.

- Mów jaśniej.

- Wczoraj wieczorem, idąc do szklarni, usłyszałam jakieś dziwne dźwięki. - April szybko wyrzucała z siebie słowa. - Okazało się, że to Miguel i Connie uprawiali seks...

Joshua miał oczy jak spodki.

- Co takiego?! Chyba ci się coś pomyliło! Niecierpliwie potrząsnęła głową.

- Byli tuż przy ścieżce, za żywopłotem. A dokładnie, za laboratorium. Pies siedział przy nich, w kagańcu, łańcuch był przypięty do słupka.

- Rany boskie!

- A Connie i Miguel robili swoje, jakby... jakby zapomnieli o bożym świecie.

Joshua objął ją i przytulił.

- April, jest mi bardzo przykro, że byłaś świadkiem takiej sceny.

- Pokręcił głową. - Nie do wiary! - Puścił ją i ruszył długim krokiem w głąb groty. Zawrócił i stanął przed April. - Joanna traktuje Connie jak siostrę. A Miguel jest dla nas prawie

członkiem rodziny... Nie potrafię uwierzyć, że któreś z nich maczało palce w tym wszystkim...

- Nie chcę cię przekonywać na siłę - odrzekła - ale moim zdaniem powinieneś się nad tym poważnie zastanowić. Joanna mówiła mi, że Connie chce się wyrwać z własnego środowiska, że jest am-

Judith Gould

i, dumna i postanowiła piąć się w górę. Ty sam powiedziałeś, nawia się na randki jedynie z mężczyznami, którzy mają przed przyszłość. Koniecznie z białymi. - Spojrzała mu prosto w oczy.

- Zastanów się, po co, dlaczego kochała się z Miguelem? Mówiła, że o nim „prosty człowiek”. I słusznie. W dodatku nie jest biały, więc Connie nie powinna go w ogóle zauważać, a ona zwiesił głowę.

Byłem głupi - przyznał. - Ślepy i głuchy. Nie wiem, jak ja to em Joannie.

A może... może by jej nie mówić? - zaproponowała April niechętnie.

Zastanowię się. - Zamilkł na chwilę. - Najpierw jednak porozmawiam z Miguelem. Spróbuję czegoś się od niego dowiedzieć. Po-dopiero zdecyduję, co dalej. Sensowny plan - pochwaliła April. Powinienem od razu jechać do szklarni. Jedź. Jeśli Joanna będzie czegoś potrzebowała, ja tu jestem. Będę ci wdzięczny. Na razie jest w gabinecie, siedzi nad jakimiś Dokumentami.

Naturalnie o niczym jeszcze nie wie. Później zamie-i pomagać.

Wobec czego siłą rzeczy będziemy razem. Możesz spokojnie jechać do szklarni.

Jadę. Naprawdę jest mi przykro, że natknęłaś się na taką pana scenę.

Jakoś to przeżyję. - Uśmiechnęła się niewesoło. Luna uścisnęła ją krótko. Czas na mnie. Wstał i wyszedł, a jej serce o mało nie wyskoczyło z piersi, oże jedyny, pomyślała. Nie na to nie poradzę. Ja go po prostu kocham. I coś mi się wydaje, że on kocha mnie.

* # *

Miguel niespokojnie poprawił się na fotelu przed biurkiem Joanny. Nieczęsto bywał w biurze pracodawcy i nie czuł się tutaj do końca swobodnie. Po pierwsze, Luna zwykle się z niego naśmiewała, a po drugie,

jeśli szef chciał się z nim widzieć, na pewno chodziło o jakąś ważną, pewnie nieprzyjemną sprawę.

Luna natomiast patrzył na Miguela i myślał, że nie ma najmniejszej ochoty robić tego, co zrobić musiał.

Czas na pożegnanie

227

- Miguelu - odchrząknął. - Czy zdarza się, że ktoś cię w czasie pracy odwiedza?

Meksykanin zacisnął powieki i gwałtownie potrząsnął głową.

- Nigdy. Nikt - odpowiedział szybko. - Ja zawsze jestem sam.

- Na pewno? - spytał Joshua spokojnym tonem. Stróż tylko mocniej zacisnął powieki.

- Nikt - wykrztusił po dłuższej chwili. - Nigdy nikt nie przychodzi. Nigdy.

Joshua znał wszystkich swoich pracowników, Miguela także. I wiedział, bez cienia wątpliwości, że Meksykanin kłamie. Zasmuciło go to, ale też trudno było biedaka obciążać jakąkolwiek odpowiedzialnością. Był to mężczyzna o umyśle dziecka.

- Miguelu - odezwał się łagodnie - a może o czymś zapomniałeś?

- Nieee, proszę pana. O niczym nie zapomniałem - odparł stróż, kręcąc głową.

- Chyba jednak tak. Bo przecież odwiedza cię Connie, prawda?

- Connie? - powtórzył Miguel, szeroko otwierając oczy.

- No tak, Connie. Widziano was razem. Podobno miło spędzacie czas. - Joshua porozumiewawczo zmrużył oko.

Miguel uśmiechnął się od ucha do ucha. I w tym samym momencie zorientował się, że wpadł w pułapkę. Zapiszczał jak skarcony szczeniak i zaczął płakać.

- Ja przepraszam, proszę pana - wybełkotał. - Ja bardzo przepraszam.

Joshua nienawidził samego siebie za to, że doprowadził do łez tego biedaka, ale musiał zakończyć sprawę. Wstał, obszedł biurko i pochylił się nad Miguelem. Położył mu dłonie na ramionach.

- Nic nie szkodzi - zapewnił go solennie. - Nie gniewam się. Meksykanin w dalszym ciągu szlochał.

- Posłuchaj mnie, Miguelu - ciągnął Joshua. - Potrzebuję twojej pomocy. Bo tylko ty potrafisz mi pomóc. Rozumiesz? Nikt inny. Jak sądzisz, dasz radę? Pomożesz mi ocalić szklarnie?

Stróż podniósł na niego wzrok.

- Ja? - zapytał niebotycznie zdumiony.

- Tak, właśnie ty. I tylko ty. - Zrobił przerwę dla efektu. - Powiedz mi, czy Connie myszkowała po szklarniach?

- Myszkowała? - Miguel był wyraźnie zdumiony. - Ona jest mała, ale...

- Czy zaglądała do szklarni, a może coś ruszała? - naciskał Joshua. - Czy wczoraj weszła do laboratorium?

Judith Gould

Czas na pożegnanie

229

tnten patrzył na niego bez słowa.

Zastanów się, proszę. To bardzo ważna sprawa. Pamiętaj, tylko możesz uratować szklarnie. Powiedz mi, co robiliście, kiedy lodziła Connie.

A... miło spędzaliśmy czas.

i gdzie? W szklarniach? Czy na zewnątrz?

tóżnie - przyznał się Miguel. - Czasami w szklarniach. Czasami indziej. Kazała mi otwierać.

^ ostatnim razem byliście w laboratorium?

?o tam, gdzie te szklane półki? No tak.

shua poklepał go po ramieniu i wstał. Z trudem wierzył własnym
l, ale nie sposób zaprzeczać prawdzie! Connie pracowała dla braci
Kochana, wierna Connie. Zdradziła ich bez żadnych skrupułów.
o mu się niedobrze. A jednocześnie ogarnął go wielki smutek.
najlepszy przyjaciel odwrócił się od nich bez żadnego powodu.
\$o dobrze, Miguelu. Chodźmy, odwiozę cię do domu.

iksykanin podniósł się z fotela, a Joshua otworzył mu drzwi.
naleźli się w holu, Luna szybko odłożyła słuchawkę i uśmiech-
ię, pokazując bielusięńkie zęby, dziś efektownie kontrastujące
:oladowobrazową szminką.

Miguel! - zaczęła. - Jakiś ty dzisiaj elegancki! Te podarte
?...\ Aale seksowne!

iksykanin dał susa w stronę wyjścia, a Joshua obrzucił sekre-
piorunującym spojrzeniem.

)dpuść mu.

miech natychmiast zniknął z warg Luny, wydeła usta.

Fadę do domu - oznajmił Joshua. - Bronisz twierdzy razem
lem.

Dopiero co przyjechałeś! - zdziwiła się Luna. - To znaczy,
am powiedzieć: jasne, szefie. Tak jest.

[y Joshua wychodził z budynku, śpiesząc za Miguelem, już

Lała w rękę słuchawkę.

parkował obok auta Connie. Od razu ruszył w stronę domu, lienił zdanie i postanowił
najpierw zajrzeć do Joanny, do groty, ł prawie na miejscu, gdy usłyszał głośny śmiech. Ze

zdumie-; przystanął. To ona tak się śmiała, z całą pewnością, na końcu a poznałby ten melodyjny głos. Uśmiechnął się także.

Siedziała po turecku na podłodze, tuż za przeszklonymi drzwiami, od stóp do głów pokryta białym pyłem. Podobnie jak April oraz jakiś nieznajomy młody człowiek. Wszyscy troje pili mrożoną herbatę. Najwyraźniej akurat zrobili sobie przerwę. Gdy ucichł śmiech, rozległy się wesołe głosy. Gadali jak najęci, jakby nic innego na świecie się nie liczyło.

Przyglądał im się przez chwilę i w końcu postanowił nie przeszkadzać, nie psuć pogodnego nastroju. Zawrócił do domu.

Connie obierała ziemniaki, podśpiewując pod nosem.

- O, Josh! Szybko wróciłeś.

- Owszem. I to z twojego powodu. Muszę z tobą poważnie porozmawiać.

- Nie ma sprawy. - Wzruszyła ramionami. - Ale już i tak wiem, co do mnie masz.

- Wiesz? - Joshua był mocno zaskoczony.

- Joanna mi wszystko powiedziała. O tym, że ma raka i niedługo umrze... - Znowu wzruszyła ramionami. - Postanowiła mnie zawiadomić, bo i tak nie może już ukryć objawów choroby.

Joshua milczał.

- Bardzo mi przykro. - Connie zerknęła na niego spod oka. - Pamiętam, jak mój wujek umierał na raka. To było okropne. No, ale zdarza się. I nigdy nie wiadomo, na kogo trafi. Głos miała tak pozbawiony emocji, że Joshua osłupiał. Przecież nieomal należała do rodziny! Czy cały czas udawała? Nie było odpowiedzi na to pytanie. Tak czy inaczej, musiał załatwić sprawę, z którą tutaj przyszedł. Zaczynał też rozumieć, że ich gosposia jest zupełnie inną kobietą, niż sądzili.

- Nie zamierzałem z tobą rozmawiać o chorobie Joanny - powiedział.

- Nie? A o czym?

- O tym, że chodzisz na randki z Miguelem. Dziewczyna wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Ja! - Poczerwieniała, mało się nie rozplakała ze śmiechu. - Z Miguelem! - Płasnęła dłońmi o uda.

Ta żywiołowa reakcja wydała się Joshowi przesadna, jakby Connie usiłowała w ten sposób lepiej zamaskować kłamstwo.

- Dobrze sobie! - powiedziała już nieco spokojniej. - On ci to wyznał?

- Tak. Właśnie on.

- Przecież to kompletny głupek. Mongolito, nie? - wypluła szy-

Judith Gould

I

ze słowo. - Jemu nie można wierzyć. - Wróciła do obierania
niaków.

Widziano cię z nim nocą na terenie szklarni.

tyraz rozbawienia zniknął, na twarzy dziewczyny pojawiła się

A niby kto mnie widział? - zapytała, celując w Josha obieraczką.

Joshua milczał. Patrzył na nią smutnym wzrokiem.

No? Kto ci nakłamał?

April.

No nie! Jeszcze tego brakowało. Przecież to wariatka!

Nie, Connie. April nie jest wariatką i ty o tym doskonale

;. Po co niby miałyby zmyślać takie rzeczy? W jakim celu mia-

apowiadać, że widziała, jak się gzisz z Miguelem przy laborato-

mnie powoli odłożyła obieraczkę na blat. Jej twarz przybrała wający wyraz. Wiedziała, że
dalsze zaprzeczenia nie mają sensu - ydało się.

Powiedz mi, dlaczego nam to zrobiłaś? - odezwał się Joshua. Haliśmy cię i sądziliśmy, że
możemy ci zaufać. Czy bracia Rossi abrze płacą?

Nie wiem, o czym mówisz - odparła.

Wiesz, wiesz. - Westchnął znużony. - Nie chciałem... i nie mogę uwierzyć... Traktowaliśmy cię
jak członka rodziny. Pomagali-:i. Connie... przecież nawet w tej chwili wynajęty przez nas lik
głowi się, co zrobić, żebyś dostała zieloną kartę! Inym ruchem ściągnęła fartuch i rzuciła na
granitowy blat. Tę będę tego słuchała - oświadczyła butnie. - Wsadźcie sobie i tę waszą
łaskawą pomoc. Już jej nie potrzebuję. Ani was. Ani go cholernego prawnika! - Oczy jej
błyszczały. - Wychodzę za a Petera Rossiego! Wyobraź sobie, że woli mnie od tej wielkiej
siostrzyczki twojej Joanny!

'o? Nic nie rozumiem! - Joshua nie posiadał się ze zdumienia. I tak! Ja odwalalam brudną
robotę, a Christina się z nim bzy- <Ue to ja go dostałam, nie ona! I teraz będę bogatsza od was
tkich razem wziętych!

róciła się na pięcie i jak burza wypadła z kuchni, hua czas jakiś stał bez ruchu, wreszcie
pokręcił głową i po lejny westchnął.

mczył się szczęśliwy czas, pomyślał. A przyszłe lata niosą ze lk samotność.

Czas na pożegnanie

231

Chciał iść do groty, ale się zreflektował. Nie warto psuć humoru szczęśliwej, ciężko
pracującej trójce. Poza tym czekało go jeszcze jedno niewdzięczne zadanie. Musiał

porozmawiać z Carlem. Powiedzieć mu, że to jego siostra pomagała braciom Rossi zniszczyć firmę.

Wówczas przypomniał sobie, że jakiś czas temu widział na podjeździe braci Rossi samochód Carla.

On także jest przeciwko mnie? O Boże! Nie do wiary!

Pewności jednak nie miał, więc postanowił wreszcie się dowiedzieć.

Wybiegł z kuchni, wskoczył do samochodu i raz jeszcze pojechał do szklarni.

Wokół basenu migotały dziesiątki płomyczków. Świeczki stały na ogrodowym murze, zwieszały się w latarenkach z gałęzi drzew, użyczały ciepłego blasku sprzętom i pływały po spokojnej powierzchni turkusowej wody. Środek stołu, przy którym mieli jeść kolację, zdobiła duża orchidea, *Miltonia spectabilis* z gatunku *mo-reliana*. Egzotyczne kwiaty, pyszniące się całą gamą barw od ciemnego fioletu po najdelikatniejszy róż, spływały na blat wonną kaskadą.

Joshua przygotował na grillu soczyste filet mignon, do nich pieczone ziemniaki i sałatkę z różnych rodzajów zielonej sałaty, a wszystko to zostało podlane wyśmienitym Chateau Katour, przechowywanym na specjalne okazje.

- Fantastyczna kolacja! - pochwaliła Joanna, odstawiając kieliszek.

- Wypada mi jedynie przyklasnąć - zawtórowała jej April.

- Uprzejmie paniom dziękuję. - Joshua się skłonił. - Cała przyjemność po mojej stronie.

- A czemuż to zawdzięczamy te rozkosze podniebienia? - spytała Joanna.

- E, nie, niczemu szczególnemu. Po prostu byłem w odpowiednim nastroju - odrzekł wesoło.

- Rozumiem. - Joanna uznała, że nic z niego nie wyciągnie. - A gdzie się podziała Connie?

Chyba dzisiaj miała być do wieczora?

Joshua wymienił porozumiewawcze spojrzenie z April. Zawiadomił ją o rozwoju wypadków, gdy Joanna przebierała się do kolacji. Choć zdawał sobie sprawę, że i tak będzie musiał przekazać żonie

Judith Gould

słowo. - Jemu nie można wierzyć. - Wróciła do obierania aków.

idziano cię z nim nocą na terenie szklarni.

az rozbawienia zniknął, na twarzy dziewczyny pojawiła się

niby kto mnie widział? - zapytała, celując w Josha obieraczką.

ma milczał. Patrzył na nią smutnym wzrokiem.

3? Kto ci nakłamał?

*riL

3 nie! Jeszcze tego brakowało. Przecież to wariatka!

e, Connie. April nie jest wariatką i ty o tym doskonale

?o co niby miałyby zmyślać takie rzeczy? W jakim celu mia-

owiadać, że widziała, jak się gzisz z Miguelem przy laborato-

nie powoli odłożyła obieraczkę na blat. Jej twarz przybrała ijący wyraz. Wiedziała, że dalsze zaprzeczenia nie mają sen-lało się.

wiedz mi, dlaczego nam to zrobiłaś? - odezwał się Joshua. iliśmy cię i sądziliśmy, że możemy ci zaufać. Czy bracia Rossi rze płacą?

e wiem, o czym mówisz - odparła.

esz, wiesz. - Westchnął znużony. - Nie chciałem... i nie mo-wierzyć... Traktowaliśmy cię jak członka rodziny. Pomagali-Connie... przecież nawet w tej chwili wynajęty przez nas i. głowi

się, co zrobić, żebyś dostała zieloną kartę! rym ruchem ściągnęła fartuch i rzuciła na

granitowy blat. s będę tego słuchała - oświadczyła butnie. - Wsadźcie sobie ę waszą łaskawą pomoc. Już jej nie potrzebuję. Ani was. Ani » cholernego prawnika! - Oczy jej błyszczały. -

Wychodzę za Petera Rossiego! Wyobraź sobie, że woli mnie od tej wielkiej >strzyczki twojej Joanny!

? Nic nie rozumiem! - Joshua nie posiadał się ze zdumienia, ak! Ja odwalalam brudną robotę, a Christina się z nim bzy-e to ja go dostałam, nie ona! I teraz będę bogatsza od was ich razem wziętych!

iciła się na pięcie i jak burza wypadła z kuchni, na czas jakiś stał bez ruchu, wreszcie pokręcił głową i po jny westchnął.

czył się szczęśliwy czas, pomyślał. A przyszłe lata niosą ze ko samotność.

Czas na pożegnanie

231

Chciał iść do groty, ale się zreflektował. Nie warto psuć humoru szczęśliwej, ciężko pracującej trójce. Poza tym czekało go jeszcze jedno niewdzięczne zadanie. Musiał porozmawiać z Carlem. Powiedzieć mu, że to jego siostra pomagała braciom Rossi zniszczyć firmę.

Wówczas przypomniał sobie, że jakiś czas temu widział na podjeździe braci Rossi samochód Carla.

On także jest przeciwko mnie? O Boże! Nie do wiary!

Pewności jednak nie miał, więc postanowił wreszcie się dowiedzieć.

Wybiegł z kuchni, wskoczył do samochodu i raz jeszcze pojechał do szklarni.

* * *

Wokół basenu migotały dziesiątki płomyczków. Świecek stały na ogrodowym murze, zwieszały się w latarenkach z gałęzi drzew, użyczały ciepłego blasku sprzętom i pływały po spokojnej powierzchni turkusowej wody. Środek stołu, przy którym mieli jeść kolację, zdobiła duża orchidea, *Miltonia spectabilis* z gatunku *mo-reliana*. Egzotyczne kwiaty, pyszniące się całą gamą barw od ciemnego fioletu po najdelikatniejszy róż, spływały na blat wonną kaskadą.

Joshua przygotował na grillu soczyste filet mignon, do nich pieczone ziemniaki i sałatkę z różnych rodzajów zielonej sałaty, a wszystko to zostało podlane wyśmienitym Chateau Katour, przechowywanym na specjalne okazje.

- Fantastyczna kolacja! - pochwaliła Joanna, odstawiając kieliszek.

- Wypada mi jedynie przyklasnąć - zawtórowała jej April.

- Uprzejmie paniom dziękuję. - Joshua się skłonił. - Cała przyjemność po mojej stronie.

- A czemuż to zawdzięczamy te rozkosze podniebienia? - spytała Joanna.

- E, nie, niczemu szczególnemu. Po prostu byłem w odpowiednim nastroju - odrzekł wesoło.

- Rozumiem. - Joanna uznała, że nic z niego nie wyciągnie. - A gdzie się podziała Connie?

Chyba dzisiaj miała być do wieczora?

Joshua wymienił porozumiewawcze spojrzenie z April. Zawiadomił ją o rozwoju wypadków, gdy Joanna przebierała się do kolacji. Choć zdawał sobie sprawę, że i tak będzie musiał przekazać żonie

Judith Gould

Czas na pożegnanie

233

e wieści, starał się odwlekać tę chwilę jak najdłużej. Miał na-la przyjemną kolację we troje, bez dyskutowania o niemiłych neniach. Najwyraźniej jednak los chciał inaczej i trzeba było yć temat gosposi jeszcze przy stole.

0 już, mów - poprosiła Joanna. - Przecież widzę, że coś się Chciałabym wiedzieć co.

3ż... Jak by to... - Joshua jeszcze szukał bezbolesnego wyj-

Jednym słowem, Connie zniknęła.

ik to: zniknęła? - zaniepokoiła się Joanna. - Nie rozumiem.

d tak. - Joshua brnął w zaparte. - Dziś po południu nie zasta-

L jej, ani jej rzeczy.

ina dłuższą chwilę przyglądała mu się uważnie. Wreszcie

ła głową i ciężko westchnęła.

ieszła od nas.

ma tylko spuścił głowę.

warzy Joanny rozlał się głęboki smutek.

I ona chciała nas zrujnować, prawda? - spytała.

ma skinał głową w milczeniu. I on był pogrążony w żalu. I natomiast miała wyraz twarzy nieprzenikniony jak maska, le Joanna zaczęła się śmiać. Szczerze, wesoło, z głębi serca, iwoje spojrzeli po sobie zdumieni. Normalnie śmiech Joan-;arażliwy, tym razem jednak nie mogli się do niej przyłączyć.)ńcu się uspokoiła.

koda, że siebie nie widzicie! - wykrzyknęła. - Dajcie spokój! Iś takim naprawdę nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać, •iej to pierwsze, chyba się ze mną zgodzicie? - Mimo wszyst-a lzy w oczach. Otarła je szybko. - Tyle lat... Uważałam ją ś bliskiego... Mam nadzieję, że przynajmniej dobrze jej za-

i znaleźliśmy wreszcie źródło kłopotów - zauważyła April.

;o mizerne pocieszenie.

ła April! - zawołała Joanna. - Wieczna optymistka!

I nie była pewna, czy przyjaciółka traktuje tę cechę jak zale-
icznej wadę.

dobrze czy źle? - spytała.

rdzo dobrze! I tak trzymaj! - Przeniosła spojrzenie na Jo-

zy któryś z Rossich zadzwonił?

k, owszem. Jak zwykle, Peter.

5, odejście Connie nie oznacza, że tamci nie będą już próbo-

5 wykupić, ale przynajmniej teraz już nie mają wśród nas

swojego człowieka... - Przygwoździła męża spojrzeniem. - A może się mylę?

- Sądziłem, że jest jeszcze jedna osoba...

- Kto?!

- Carl. Ale to na szczęście nieprawda. Któregoś dnia zobaczyłem jego samochód na parkingu u Rossich, więc miałem powody do obaw. Zwłaszcza odkąd się dowiedziałem, co robiła nasza kochana Connie. Okazało się jednak, że pojechał do nich, bo zaproponowali mu pracę. Zajęcie miało być nieproporcjonalnie dobrze płatne, więc bez wątpienia chcieli go po prostu przekupić. Nie przyjął posady.

- Bóg łaskaw! - ucieszyła się Joanna. - Odzyskuję wiarę w ludzi.

- Nie śpiesz się z nadto. - Josh postanowił, że najlepiej załatwić już wszystko za jednym zamachem.

- To jeszcze nie koniec?!

- Jeszcze nie. Dowiedziałem się też, że Christina miała romans z Peterem.

- Co takiego?! - Joanna nie wierzyła własnym uszom.

- Skąd wiesz? - zapytała April, równie zaskoczona.

- Od Connie. Nie jestem pewien, czy można jej wierzyć, ale jeśli tak rzeczywiście było, to prawdopodobnie wyciągał informacje od twojej siostry. A teraz podobno rzucił Christinę i będzie się żenił z naszą gosposią.

Joanna milczała przez chwilę. Wreszcie pokręciła głową, jakby czegoś nie rozumiała.

- Chyba powinnam być wstrząśnięta - odezwała się w końcu - ale jakoś nie jestem. Może raczej nieco zaskoczona. - Spojrzała na April. - Pewnie zajęła się Woodym, kiedy straciła Petera.

- Biedny Woody - westchnęła April. - Cóż, jedno warte drugiego. Zaśmiały się obie, Josh także im zawtórował.

- I tak to już jest - odezwała się Joanna, kiedy umilkli. - Zdradziła nas Christina, porzuciła Connie... Sytuacja wyglądałaby niewesoło, gdyby nie fakt... - wyciągnęła jedną rękę do Josha, drugą do April - że mamy siebie nawzajem.

- Jasne - powiedział Joshua.

- Jasne - powtórzyła April jak echo, ściskając lekko dłoń przyjaciółki. Potem spoważniała. Spojrzała na Josha. - Co zrobiła tym razem? Czy jest bardzo źle?

Joshua aż jęknął.

- Nawet nie mam siły o tym myśleć.

Judith Gould

asisz - oświadczyła Joanna. - A im szybciej damy sobie z tym m lepiej.

ektóre nowe okazy zostały całkowicie zniszczone. Jeszcze lie do końca wiem ile.

iz to ona jęknęła.

! nowe okazy - Josh zwrócił się do April - to hybrydy, moje

Były jeszcze młodziutkie, dopiero zaczynały rosnać.

i zamierzasz?

sdę musiał zacząć od początku. Gorzej być nie mogło. No,

ebym podpalili szklarnie. Najpierw będę musiał dojść, które

vki straciliśmy. Były dokładnie oznaczone, więc nie jest to

zadanie, ale żmudne i pracochłonne. A potem spróbuję je

żyć. Zajmie mi to dużo czasu.

letnie ci pomogę - zaoferowała się April. - Oczywiście muszę się dużo nauczyć, ale zrobię to z przyjemnością.

dekuję za propozycję, coś mi się jednak zdaje, że na razie nie masz ręki do roboty. A tak przy okazji, cóż to za piękny młody człowiek dzisiaj pomagał?

indy Jarvis - odpowiedziała April. - Pracował ze mną parę tygodni, zadzwoniłam spytać, czy nie zastąpiłby Woody'ego. Okazało się, że akurat ma trochę czasu, więc od razu wziął się do roboty. Nieźle. Bo chyba macie sporo zajęć.

i owszem. - April przeniosła wzrok na Joannę. - Zamierzam zrobić piękną grootę, prawda?

to szybko! - Joanna uśmiechnęła się trochę nieśmiało.

em będziesz mogła pomagać w szklarni.

Rozdział dwudziesty siódmy

L/ni uciekały w zastraszającym tempie. April i Randy prawie nie wychodzili z groty, Joanna najpierw im pomagała, potem coraz częściej kładła się na leżaku i tylko patrzyła, ciesząc się z szybkiego postępu prac. W końcu nadszedł czas, gdy raczej zostawała w domu i prawie nie wychodziła z sypialni.

April nigdy nie kwestionowała żadnych jej decyzji, niczego nie sugerowała, nie proponowała pomocy. Wiedziała, że Joanna sama powie, czego potrzebuje, więc tym bardziej nie chciała podważać jej wiary w siebie czy, co gorsza, naruszać prywatności. Głęboko ukrywała swój ogromny smutek. Niekiedy było to bardzo trudne. W takich razach jeszcze bardziej poświęcała się pracy. Szukała w niej zapomnienia. Ucieczki przed świadomością zbliżającej się śmierci przyjaciółki.

Nie mogła jej zatrzymać. Bywało, że Joanna uciekała wzrokiem gdzieś w dal, jakby już spoglądała na inny, lepszy świat, cierpliwie czekając, kiedy nadejdzie jej pora, by przejść na drugą stronę.

April widziała też rozpacz Josha i pomagała mu, by zgodnie z pragnieniem żony zachowywał się zwyczajnie. Starał się spełniać życzenia Joanny: codziennie wychodził do pracy w szklarniach, załatwiał tysiące drobnych spraw nawarstwiających się każdego dnia - i ukrywał w sercu ból, nieutulony żal.

Joannie jest o wiele trudniej, myślał w takich chwilach.

Praca okazała się, na szczęście, doskonałą terapią. Poświęcał mnóstwo czasu odtwarzaniu zniszczonych krzyżówek, miał też nadzieję z nadejściem zimy wyhodować wyjątkową orchideę, specjalnie dla Joanny.

Judith Gould

regoś dnia, jakiś miesiąc po ostatnich kłopotach w szklarni, idła obiad z Lawrence'ami. Joanna czuła się wyjątkowo do-;zy miała błyszczące, śmiała się i mówiła przez cały czas. tępczyni Connie, Peruwianka Elizabeth, podała na deser ały krem. Obie przyjaciółki wyjadły go do ostatniej łyżeczki.)że, ale pychota! - westchnęła April, kładąc rękę na brzuchu, mmmniam! - zgodziła się z nią Joanna. - Cieszę się, że za-Lśmy Elizabeth. Nie stała się członkiem rodziny jak Connie, to pewnie także swoje dobre strony: przynajmniej nie będzie nas tak perfidnie zdradzić! Natomiast gotuje... bosko! - Za-się zadowolona, a April jej zawtórowała. - Aha, chciałam ci azać. - Wzięła do ręki lokalny dziennik. - Podejrzewam, że ainteresuje. - Podała gazetę przyjaciółce, ii zerknęła na zdjęcia ze ślubu i od razu rozpoznała państwa h.

>że słodki! - wyrwało jej się. - Mówić sobie mogła, co chciała, .. No proszę! - Szybko przebiegła wzrokiem treść notki.

CESPEDES I ROSSI SA MAŁŻEŃSTWEM!

ninioną sobotę, w obecności sędziego Thomasa Quinna, oiwille odbyła się ceremonia zaślubin Connie Louise Cespe-n Petera Anthony'ego Rossiego. Pan młody jest prezesem rothers Inc., firmy dominującej w agrobiznesie, zajmującej się ta kupnem i sprzedażą upraw orchidei, panna młoda otrzymała sko wiceprezesa.

ii oddała dziennik Joannie.

ygląda na to, że każde ma, co chciało.

la - przytaknęła Joanna. - Moim zdaniem pasują do siebie.

ą ambitni i pozbawieni skrupułów. Dobrali się w korcu ma-lobnie jak Christina i Woody.

asz o nich jakieś wieści?

ma uśmiechnęła się figlarnie.

oja starsza siostra dzwoniła, nie dalej jak dziś rano. Nie po-a sobie z niej żartować, bo wiem, że jest w rozpaczy, ale nic ie poradzę. - Zamilkła tajemniczo.

3 mów! Bo się spałę z ciekawości!

oja ukochana siostrzyczka oraz Woody stanęli na ślubnym

u.

Czas na pożegnanie

237

- Żartujesz!

- Jestem śmiertelnie poważna. Ale to nie wszystko.

- Co jeszcze?

- On ją już zdradza! Dobrze sobie, co? Jak ci się podoba taki dowód sprawiedliwości dziejowej?

- Bardzo współczuję Christinie. Ale nie mogę powiedzieć, żeby mi to specjalnie popsulo humor.

- Mnie także nie - przyznała Joanna. - Powiedziałam jej, co myślę o namiętnych randkach z Peterem Rossim, przy okazji także nakładłam mnóstwo na temat Woody'ego, a potem wszystko hurtem wybaczyłam. - Podniosła wzrok na April. - Przebaczenie jest, moim zdaniem, szalenie istotne. Trudno żyć z bagażem pretensji. Taki ciężar tylko zgina człowiekowi kark. Teraz widzę to tak: Christina zawsze pozostanie moją siostrą, a rodziny się nie wybiera. Tymi, których wybrałam, jesteście wy dwoje - Joshua i ty. - Wzięła przyjaciółkę za rękę. - Posłuchaj mnie uważnie.

April tylko skinęła głową.

- Długo szukałam idealnej partnerki dla Josha. Najwyraźniej chciałam zabawić się w Boga, wyręczyć los. - Jej fiołkowe oczy lśniły. - I nagle ty spadłaś jak z nieba. Uszczęśliwiłaś i mnie, i jego... Pozostaje mi mieć nadzieję, że oboje spełnicie moje marzenie: będziecie żyli pełnią życia, będziecie się nim cieszyli. - Urwała, a jej twarz rozjaśnił łagodny uśmiech. - Nie powiem już nic więcej. Myślę, że wiesz... że rozumiesz, o co mi chodzi.

April zakręciło się w głowie. Nie pojmowała, jakim cudem Joanna powiedziała to wszystko tak spokojnie. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc tylko ze łzami w oczach ucałowała przyjaciółkę i uściśnęła ją czule.

- Pójdę się zdrzemnąć - powiedziała Joanna. - Później wpadnę sprawdzić, czy pilnie przykładasz się do roboty.

Wstała i odeszła.

April odprowadziła ją wzrokiem.

* * *

Godzinę później, gdy Joanna już spała, April pożyczyla od Randy'ego telefon komórkowy i wyszła przed grotę. Numer, który był jej potrzebny, znalazła bez najmniejszego trudu w książce telefonicznej. Wystukała rząd cyfr. Po trzecim sygnale odezwał się żeński głos.

Judith Gould

Rossi Brothers, słucham? Chciałabym mówić z Connie Rossi. Kto dzwoni?

April Woodward. - Pozostało jej mieć nadzieję, że na sam jej nazwiska sekretarka nie przerwie połączenia. Proszę zaczekać.

obec czego April czekała cierpliwie - dłuższy czas. Nagle usłyszała w słuchawce Connie.

Czego chcesz? - W głosie dawnej gospośi Lawrence'ów brzmiało niezadowolone, przebijające z niego próżność. Mam do ciebie pewną sprawę. Chcę ci powiedzieć, że jeśli zdarzy się jeszcze jeden, choćby najdrobniejszy, wypadek w szklarni, pójdę prosto na policję. Z największą przyjemnością, wręcz kąską rozkoszą opowiem, co widziałam tej nocy, kiedy zostały czoszczone orchidee w laboratorium. O tym, jak się zabawiałaś z tym stróżem, żeby uzyskać dostęp do szklarni. Miguel potwierdził słowa. I nie tylko on, bo Joshua także powtórzy, co mu podałaś w kuchni, zanim uprzejmie zniknęłaś. - Zaciśnięła kciuki łąła z wielkim przekonaniem, choć całkowicie niezgodnie w dą. - A jeszcze do kompletu Christina zezna, że Peter Rossi łągał od niej poufne informacje, jakiś czas w słuchawce panowała cisza.

To tylko twoje słowa przeciwko moim - odezwała się wreszcie de.

Nooo, niezupełnie. Moje słowo, plus zeznanie Miguela, idczenie Joshuy i wyjaśnienia Christiny. - April ponownie zaciśnięła kciuki. - Powinnaś też wiedzieć, że już wynajęliśmy prawników, którzy ma ci wytoczyć sprawę, gdyby cokolwiek się stało. - Zamęła głęboko powietrza. - No i na koniec rzecz ostatnia, choć nie ważna. Mam paru przyjaciół w wydawnictwach prasowych, mogę ci zaryczyć, że w razie czego żadni sensacy czytelnicy będą mogli przeczytać sążniste artykuły na temat twoich wyczynów, i mam nadzieję, żeby zamieszczono w nich twoje śliczne zdjęcie ślubne. Usłyszała ciężkie westchnienie byłej gospośi. - Dlatego najlepiej zrobisz, jeśli przekonasz męża, żeby sobie odpuścił firmę Lawrence'ów. Niech lepiej zaczniesz ostrzyć zęby na kogoś innego, imiemy się?

Taaak... - wycedziła Connie. - Rozumiemy. Niepotrzebnie się rwujesz. Komu potrzebna jakaś farma orchidei? - Przerwała mżenie.

April wyłączyła telefon i odetchnęła z ulgą. Teraz pozostało jej tylko wierzyć, że ta rozmowa odniesie pożądaný skutek. Nie miała na to żadnej gwarancji, ale znając Connie, dla której pozory były szalenie istotne (zwłaszcza od czasu, gdy została żoną pana Petera Rossiego - bogatego, pnącego się w górę białego biznesmena), pozwoliła sobie na luksus wiary w powodzenie swojego planu. Ta dziewczyna powinna zrobić wszystko, co w jej mocy, by zająć męża czymś innym.

Wróciła do groty, oddała Randy'emu telefon i energicznie zabrała się do pracy. Chciała ją skończyć jak najszybciej. Ze względu na Joannę, na Josha i siebie samą.

Joanna patrzyła z okna sypialni w stronę, gdzie znajdowała się grota. Nie widziała jej, oczywiście, ale potrafiła sobie wyobrazić, co się tam dzieje. Uśmiechnęła się do siebie, zadowolona i szczęśliwa. Wkrótce dzieło zostanie ukończone, a efekt z pewnością przejdzie najśmielsze oczekiwania. Spełni się jej marzenie. Powstanie zakątek szczęścia. Dla April i Josha.

Odwróciła się od okna, wzięła torebkę i zeszła do holu. Objęła spojrzeniem błyszczące drewno, marmurowe podłogi... całe to piękno, które zapoczątkował jej ojciec, a oni we dwoje rozwinęli. Lekkim krokiem wyszła przez frontowe drzwi, wsiadła do ulubionego mercedesa, włożyła okulary przeciwsłoneczne, wyjechała z garażu i robiąc rundę po podwórzu, przyjrzała się uroczemu domowi obrośniętemu winoroślą. Minęła dwa kamienne słupy stojące na straży bramy i pojechała, nie oglądając się za siebie.

April zerknęła na zegarek.

Czas kończyć na dzisiaj, pomyślała. A Joanny jak nie było, tak nie ma. Może przespała całe popołudnie? Taka była ożywiona przy stole, pewnie musi teraz odzyskać siły.

- Randy gotów do odwrotu? - spytała pomocnika.

- Już sprzątam - odrzekł zmęczonym głosem. - Tak się zamyśliłaś, że ogłuchłaś i oślepałaś.

Mam dosyć na dzisiaj. Jestem wykończony.

- No to się porządnie wyśpij, bo jutro będzie to samo. - Uśmiechnęła się serdecznie. - Jestem ci naprawdę wdzięczna.

Judith Gould

*Jo wiesz, darmo nie haruję! - zaśmiał się Randy. Skończył ić narzędzia i wziął kurtkę. -

Trzymaj się, do jutra - rzucił ;o nie było.

iril zdjęła fartuch, otrzepała ubranie, zebrała narzędzia i po-i wyczyścić w domku nad basenem. Umyła wszystkie i wytar-szczotkowała włosy, wyszorowała, na ile dała radę, twarz i rę-lacydowała, że przed powrotem do domu zajrzy jeszcze do iy-

kuchni zastała Elizabeth. gdzie Joanna? - spytała.

^ie wiem - odpowiedziała nowa gosposia. - Nie widziałam jej iadu.

Dziękuję. Poszukam.

iszła na piętro i na palcach zbliżyła się do sypialni. Drzwi poty uchylone, więc pchnęła je lekko i zajrzała do środka, iżko było puste. I nawet zasłane, wnie jest w łazience, pomyślała April. Joanno! - zawołała, łpowiedziała jej cisza. Joanno! - krzyknęła głośniej.

•zwi od łazienki także pozostały uchylone, ale i tutaj nie znalazła-rzyjaciółki. Wobec tego zeszła na dół i przeszukała wszystkie e na parterze. Na próżno.) się dzieje? Gdzie ona zniknęła? róciła do kuchni.

Na pewno nie widziałaś jej od obiadu? - spytała gospozię. Na pewno. Czy coś się stało?

Nigdzie jej nie ma - powiedziała April. - A w każdym razie, nie jej znaleźć.

mrat wtedy usłyszała samochód wjeżdżający na podjazd. Wy-i do holu. Może to ona? Jednym szarpnięciem otworzyła fron-drzwi i wypadła na schody, land cruisera wysiadł Joshua. Cześć.

Gdzie Joanna? - spytał. Nie wiem. Właśnie jej szukam. Jak to? Nic ci nie powiedziała? Nie ma jej samochodu! Nie ma?! Josh... Nic nie rozumiem. Po obiedzie poszła odpo-Potem miała przyjść do groty i nie przysła. Dlatego chciałam ej zjrzeć, ale nigdzie jej nie ma... Nie przyszło mi do głowy wdzać, czy jest samochód.

Czas na pożegnanie

241

- Pytałaś Elizabeth? Czy Joanna zostawiła jakąś wiadomość?

- Nie, nie zostawiła. Gospościa nie widziała jej od obiadu. - April podniosła na niego

spojrzenie pełne obawy. - Gdzie ona się podziała? Co się z nią dzieje?

Razem poszli do kuchni, Joshua raz jeszcze wypytał Elizabeth, ale nie dowiedział się niczego nowego.

- Chodź, usiądziemy w bibliotece i spokojnie się zastanowimy - zaproponował.

Usiedli na wielkiej skórzanej kanapie i Joshua zaczął głośno myśleć.

- Przy obiedzie była wesoła i ożywiona. Zachowywała się, jakby nic złego się nie działo...

- Śmiałyśmy się i plotkowałyśmy... - Głos uwiązył jej w gardle, do oczu napłynęły łzy.

Joshua objął ją i pogładził. Wargami musnął jej czoło.

- Nie płacz, proszę. Nie zniósę widoku twoich łez. Przytuliła się do niego, odsuwając na bok poczucie winy. Tylko

na chwilę.

Zdawałoby się, że trwali tak zaledwie przez moment, lecz w rzeczywistości upłynęło sporo czasu. Wreszcie odsunęli się niechętnie.

- Przepraszam cię, nie chciałem...

- Nie przepraszaj. Jestem tak samo winna jak ty. Ja... Och, zostawmy to teraz. Zastanówmy się, gdzie szukać Joanny.

Joshua pokiwał głową, zatopiony w myślach. Patrzył w podłogę, jego umysł pracował gorączkowo.

- Wiem, dokąd pojechała - oznajmił, podnosząc głowę. - Jestem pewien.

- Dokąd? - zapytała April, wstając.

- Chcesz jechać ze mną? (

- Oczywiście.

Joshua skoczył na równe nogi.

- Chodźmy. - Ruszył do holu.

Nie minęła minuta, a już byli w drodze.

Zanim zjechali z autostrady na drogę prowadzącą do odludnego kawałka plaży Pajaro Dunes, słońce już skryło się za horyzontem. Na niebo wypłynął księżyc w pełni, jego blask skąpał ziemię w zło-

Judith Gould

zimnej poświacie. Na nieboskłonie zbierały się czarne

z nad brzeg oceanu, mijali ogromne pola truskawkowe, brukselki, brokułów i karczochów.

Nie napotkali żadnego lamochodu; Joshua, sztywny i spięty, ze wzrokiem utkwio-justej drodze, mocno dociskał pedał gazu. April także mil-igdy tu nie była, lecz domyślała się, dokąd jadą. ' domek na plaży. Jakże by inaczej.

vno ten domek, jak i ocean zawsze były dla Joanny bardzo Tutaj cierpiała w samotności, tu pogodziła się ze śmiertelną

ać w tym miejscu chciała spędzić ostatnie chwile.

nej strony April doskonale rozumiała przyjaciółkę, z drawała gęziej skórki na myśl, że Joanna jest całkiem sama odludziu. A może przyjechała tutaj na spotkanie... ze ?

iii z asfaltu w piaszczystą drogę porośniętą tak gęsto tra-y zieleń postanowiła odzyskać władanie także nad tym wą-smem piasku. Noc zabierała ostatnie szarości dziennego Wkrótce pojawiła się przed nimi ledwie widoczna, zardze-ama. Otwarta. Pomiędzy prętami kołysał się błyszczący o ciężkich ogniwach. La zwolnił.

; - powiedział z ulgą.

li bramę i łagodny zakręt. Reflektory toyoty wyłuskały ze czerni chromowany zderzak mercedesa, zekasz? - spytał głosem bez wyrazu. . - April potrząsnęła głową. - Idę z tobą.

Lwilę zapadła cisza.

Czas na pożegnanie

243

idli i razem podeszli do domku. Gdzieś w środku widać by-nione światło.

reszli na ganek, nagle ciemność rozdarł oślepiający błysk.

tem w górze przetoczył się ogłuszający ryk gromu i z nieba itoki wody.

a wyjął z kieszeni klucz, ale drzwi okazały się otwarte. Na wejścia wielkie okno na całą ścianę ukazywało Pacyfik, te-
iy w ciemności.

est Joanna - powiedział Josh. - Zapaliła światło.

dźmy - rzekła April. - Jestem z tobą.

Joanna miała pogodną twarz i wydawać by się mogło, że spokojnie śpi. Pół leżała, pół siedziała, oparta na poduszkach, by widzieć nieskończony bezmiar wody. Ciepłe światło spływało z lampki, która żółtym kręgiem otaczała torby pełne muszli. Plon ostatniego spaceru po plaży.

Stanęli nad nią we dwoje i patrzyli bez słowa. Nie dopatrzyli się żadnego ruchu, nie usłyszeli oddechu.

Joshua przyklęknął, ujął żonę za ręce, przyłożył ucho do jej piersi, szukając bicia serca, którego znaleźć nie mógł.

Usiadł obok bezwładnego ciała i wziął Joannę w ramiona. Kołysał ją delikatnie, a bezgłośnie łzy płynęły mu po policzkach.

April także płakała. Nigdy dotąd nie poniosła większej straty, nie czuła większego bólu.

Nad plażą srożył się sztorm. Świat zegnał Joannę Lawrence.

Po długim czasie Joshua wypuścił żonę z objęć. Pochylił się nad nią i pocałował czule.

Wstał, spojrzął na April. Nie pierwszy raz widział na jej twarzy smutek, ale nigdy dotąd tak ogromny. Wyciągnęła do niego dłoń. Podał jej rękę i razem pożegnali najukochańszą istotę.

I

Koniec jest początkiem

Zima 2000 roku

/Wimo żałoby dni chłostane zimowymi deszczami minęły szybko i w powietrzu czuło się już zapowiedź wiosny.

April stała na środku groty, przyglądając się efektom wielomiesięcznej wyęźonej pracy.

Pamiętała, że jej wkład w powstanie tego cudu, choć ważny, nie był jedyny. Gdyby nie pomysł Joanny, gdyby nie jej upór, siła oraz energia, na wzgórzu w dalszym ciągu stałaby dawna stajnia.

Od śmierci żony Joshua nie zajrzał tu ani razu, nawet gdy grota została ukończona. Nie mógł.

April natomiast walczyła ze smutkiem, zmuszając się do zakończenia pracy. A było to niełatwe zadanie.

Starła się także pomagać w szklarniach, by Josh mógł więcej czasu poświęcać krzyżowaniu orchidei, tworzeniu nowych hybryd, od których w tak znacznym stopniu zależało powodzenie firmy.

Tak minęło kilka miesięcy. Ból nieco zelżał, rozpacz otuliła mgiełka czasu. Oboje dojrzeni do tego, by uroczyście otworzyć grobę. Przejąc spadek po Joannie. I miało to nastąpić dziś wieczór.

April przesunęła dookoła wzrokiem, wciąż zadziwiona, choć od kilku miesięcy spędzała tutaj większość czasu. Całe wnętrze, co do centymetra, zostało pokryte muszlami i kamieniami. Na suficie pyszniło się lśniące niebo, roziskrzone gwiazdami, na ścianach widniały fantastyczne „rysunki” egzotycznych orchidei, wykonane z barwnych muszli.

W niszach ustawiono na cokołach popiersia. Jeszcze niedawno przedstawiały one sławnych ludzi, dziś przemieniły się w niesamowite istoty nie z tego świata, całkowicie pokryte muszlami. Okna

L

Judith Gould

;wi ozdabiały barwne girlandy, naśladujące skomplikowane pła-zeźby Grinlinga Gibbonsa. la samym środku tryskała niewielka fontanna, kształtem wodząca na myśl basen dla ptaków. Woda opadała do okrągłej awki, na której dnie April stworzyła mozaikę z kamyków, jak-plecionych wodorostów, przypominających wiązanek orchidei, bu stronach fontanny zwieszały się z sufitu dwa żyrandole, e ozdobione muszlami. Pod nimi stanęły srebrzyste weneckie ki i krzesła, rzecz jasna z motywem z muszli. Na każdym stoli-ligotała latarenka z kryształowymi szybkami. April zapaliła ze.

rzyniosła srebrne wiaderko z lodem, w którym chłodziła się [ka szampana Louis Roderer Cristal. Dwa smukłe kryształowe szki, rosyjskie antyki, czekały na napełnienie szlachetnym dem.

reszcie przeniosła spojrzenie na centralną część dłuższej iy, która aż do dziś pozostawała zasłonięta dużym płótnem, iechnęła się do siebie. Nikomu nie zdradziła, co się tam kry--acowała nad tą niespodzianką w tajemnicy przez kilka dłu-tygodni. Teraz przyglądała jej się z dumą i satysfakcją. Oto liła się przed nią perłowobiała orchidea, ułożona prawie :znie z muszli słuchotki kalifornijskiej. Pod spodem litery gładzonych przez fale otoczków układały się w nazwę roślini-'halaenopsis Joanna. Na jednym z weneckich stolików stał kwiat. Hybryda, którą Joshua wyhodował dla swojej żony wał jej imieniem. Śnieżnobiała, lśniąca, jedyna w swoim iju.

>ril nie mogła się doczekać, co powie twórca orchidei na widok

zerunku na ścianie.

ifnęła się i raz jeszcze zlustrowała wnętrze uważnym spojrze-

Pak - powiedziała głośno. - Dziś możemy wznieść toast, idszedł czas zamknięcia tego rozdziału. Zakończyła się ogrom-aca, bardziej artystyczna niż rzemieślnicza. April, dumna ze i dzieła, spoglądała na poszczególne muszle. Tu Laliotis ruber hcea imperialis, tam Spondylas princeps i Wńghtianus, jesz-ibelomurex spinosus oraz Ocinebra erinaceus, a także prowo-la Purpura patual.

że jedyny, pomyślała. Ileż ja się przy tej pracy nauczyłam! I to Iko o muszlach, ale o projektowaniu i przemienianiu marzeń

Czas na pożegnanie

247

w rzeczywistość... O wykorzystaniu możliwości... O, tak, możliwości zawsze są najważniejsze.

Joanna nauczyła ją widzieć nieskończone piękno tworzenia dzięki tym wyjątkowym, a tak skromnym materiałom.

Wyłączyła żyrandole i ruszyła po Josha. W progu odwróciła się po raz ostatni.

Zyskałam coś jeszcze, uświadomiła sobie. Poznałam przyjaźń i miłość.

April weszła do grotty pierwsza, sprawdziła, czy świece nadal się palą, i przytłumiła światło żyrandoli, by stworzyć romantyczny nastrój. Potem włączyła fontannę, która od razu zanuciła swoją dźwięczną pieśń. Całość zapierała dech w piersiach, a autorka tego cudu, nieco spokojniejsza, stanęła w drzwiach, i powiedziała Josho-wi, że już może wejść.

- Na pewno wszystko skończone? - zapytał półzartem.

- Finito - potwierdziła April z uśmiechem.

- Wobec tego, najwyższy czas na uroczysty toast! - orzekł, wchodząc do środka.

Powoli ogarnął wnętrze uważnym spojrzeniem. Nie umknął mu żaden szczegół, żaden efekt.

Uśmiech na jego twarzy zastąpił podziw.

Obserwowała tę przemianę z rosnącą dumą, ale wreszcie zaczęło ją niepokoić milczenie Josha. Czekwała na pochwałę, na słowa uznania i na pewno doczekałaby się ich od Joanny.

Wreszcie Joshua popatrzył na nią. Jego wzrok przyciągnęła najpierw znajoma apaszka od Hermesa. Ta ze wzorem w muszle, prezent od Joanny. Dopiero potem przeniósł spojrzenie na twarz April.

- Spełniłaś jej marzenie - powiedział cicho. - A nawet zrobiłaś jeszcze więcej. - Umilkł. - Nie ma drugiej równie pięknej grotty.

April odetchnęła z ulgą, a Joshua przytulił ją mocno.

- Bałaś się, że mi się nie spodoba? -Tak.

Roześmiał się głośno, wziął ją pod brodę i pocałował w usta.

- Napijmy się szampana. - Odkorkował butelkę, nalał trunek do obu kieliszków i podał jeden April. - Chciałbym wznieść toast. Za życie. I za naszą wspólną przyszłość.

248

Judith Gould

- Za naszą przyszłość. - Zadzwieczał kryształ.

Serce zatrzepotało jej w piersi. Choć ostatnie miesiące minęły w smutku i żałobie, nie mogła zapomnieć o swoim uczuciu, potrzebie wzajemności i namiętności.

Joshua odstawił kieliszek, April powtórzyła jego gest. Położył ręce na jej ramionach, zajrzał w oczy. Zatopiła spojrzenie w jego źrenicach. Widziała w nich cień rozpaczki. Na szczęście zniknęło niedawne przygnębienie. Czas leczy rany. Stopniowo w obojgu budziły się chęci do życia, tęsknota za bratnią duszą, pragnienie miłości.

Joshua pogładził April po twarzy. Ujął ją za rękę.

- Tak miała wyglądać ta grota - powiedział. - Dokładnie tak, jak wygląda. Oto spadek, jaki zostawiła nam Joanna. Ta grota i nasza miłość.

Odgarnął z czoła niesforne włosy i ciepło ucałował April w policzek. Zaczynali nowy etap życia. Pod znakiem wspólnej przyszłości.